

# Kwarantanna

Egan Greg

Książka I z Kosmologia



calibre 0.9.27



**Greg Egan**

**Kwarantanna**

**Przeł ożyl**

**Konrad Kozłowski**

**SOLARIS**

# **Stawiguda 2006**

## **Kwarantanna**

tyt. o ryginału: Quarantine

Co pyright © 2005 by Greg Egan

All Rights Reserved

ISBN 83-89951-45-2

Projekt i opracowanie graficzne okł adki

Maciej „Monastyr" Bł azejczyk

Maciej „Monastyr" Bł azejczyk

Korekta Krystyna Dulińska, Bogdan Szyma

Skł ad Tadeusz Meszko

# Wydanie I

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

ul. Warszawska 25 A, 11-034 Stawiguda

tel./fax: 089 541-31-17

e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)

[www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)

## Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

### CZEŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

### CZEŚĆ DRUGA

5

6

7

8

9

10

11

12

13

[Epilog](#)

## CZEŚĆ PIERWSZA

Tylko najbardziej paranoidalni klienci dzwonią do mnie, gdy śpię.

To oczywiste, że nikt nie chce, aby naprawdę poufna rozmowa została elektronicznie zdekodowana i wyświetlona na ekranie najzwyklejszego wideofonu, ponieważ wyciek częstotliwości radiowych z niekodowanego sygnału – o ile nawet pomieszczenie nie jest zapluskwione – może zostać wychwycony w sąsiednim kwartale. Jednakże większość ludzi zadowala się utartym rozwiązaniem: modyfikacją nerwową umożliwiającą wykonanie dekodowania samemu mózgowi, wraz z następującym po tym bezpośrednim przekazaniem wyników do centrów wzrokowych i słuchowych. Aby zapewnić całkowite obustronne bezpieczeństwo przepływu, używany przeze mnie mod – **CypherClerk**[\[\\*\]](#) (NeuroComm, \$5.999) – dostarcza również opcji wirtualnej krtani.

Jest jednak jedno „ale”. Nawet sam mózg nie jest szczelny dla pewnego rodzaju słabego pola elektrycznego i magnetycznego. Umieszczony we włosach nadprzewodnikowy detektor

– nie większy od płotka łupieżu – może przechwycić przepływ danych związany z takim aktem namiastki percepcji w układzie nerwowym i niemal natychmiast przełożyć go na odpowiadające mu obrazy i dźwięki.

Dlatego właśnie pojawił się na rynku **The Night Switchboard**[\\*\\*](#) (Axon, \$17.999).

Przeprowadzającym tę modyfikację nanomaszynom wykonanie mapy idiosynkratycznych schematów użytkownika (zasad rządzących rozkodowywaniem znaczeń w połączeniach nerwowych) może zabrać do 6 tygodni, lecz kiedy zostanie to już zrobione, pośredniczący język zmysłów może zostać zupełnie pominięty. Wszystko, co zgodnie z intencją rozmówcy powinieneś wiedzieć, po prostu wiesz, bez potrzeby wyobrażania sobie jakiejś wyrzucającej to z siebie gadającej głowy, a w przypadku wszelkich praktycznych celów elektromagnetyczny podpis na poziomie czaszki jest nie do podrobienia. Jedyne związane z tym problemem jest następujący: większość ludzi, o ile są świadomi, jest zdezorientowana krystalizującą się wewnątrz głowy, w dodatku bez żadnych konwencjonalnych wstępów – informacją, a w najgorszym razie może to być dla nich nawet traumatyczne.

Przechodząc do sedna, aby odebrać rozmowę, musisz spać.

Nic mi się nie śni. Budzę się, najzwyczajniej *wiedząc*: Laura Andrews ma trzydzieści dwa lata, sto pięćdziesiąt sześć centymetrów wzrostu i waży czterdzieści pięć kilogramów. Jest niską szatynką, o prostych włosach, bladoniebieskich oczach i długim, wąskim nosie. Ma angielsko-irlandzkie rysy oraz głęboko czarną skórę, gdyż –

podobnie jak większość Australijczyków urodzonych z niewystarczającą ochroną przed promieniowaniem ultrafioletowym – została zmodyfikowana przez wprowadzenie genów powodujących grubszy naskórek i podwyższoną produkcję melaniny.

Laura Andrews ma poważne, wrodzone uszkodzenie mózgu. Co prawda potrafi niezdarnie jeść i chodzić, ale w żaden sposób nie jest w stanie się komunikować, a fachowcy utrzymują, że postrzega otaczający ją świat nie lepiej od sześciomiesięcznego dziecka. Odkąd ukończyła pięć lat przebywa w

tutejszym oddziale Instytutu Hilgemanna.

Przed czterema tygodniami roznoszący śniadanie sanitariusz otworzył drzwi do jej pokoju i zauważył, że ten jest pusty. Po przeszukaniu budynku i przyległych do niego terenów wezwano policję. Ci, powtarzając całą procedurę, poszerzyli obszar poszukiwań, pukali do wszystkich domów znajdujących się w najbliższym sąsiedztwie, co nie przyniosło jednak żadnego efektu. Sam pokój Laury nie miał śladów włamania, a nagrania z kamer bezpieczeństwa wcale nie rzuciły na sprawę żadnego nowego światła. Policja szczegółowo przesłuchała cały personel, ale nikt się nie załamał i nie przyznał do zagadkowego uprowadzenia kobiety.

Minęły cztery tygodnie i nic. Nikt jej nie widział. Nie odnaleziono ciała. Nikt nie zażądał

okupu. Policja oficjalnie nie porzuciła sprawy, a jedynie *pozbawiła ją priorytetu* w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków.

Jednakże nikt nie oczekuje postępu w śledztwie.

Moim zadaniem jest odnalezienie Laury Andrews i zapewnienie jej bezpiecznego powrotu do Hilgemanna, lub też – gdyby nie żyła – zlokalizowanie jej doczesnych szczątków oraz zebranie koniecznych dowodów, które umożliwią postawienie przed sądem ludzi odpowiedzialnych za jej porwanie.

Mój anonimowy klient przypuszcza, że Laura została uprowadzona, odmawia jednak sugerowania motywu. W chwili obecnej wstrzymuję się przed wydaniem jakiegokolwiek opinii . Z

głową pełną dopiero co dostarczonej wiedzy, przedstawionej z punktu widzenia klienta i najprawdopodobniej nawet zabarwionej jego kłamstwami, nie jestem w stanie zająć żadnego stanowiska w tej sprawie.

Otwieram oczy i zwlekam się z łóżka, przechodząc w kierunku terminalu umieszczonego w kącie pokoju. Trzymam się zasady, aby nigdy nie zajmować się sprawami finansowymi wewnątrz własnej głowy. Naciśnięcie kilku klawiszy potwierdza, że na moje konto wpłynęła zadowalająca kwota zaliczki. Znakiem dla klienta, świadczącym o podjęciu przeze mnie zadania, będzie akceptacja depozytu. Waham się przez chwilę, rozważając szczegóły zlecenia i starając się rozproszyć własne wątpliwości, czy aby na pewno w pełni je zrozumiałem. W przypadku tego typu rozmów zawsze pojawia się pewna doza sennej logiki, słabe, lecz niezbywalne podejrzenie, że w żadnej z otrzymanych w ten sposób informacji nie pozostanie do rana ani gram sensu. Po chwili autoryzuję transakcję.

Noc jest parna. Wychodzę na balkon i spoglądam w kierunku rzeki. Nawet o trzeciej w nocy jej nurt jest zapełniony różnych rozmiarów jednostkami sportowo-rekreacyjnymi, począwszy od luminescencyjnych żaglówek, miękko świecących na pomarańczowo czy limonkowozielono, aż po dwunastometrowe jachty, poprzecinane jaśniejszymi od światła dnia snopami reflektorów. Trzy główne mosty są zapchane rowerzystami i pieszymi. Na wschodzie gigantyczne hologramy kart, kości do gry oraz kieliszków do szampana migają i wirują ponad kasynem. *Czy nikt już obecnie nie sypia?*



Spoglądam na puste czarne niebo i łapię się na tym, że jestem nim niewytłumaczalnie oczarowany. Dziś w nocy nie odnajdziesz na nim księżycy, chmur ani żadnych planet, i ta niczym nie wyróżniająca się czerń odmawia podtrzymania jakiegokolwiek podnoszącego na duchu złudzenia skali. Równie dobrze mógłbym się wpatrywać w rozciągającą się nieskończoność, jak i we wnętrze własnych powiek. Przechodzi przeze mnie fala nudności, mieszanina sprzecznych uczuć, klaustrofobi oraz zawracającej w głowie świadomości nadludzkich rozmiarów Bańki. Po tym jak wstrząsa mną pojedynczy gwałtowny spazm, wszystko przemija.

Generowana za pomocą modu halucynacja mojej zmarłej żony Karen, stojąca tuż obok mnie na balkonie, obejmuje mnie ramieniem w pasie i pyta:

– Nick? Co się dzieje?

Jej dotyk jest chłodny, kiedy szeroko rozkłada palce na moim brzuchu, niczym jakieś antenki. I już niemal mam zamiar – starając się wytłumaczyć – zapytać ją, czy kiedykolwiek brakowało jej gwiazd, kiedy uświadamiam sobie, jak niedorzecznie sentymentalnie by to zabrzmiało i powstrzymuję się na czas.

– Nic – potrząsam głową.

Tereny otaczające Instytut Hilgemanna są tak soczyście zielone w samym środku lata –

gdy powinny być martwe i zbrązowiałe – jak tylko pozwala na to inżynieria genetyczna połączona z usilną retykulacją\*. Kiedy mozolnie wlekę się główną drogą dojazdową w cieniu czegoś, co wygląda mi na jakiś gatunek klonu, trawnik łśni w porannym skwarze niczym pokryty świeżą rosą. Bez wątpienia jest nieustannie nawadniany spod powierzchni, a to jest dosyć kosztowne w czasach, kiedy taryfa lekkomyślnego zużycia wody, już obecnie znajdująca się na surowo karalnym poziomie, według krążących pogłosek ma jeszcze dwukrotnie wzrosnąć w najbliższych miesiącach. Trzecia nitka rurociągu Kimberley, dostarczającego wodę z oddalonych o dwa i pół tysiąca kilometrów na północ zapór, już przekroczyła swój budżet o czterysta procent, a plany dotyczące budowy zakładów odsalania wody morskiej zostały po raz kolejny odłożone do szuflady, gdyż najwyraźniej przesynt na rynku morskich minerałów źle wpłynął na żywotność całego projektu.

Okrągły podjazd na końcu drogi okala wybujiała rabatka, porośnięta zapierającymi dech w piersi wielokolorowymi kwiatami. Zmodyfikowane kolibry, znak firmowy IS, wiszą w powietrzu i błyskawicznie śmigają ponad kwiatami. Przystaję na moment, aby się im przyjrzeć, w próżnej nadziei, że będę świadkiem chociażby pojedynczego naruszenia tego, co w nich zaprogramowano, i oderwania się od zataczanych kręgów.

Sam budynek został wykonany z imitacji drewna, a układ jego pomieszczeń przywodzi na myśl motel. Instytuty Hilgemanna mają porozrzucane po całym świecie oddziały, ale żaden naprawdę istniejący Hilgemann nie przyłożył do tego ręki. Powszechnie wiadomo, że International Services zapłacili doradcom marketingowym małą fortunę za wymyślenie

„optymalnej” nazwy dla szpitali psychiatrycznych. (A czy publiczna wiedza dotycząca pochodzenia nazwy psuje ową optymalizację, czy też w gruncie rzeczy jest najsilniejszą jej podstawą, tego nie

potrafię określić). IS prowadzi również szpitale medyczne, domy opieki dla dzieci, szkoły, uniwersytety, więzienia, a ostatnio kilka męskich i żeńskich klasztorów. Dla mnie wszystkie one wyglądają jak motele.

Ruszam w kierunku recepcji, jak się okazuje, niepotrzebnie.

– Pan Stavrianos?

Dr Cheng – wicedyrektor ds. medycznych, z którą wcześniej rozmawiałem krótko przez telefon – już oczekuje mnie w lobby. To niespotykana uprzejmość, która w dosyć grzeczny sposób pozbawia mnie wszelkich szans poniuchania po kątach bez nadzoru. Nikt nie nosi tutaj białych kitli, jej sukienka ma zawily wzór – przypominający prace Eschera – przechodzących w siebie kwiatów i ptaków. Przeprowadza mnie przez drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU, a następnie wąskim labiryntem korytarzy wprost do swojego gabinetu. Siadamy w fotelach, z dala od jej spartańskiego biurka.

– Dziękuję, że mogliśmy spotkać się tak szybko.

– Nie ma za co. Sami nie posiadamy się z radości mogąc współpracować. Wszystkim zależy na odnalezieniu Laury. Lecz muszę przyznać, że nie mam pojęcia, co też jej siostra, procesując się z nami, ma nadzieję osiągnąć. Laurze i tak to nie pomoże, nieprawdaż?

Wydaję wyrażający zrozumienie, aczkolwiek wymijający pomruk. Być może moim klientem jest właśnie siostra bądź też jej firma prawnicza, ale po co w takim wypadku ta cała niepotrzebna tajemniczość? Nawet gdybym nie wpakował się tutaj i nie przedstawił stronie przeciwnej – a nie otrzymałem żadnych zabraniających tego instrukcji – prawnicy Hilgemanna i tak przyjęliby za pewnik, że wcześniej czy później ona wynajmie detektywa. Sami już od dłuższego czasu mieliby własnego.

– Powiedz mi, co – według ciebie – przytrafiło się Laurze.

Dr Cheng marszczy czoło.

– Co do jednego jestem pewna: sama nie mogła się stąd wydostać. Nie była w stanie nawet przekręcić klamki. Ktoś ją zabrał. Mimo iż nie prowadzimy tu więzienia, jednak do spraw bezpieczeństwa podchodzimy bardzo poważnie. Mógłby ją stąd wyprowadzić jedynie wysoce wykwalifikowany i dysponujący ogromnymi środkami profesjonalista. Ale na czyje zlecenie i po co, na to nie potrafię sobie odpowiedzieć. Jeżeli chodzi o żądania okupu, to robi się na nie trochę za późno, a poza tym jej siostra nie jest jakoś szczególnie dobrze sytuowana.

– Czy mogło zdarzyć się tak, że ten ktoś porwał niewłaściwą osobę? Może zamierzali uprowadzić innego pacjenta – osobę, której krewni byliby w stanie zebrać wart zachodu okup

– i zorientowali się w swojej pomyłce dopiero wtedy, kiedy było za późno, aby cokolwiek z tym zrobić.

– Przypuszczam, że to możliwe.

– Kto mógłby być takim oczywistym celem? Macie tu jakichś pacjentów pochodzących ze szczególnie majątnych...?

– Naprawdę nie mogę...

– Nie, oczywiście, że nie. Proszę mi wybaczyć. – Z wyrazu jej twarzy mógłbym wywnioskować, że miałyby kilkoro takich kandydatów, ale ostatnią rzeczą, na której jej zależy, byłyby moje odwiedziny u ich rodzin. – Przyjmuję, że wzmocniliście ochronę?

– Obawiam się, że również i na ten temat nie mogę podjąć dyskusji.

– Oczywiście. W takim razie opowiedz mi o Laurze. Dlaczego urodziła się z uszkodzeniem mózgu? Co mogło być przyczyną?

– Nie mamy pewności.

– Ale na pewno macie jakieś domysły. Co mogło to spowodować? Różyczka? Syfilis?

AIDS? Nadużywanie narkotyków przez matkę? Efekty uboczne środków farmaceutycznych, pestycydów, czy też dodatków do żywności?

Lekceważąco potrząsa głową.

– Prawie na pewno wszystkie je można wykluczyć. Jej matka przeszła standardową prenatalną opiekę zdrowotną, w czasie której nie zarejestrowano u niej żadnych poważniejszych chorób. Nie używała narkotyków. Żaden chemiczny teratogen czy mutagen tak naprawdę nie pasuje do stanu Laury. Ona nie ma żadnych zniekształceń, żadnego zaburzenia równowagi biochemicznej, żadnych nieprawidłowych protein ani histologicznych nieprawidłowości...

– Dlaczego w takim razie jest tak poważnie opóźniona w rozwoju?

– Wygląda na to, że pewne istotne ścieżki w jej mózgu, pewne systemy połączeń pomiędzy neuronami, które winny były ukształtować się w bardzo wczesnym stadium rozwojowym, w jej przypadku nie zdołały się pojawić, i to ich nieobecność sprawiła, że późniejszy normalny rozwój okazał się niemożliwy. Pytanie brzmi: *dla czego* te wczesne ścieżki się nie uformowały. Jak już powiedziałam, nie mamy żadnej pewności, ale osobiście podejrzewam, że odpowiedzialny jest za to złożony efekt genetyczny, coś niezmiernie finezyjnego, związanego z wzajemnym oddziaływaniem wielu osobnych genów, *in utero*.

– Nie można więc stwierdzić, czy ma to podłoże genetyczne? Nie można przebadać jej DNA?

– Laura nie posiada żadnych rozpoznanych i skatalogowanych defektów genetycznych, jeżeli to masz na myśli – co tylko potwierdza, że istnieją pewne geny, kluczowe dla rozwoju mózgu, które nie zostały jeszcze zlokalizowane.

– Czy w jej rodzinie zanotowano podobne przypadki?

– Nie, ale w przypadku zaangażowania kilku różnych genów nie jest to niczym szczególnie zaskakującym. Prawdopodobieństwo, by komukolwiek z rodziny przypadło w udziale to samo, co jej, byłoby raczej dosyć znikome. – Marszczy czoło. – Przepraszam, ale w jaki sposób to, o czym teraz rozmawiamy, ma ci pomóc ją odnaleźć?

– Cóż, gdyby powodem porwania *był* jakiś produkt farmaceutyczny czy też konsumpcyjny, wytwórca mógłby chronić swoje interesy. Zdaję sobie sprawę, że od jej urodzenia upłynęło już sporo czasu, ale być może jakiś zespół badawczy, zajmujący się pewną niezrozumiałą wadą wrodzoną jest w przededniu opublikowania stwierdzenia, że cudowny lek X, wspaniały środek antydepresyjny lat 30., przekształcał jeden płód na sto tysięcy dokładnie w taki sposób, jak w przypadku Laury. Musiałś słyseć o Holistic Health Products ze Stanów Zjednoczonych –

sześćset osób cierpiało na wadę nerek powstałą na skutek zażywania ich „suplementów energii”. Wynajęli oni kilkunastu płatnych morderców, by ci zaczęli usuwać poszkodowanych, fabrykując równocześnie dowody ich przypadkowych śmierci. Trupy pociągają za sobą dużo mniejsze odszkodowania w sądach. W porządku, porwanie rzeczywiście nie wydaje się mieć zbyt wielkiego sensu, ale kto go tam wie? Być może musieli ją przebadac, aby zdobyć w ten sposób jakąś informację, która ewentualnie mogłaby pomóc im w sądzie.

– Jak dla mnie, brzmi to raczej paranoidalnie.

– Zboczenie zawodowe – wzruszam ramionami.

– Pańskie czy moje? – Śmieje się. – W każdym razie, jak już powiedziałam, wydaje mi się, że powód jej stanu był dziedziczny.

– Ale nie można mieć pewności.

– Nie.

Zadaję zwyczajowy zestaw pytań dotyczących personelu: czy w ciągu ostatnich kilku miesięcy kogokolwiek zatrudniono, bądź zwolniono, czy wiadomo, by któryś z pracowników popadł w dług, miał inne problemy czy też może żywił jakąś urażę? Gliniarze na pewno przeszli przez to wszystko, ale po czterech tygodniach roztrząsania zniknięcia dziewczyny jakaś trywialna błahostka, początkowo niewarta nawet wspomnienia, mogła nabrać konkretnego znaczenia.

Nie mam tego szczęścia.

– Czy mógłbym zobaczyć jej pokój ?

– Oczywiście.

Korytarze, którymi mnie prowadzi, posiadają przymocowane pod sufitem kamery, umieszczone co dziesięć metrów, zgaduję więc, że wszystkie drogi do pokoju Laury znajdują się w polu widzenia przynajmniej siedmiu z nich. Z drugiej jednak strony siedem kameleonów danych nie przekraczałoby budżetu poważnie podchodzącego do sprawy porywacza. Każdy z tych robocików wielkości główki szpilki podłączyłby się do sygnału jednej z kamer, zapamiętując sekwencję bitów pojedynczej klatki

zarejestrowanej dla pustego korytarza, którą następnie wyrzucaliby z siebie raz za razem, w miejsce rzeczywistego obrazu. W momencie kiedy te fałszywe dane byłyby włączane i wyłączane, mogłyby się pojawić nieznaczące, odstające obszary szumu o wysokiej częstotliwości, ale nie byłyby one wystarczającym powodem, by pozostawiać wartość wspomnienia niedoskonałości na odpornym na szum zapisie cyfrowym.

Poza poddaniem badaniu pod mikroskopem elektronowym każdego pojedynczego metra włókna optycznego w poszukiwaniu małych śladów w miejscach, gdzie ingerowały kameleony, ustalenie, czy takie manipulacje miały w ogóle miejsce, jest niemożliwe.

Równie łatwa byłaby ingerencja w działanie zdalnie otwieranych i zamykanych drzwi do pokoju Laury.

Sam pokój jest mały i prawie nieumeblowany. Jedną ze ścian została zamalowana radosnym i połyskliwym freskiem, przedstawiającym kwiaty i ptaszki. Nie jest to coś, co osobiście z wielką radością przywitałbym na ścianie w swoim domu, ale trudno mi ocenić, jak obecność takiego malowidła mogła wpływać na Laurę. Przy łóżku znajduje się pojedyncze olbrzymie okno, solidnie wstawione w ścianę, niemające nawet udawać, że zaprojektowano je po to, by dawało się je otworzyć. Szyba została wykonana z bardzo odpornego na uderzenia plastiku, którego nie roztrzaskałby nawet pocisk wystrzelony z pistoletu, lecz przy użyciu odpowiedniego sprzętu dałoby się go rozciąć i ponownie spoić, i to w taki sposób, że nie pozostałyby widoczne ślady. Sięgam po kieszonkowy aparat fotograficzny i robię zdjęcie szyby w spolaryzowanym świetle laserowej lampy błyskowej, a następnie przetwarzam je w przedstawioną w fałszywych kolorach mapę naprężeń. Jednakże wszystkie przejścia są gładkie i uporządkowane, nie zdradzają żadnych skaz.

Prawda jest taka, że nie jestem w stanie zrobić tu niczego, czego wcześniej i lepiej nie wykonałaby policyjna ekipa dochodzeniowa. Dywan z pewnością został holograficznie sfotografowany w poszukiwaniu odcisków butów, a następnie odkurzony w poszukiwaniu włókien i innych biologicznych pozostałości; pościel zabrano do analizy, a teren pod oknem przeczesano na wszystkie możliwe sposoby w poszukiwaniu mikroskopijnych poszlak. Ale teraz mam przynajmniej utrwalony w pamięci układ pokoju, solidne tło do jakichkolwiek rozważań, co też mogło się tu wydarzyć tamtej nocy.

Dr Cheng odprowadza mnie z powrotem do lobby.

– Czy mógłbym zapytać o coś zupełnie niezwiązanego z Laurą?

– Słucham?

– Czy macie tutaj wielu pacjentów z Przesłonięciówką? Śmieje się i potrząsa głową

– Żadnego. Przesłonięciówka już dawno wyszła z mody.

Ponieważ siedzę w tym biznesie i ponieważ jestem – teoretycznie – wypłacalny, istnieje pewna pula informacji na temat każdego, którą mogę uzyskać zbytnio się nie wysilając.

Martha Andrews ma trzydzieści dziewięć lat i pracuje jako analityk systemowy w WestRail.

Jest rozwiedziona i to jej przyznano prawa rodzicielskie nad dwoma synami. Ma przeciętne dochody, równie przeciętne długi oraz czterdzieści dwa procent udziału w tanim dwupokojowym mieszkaniu. Płaciła Hilgemannowi z funduszu powierniczego pozostawionego przez rodziców. Jej ojciec zmarł trzy lata temu, matka w rok później. Nie jest warta głębszych dociekań.

Na tym etapie śledztwa najbardziej wiarygodną hipotezą wydaje się być ta dotycząca pomyłonej tożsamości. Być może nie pasuje zbyt dobrze do profesjonalizmu porywaczy, ale nikt nie jest doskonały. Tym, czego mi trzeba, aby ruszyć ze sprawą do przodu, jest lista pacjentów Hilgemanna. Przydatne mogą się również okazać szczegóły dotyczące personelu.

Dzwonię więc po moje zwyczajowe usługi hakerskie.

Sygnal nieodbieranego połączenia zdaje się odbijać głębokim echem wewnątrz mojej czaszki. Nie ulega wątpliwości, że psychologowie produktu w NeuroCommie wybrali taką właśnie dziwną akustykę, aby nasilić poczucie prywatności, ale na mnie nie robi to żadnego wrażenia, a jedynie wyzwala poczucie klaustrofobi. Równocześnie z tym dźwiękiem moje zewnętrzne pole widzenia płowieje do czerni i bieli – najprawdopodobniej po to, aby zmniejszyć rozproszenie uwagi, ale tak naprawdę jest to kolejny, męczący bajer.

Bel a jak zawsze odpowiada po czwartym sygnale. Jej twarz zdaje się unosić w powietrzu w odległości około metra, jaskrawo kolorowa na tle szarej rzeczywistości, rozmywająca się tuż przy szyi, jak gdyby została wycięta za pomocą jakiegoś magicznego snopa światła. Uśmiecha się spokojnie.

– Miło cię widzieć, Andrew. Czym mogę służyć?

„Andrew” to imię, które przybieram jako jedną z moich generowanych przez **CypherClerka** masek. Zresztą jej syntetyczne ludzkie oblicze również może się okazać jedynie maską, powtarzającą słowo za słowem zgodnie z intencjami wypowiedzi jakiejś prawdziwej osoby. Bel a równie dobrze może być dziełem rąk ludzkich, interfejsem czegokolwiek: począwszy od wychwalanej automatycznej sekretarki, aż po system, który w rzeczywistości sam wykonuje dziewięćdziesiąt dziewięć procent całego hakingu. Tak naprawdę to nie dbam o to, kim albo czym jest Bel a – ona/on/to/oni osiągają wyniki i to ma dla mnie największe znaczenie.

– Instytut Hilgemanna, oddział w Perth. Wszelkie akta pacjentów oraz dotyczące personelu.

– Za jaki okres?

– Cóż... trzydzieści lat, jeżeli są dostępne on-line. Jeżeli starsze dane zapisano w jakimś archiwum i dojdzie do nich ma kosztować fortunę, to zapomnij o nich.

Kiwa głową.

– Dwa tysiące dolarów.

Wiem swoje i nie próbuję się targować.

– W porządku.

– Zadzwoń za cztery godziny. Twoje hasło to „paradygmat”.

Kiedy pokój wraca do normalnych kolorów, uświadamiam sobie, że dwa tysiące dolarów stanowiłoby dla Marthy Andrews ogromną sumę, nie wspominając o piętnastu tysiącach, które otrzymałem wcześniej w formie zaliczki. Oczywiście, gdyby jej prawnicy mieli pewność co do olbrzymiej finansowej ugody i własnego pokaźnego honorarium procentowo uzależnionego od tego, co sami wyciągną, piętnaście tysięcy byłoby dla nich pestką. A ich życzenie dotyczące anonimowości mogłoby nie być bardziej złowieszcze niż moje własne użycie pseudonimu w rozmowie z Bel a. Kiedy łamie się prawo, dobrze jest posiadać jakąś przegrodę oddzielającą cię od ryzyka oskarżeń o znowę.

Czy mam rozmawiać z Martha? Nie potrafię sobie wyobrazić, jak by to mogło zdenerwować jej prawników. Nawet jeżeli wynajęła mnie sama (czego nie mogę na razie całkowicie wykluczyć, gdyż jej finanse mogą posiadać jakieś ukryte głębie), to tym samym wybrała anonimowość, zamiast możliwości wyraźnego poinstruowania mnie, bym trzymał się od niej z daleka.

Nie mam wyboru. Muszę postępować tak, jak gdyby w ogóle, ani przez chwilę, pytanie dotyczące tożsamości mojego klienta nie przeszło mi nawet przez głowę. Mimo iż naprawdę dotychczas w całej tej sprawie nic bardziej mnie nie intryguje.

Martha bardzo przypomina swoją siostrę, ma tylko odrobinę więcej ciała i o wiele więcej zmartwień. W czasie rozmowy telefonicznej zapytała:

– Dla kogo pracujesz? Dla szpitala?

Kiedy odpowiedziałem jej, że nie wolno mi ujawniać tożsamości mojego klienta, uznała to chyba za potwierdzenie. (W rzeczywistości to nie do pomyślenia – IS jest właścicielem znacznej części udziałów w Pinkerton's Investigation, zatem Hilgemann nigdy nie wynająłby wolnego strzelca). Teraz, w czasie rozmowy twarzą w twarz, jestem niemal zupełnie przekonany, że niczego nie ukrywa.

– Naprawdę, jestem ostatnią osobą, która mogłaby ci pomóc w odnalezieniu Laury. To oni, nie ja, sprawowali nad nią opiekę. Nie mieści mi się w głowie, jak mogli do tego dopuścić.

– Tak, ale chociaż przez chwilę zapomnij o ich niekompetencji. Czy masz jakieś podejrzenia, *dla*czego ktoś mógłby chcieć ją porwać?

Potrząsa głową.

– Jaki byłby z niej pożytek?

Kuchnia, w której siedzimy, jest malutka i nieskazitelnie czysta. W przylegającym do niej pokoju, dzieci Marthy zajmują się grą, będącą hitem ostatniego lata – *Tybetańskie demony zen na kwasie kontra haitańscy bogowie voodoo na amfie* – i to nie we własnych głowach, jak bogate dzieciaki.

Martha krzywi twarz, kiedy dochodzi do nas filmowo sztuczny dźwięk mrozącego krew w żyłach krzyku, a potem następuje głośna, mokra eksplozja, połączona z burzą oklasków.

– Już mówiłam. Wcale nie jestem w lepszej pozycji od kogokolwiek innego, aby odpowiedzieć ci na to pytanie. Być może nie została porwana. Być może to Hilgemann zaszkodził jej w jakiś sposób – zastosował błędną terapię, czy też wypróbował na niej jakiś nowy lek, który nie podziałał, jak należy – a cała ich historyjka o porwaniu jest jedynie zacieraniem śladów. Oczywiście, tylko gdybam, ale powinieneś brać pod uwagę taką właśnie możliwość. Przy założeniu, że *zależy* ci na odkryciu prawdy.

– Byłyście blisko z siostrą?

Marszczy czoło.

– Blisko? Nie powiedzieli ci, jaka jest?

– W takim razie – czy byłaś może do niej przywiązana? Często ją odwiedzałaś?

– Nie. Nigdy. Odwiedziny nie miały żadnego sensu – nie wiedziałyby, co one oznaczają.

Nie zdawałyby sobie sprawy, że miały miejsce.

– Rodzice podzielali ten pogląd?

Wzrusza ramionami.

– Moja mama, kiedy żyła, zwykła była ją odwiedzać mniej więcej raz w miesiącu. Nie okłamywała się – wiedziała, że Laurze nie sprawia to żadnej różnicy – ale uważała, że tak należało postępować. To znaczy zdawała sobie sprawę, że czułaby się winna, gdyby trzymała się z daleka, a do czasu, kiedy pojawiły się mogące to naprawić mody, zbytnio się do tego przyzwyczaiła, aby chcieć to zmienić. Ale ja sama nigdy nie miałam z tym żadnego problemu.

W moim przekonaniu Laura nie jest człowiekiem, a starając się udawać, że jest inaczej, czułabym się jedynie jak hipokrytka.

– Przyjmuję, że przed sądem planujesz być odrobinę bardziej uczuciowa?

Śmieje się, zupełnie nie urażona.

– Nie. Skarżymy o odszkodowanie za straty moralne, a nie o odszkodowanie za

„cierpienia emocjonalne”. Sprawa nie będzie dotyczyć moich uczuć, jedynie zaniedbania ze strony szpitala. Może i jestem oportunistką, ale nie mam zamiaru popełniać krzywoprzysięstwa.

Już w pociągu, w drodze powrotnej do miasta, zastanawiam się, czy Martha zaaranżowałaby porwanie własnej siostry z powodu korzyści płynących z odszkodowania za straty moralne. Jej niechęć do wyciśnięcia z pozwu ostatniego grosza, rezygnacja z wykorzystania sytuacji, mogła być



jedynie wykalkulowanym zagranem, sposobem mającym zapewnić jej przychyłność sądu. Jednakże istnieje w tej teorii przynajmniej jedna skaza –

dlaczego nie zażądać okupu, który później mógłby zostać na drodze sądowej w całości zwrócony przez Hilgemanna? Dlaczego domagać się wyjaśnień, pozostawiając niewiadomym sam motyw porwania i tym samym wzbudzając podejrzenia oszustwa?

Wyłaniam się z dusznego ścisku metra po to tylko, by odkryć, że ulice są niemal równie zatłoczone przez wieczorny tłum ludzi dźwigających poświęcone wyprzedaje i przez grajków ulicznych, do tego stopnia pozbawionych talentu – naturalnego czy jakiegokolwiek innego – że mam ochotę zatrzymać się i przełączyć ich maszynki kredytowe na tryb zwrotu pieniędzy.

– Jesteś podłym sukinkotem – stwierdza Karen. Potakująco kiwam głową.

Kiedy zbliżam się do człowieka z tablicami reklamowymi przyczepionymi na piersiach i plecach, powtarzam sobie, że minę go, jakbym go nie zauważył, ale już po kilku krokach zatrzymuję się i odwracam, aby mu się przyjrzeć. Jego potulna, skierowana ku ziemi twarz jest blada niczym ślimak – wszak Bóg zabrania nam grzebania przy naszej pigmentacji! Jest ubrany w czarny garnitur, co musi być piekielną udręką w panującym upale. Pośród krzykliwie ubranych przechodniów w krótkich spodenkach i podkoszulkach, wygląda jak dziewiętnastowieczny misjonarz zagubiony na afrykańskim targu. Widziałem go już wcześniej, z tą samą wielce wymyślną wiadomością, wypisaną z przodu i z tyłu: GRZESZNICY

UKORZCIE SIĘ!

DZIEŃ SĄDU

JEST BLISKI!

*Bliski!* Po trzydziestu trzech latach, *bliski!* Nic dziwnego, że jego wzrok jest wbity w ziemię. Cóż się, kurwa, działo w jego głowie przez ostatnie trzy dekady? Czy każdego ranka budzi się, myśląc – po raz dziesięciotysięczny – „To właśnie dzisiaj”? Tego nie można nazwać wiarą, to paraliż.

Przez chwilę stoję, jedynie mu się przyglądając. Kroczy wolno wzdłuż ustalonej trasy, tam i z powrotem, przystając, kiedy strumień ludzi zbyt mocno napiera na jego drodze. Większość go ignoruje, ale zauważam jednego nastolatka, który zderza się z nim celowo i bez pardonu odpycha go na bok. Odczuwam wtedy wstydliwą falę radości.

Nie mam żadnego dobrego powodu, by nienawidzić tego mężczyzny. Pełno jest milenarystów wszelkiego rodzaju: od łagodnych idiotów po sprytnych i zapatrzonych w zysk, od ekstatycznych Wodników po dokonujących ludobójstwa terrorystów. Członkowie Dzieci Bezmiaru nie włączają się po ulicach z podobnymi tablicami reklamowymi. Nie ma najmniejszego sensu obwinianie takiej żalosnej nakręcanej zabawki o śmierć Karen.

Jednakże kiedy ruszam dalej, nic nie mogę poradzić i z rozkoszą wyobrażam sobie jego twarz zmienioną w krwawą miazgę.

Kiedy zniknęły gwiazdy, miałem osiem lat.

15 listopada 2034, pomiędzy 8:11:05 a 8:27:42 czasu Greenwich.

Sam nie byłem naocznym świadkiem kręgu ciemności rozrastającego się od przeciwstycznej strony, który niczym usta węgielne czarnego kosmicznego robaka, rozwierał się, by połknąć świat. W telewizji, i owszem, widziałem to setki razy, filmowane z kilkunastu różnych miejsc, ale w telewizji przypominało to najtańsze z możliwych efektów specjalnych (obrazy satelitarne były jeszcze bardziej w tym stylu, gdyż na ujęciach wykonanych z użyciem filtrów posiadających powłokę antyodblaskową, te zamykające się w niewiarygodnej symetrii „usta” można było zobaczyć dokładnie za Słońcem, co miało posmak trików wykonanych dzięki ludzkiej pomysłowości).

Nie mogłem zobaczyć tego na żywo. W Perth było wtedy późne popołudnie, ale wiadomości dotarły do nas przed zachodem słońca, tak więc w zapadającym zmierzchu stałem na balkonie wraz z rodzicami, wyczekując. Kiedy pojawiła się Wenus i wskazałem na nią palcem, mój ojciec stracił cierpliwość i odesłał mnie do pokoju. Nie przypominam sobie, co dokładnie powiedziałem, ale jestem pewien, że znałem różnicę pomiędzy gwiazdami i planetami, pewnie więc palnąłem jakiś dziecięcy żart. Kiedy wyjrzałem przez okna mojego pokoju – mając do wyboru wypaćkaną szybę albo zakurzoną osłonę przeciw owadom – i zobaczyłem, *cóż, niczego nie zobaczyłem*, trudno było być pod wrażeniem. Później, kiedy wreszcie w pełnej krasie ujrzałem puste niebo, z całych sił starałem się wzbudzić w sobie przerażenie, jednakże bezskutecznie. To, co zobaczyłem, było równie mało widowiskowe jak zachmurzone niebo. Dopiero po latach zrozumiałem, jak przerażeni musieli być moi rodzice.

Przez całą planetę przeszła tego dnia fala zamieszek Dnia Przesłonięcia, ale do najbardziej drastycznej przemocy doszło tam, gdzie ludzie na własne oczy obserwowali to zdarzenie, co zależało od kombinacji długości geograficznej i pogody. Noc rozciągała się od zachodniego Pacyfiku po Brazylię, lecz chmury zasłaniały większą część obu Ameryk.

Bezchmurne niebo znajdowało się ponad Peru, Kolumbią, Meksykiem i południową Kalifornią –

tak więc Lima, Bogota, Mexico City i Los Angeles ucierpiały w porównywalnym stopniu. W

Nowym Jorku jedenaście po trzeciej w nocy niebo było zachmurzone i było do tego przejmująco chłodno, zatem miasto zostało oszczędzone. Światło świtu ocaliło Brazylię i Sao Paulo.

Zakłócenia porządku w Australii były znikome. Nawet na wschodnim wybrzeżu zachód słońca nastąpił zbyt późno, a – jak się wydaje – większość Australijczyków przesiedziała całą noc z oczami wlepionymi w ekran telewizora, oglądając, jak to inni ludzie plądrują i podkładają ogień. Koniec Świata był zbyt ważny, by przytrafiać się gdziekolwiek indziej niż za granicą. W

samym Sydney zarejestrowano mniej przypadków śmiertelnych niż podczas poprzedniego sylwestra.

W mojej pamięci nie ma żadnej luki pomiędzy samym wydarzeniem a podaniem jego wyjaśnienia (swego rodzaju). Analiza czasowa okultacji ujawniła, i to prawie natychmiast, *geometrię* tego, co się wydarzyło; być może uznałem to wtedy za wystarczające tłumaczenie.

Dopiero sześć miesięcy później pierwsze sondy dotarły do Bańki, ale nazwa ta była w użyciu już od samego początku, na cokolwiek by tam natrafiono.

Bańka jest sferą doskonałą, o promieniu dwunastu miliardów kilometrów (niemal dwukrotnie więcej, niż liczy orbita Plutona) i ze Słońcem w środku. Cała powstała równocześnie, ale skoro Ziemia znajdowała się o osiem minut od jej środka, to stąd wzięło się opóźnienie w dotarciu do nas światła ostatniej ze znikających gwiazd, które zależało od jej położenia na niebie, a co za tym idzie – dało początek rozrastającemu się kręgowi ciemności.

W pierwszej kolejności znikaly gwiazdy znajdujące się tam, gdzie Bańka była najbliżej, na końcu zaś te, które były najdalej – czyli dokładnie za Słońcem.

Bańka okazała się niematerialną powierzchnią zachowującą się na wiele sposobów jak wklęsła wersja horyzontu zdarzeń czarnej dziury. Doskonale pochłaniała światło słoneczne i nie emitowała niczego poza nie wyróżniającym się strumieniem promieniowania cieplnego (o wiele zimniejszym niż niedocierające już do nas mikrofalowe promieniowanie tła).

Obserwowane z Ziemi sondy, które docierały do owej powierzchni, doznawały przesunięcia ku czerwieni oraz dylatacji czasu, lecz nie doświadczały żadnej mierzalnej siły grawitacyjnej, która mogłaby wyjaśnić oba te zjawiska. Sondy wędrujące po przecinających sferę orbitach zdawały się zwalniać do asymptotycznego „zamrożenia”, równocześnie zlewając się z czernią.

Większość fizyków wierzy, że w czasie pokładowym sondy gładko i bez przeszkód przechodzą przez Bańkę, ale są niemal równie pewni, że dochodzi do tego w naszej nieskończenie odległej przyszłości. Obecność kolejnych barier za Bańką, czy też ich brak, jest niewiadomą – i nawet jeśli żadne nie istnieją, otwarte pozostaje pytanie, czy astronauta, który podjąłby się takiej jednostronnej podróży odkryłby leżący poza Bańką wszechświat nietknięty zębem czasu, czy też wy dostałby się dokładnie na czas, aby być świadkiem momentu jego zagłady.

Gdy wreszcie karmione przez sześć miesięcy teoriami bardziej szalonymi od prawdy media usłyszały doniesienia zawierające za ledwie jedno swojsko brzmiące wyrażenie, szybko ogłosiły, że Układ Słoneczny „wpadł do wnętrza” olbrzymiej czarnej dziury.

Spowodowały tym, nim zdołano wyprostować całą historię, falę globalnej paniki. Otaczał nas horyzont zdarzeń, a co za tym idzie, musieliśmy być w jego wnętrzu – całkowicie zrozumieliśmy błąd. Prawda jest dokładnie przeciwna – horyzont zdarzeń nie nas otacza. „Otacza” całą resztę wszechświata.

Jakkolwiek garstka teoretyków dzielnie walczyła nad opracowaniem modelu opisującego Bańkę jako zupełnie naturalne, spontaniczne zjawisko, to tak naprawdę zawsze istniało tylko jedno wiarygodne wyjaśnienie: kolosalnie przewyższająca nas obca rasa skonstruowała barierę, aby odizolować Układ Słoneczny od reszty wszechświata.

Pozostawało tylko pytanie: dlaczego?

Jeżeli celem było zniechęcenie nas do ekspansji i podboju galaktyki, to nie musieli sobie aż tak

zawracać tym głowy. W 2034 roku żaden człowiek nie dotarł dalej niż na Marsa. Sześć lat wcześniej, po osiemnastomiesięcznej działalności, zamknięto amerykańską bazę na Księżycu.

Jedynymi pojazdami kosmicznymi, które opuściły Układ Słoneczny, były sondy wysłane w kierunku jego zewnętrznych planet pod koniec dwudziestego wieku, pełnące na zewnątrz Układu Słonecznego wzdłuż bezcelowych już trajektorii. Plany dotyczące wysłania w 2050

roku bezzałogowej misji do Alpha Centauri zostały niedawno przesunięte na rok 2069, w nadziei, że setna rocznica misji Apol o 11 ułatwi zbiórkę funduszy na ten cel.

Oczywiście, obca, potrafiąca podróżować przez przestrzeń kosmiczną cywilizacja mogła przyjąć długofalowy punkt widzenia. Jakies tysiąc lat, nim ludzie prawdopodobnie mogliby podjąć się czegokolwiek choć odrobinę zbliżonego do międzysystemowego podboju, mogło im się wydawać akurat rozsądnym marginesem bezpieczeństwa. Tak czy inaczej sam pomysł, że mogła się nas obawiać rasa zdolna do opanowania czasoprzestrzeni w sposób, który my z trudem moglibyśmy zrozumieć, był nedorzeczny.

Być może Budowniczości Bańki byli naszymi dobroczyńcami, oszczędzającymi nam losów nieskończenie gorszych niż pozostanie ograniczonymi do obszaru przestrzeni, gdzie mogliśmy

– przy odrobinie ostrożności – rozkwiąć przez setki milionów lat. Być może miało eksplodować jądro galaktyki, a Bańka była jedyną możliwą tarczą osłaniającą nas przed promieniowaniem.

Być może inni, nieprzyjacielscy kosmici wpadli w szal gdzieś w pobliżu, a Bańka była jedynym sposobem trzymania ich na dystans. Było mnóstwo mniej lub bardziej dramatycznych wariacji na ten temat. Być może Bańka pojawiła się, by ochronić naszą delikatną, prymitywną kulturę przed surową rzeczywistością międzygwiazdowego handlu. Być może Układ Słoneczny ogłoszono Strefą Kosmicznego Dziedzictwa Kulturowego.

Garstka intelektualnie ograniczonych malkontentów upierała się, że jakiegokolwiek wyjaśnienie odnoszące się bezpośrednio do ludzi było najprawdopodobniej antropomorficznym nonsensem, ale nikt nie zapraszał ich do dyskusji w swoich programach.

Na drugim krańcu tego wszystkiego znajdowała się większość sekt religijnych, które bez problemu wyciągnęły gładkie odpowiedzi z własnych nedorzecznych mitologii. Fundamentalisci kilku wierzeń odmówili przyjęcia do wiadomości samego faktu istnienia Bańki; wszyscy obwieścili, że zniknięcie gwiazd było znakiem boskiej niełaski, przepowiadanej – z różnym stopniem proroczej licencji – w ich własnych świętych pismach.

Moi rodzice byli zdecydowanymi ateistami, moja edukacja należała do świeckich, a przyjaciele z dzieciństwa bądź to byli niereligijni, bądź też byli marginalnie buddystycznymi wnukami indochińskich uchodźców. Lecz anglojęzyczne media na całym świecie zostały zalane poglądami chrześcijańskich fundamentalistów, do nich więc należał obłęd, który w okresie dorastania poznałem najlepiej i którym najmocniej gardziłem. *Gwiazdy zniknęły!* Jeżeli nie przekładało się to na Apokalipsę, to co się na nią przekładało? (W rzeczy samej *Apokalipsa św. Jana* mówiła o gwiazdach spadających na Ziemię, ale przecież nie można być aż tak dosłownym). Nawet ci fanatycy z pisaniem

przez małe „m” milenijnym fetyszem mogli nabrać odwagi. Lata 2000 i 2001 okazały się być frustrująco pozbawione cudów na skalę kosmiczną, ale, biorąc pod uwagę niepewność danych historycznych, rok 2034 (tak uważano) mógł z łatwością być dokładnie dwutysięczną rocznicą nie tyle narodzin Chrystusa, ile jego śmierci i zmartwychwstania. (15 listopada jako Wielkanoc? Opracowano w tym celu niejasne wyjaśnienia zawierające w sobie coś o nazwie „Paschalne Przesunięcie”, ale nigdy nie odnalazłem w sobie wystarczającej dozy masochizmu, aby starać się je dokładniej prześledzić).

Był to Dzień Sądu Ostatecznego w wersji Izby Handlowej Pasma Kanałów Biblijnych.

Telewizja wczaj wciąż działała, a nikt nie potrzebował znaku besti, aby kupować i sprzedawać, nie wspominając już o przekazywaniu i otrzymywaniu odliczanych od podatku darowizn. Główne kościoły wydały ostrożne oświadczenia, stwierdzające w zbyt wielu słowach, że naukowcy mieli prawdopodobnie rację, ale ich ławy opustoszały, a biznes odkupień za pieniądze rozkwitał.

Prócz grup rozłamowych panujących religi, po pojawieniu się Bańki wylęgły się tysiące nowiutkich, jakby wprost spod igły, sekt. Większość z nich powstała na zew chwytnych sloganów, które torowały drogę religijnym przedsiębiorcom w dwudziestym wieku. Ale w czasie kiedy oportuniści rośli w siłę, ci, prawdziwie chorzy psychicznie, jątrzyli. Dwadzieścia lat zabrało Dzieciom Bezmiaru zaistnienie w publicznej świadomości, lecz przecież wymaganym warunkiem wstępnym członkostwa było przyście na świat w *Bezmiarze*, czyli w sam dzień bądź też tuż po pojawieniu się Bańki. Rozpoczęli działalność w 2054 roku, zatruwając ujęcie wody małego miasteczka w Maine i zabijając tym samym przeszło trzy tysiące osób. Obecnie działają aktywnie w czterdziestu siedmiu krajach i odebrali życie niemal stu tysiącom ludzi.

Marcus Duprey – ich założyciel i najwyższy prorok, sam wprowadzający w czyn swe słowa –

wyrzucał z siebie chaotyczny strumień nie do końca przetrawionego kabalistycznego bełkotu, połączonego z pochodzącą wprost z komiksów eschatologią. Jednak, jak się okazało, istniały tysiące ludzi mających w głowach popierdalone dokładnie we właściwy sposób, aby uznać każde jego słowo za najczystsza prawdę.

Już wystarczająco wiele szkód niosło za sobą wysadzanie przypadkowych budynków, bo

„oto mamy Erę Chaosu”, ale odkąd Duprey i siedemnaścioro innych Dzieci trafiło za kratki, wielu z idących w jego ślady poczęło traktować jego uwolnienie jako swoją ostateczną misję, a dzięki namacalnemu celowi (nawet nieosiągalnemu), skupiającemu ich wysiłki, wszystko nabrało tempa. I nie ma żadnego znaczenia, jakie jest moje zdanie, ale czasem w nocy pewne pytanie godzinami wiruje wewnątrz mojej głowy. I nie życzyłbym sobie, aby go uwolniono. Chciałbym, żeby go nigdy nie złapano.

Choroba umysłowa nie ograniczała się jedynie do milenarystów. Dla niewierzących pojawiła się Przesłonięciówka: histeryczna, obezwładniająca, „klaustrofobiczna” reakcja na myśl o zostaniu „uwięzionym” w bańce o objętości osiem bilionów razy większej niż objętość kuli ziemskiej. Wtedy wydawało się to niemal śmieszne – równie osobliwe jak niektóre z udawanych dziewiętnastowiecznych dolegliwości klas wyższych – ale już w pierwszym roku miliony osób nie

mogły się temu oprzeć. Choroba uderzała niemal w każdym kraju, a resorty zdrowia przewidywały, że będzie kosztowała światową ekonomię więcej niż AIDS. Jednakże po pięciu latach liczba nowych zachorowań drastycznie spadła.

Wojny i rewolucje w każdym zakątku świata zrzucano na karb Bańki – chociaż sam się zastanawiam, jak ktokolwiek mógł twierdzić, że jest w stanie rozdzielić wynikające z niej destabilizujące efekty od tych uzależnionych od biedy, zadłużenia, zmian klimatycznych, głodu czy zanieczyszczenia – i fanatyzmu religijnego, który i tak byłby obecny. Czytałem, że na samym początku ludzie mówili poważnie o „rozsypującej się w proch” cywilizacji, o nadejściu nowych Wieków Ciemnych. Takie poglądy wkrótce jednak ucichły – ale nawet obecnie nie do końca mogę się zdecydować, czy na fakt, że fale szoku kulturowego były tak łagodne, patrzeć jak na cud, czy też jak na coś nieuniknionego. Bańka zmienia wszystko: udowadnia istnienie kosmitów o nadprzyrodzonych mocach, obcych, którzy uwięzili nas bez żadnego ostrzeżenia czy wyjaśnienia – i oszustwem pozbawili nas naszego miejsca we wszechświecie. *Bańka nie zmienia niczego*: obcy trzymają się na dystans i nie są istotni, gwiazdy nie są związane z ludzkimi potrzebami, wszak słońce nadal świeci, rośliny wciąż rosną, życie na planecie toczy się jak dawniej, a w naszym zasięgu są światy, które będziemy odkrywać przez najbliższe kilka tysiącleci.

We wczesnych latach pięćdziesiątych powszechnie wierzono, bez żadnego szczególnego powodu, że Budowniczy Bańki mieli wkrótce wyjść z ukrycia i wszystko wyjaśnić. Rozkwitły kultury wyznawców kontaktu z obcymi, a mistyfikacje związane z latającymi spodkami sięgały niedorzecznych poziomów, lecz wraz z mijającymi w ciszy latami nadzieje na chociażby lakoniczne wyjaśnienie naszego stanu kwarantanny rozpląnęły się w powietrzu.

Sam się już nie zastanawiam: *dlaczego?* Po trzydziestu trzech latach słuchania ludzi wygłaszających własne nieprawdopodobne hipotezy nic już nie mogło mieć dla mnie mniejszego znaczenia. (Zgoda, pośrednio zabiło to moją żonę, ale z drugiej strony sam również tego dokonałem w podobny sposób).

A jeżeli chodzi o gwiazdy, to nie mogliśmy ich stracić, bo nigdy nie należały do nas. Prawda jest taka, że nie straciliśmy niczego za wyjątkiem złudzenia ich bliskości.

Bel a jak zawsze dostarcza dane na umówioną godzinę. Ładuję je do obszernych wewnętrznych buforów pamięci **CypherClerka** i już mam je przesłać do znajdującego się na biurku terminala, gdy w przeblysku ostrożności, czy też może paranoi, zmieniam zdanie i – na razie – decyduję się zatrzymać je wewnątrz mojej głowy.

Jestem zmęczony, ale minęła zaledwie dziewiąta. Nie chce mi się spać, lecz perspektywa przekopywania się przez dane z Hilgemanna uderza mnie jako nieznośnie znużająca.

Wywołuję **Backroom Workera\***(Axon, 499\$) i tłumaczę mu, co ma zrobić z każdym nazwiskiem. Po pierwsze, ma porównać je z moją własną naturalną pamięcią pod kątem jakichkolwiek skojarzeń (wszak istnieje szansa, że najbliższy członek rodziny kogokolwiek wartego porwania będzie postacią publiczną). Później ma się połączyć z Systemem Informacji Kredytowej, by uzyskać aktualny status finansowy dla każdego nazwiska z listy, a następnie podpiąć go do danych. Zastanawiam się, czy nie uruchomić powiadomienia, o ile aktywa przekraczałyby określoną wartość progową, ale nie chce mi

się wymyślać kwoty; zresztą kiedy wszystko zostanie już zrobione, mogę posortować wszystkich według ich wartości netto.

Instruuje mod, aby przeszkodził mi jedynie w przypadku natrafienia na znane mi nazwisko.

Padam na łóżko i włączam znajdujący się w pokoju system audio. Sterujący systemem ROM, którego ostatnio słucham, to „Raj” Angeli Renfield, jedna z kilkuset tysięcy identycznych kopi, których każde odtworzenie ma gwarantowaną unikalność. Renfield ustaliła dla muzyki pewne parametry, w dużej mierze określone pseudoprzypadkowymi funkcjami zależnymi od daty, godziny i numeru seryjnego systemu audio.

Dziś wieczorem, jak się zdaje, trafiło mi się wykonanie nadmiernie ciężące ku wpływom minimalistycznym. Po kilku minutach tego samego – chociaż, muszę przyznać, imponująco dźwięcznego – akordu, powtarzanego co pięć sekund, naciskam klawisz PRZEKOMONUJ.

Muzyka milknie, następuje krótka cisza, po której rozpoczyna się nowa, znacznie ulepszona wariacja.

Odtwarzałem „Raj” około stu razy. Na początku z trudem mogłem uwierzyć, że te poszczególne wykonania mają ze sobą cokolwiek wspólnego, ale po kilku miesiącach zacząłem wychwytywać podstawową ukrytą strukturę. Teraz widzę je jako coś przypominającego drzewo genealogiczne czy też filogenetyczną klasyfikację gatunków.

Metafora ta nie jest jednak precyzyjna, gdyż jedno wykonanie może być oceniane jako bliski bądź też daleki kuzyn drugiego, ale sama idea wzajemnego pochodzenia nie ma tu przełożenia. Najprostsze z wykonań uważam za pierwotne, za „dające początek” bardziej złożonym, ale po przekroczeniu pewnego punktu określenie, które pochodzi od którego, czy też które ewoluowało w które, wydaje się być praktycznie niemożliwe.

Słyszałem zapewnienia kilku recenzentów, że w przypadku każdej muzycznie edukowanej osoby kilkunastokrotne przesłuchanie powinno pozwolić w pełni pojąć wybrane przez Renfield zasady, sprawiając tym samym, że kolejne odtworzenia staną się nieznośnie zbyteczne. Jeżeli tak jest, to jestem szczęśliwy z powodu własnej ignorancji. Dzisiejsze drugie wykonanie jest niczym lśniące ostrze skalpela, usuwające warstwę martwej skóry po warstwie.

Zamykam oczy wraz z narastającą linią trąbki, wzbierającą na sile, która następnie muruje, niemożliwie, bez wysiłku, w płynny dźwięk metaharf. Dołączają się flety z przeładowanym, manierycznym tematem i kiedy, jak już mi się wydaje, mogę w nim wyróżnić ukryty pod wrzawą i ozdobnikami cień owej doskonałej, powracającej w stu przebraniach, srebrnej igły, która będzie coraz bardziej wyostrzana, wyciszana, by następnie powrócić po raz kolejny; a która zostanie wreszcie odsłonięta, bym mógł się nią napawać po raz ostatni – tuż przed wbiciem w moje serce – nieoczekiwanie cztery linijki tekstu zaczynają migotać w dole mojego pola widzenia:

**[Backroom Worker:**

Skojarzenie z pamięcią naturalną.

Casey, Joseph Patrick.

Szef Ochrony wg stanu na dzień 12 czerwca 2066]

Zupełnie wypadło mi z głowy, że poprosiłem również o dane personelu, gdyż inaczej bym je wykluczył. Przelatuje mi przez głowę, by doczekać do końca utworu, ale to nie ma sensu; bardzo dobrze zdaję sobie sprawę, że nie będę już w stanie czerpać z niego przyjemności.

Naciskam klawisz STOP i kolejne unikalne wcielenie „Raju” znika na zawsze.

Casey jest ode mnie starszy o pięć lat, więc gdy odszedł na emeryturę zaraz po mnie, nie było to czymś przedwczesnym. Siedzi w kącie zatłoczonego baru i popija piwo. Przyłączam się do niego. Przypuszczam, że to dość dziwny sposób spędzania czasu, skoro nawet pojedynczy mikrogram etanolu nie przedostanie się do naszych krwiobiegi, gdyż mody przeliczają nasze spożycie i dostarczają nam czysto nerwowego szumu w miejsce (niesamowicie toksycznego) prawdziwego doznania. Z drugiej jednak strony, ta kulturowa skamielina przetrwała tysiące lat i przeżyła wszelką pamięć dotyczącą własnego pochodzenia, trudno więc twierdzić, że to, co robimy, jest w jakiś sposób wyjątkowe.

– Nie widzimy cię, Nick. Gdzieś ty się ukrywał?

*Widujemy?* Chwilę zabiera mi zrozumienie, że nie ma na myśli siebie i nieobecnej tu żony, ale bar pełen obecnych i byłych gliniarzy; społeczność „sił przestrzegania prawa”, jak nazwaliby to politycy – w ten sam sposób, w jaki swego czasu mówili o społeczności chińskiej, włoskiej czy greckiej – jak gdyby posiadane przez nas nerwowe i fizyczne modyfikacje czyniły z nas jakiś rodzaj demograficznie jednorodnej grupy. Rozglądam się po sali i stwierdzam z ulgą, że niemal nikogo nie rozpoznaję.

– Wiesz, jak to jest.

– Interes się kręci?

– Jakoś zarabiam na życie. Ostatnio, jak słyszałem, pracowałeś dla RehabCorp. Co się stało?

– Wykupiło ich IS.

– Taaa, pamiętam coś. Wielkie redukcje etatów.

– Ja miałem szczęście. Znajomości pozwoliły mi przejść na inne, równoległe stanowisko.

Ale wiele osób, które pracowały dla RehabCorp nawet od trzydziestu lat, poleciało na bruk.

– Jak się pracuje w Hilgemannie?

Śmieje się.

– A jak ci się wydaje? Każdy, kto kończy w miejscu takim ja to – czyli obecnie każdy, kogo nie są w stanie naprawić za pomocą modu – musi być kompletnym pieprzonym zombie.



Ochrona nie jest problemem.

– Nie? A Laura Andrews?

– To tym się teraz zajmujesz? – Nie jest zdziwiony bardziej, niż wymaga tego uprzejmość; Cheng na pewno kazała mu mnie sprawdzić, zanim zdecydowała się odpowiedzieć na mój telefon.

– Taaa.

– Dla kogo?

– A jak myślisz?

– Chuj tam wie. Nie dla siostry, bo dla niej pracuje Winters. Zauważ jednak, że jej praca nie polega na odnalezieniu Laury, ale na obrzuceniu głównym moich kompetencji. Ta suka najprawdopodobniej spędza cały swój czas, siedząc przy komputerze i fabrykując dowody.

– Prawdopodobnie.

*Nie dla siostry.* W takim razie dla kogo? Dla kogoś z rodziny innego pacjenta? Kogoś, kto jest przekonany, że w czasie kiedy taktu sobie rozmawiamy, sam właśnie niechętnie wykladałby kasę na okup, o ile porwanie nie zostałyby spartaczone? Kogoś, kto chce mieć pewność, że nie będzie drugiego, tym razem udanego, podejścia?

– Ta cała sprawa to żart, wiesz. Nie zaniedbaliśmy niczego. Pamiętasz tego kołosa, który pozwał właścicieli Miliona w Sydney po tym, jak z jednego z ich pokoi uprowadzono jego córkę? Został starty na proch. Tu będzie tak samo.

– Być może.

Śmieje się gorzko.

– Masz w dupie wynik, no nie?

– Nie. I ty też nie powinieneś. IS nie wyleją cię, nawet jeżeli przegrają sprawę. Nie są głupi, asygnują na cele bezpieczeństwa określony budżet, wystarczający, aby utrzymać pacjentów wewnątrz czterech ścian. Jeżeli zależałoby im na jakiejś fortecy, wyśmienicie zdają sobie sprawę, że musieliby do tego sporo dołożyć. Wystarczająco długo już zajmują się prowadzeniem więzień, aby dotarło do nich, ile to kosztuje. Waha się przez chwilę, wreszcie mówi:

– Wystarczająco, aby utrzymać pacjentów wewnątrz czterech ścian, powiadasz. Tak?

Laura Andrews dwukrotnie wydostała się już wcześniej. – Spogląda na mnie. – Ale jeżeli cokolwiek z tego dotrze do jej siostry, to masz u mnie przesrane.

Wpatruję się w niego, sceptycznie szczerząc zęby, oczekując wyjaśnień dotyczących puenty całego dowcipu, lecz on jedynie patrzy na mnie pośpnie.

– Co masz na myśli, mówiąc „wydostała się”? Jak? – pytam.

– Jak? Cholera! Nie mam pojęcia, jak. Gdybym wiedział, jak, to nie pozwoliłbym jej tego zrobić po raz kolejny, no nie?

– Ale... zdawało mi się, że ona nie potrafiłaby nawet przekręcić klamki.

– Tak utrzymują lekarze. Cóż, nikt nigdy nie widział, żeby kiedykolwiek przekręciła jakąś cholerną klamkę. Nikt nigdy nie widział, żeby zrobiła cokolwiek wystarczająco inteligentnego, by zawstydzić tym karalucha. Ale nikt, kto potrafi ominąć zamknięte drzwi, kamery oraz czujniki ruchu, i to trzy razy, nie jest tym, kim się wydaje, no nie?

Parskam śmiechem.

– Do czego zmierzasz? Utrzymujesz, że przez przeszło trzydzieści lat udawała całkowity niedorozwój umysłowy? Nawet nie nauczyła się mówić! Czy wydaje ci się, że kiedy miała dwanaście miesięcy, zaczęła udawać uszkodzenie mózgu?

Wzrusza ramionami.

– Kto tam wie, co się działo trzydzieści lat temu? Dane mówią swoje, ale mnie przy tym nie było. Wszystko, o czym mam pojęcie, dotyczy tego, co robiła przez ostatnie osiemnaście miesięcy. A jak ty byś to wytłumaczył?

– Może jest *idiotie savante*. Albo bezmózgim magikiem potrafiącym uciec z każdego zamknięcia. – Casey wywraca oczami. – W porządku. Nie mam pojęcia. Ale... co się wydarzyło? W tamtych dwóch przypadkach? Jak daleko się wydostała?

– Za pierwszym razem na teren ośrodka. Za drugim kilka kilometrów dalej. Znaleźliśmy ją rankiem, po prostu włóczącą się po okolicy, z tym samym dobrotliwym, głupawie niewinnym wyrazem twarzy co zawsze. Chciałem zainstalować kamerę w jej pokoju, ale Hilgemann nie chciał nawet o tym słyszeć – jakaś konwencja ONZ dotycząca praw umysłowo chorych. IS

wystarczająco oberwali w związku z tym więzieniem w Teksasie i od tej pory są ultraostrożni.

– Śmieje się. – A jak mógłbym udowodnić, że potrzebowałem więcej sprzętu? Pacjenci to warzywa. Pokoje mają pojedyncze okna i drzwi, oba monitorowane 24 godziny na dobę – jak mógłbym umotywić potrzebę jakiegokolwiek dodatkowego sprzętu? Przecież nie mogłem powiedzieć pieprzonemu dyrektorowi: „Skoro jesteś taki mądry, to wytłumacz mi, w jaki sposób tego dokonała. Sam mi powiedz, jak ją powstrzymać”.

Potrząsam głową.

– Nie zrobiła nic z tego, o czym opowiadasz. Nie mogła. Ktoś ją zabrał. We wszystkich trzech przypadkach.

– Tak? Kto? Dlaczego? Jak nazwiesz dwa pierwsze razy – suchą zaprawą?

Waham się.

– Deinformacją? Ktoś starał się przekonać cię, że ona potrafi wydostać się samodzielnie, tak, byś pomyślał, że kiedy wreszcie ją zabierze...

Wyraz twarzy Caseya odzwierciedla poważne niedowierzanie, bliskie bólowi fizycznemu.

– W porządku – mówię. – Dla mnie brzmi to również jak stek bzdur. Ale nie potrafię uwierzyć, że ot tak sobie stamtąd wyszła. I to samodzielnie.

Całą wieczność zabiera mi zaśnięcie. **Boss** (Human Dignity, 999\$)\* być może i uczynił z tego kwestię świadomego wyboru, ale wciąż w jakiś sposób udaje mi się cierpieć na bezsenność. Zawsze mam powód, by odwlekać decyzję, zawsze mam problem, który chcę sobie przemyśleć – jak gdyby każde ostatnie nie dające spokoju pytanie, które swego czasu nie pozwalało mi zasnąć, tak czy inaczej musiało zostać rozpatrzone w dawny sposób.

Bądź też nabawiam się tego, co nazywają Letargiem Zenona\*\*. Teraz, kiedy tak wiele aspektów codziennego życia jest uzależnionych jedynie od ludzkiego wyboru, nasze umysły zawieszają się. Teraz, kiedy tak wiele można mieć, dosłownie samą zaledwie chęcią posiadania, ludzie wbudowują do swoich procesów myślowych kolejne warstwy, które mają ich chronić przed tą władzą i wolnością. Niemal niekończące się słabnięcie chęci decydowania, by chcieć zdecydować, aby chcieć zdecydować, czego też, do kurwy nędzy tak naprawdę chcą.

Wszystko, czego obecnie chcę, to zrozumienie sprawy Andrews, ale żaden mod w mojej czaszce nie może mi tego zapewnić.

– W porządku – stwierdza Karen. – Nie masz pojęcia, dlaczego ją porwano. Nie ma sprawy. Uchwycić się faktów. Gdziekolwiek ją zabrano, ktoś musiał zauważyć ją po drodze. Na razie zapomnij o motywach – po prostu znajdź jej miejsce pobytu.

– Masz rację. – Kiwam głową. – Jak zawsze. Zamieszczę ogłoszenie w serwisach informacyjnych...

– Jutro rano.

– Tak, w porządku, rankiem. – Śmieję się.

Z jej dobrze znanym ciepłem przy moim boku zamykam oczy.

– Nick?

– Tak?

Całuje mnie delikatnie.

– Niech ci się przyśni.

I tak się dzieje.

– Al eluja! Widzę je! Widzę gwiazdy!

Oszołomiony, odwracam się i pośrodku zatłoczonej ulicy widzę klęczącą młodą kobietę z wyciągniętymi ramionami, wpatrującą się ekstatycznie w oślepiająco błękitne niebo. Przez chwilę zdaje się być zmrożona – sparaliżowana czy też oczarowana – aż ponownie krzyczy:

– Widzę je! Widzę je!

I zaczyna okładać się po żebrach, kołysząc się na klęczkach w przód i tył, łkając i gubiąc oddech.

*Ale ten kult wymarł dwadzieścia lat temu.*

Kobieta wije się i wrzeszczy. Dwóch zawstydzonych przyjaciół stoi tuż obok, a ruch uliczny sprawnie omija całą scenę. Obserwuję to z rosnącą konsternacją, podczas gdy do głowy zaczynają mi napływać wspomnienia z dzieciństwa, wypełnione perorującymi i spazmatycznie rzucającymi się ulicznymi mistykami.

– Wszystkie przepiękne gwiazdy! Wszystkie cudowne konstelacje! Skorpion! Waga!

Centaur!

Łzy spływają jej po twarzy.

Zwalczam w sobie uczucie paniki i obrzydzenia, które narastają poza wszelkie wyobrażenie. To tylko jedna kobieta, pojedyncza wariatka. A już sam fakt, jakim jest widowiskiem, udowadnia tylko, jaką obecnie jest to rzadkością, udowadnia, że większość ludzi przystosowała się, zaakceptowała Bańkę i ruszyła do przodu. Czego się obawiam? Ze każdemu najmniejszemu przejawowi spowodowanej przez Bańkę histerii, każdej najmniejszej mrocznej sekcji religijnej, każdej dziwacznej masowej psychozie pisane jest, aby się odrodzić?

Kiedy się odwracam, towarzysze kobiety niespodziewanie wybuchają śmiechem. W chwilę później dołącza do nich i ona sama – i wtedy zrozumiałem. Wszystko można sprowadzić do tego, że do mody wrócił **Astral Sphere**<sup>\*</sup>. Planetarium wewnątrz twojej głowy. Zwykły trik, a nie żadne objawienie na niebie. Czytałem recenzje: mod oferuje różnorodność ustawień, które rozciągają się od realistycznego widoku na gwiazdy „dokładnie tak jak swego czasu” –

kompletnego, z dokładnymi dziennymi i sezonowymi ruchami, przesłonięciem przez chmury i budynki oraz przekonującym pojawianiem się o zmierzchu i znikaniem o świcie – poprzez rozmycie wszelkich przeszkód (w tym również oświetlonej słońcem atmosfery i ziemi pod stopami), aż po opcję przesunięcia punktu widzenia o tysiąclecia w przeszłość, w przyszłość czy też w poprzek Galaktyki.

Zaśmiewająca się trójka wpada sobie teraz w ramiona. Kult wcale się nie odradza, jest wyśmiewany. Młodzi ludzie musieli obejrzeć jakiś portretujący go stary film dokumentalny.

Ruszam przed siebie, czując się odrobinę ośmieszony, lecz równocześnie z niezaprzeczną ulgą.

Kiedy docieram do mojego budynku, wchodzę powoli po schodach, niechętny, by po raz kolejny zmierzyć się z pustą automatyczną sekretarką. Przez cztery ostatnie dni umieszczałem ogłoszenie we wszystkich systemach, ale na razie nie wywołało to nawet pojedynczego fałszywego alarmu. Nowy Rok powinien być pomocą, gdyż czytelnictwo systemów wiadomości wzrastało w czasie dni powszechnie wolnych od pracy, kiedy ludzie nie mieli nic lepszego do roboty. Być może dziesięć tysięcy dolarów nie było wystarczająco wysoką nagrodą, lecz wątpię, aby mój klient pochwalił podwojenie tej sumy. Nie żebym w jakikolwiek sposób zbliżył się do odkrycia jego tożsamości. Dane pacjentów z Hilgemanna nie wykazują nikogo połączonego więzami rodzinnymi z olśniewającą fortuną bądź sławą, a patrząc na to z dystansu, wcale mnie to nie dziwi. Najbardziej bogaci przynajmniej zadbaliby o to, aby wpisy zostały skrupulatnie sfalszowane, a ci obrzydliwie bogaci trzymaliby swoich opóźnionych w rozwoju krewnych z dala od wszelkich zagrożeń, w dźwiękoszczelnych skrzydłach własnych niedostępnych posiadłości. Kusi mnie, aby głębiej w tym pogrzebać, ale odpuszczam sobie.

Może i odczuwam (czysto estetyczne) pragnienie, aby włączyć mojego klienta do własnej wizji całości, ale jak do tej pory nie mam żadnego dobrego powodu, by wierzyć, że pomogłoby mi to w odnalezieniu Laury.

Nikt nie dzwonił.

Powstrzymuję się przed wyładowaniem się na sofie, której obicie i tak jest już do tego stopnia porozdzierane, że dalsze zniszczenia przynoszą coraz mniejszą satysfakcję. Zbliża się ostateczny termin zamieszczenia ogłoszenia na kolejny dzień; wyświetlam jego kopię na moim terminalu i wpatruję się w nią posepnie, zastanawiając się, czy istnieją jakiegokolwiek zmiany, które mogłyby przynieść efekty, bliski dodania zera czy dwóch do nagrody. Użyte przeze mnie zdjęcie Laury pochodzi wprost z akt Hilgemanna i odpowiada dość dokładnie otrzymanemu wcześniej mentalnemu obrazowi, co sugeruje, że wiedzę mojego klienta dotyczącą jej wyglądu oparto dokładnie na tej samej fotografii. Laura ma charakterystyczną twarz, ale kto też może wiedzieć, jak obecnie wygląda? I to bez żadnej potrzeby chirurga plastycznego – wszystko, czego tu trzeba, to dobra syntetyczna maska.

Raz jeszcze zamieszczam ogłoszenie, cokolwiek to warte. Jeżeli zabrano ją przypadkowo, dawno już byłaby martwa, a osobiście wątpię, bym kiedykolwiek odnalazł jej ciało, nie wspominając już o odpowiedzialnych za to ludziach. Moja jedyna nadzieja dotyczy nie tyle faktu, że porywacze mieli jakiś mroczny powód jej porwania, ile że – jakikolwiek by on był –

wymagał od nich zrobienia czegoś bardziej ryzykownego niż tylko umieszczenia jej pod kluczem bądź też pozbawienia życia.

Na przykład przemycenia za granicę.

Umieszczenie Laury na pokładzie samolotu nie nastęczałoby większych trudności. Jej niedorozwój umysłowy byłby równie łatwy do ukrycia co jej twarz, istnieje bowiem kilkanaście nielegalnych modów pozwalających zamienić człowieka w chodzącą marionetkę w rękach towarzysza podróży, czy też nawet częściowo autonomicznego „roboty”, zdolnego do wykonywania tak elementarnych

zadań, jak śmiech i płacz we właściwych momentach puszczanego w czasie lotu filmu.

Podrobienie w bazie danych Ministerstwa Spraw Zagranicznych wpisu dotyczącego wizy wyjazdowej także nie stanowi problemu. W godzinę lub dwie później już by go tam nie było, a odpowiednie pliki danych linii lotniczej również zostałyby odpowiednio spreparowane.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych, służby celne i linie lotnicze, wszyscy równo są robieni w konia, pełne 24 godziny na dobę, przez jakąś setkę najprzeróżniejszych hakerów – i (co ironiczne) to właśnie sprawia, że przy odrobinie szczęścia jesteś w stanie wyśledzić nielegalnie podróżującą osobę. Hakerzy mogą krążyć wokół archaicznych systemów bezpieczeństwa swoich celów, ale nie mogą unikać pozostawiania śladów własnej działalności przed innymi hakerami. W procesie zdobywania danych, tak istotnym dla ich własnej pracy, nic nie mogą poradzić na wylapywanie szczegółów dotyczących właśnie popełnianych wykroczeń. Jak wszystkie inne informacje, te również są na sprzedaż.

Bel a działa dla mnie jako pośrednik, a także dostarcza zdobyte własnoręcznie dane.

Łączę się z nią i ściągam kolejną partię. Związek z tematem jakiegokolwiek sterty pierwotnych danych jest tu kwestią szczęścia, ale im więcej kupujesz, tym większe prawdopodobieństwo sukcesu, mimo iż nie można mówić o żadnych gwarancjach, skoro wydarzenie, które staram się wyśledzić, miało miejsce (o ile w ogóle miało miejsce) na bliżej nieokreślonym lotnisku w bliżej nieokreślonym czasie w ciągu ostatnich pięciu tygodni.

Odnalezienie sfalszowanych wpisów wiz wyjazdowych jest łatwe. Już sam fakt, że muszą zostać usunięte, aby tym samym uniknąć oficjalnych, co prawda powolnych dochodzeń, zdradza ich obecność w jakiegokolwiek seri czasowej kilku nielegalnych ujęć bazy danych.

Problemem jest wyluskanie Laury z tłumu podróżnych, czyli w skali kraju z ponad setki nielegalnych wylotów odbywających się każdego tygodnia. Z Hilgemanna mam jej podpis DNA, odciski palców, wzór siatkówki oraz wymiary szkieletowe. Służby celne nie używają DNA (z powodu zbyt wielu komplikacji, zarówno prawnych jak i kulturowych, do których dochodziłoby w przypadku pobierania próbek od wielonarodowych tłumów podróżnych *en masse*), ale trzy pozostałe są zawsze sprawdzane i muszą pasować do osoby w czasie dokonywanej przed odlotem odprawy paszportowej. Później jednakże powszechną praktyką jest zamiana owych szczegółów w fałszywych wpisach wizowych, po to właśnie, aby utrudnić pracę takim ludziom jak ja. Jednak same zapisy muszą pozostać w niezminionej formie w czasie lotu, z tym samym nazwiskiem i fotografią (aby uniknąć uruchomienia najprzeróżniejszych kontroli antyterrorystycznych, przeprowadzanych przez linie lotnicze), a nikt nie sięga ponownie po dane identyfikacji biologicznej, dopóki pasażer nie przechodzi przez odprawę celną w miejscu docelowym. Tak więc można mówić tutaj jedynie o dwóch krótkich przedziałach czasowych, w których zapisy wizowe muszą zawierać cokolwiek zgodnego z prawdą. Teoretycznie czas ich trwania można mierzyć w milisekundach, ale w praktyce niczego nie można wyregulować aż tak dokładnie i owe okna czasowe muszą mieć rozpiętość kilku minut. A skoro odciski palców i wzory siatkówki są stosunkowo łatwe do zmiany na drodze nanochirurgi, godne zaufania pozostają jedynie wymiary kości. Te również mogą zostać zmodyfikowane, o ile jesteś doprowadzony do ostateczności, ale nikt nie wsiada do samolotu prosto po takiej rekonstrukcji szkieletowej (nieważne: z modem marionetki czy bez), a podróżowanie jako

oczywisty inwalida byłoby niczym umieszczenie nad głową transparentu zwracającego na siebie uwagę odpowiednich służb.

Analizuję najnowszą serię ujęć baz danych, która prawie od razu okazuje się być równie bezwartościowa jak cała reszta.

Przerzucam leniwie zgromadzone gigabajty śmieci, lot po locie z dziesięciu międzynarodowych lotnisk krajowych. Wszystko, począwszy od menu, przez rozsądzenie pasażerów, na... manifestach ładunkowych kończąc. Oczywiście, Laura mogła zostać przetransportowana jako przesyłka towarowa, ale nie byłoby to zbyt rozsądnym posunięciem.

Wszystkie przesyłki towarowe są bowiem prześwietlane rentgenem bądź sprawdzane ręcznie, zatem pozostaje właściwie jeden tylko rodzaj „towaru”, który człowiek może do złudzenia naśladować – martwe ludzkie ciało. Uzyskanie podobieństwa nie byłoby tu problemem, ponieważ już od dziesięcioleci dostępne są leki wyłączające metabolizm na kilka godzin, nie powodując przy tym uszkodzenia mózgu czy innego organu. Tym, co zmniejsza atrakcyjność tej metody, jest współczynnik zagubienia w szumie informacyjnym, gdyż sama liczba nielegalnych żywych pasażerów jest tutaj swego rodzaju kamuflażem, a w tym przypadku zaledwie jedno czy dwa ciała wylatują z kraju w ciągu całego tygodnia.

Wciąż jednak nie mam nic lepszego do roboty, więc przedzieram się przez zgromadzone do tej pory manifesty ładunkowe, w których odnajduję siedem ciał.

Rutynowe prześwietlenia rentgenowskie (wykonywane ze względów bezpieczeństwa każdemu pasażerowi) dają mi również podstawy do obliczenia zestawu wymiarów szkieletowych używanych do sprawdzania tożsamości. Zwłok wszakże nikt nie sprawdza pod tym kątem i, podobnie jak w przypadku innych przesyłek towarowych, zdjęcia rentgenowskie (para stereoskopowa) są po prostu sprawdzane wzrokowo, a następnie dołączane do manifestu. Wyśledzenie kopi algorytmu używanego przez pracowników lotnisk do przeliczania długości kości zabiera mi pół godziny. Jest on częścią oprogramowania firmowego aparatów rentgenowskich, które to są oddzielone od głównych systemów pasażerskich, a co za tym idzie, nie ma go w żadnym z moich skradzionych wypisów zawartości pamięci. Nie mam ochoty klecić własnej wersji programu; być może matematyka przekształcania danych z par stereoskopowych do koordynat trójwymiarowych jest trywialna, ale zautomatyzowanie identyfikacji różnych kości na pewno do takich nie należy.

Przepuszczam przez program siedem ciał, sprawdzając, czy pokrywają się z danymi Laury... i otrzymuję siedem kolejnych negatywnych odpowiedzi – perwersyjnie dokładnie wtedy, kiedy przychodzi mi do głowy powód, dla którego mimo wszystko porywacze mogliby wybrać taki właśnie sposób. Łatwo bowiem uwierzyć, że uszkodzenie mózgu Laury powstrzymałoby ich przed użyciem modu marionetki, gdyż wiele z dostępnych w sklepach modów kategorycznie zakłada istnienie pewnych naturalnych struktur, rzekomo występujących u „każdego człowieka”, których to Laura mogłaby nie posiadać. Bez wątplenia wszelkie tego typu problemy można by obejść mając wystarczająco dużo czasu, ale mapowanie niestandardowego mózgu Laury i odpowiednie przeprogramowanie nanomaszyn nie należałoby do banalnych zadań. Tak więc inne rozwiązania zaczęłyby wyglądać zachęcająco.

Brak pozytywnych wyników niczego nie przesądza: dołączone do przesyłek towarowych zdjęcia rentgenowskie mogły zostać podmienione w kilka minut po ich wykonaniu.

Skomputeryzowana informacja jest równie ulotna jak kwantowa próżnia, pełna wirtualnych prawd i kłamstw, nieskończenie wybijających się na powierzchnię i znikających z oczu. Możliwe są tu oszustwa wszelkiego kalibru, o ile tylko dzieją się w wystarczająco krótkim czasie; prawo odnosi się jedynie do tych danych, które wystarczająco długo zagrzewają miejsca, umożliwiając tym samym ich wychwycenie.

Z ciekawości, aby odkryć kierujące nim zasady, pobieżnie przeglądam program dokonujący analizy zdjęć rentgenowskich, niestety, kod dotyczący rozpoznania cech anatomicznych jest cholernie nudną rzeczą: niekończącą się listą zasad i wyjątków z dorzuconymi kilkoma linijkami wzorów. Mam słabe, nie dające mi spokoju wątpliwości, że różnice w geometrii pomiędzy pasażerskim a towarowym systemem rentgenowskim mogą podawać mi nic nie warte wyniki, ale przecież wszelkie ważne wymiary są przechowywane wraz z samymi parami obrazów, starannie oznakowane standardowymi deskryptorami, a program niczego nie przyjmuje za pewnik.

Po przeliczeniu długości kości ich zgodność z wpisem ogłaszana jest, jeśli odstępstwa mieszczą się w zakresie zależnych od wieku granic tolerancji dopuszczających możliwość niewielkich zmian, do jakich mogło dojść od wydania wizy. Tolerancja jest oczywiście największa w przypadku dzieci i dorastającej młodzieży, ale w odniesieniu do wieku Laury akceptowalny margines swobody nie jest zbyt wielki. Być może powinienem go powiększyć?

Może ze względów bezpieczeństwa celnicy wolą się pomylić i otrzymać fałszywe negatywy, ale ja raczej wolałbym popełnić przeciwny błąd.

Niemal podskakuję, gdy uświadamiam sobie własną głupotę: wciąż myślę w kategoriach pasażerskich. Udawany trup nie musi być ambulatoryjny. Nie można wykluczyć żadnej kaleczącej rekonstrukcji szkieletu. To nie pozostawia mi nawet najmniejszej, pojedynczej danej, której mógłbym zaufać.

Co nie do końca jest zgodne z prawdą. Większość kości może zostać przekształcona –

przy akceptowalnym okresie powrotu do zdrowia – ale dłubanie przy pewnych fragmentach czaszki, tak aby te manipulacje nie były równie niebezpieczne, co i oczywiste, graniczy z niemożliwością.

Modyfikuję kryteria zgodności, odrzucając wszelkie inne porównania, i kiedy uruchamiam tę nową wersję programu, pasujący mi zapis pojawia się natychmiast: NUMER PRZYSYŁKI184309547

LOT QUANTAS 295

ODLOT Perth, 13:06, 23 grudnia 2067

PRZYLOT Nowy Hongkong, 14:22, 23 grudnia 2067

ZAWARTOŚĆ Szczątki ludzkie (Han, Hsiu-lien)



Perth 6000-0030016

Australia

ODBIORCA Dom Pogrzebowy Wan Chei

Ulica Lee Tung 132

Wan Chei 1135-09400132

Nowy Hongkong

Zgodność pięciu wymiarów czaszki mogłaby być zbiegiem okoliczności. Mogłaby być celową dezinformacją. Dlaczego jednak porywacze nie podmieniliby zdjęć rentgenowskich, pozbywając się tym samym nawet tego strzępka prawdy?

Sprawdzam godzinę wykonania ujęcia bazy danych. Dwunasta pięćdziesiąt trzy.

Przesyłka została prześwietlona jakieś dwie-trzy minuty wcześniej; nikt nie ryzykuje podmiany danych w czasie, kiedy oficer celny wciąż jeszcze może się im przyglądać. Ale już jakieś dziesięć minut później wszelki ślad po Laurze Andrews rozplynąłby się na zawsze.

Potrząsam głową, wciąż pełen podejrzeń. Niezbyt często mam takie szczęście.

Karen pochyła się nad moim ramieniem, mówiąc:

– To podręcznikowy przykład szczęścia, idioto. Rusz się z miejsca i pakuj walizkę.

Nowy Hongkong powołano do życia 1 stycznia 2029. Osiemnaście miesięcy wcześniej – w trzydziestą rocznicę włączenia Hongkongu do Chińskiej Republiki Ludowej – demonstracje przeciwko odebraniu Ustawy Zasadniczej zakończyły się krwawymi represjami, sankcjami dyscyplinarnymi wobec niezadowolonych oraz potężnym wzrostem tempa nielegalnej emigracji. I podczas kiedy wszyscy inni w tym regionie oferowali emigrantom plugawe obozy uchodźców otoczone drutem kolczastym oraz perspektywę spędzenia połowy życia w bezpaństwowej nicości, Konfederacja Plemion Ziemi Arnhema zaproponowała im dwa tysiące kilometrów kwadratowych porośniętego lasami namorzynowymi półwyspu w północnej Australii. Tym razem bez żadnej dziewięćdziesięciodziewięcioletniej dzierżawy; bezterminowa niezależność, w zamian za odrobinę zaangażowania.

Ziemia Arnhema – miejsce, gdzie pozostałości kilku aborygeńskich plemion starały się ustanowić na nowo własną, niemalże utraconą kulturę – sama uniezależniła się zaledwie w 2026 roku, a w Australii rozważano obcięcie utrzymującej ją przy życiu pomocy finansowej, częściowo w odpowiedzi na chińskie pogroźki dotyczące sankcji gospodarczych, częściowo z czystej dziecinnej zawiści, wywołanej tym, że ledwo opierzona nacja śmiała poważnie potraktować własną autonomię. (Oszalamiająco pomysłową propozycją australijskiego rządu było zakwaterowanie sześćdziesięciu

tysiący uchodźców w opuszczonej koloni trędowatych na północno-zachodnim wybrzeżu, na tyle dziesięcioleci, ile zajęłoby rozgospodarowanie ich po świecie w politycznie akceptowalnym tempie). Australijska pomoc przetrwała, a sama propozycja została szeroko wyśmiana przez australijskie media i jedzących im z ręki ekonomistów, którzy przewidując społeczną i finansową katastrofę, określali ją mianem

„podnajmu państwa”.

Jednakże międzynarodowi inwestorzy uważali wręcz przeciwnie i pieniądze napłynęły. Nie było w tym nic z potrzeby serca; najzwyczajniej w świecie było to odzwierciedleniem ówczesnej globalnej sytuacji ekonomicznej. Szczególnie Koreańczycy stawali na głowie, starając się znaleźć ujścia dla swych nadwyżek finansowych. Tworzenie infrastruktury od podstaw musiało być dla nich zniechęcające, ale samo miejsce znajdowało się rozsądnie blisko kwitnących przemysłowych centrów południowo-zachodniej Azji, gdzie można było znaleźć zarówno inżynierską ekspertyzę, jak i wolne moce produkcyjne, które można było spożytkować. Dzięki pełnemu wykorzystaniu nowych technik budowlanych funkcjonalny rdzeń miasta stanął – i został zamieszkały – w ciągu siedmiu lat. Dokładnie we właściwym czasie: w 2036 roku ChRL najechała na Tajwan, dając tym samym początek nowej fali uchodźców.

W czasie kolejnych dziesięcioleci cykle politycznych i ekonomicznych reform w Pekinie zapewniały stały strumień pozbawionych złudzeń członków wykwalifikowanej klasy średniej, którym pozostawało zaledwie jedno miejsce ucieczki. W czasie kiedy Chiny izolowały się i coraz bardziej ubożały, Nowy Hongkong rozkwitał. Do 2056 roku jego PKB zdystansował australijski.

Z prędkością ponad 2 machów trzy tysiące kilometrów przebywa się w niewiele ponad godzinę. Siedzę z dala od jakiegokolwiek okna, ale przełączam mój ekran systemu rozrywkowego na kanał widokowy i obserwuję mijaną w dole pustynię. Słuchawki pozostawiam wyłączone, unikając dzięki temu durnego komentarza słownego, lecz nie potrafię odkryć, w jaki sposób pozbyć się nakładających się na obraz grafik i rozpraszającego tekstu. Wreszcie daję za wygraną i przekazuję **Bossowi**, by obudził mnie dopiero w czasie lądowania.

Kiedy samolot dotyka ziemi, krople monsunu łomoczą o pas startowy, a pięć minut później, gdy po godzinie sztucznej dwudziestostopniowej nijakości wnętrza samolotu wychodzę z budynku lotniska w oślepiające światło słońca, upał i wilgotność powietrza są równie odczuwalne jak siarczasty policzek.

Na północy, pomiędzy drapaczami chmur, dostrzegam dźwigi portowe, na wschodzie skrawek błękitu – Zatokę Karpentarię. Znajduję się dokładnie obok zejścia do metra, ale skoro deszcz przestał padać – decyduję się na spacer do hotelu. To moja pierwsza wizyta w NHK, ale załadowałem do **Déjà Vu** (Global Visage, 750\$) najnowszą wersję planu miasta wraz z pakietem informacyjnym.

Gładkie czarne wieżowce, pochodzące z pierwszych dni, gryzą się z nowoczesnym stylem, ozdobnymi fasadami pokrytymi imitacją jadeitu i złota, wrytymi w pomysłowe fraktalne rzeźby, które przyciągają wzrok na kilkunastu różnych poziomach. Na szczycie każdego budynku znajduje się

gigantyczne logo jakiejś poważnej firmy finansowej albo informatycznej.

Zawsze wydawało mi się absurdem, że pieniądze i informacja winny potrzebować taniej bandery, lecz prawo zmienia się powoli i tutejsze regulacje polityki handlu wolnej ręki najwyraźniej skusiły setki międzynarodowych korporacji do przeniesienia ich głównych siedzib pod tutejszą jurysdykcję – nawet jeżeli tylko w oczekiwaniu na dzień, kiedy będą mogły bezcieleśnie się połączyć, jako strumienie zwolnionego od podatku przepływu danych pomiędzy orbitującymi superkomputerami.

Z poziomu ulicy wszystkie wieżowce są zasłonięte gąszczem stoisk drobnych sprzedawców. Widoczne w świetle dnia hologramy, pisane w *pai-hua* i angielskim, tłoczą się w powietrzu, każdy ze strumieniem migających strzałek wskazujących jakieś wąskie wejście do malutkich boksów, które w innym przypadku mogłyby zostać przegapione. Tuż obok nic nie wartej biżuterii, żywności na wynos i nanokosmetyków sprzedaje się tu procesory, mody nerwowe i rozrywkowe ROM-y.

Tłum, przez który się przeciskam – wyższa kadra kierownicza, handlowcy, studenci i mnóstwo turystów tego właściwego rodzaju – wygląda na dobrze prosperujący. Dwanaście stopni na południe od równika – dokładnie tak daleko przesunie się większość turystów z północnej półkuli w poszukiwaniu zimowej opalenizny, a nie obietnic melanomy. Długo po stopniowym wyzbyciu się ostatnich rozkładających ozon związków chemicznych stratosfera wciąż pozostała nimi zanieczyszczona, a rozciągająca się znad Antarktydy „dziura” każdej wiosny jest wciąż na tyle poważna, by przewracać do góry nogami wszelkie zależności ryzyka występowania raka od szerokości geograficznej; promienie słoneczne są bardziej niebezpieczne w południowej strefie umiarkowanej niż w tropikach. Raczej niezwłocznie pozbędę się moich zaściankowych uprzedzeń, charakterystycznych dla strefy zagrożenia promieniowaniem UV i przestanę myśleć o bladym kolorze skóry jako o znaku rozpoznawczym fanatyków religijnych i oszołomów czystości genetycznej. Niezbyt wiele z urodzonych tutaj (bądź w starym Hongkongu) osób zawracało sobie głowę podwyższeniem poziomu melaniny, ale zauważalna część tłumu to czarnoskórzy „południowcy” – urodzeni w Australii imigranci –

zarówno europejskiego, jak i azjatyckiego pochodzenia, więc być może nie będę aż tak bardzo wybijającym się z tłumu obcokrajowcem, jak mi się wydaje.

Hotel „Renaissance” był najtańszym, jaki udało mi się odnaleźć, lecz wciąż i tak jest żenująco luksusowy, z tymi czerwono-złotymi dywanami i olbrzymimi freskami przedstawiającymi szkice da Vinci. W NHK nie znajdziesz tanich miejsc noclegowych; obieżyświaty bez grosza przy duszy po prostu nie dostają tutejszych wiz. Nie cierpię, jak ktoś nosi za mną mój bagaż, ale jeszcze bardziej nie spodobałoby mi się zamieszanie, które miałyby miejsce, gdybym odmówił. Kilka nierzucających się w oczy tabliczek odradza dawania napiwków, jednakże **Déjà Vu** radzi wręcz przeciwnie i podaje mi obowiązujące obecnie stawki.

Sam pokój jest wystarczająco mały, bym poczuł się odrobinę mniej rozrzutny, a widok z okna to nic innego jak fragment budynku Axonu, którego fasada została ze smakiem przyozdobiona nazwami wszystkich najlepiej się sprzedających modów nerwowych tej firmy, wypisanymi w kilkunastu językach i powtórzonymi we wszystkich kierunkach, niczym jakiś abstrakcyjny geometryczny wzór płytek. Wcinające się w imitację czarnego marmuru litery niekoniecznie przyciągają wzrok, ale być może jest to zgodne z zamierzeniami, bo przecież Axon wyrósł z firmy handlującej „podświadomymi

narzędziami nauki" – taśmami audio i wideo z zapisem niesłyszalnego czy też niewidzialnego przekazu, rzekomo „bezpośrednio”

odbieranego przez podświadomość. Jak wszystkie pozostałe pochodzące od szarlatanów narzędzia samodoskonalenia tamtych lat, nie dawały naiwnym niczego poza efektem placebo, a wytwórcom – olbrzymie pieniądze; pomogło to również stworzyć rynek dla naprawdę działającej technologii, kiedy ta wreszcie rzeczywiście została odkryta.

Rozpakowuję się, biorę prysznic, wreszcie przestawiam wszystkie znajdujące się w mojej głowie zegary o półtorej godziny do przodu, a następnie siadam na łóżku i staram się ustalić, w jaki sposób zamierzam odnaleźć Laurę w liczącym dwanaście milionów ludzi mieście.

Z nekrologu można się dowiedzieć, że Han Hsiu-lien poddano kremacji 24 grudnia i bez wątpienia ciało, które wsunięto do pieca, wyglądało dokładnie jak jej – chociaż przypuszczalnie prawdziwa Han Hsiu-lien nigdy nie opuściła Perth. Wszystkie te przetasowania ciał są wielce intrygujące, ale nigdzie mnie nie prowadzą. Gdybym porozmawiał z kimś z firmy pogrzebowej, ryzykowałbym ostrzeżeniem porywaczy. Podobnie w przypadku pracowników linii lotniczych zajmujących się przesyłkami towarowymi. Wszyscy ludzie, którzy z dużym prawdopodobieństwem mogliby wiedzieć coś przydatnego, równocześnie są potencjalnie tymi najbardziej zamieszanymi w całą sprawę.

Jakie więc pozostały mi możliwości? Wciąż nie wiem niczego o porywaczach, niczego na temat ich motywów, niczego o ich planach. Poza geograficznym zawężeniem poszukiwań, wróciłem do punktu wyjścia. Wszystko, czego mi trzeba, by ruszyć z miejsca, to sama Laura –

unieruchomiona i z uszkodzonym mózgiem. Równie dobrze mógłbym poszukiwać nieożywionego przedmiotu.

Ale ona nie jest nieożywionym przedmiotem, jest człowiekiem powracającym do zdrowia po rekonstrukcji szkieletu. Powracającym do zdrowia – cóż to ze sobą niesie? Wysoce wykwalifikowaną opiekę medyczną i fizjoterapeutyczną – przyjmując, że jej porywacze mają na uwadze, by nie skończyła przykuta do wózka inwalidzkiego na dobre. Oczywiście, leki –

jeżeli w ogóle warto ją utrzymywać przy życiu, to nie mogą zupełnie zaniedbać jej zdrowia. Ale jakie leki? Jakie określone środki? Nie mam najmniejszego pojęcia. Lepiej więc zasięgnąć języka.

Doktor Pangloss jest moim ulubionym „wyszukiwaczem” wiedzy. W przeciwieństwie do Bel i, kradnącej dane, których powinna chronić, Pangloss zgodnie z literą prawa wygrzebuje fakty, które powinny być – śmiechu warte! – ogólnie dostępne dla każdego, kto zapłaci kilka dolarów i naciśnie kilka klawiszy. Jego maska – upudrowana peruka oraz pieprzyk – zawsze bardziej przywodziła mi na myśl Moliera niż Woltera, jego akcent to czyste Królewskie Towarzystwo Szekspirowskie, ale co do jego umiejętności nie można mieć żadnych wątpliwości; odpowiada na moje pytanie w niecałe trzydzieści sekund. Sam mógłbym skonsultować się z tymi samymi systemami eksperckimi, bazami danych czy też bibliotekami, ale odnalezienie odpowiedzi zajęłoby mi całe godziny.

Pacjent w stanie Laury miałby kilka farmakologicznych wymogów, z których każdy mógłby zostać zaspokojony szeregiem substancji, a każda z nich z kolei produkowana jest pod kilkoma różnymi

nazwami handlowymi i dostępna w szeregu lokalnych sieci dystrybucyjnych.

Pangloss wyrysowuje mi wszystko w powietrzu w postaci zgrabnego rozgałęzionego drzewka, którego kopię przesyła mi następnie kanałem danych.

Dzwonie do Bel i, przekazując jej listę lokalnych dystrybutorów farmaceutyków z prośbą dotyczącą zestawień ich dostaw za ostatnie trzy miesiące.

– Pięć godzin – stwierdza. – Twoje hasło to „nokturn”.

Pięć godzin. Dziesięć minut spędzam, wpatrując się w okno, starając się wymyślić coś użytecznego, czym mógłbym zająć ten czas. Nic nie przychodzi mi do głowy, więc decyduję się zejść na dół coś zjeść.

Umieszczona na parterze restauracja hotelowa wygląda na duszną i kosztowną, zatem w poszukiwaniu czegoś do jedzenia wychodzę na zewnątrz. NHK posiada własną specyficzną kuchnię, głównie pochodzenia kantońskiego, aczkolwiek pełną lokalnego kolorytu, takiego jak mięso krokodyla prosto z Ziemi Arnhema – przepyszne, według **Déjà Vu**, o ile nie odrzuca cię możliwość wtórnego kanibalizmu. Decyduję się na smażony ryż z dodatkami.

Do zagospodarowania wciąż pozostało mi kilka godzin, więc idę przed siebie, gdzie oczy poniosą. Wmawiam sobie, że z zamiarem przemyślenia sprawy, ale prawda jest taka, że mam dosyć ciągłego mielenia tych samych szczegółów i pozwalam swoim myślom się wyłączyć. Są godziny szczytu, zewsząd otacza mnie tłum pełen napiętych i niespokojnych twarzy – co zwykle powoduje u mnie wzrost napięcia i niepokoju, ale obecnie, jak się wydaje, jestem na to odporny, jak gdybym wciąż jeszcze nie przestawił się na to miasto i nie reagował na jego nastroje.

Wkraczam w pozorny mrok cienia wieżowca PanPacyfic Bank, stupańcowego cylindra pokrytego czymś, co wygląda jak porzewiałe złoto. **Déjà Vu** podaje mi turystyczny trajkot: *Najbardziej słynna i kontrowersyjna praca Hsu Chao-chunga, która została ukończona w 2063*

*roku. Metalicznie wyglądające pokrycie jest w rzeczywistości polimerem: fraktalny wymiar powierzchni to nieprześcignione 2.7...* Komentarz jest bardziej abstrakcyjny niż omamy słuchowe – bardziej przypomina żywo wyobrażoną czy też zapamiętaną przemowę; ścieżkę dźwiękową filmu dokumentalnego, którą bez wysiłku przywołano z pamięci. Haczykiem jest to, że mod pompuje równocześnie rozmyślny podtekst – poczucie rosnącej więzi, uczucie zdobywania najbardziej głębokiej i intymnej wiedzy, uczucie, że z każdym przełykanym fragmentem wstępnie przetrawionej triwi szybko zbliżasz się do poznania miejsca w stopniu porównywalnym do tego, które posiada tutejszy długoletni mieszkaniec. Dokładnie takich złudzeń pragnie każdy turysta, aleja osobiście pozostałbym odrobinę mniej zadowolony z siebie.

Kiedy słońce naprawdę zachodzi, niebo błyskawicznie ciemnieje. **Karen** kroczy u mego boku, z początku milcząca, ale do tego, by zagłuszyć moje uczucie Samotności, potrzebuję jedynie dostrzec ją kątem oka i wdychać ulotny zapach jej skóry.

Jesteśmy na targowisku pod otwartym niebem, na niekończącym się obszarze stoisk i stolików

zawalonych pamiątkami, błyskotkami i zaawansowanym technicznie, konsumpcyjnym chłamedem. Kłójące się wielokolorowe światła, rozlewające się z hologramów ponad stoiskami niczym rozpychający się demoniczni naganiacze, topią wszystko w najdziwniejszych barwach.

– Czy potrzebujemy inteligentnej szatkownicy do warzyw? Szybszej i bardziej zręcznej od banalnego człowieka z moderm kucharskim?

Potrząsa głową.

– A co powiesz na to? Eliminator kluczy. „Zapamiętuje i naśladuje geometryczne, elektryczne, magnetyczne i optyczne właściwości nawet do tysiąca różnych kluczy, aktywnych bądź biernych”.

– Nie wydaje mi się.

– No co ty. Mojemu rachunkowi hotelowemu daleko jeszcze do normy, którą muszę wydać. Muszę coś kupić, w przeciwnym razie nigdy nie pozwolą mi tu wjechać ponownie.

Komputer ich Izby Handlowej zawetuje moje podanie o wizę.

– A co powiesz na horoskop? – Kiwa głową w kierunku pobliskiej budki astrologa.

Czuję, jak coś zaciska mi się w żołądku.

– Od kiedy wierzysz w to gówno?

Kiedy rozmawiam z pustą przestrzenią, mały chłopiec odwraca się i wpatruje we mnie, ale jego przyjaciel chwyta go za łokieć i odciąga na bok, szepcząc wyjaśnienia.

– Nie wierzę. Zrób to dla zabawy.

Spoglądam na stoisko i wymuszam śmiech.

– Astrologia... bez pieprzonych gwiazd. To mówi samo za siebie.

Jej twarz nie zdradza mi niczego.

– Tak dla zabawy.

Moje wnętrze wywracają się do góry nogami, ale prawie spokojnie stwierdzam:

– W porządku. Jeżeli chcesz horoskopu, to ci go kupię. 10 kwietnia.

Potrząsa głową.

– Nie mój, idioto. Laury.

Wpatruję się w nią i wzruszam ramionami. Nie ma sensu się kłócić. Wciąż mam przy sobie, wewnątrz głowy, wszystkie dane pacjentów Hilgemanna. Laura urodziła się 3 sierpnia 2035.

Wróżbitą jest ogolona na łysa dziewczynka, cztero– może pięcioletnia, ubrana w sztuczny jedwab i obwieszona szklaną biżuterią. Podaję jej dane Laury. Siada po turecku na poduszce i za pomocą bambusowego pióra spisuje horoskop na namiastce pergaminu. Jej kaligrafia jest gwałtowna, ale bezsprzecznie elegancka; odpowiedzialny za to mod musiał

kosztować fortunę, gdyż umiejętności manualne nigdy nie przychodzą tanio. Kiedy już zapisuje kartkę, odwracają na drugą stronę, gdzie dopisuje angielską wersję horoskopu. Podaję jej moją kartę kredytową i przykładam kciuk do skanera. Kiedy odbieram od niej pergamin, składa razem dłonie i kłania się nisko.

Karen zniknęła. Czytam przepowiednie, którą da się sprowadzić do sukcesów zawodowych i szczęścia w miłości (po wielu zawirowaniach). Mnę kartkę i wrzucam do kosza, a następnie ruszam w kierunku hotelu.

Dzwonię do Bel i, ładuję dane dostawców farmaceutycznych i zaczynam poszukiwać jakichś prawidłowości. Nie czuję zbytniego zaufania do terminala hotelowego, tak więc analizuję je wewnątrz głowy; **CypherClerk** dysponuje wirtualną stacją roboczą, posiadającą wszelkie zwyczajowe urządzenia służące do przetwarzania danych.

Pangloss określił pięć kategori substancji. Sto dziewięć różnych firm posiada wszystkie pięć. Rozpoczynam przeglądanie ich animowanych prezentacji w książce telefonicznej, ale –

jak się wydaje – wszystkie okazują się być bądź to większymi szpitalami, przeprowadzającymi rekonstrukcje ortopedyczne, bądź też klinikami chirurgi kosmetycznej, specjalizującymi się dokładnie w tym, przez co musiała przejść Laura. Poprawianie nosa, korekty policzków, usuwanie żeber, zmiana kształtu dłoni, regulacje kręgosłupa, wydłużanie i skracanie kończyn.

Nigdy jakoś nie potrafiłem uwierzyć, że ktokolwiek byłby zdolny poddać się temu rodzajowi okaleczeń ze względu na panującą modę, ale skoro dziesiątki uśmiechniętych twarzy klientów świadczą o ich własnej satysfakcji, to dowód mam jak na dłoni.

Laury nie można ukrywać w którymkolwiek z tych miejsc; wystarczająco duża łapówka uciszyłaby co prawda niewygodne pytania, ale każda wprowadzona w sprawę osoba spoza układu jest kolejnym niepewnym ogniwnem, kolejnym potencjalnym donosicielem. Lepiej załatwić wszystko we własnym gronie.

Dziewięćdziesiąty trzeci punkt na liście, Biomedical Development International, nie wyświetla nic poza animowanym logo, równie nic nie mówiącym jak ich nazwa – litery BDI wykonane z lśniących chromowanych rurek, kręcące się bez końca i nieskończenie skrzące z niewiarygodnie wyglądającym cieniowaniem – a wszystkiemu towarzyszy pojedyncza linijka tekstu: *Kontraktowe badania z zakresu biotechnologii, neurotechnologii i farmaceutyki.*

Przedzierałem się przez resztę punktów na liście, ale z wyjątkiem The Osteoplasty Research Group of New Hong Kong każda pozostała pozycja jawi się takim bądź innym szpitalem czy też kliniką poszukującą nowych klientów. Niczego to nie udowadnia, lecz z pewnością chciałbym się dowiedzieć, jakimi to kontraktowymi badaniami zajmowało się ostatnio BDI.

Już wybieram numer do Bel i, jednak zmieniam zdanie. Skoro jestem coraz bliżej, to lepiej będzie, jeżeli zacznę działać ostrożniej. Bel a jest dobra, ale żaden haker nie może zagwarantować swojej niewidzialności, a ostatnią rzeczą, na jakiej mi obecnie zależy, jest sianie paniki wśród porywaczy, bo to mogłoby się skończyć przeniesieniem przez nich Laury w inne miejsce.

Odnajduję BDI na biznesowych stronach informacyjnych książki telefonicznej. A ponieważ nie weszli na giełdę, to wymagania dotyczące udostępnienia ich informacji są minimalne. Firma została założona w 2065 roku. W całości jest własnością obywatela NHK Wei Pai-linga.

Słyszałem o nim; średnio zamożny przedsiębiorca z szeroką gamą przynoszących dochody, ale niczym się nie wyróżniających technologicznych przedsięwzięć.

Jest w pół do trzeciej. Wyłączam **CypherClerka** i padam na łóżko. *Biomedical Development International*. Być może miałem rację już na samym początku; być może jakaś firma farmaceutyczna, której produkt zniszczył mózg Laury, przygotowuje się do przyszłych pozwów. Wszystko układałoby się wręcz idealnie w sensowną całość. Cóż... prawie wszystko.

Dlaczego BDI – czy też ci, którzy zostali przez nich wynajęci do uprowadzenia Laury –

włamywaliby się do Hilgemanna tylko po to, aby wypuścić ją z pokoju, i to dwukrotnie, zanim naprawdę doszłoby do porwania? Dlaczego ktokolwiek miałby tak postępować? To dziwaczne. Jeżeli miało to na celu stworzenie wrażenia, że Laura mogłaby wymknąć się bez niczyjej pomocy, to jak im się zdawało, kogo w ten sposób oszukiwali?

Kiedy wpatruję się w sufit, starając się zasnąć, wciąż powraca do mnie epizod z astrologiem. Karen nie musi zachowywać się dokładnie tak jak kiedyś; czasem jej zachowanie jest zgodne z moimi wspomnieniami, czasem jest wyłącznie spełnieniem wszelkich fantazji, czasem jej czyny są tak nieodgadnione jak fabuła opowiadanej we śnie historii. Ale dlaczego miałbym „śnić”, jak spośród wszelkich możliwych rzeczy prosi mnie o horoskop Laury? Z

czystej przekory? Karen nigdy by tak nie postąpiła, nawet za milion lat.

Staram się uspokoić, zapomnieć o tym, ale nie potrafię. Nie umyka mi ironia; nic nie wnerwia mnie bardziej niż patologiczne przypisywanie znaczeń – religia, astrologia, wszelkiego rodzaju przesady – i oto tkwię tutaj, poszukując znaczenia w czynach podświadomie kontrolowanej halucynacji mojej zmarłej żony. Cóż to ma być za rodzaj nedorzecznej nekromancji?

Horoskopy. *Pomyślnie daty urodzeń*. Cierpnie mi skóra. Wywołuję po raz kolejny skradzione z Hilgemanna dane. Laura urodziła się 3 sierpnia 2035. Jej narodziny były odrobinę przedwcześnie; dane medyczne ustalają okres donoszenia ciąży na trzydziesty siódmy –

trzydziesty ósmy tydzień. Wyznacza to datę poczęcia na tydzień obejmujący 15 listopada 2034, być może nawet dokładnie w sam Dzień Przesłonięcia.

Sam fakt nic dla mnie nie znaczy. Dla Karen byłby równie mało istotny. Na całej planecie żyje prawdopodobnie dziesięć miliardów ludzi, których waliłoby kompletnie, że gwiazdy zgasły



dokładnie w momencie, kiedy ojciec Laury właśnie dochodził.

Nic z tego nie ma znaczenia, nic się nie liczy, nic nie pozbawia wagi tego zbiegu okoliczności i związanych z nim obaw.

Pytanie brzmi obecnie: cóż to oznacza dla Dzieci Bezmiaru?

Marcus Duprey urodził się w Dniu Przesłonięcia w małym miasteczku Hartshaw w Maine, mniej więcej podczas ostatnich szesnastu minut światła gwiazd. W jakim był wieku, kiedy zaczął przywiązywać do tego faktu znaczenie, tego nie wie nikt; sam Duprey tutaj milczy, a jego rodzice, dziadkowie, ciocie, wujkowie, kuzyni, podobnie jak większość jego nauczycieli czy też rówieśników, wszyscy zginęli razem w jego dwudzieste urodziny, które to solenizant obchodził, wprowadzając trującą bakterię do ujęcia wody w Hartshaw. Jego nauczyciele z trzeciej i siódmej klasy, którzy mieli wystarczająco dużo szczęścia, aby wcześniej wyprowadzić się z miasta, ledwo mogą go sobie przypomnieć. Koledzy z klasy, którym udało się przeżyć, opisywali go jako osobę cichą i trzymającą się na uboczu, lecz nie gorliwą ani wystarczająco introwertyczną, aby wzbudzać kpiny. Charyzmatyczny? Wpływowy? Urodzony lider? Prorok?

Nigdy.

Dane komputerowe nie miały zbyt wiele do dodania. Jego rodzice nie byli religijni. Jego szkolne osiągnięcia należały do przeciętnych, jego zachowanie w klasie nie zwracało uwagi, czy też przynajmniej nikt nie zwrócił na nie uwagi. Po ukończeniu szkoły średniej pracował w miejscowych zakładach wodociągowych, wykonując coś, co zostało określone jako

„niewymagająca kwalifikacji i częściowo wymagająca kwalifikacji konserwacja urządzeń”. Bez wątpienia w swojej młodości w dużym stopniu korzystał ze znajdujących się w sieci bibliotek, ale większość systemów przechowuje jedynie dane z kilku ostatnich miesięcy, a do czasu, nim ktokolwiek zaczął zagłębiać się w kształtujące Dupreya lektury, związane z nimi szczegóły dawno już zostały wymazane. Jeżeli kiedykolwiek kupił jakąś książkę czy ROM, to zabrał je ze sobą podczas ucieczki; jego wynajęty pokój odnaleziono ogołocony z wszelkiego dobytku.

(Tylko co mogłoby wytłumaczyć trzy tysiące martwych ciał? Książki dotyczące Charlesa Mansona\* i Jima Jonesa\*\*? Pamiętnik pełen młodzieńczej alienacji? Karty do tarota? Wykresy zodiakalne? Pentagramy wyrysowane krwią na podłodze?).

Po przeszło sześciu latach schwytano go, kiedy ukrywał się w rolniczej części Quebecu.

Do tego czasu miał już naśladowców na całym świecie, wysadzających pociągi i budynki, zatruwających jedzenie w puszkach, strzelających do tłumów w supermarketach. Większość zabójstw była przypadkowa, ale jedna z grup Dzieci zamordowała sześcioro członków europejskiego zespołu naukowego zajmującego się Bańką i miało to za sobą pociągnąć szereg podobnych zabójstw. Nauka, zajmująca się Bańką, jest w oczach Dzieci najgorszym bluźnierstwem; w końcu przecież jakiegokolwiek szczegółowe zrozumienie prawdziwej natury Bańki mogłoby tylko podkopać ich sposób widzenia pustego nieba jako kosmicznej zapowiedzi

„Ery Chaosu”, którą we własnym mniemaniu zapoczątkowują.

Duprey, jak wykazały badania, był wystarczająco poczytany, aby stanąć przed sądem. Nie był paranoidalnym schizofrenikiem – nie słyszał głosów, nie miał żadnych wizji, nie cierpiał

większych halucynacji niż jakikolwiek inny przywódca religijny. Widziałem transkrypcję jednej z jego ewaluacji psychiatrycznych, które wydostały się na zewnątrz. Podczas niej zapytany wprost, czy uważał ludobójstwo w Hartshaw za dobre, czy złe, odpowiedział, że choć rozumie oba te pojęcia, to jednak uważa je za niemające dłużej zastosowania. „Owa symetria została zniszczona we wczesnym wszechświecie, lecz teraz została przywrócona. Obie siły ponownie stały się jednością – dobro i zło są nierozróżnialne”. Większość jego odpowiedzi była w podobnym stylu: metafory z nauki i religii, wyrwane z kontekstu i przypadkowo wymieszane w pusty aforyzm i eklektyczne wnioski niewynikające z przesłanek. Kwantowy mistycyzm, popularna kosmologia, radykalny gaistyczno-ekologiczny bełkot, wschodni transcendentalizm, zachodnia eschatologia – Duprey nienasycenie przełknął to wszystko i zdołał jakoś zunifikować słownictwo, o ile nie same założenia. Psychiatrzy nigdy nie nazwali jego stanu, ale najwidoczniej nie stanowiło to lini obrony opartej na niepoczytalności.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, oglądałem wraz z Karen transmisję na żywo z jego procesu. Wreszcie udało nam się zsynchronizować nasze zmiany w pracy. Ja starałem się o awans do jednostki antyterrorystycznej, tak więc chciałem dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe, o Dzieciach. Karen była w trakcie specjalizacyjnego szkolenia lekarskiego na Oddziale Wypadkowym nowego Szpitala Północnych Przedmieść – praca, która często bardziej od mojej przypominała policyjną. Obie nasze kariery utknęły w martwym punkcie; jej w dziesięć lat po studiach medycznych, moja po czternastu latach pracy w policji. Oboje czuliśmy, jak szanse wymykają nam się z rąk.

Ani oskarżyciel, ani obrońca nie chcieli przemów Dupreya ani czegokolwiek innego, co mogłoby rozjuszyć jego wyznawców, toteż nigdy nie składał on zeznań, a pytanie o motywy podejmowano z bardzo rzadka. Tok dowodowy, łączący go z dilerem broni (z którego zrobiono świadka oskarżenia), dostarczycielem owej użytej później bakteri, był złożony i nudny, ale absolutnie nie do podważenia; mimo iż proces ciągnął się miesiącami, jego wynik nigdy nie pozostawiał wątpliwości.

W 2061 roku kometa Hal eya nie była żadnym widowiskiem – przynajmniej widziana z Ziemi. Powodem była niesprzyjająca geometria; w najbliższym punkcie przelotu została ona zalana światłem Słońca, co uczyniło ją ledwie widoczną nieuzbrojonym okiem. Jednakże kilkanaście sond ruszyło jej śladem – były to jednostki napędzane syntezą jądrową, zdolne do powtórzenia trudnej orbity komety. Ponadto przy tej okazji odkurzono kilka wiekowych teleskopów znajdujących się w przestrzeni kosmicznej, które zostały wykonane na potrzeby Bańki. Pochodzące z nich zdjęcia zapierały dech w piersiach i przez cały czerwiec i lipiec w wiadomościach holowizyjnych dwie historie pojawiały się obok siebie prawie każdej nocy.

Mogłeś mieć niemal pewność, że dwa ujęcia zostaną zaprezentowane jedno po drugim: kometa, pozostawiająca za sobą ogon żółto-białego pyłu i oślepiająco niebieskiej plazmy, wędrująca z ciemności, wprost z Bezmiaru, w kierunku Słońca – oraz Marcus Duprey, siedzący niewzruszenie na sali sądowej w Maine.

4 sierpnia Duprey został skazany na sześćdziesiąt tysięcy osiemset czterdzieści lat więzienia. Sam został skazany jedynie za masakrę w Hartshaw, ale na przestrzeni 2060 i 2061

roku w wielu miastach z powodzeniem przeniknięto w szeregi Dzieci, co dało w sumie siedemnaście aresztowań kluczowych członków organizacji. KRES ERY CHAOSU! – ogłosił

NewsLink, tuż poniżej zdjęcia przedstawiającego przypominającą Dupreya laleczkę voodoo, przebitą siedemnastoma szpilami, z krwią sączącą się z każdej z ran.

4 września zamordowano trójkę przysięgłych z procesu (pozostałych natychmiast objęto ochroną, a później przyznano im dożywotnią ochronę policyjną; do chwili obecnej jednak zamordowano dwóch kolejnych).

4 października sędzia, który prowadził proces, przeżył zamach bombowy we własnym domu, a prokurator okręgowy i jego ochroniarz zostali śmiertelnie postrzeleni w windzie.

4 listopada sala sądowa, na której toczył się proces Dupreya, została zniszczona w wyniku eksplozji, w której zginęło szesnaście osób.

Dlaczego tak wiele osób chciało podążać śladami Dupreya, pomścić jego uwięzienie?

Pośród tych aresztowanych niektórzy rzeczywiście byli umysłowo chorzy od urodzenia i zabijaliby tak czy inaczej, a Dzieci zaledwie dostarczyły im pretekstu, oczywiście wraz z dostępem do broni i materiałów wybuchowych. Większość jednakże przedstawiała zupełnie odrębny profil: przyłączyli się do Dzieci, ponieważ najzwyczajniej nie potrafili zaakceptować faktu zniknięcia gwiazd – i tego, iż nic to nie znaczyło, nic nie zmieniło. Duprey ogłosił, że Bezmiar oznaczał koniec wszelkiego porządku moralnego – i żaden człowiek nie mógł

wymagać większego ludzkiego znaczenia. Aby nadać sens światu – ocalić własną osobę przed obojętnością Bańki – przełknęli jego ponure wnioski. Lecz nie można potwierdzić końca wszelkiego porządku moralnego, skierowując teleskop w Bezmiar; nie można go zmierzyć za pomocą żadnego urządzenia. Jeżeli chciałeś – jeżeli potrzebowałeś – w to uwierzyć, to musiałeś wyjść na ulicę i wziąć sprawę w swoje ręce. Musiałeś przywołać to do życia.

Zbliżająca się dwudziesta siódma rocznica pojawienia się Bańki nie pozostawiła obojętnym żadnego miasta na świecie. Odpowiedzialni za pojmanie Dupreya dawno już zostali usunięci za karę, ale w przeszłości – a szczególnie 15 listopada – Dzieci zabijały bez klucza i nikt nie wierzył, że mogłyby porzucić ten zwyczaj. Domy towarowe prześwietlały swoich klientów i przeprowadzały rewizje osobiste (a zakupy robione z domu znów nieoczekiwanie stały się modne). Rozkłady jazdy pociągów rozeszły się w szwach pod ciężarem niekończących się kontroli bezpieczeństwa (a praca w domu przeżyła odrodzenie).

9 listopada Duprey zwołał w więzieniu konferencję medialną, podczas której nie odpowiedział na żadne pytanie, a jedynie przeczytał oświadczenie potępiające wszelkie akty przemocy i wezwał swoich naśladowców do podjęcia podobnych kroków. Przyjąłem za pewnik, że albo został przekupiony, albo w jakiś inny sposób go do tego przymuszono, i wątpiłem, aby ktokolwiek był w

stanie ocenić, ile spośród Dzieci mogłoby go posłuchać, jednak media położyły nacisk na fakt, że oświadczenie przyczyniło się do swego rodzaju cudownego zawieszenia działań i publiczna histeria z pewnością osłabła. Miałem tylko nadzieję, że naśladowcy Dupreya dawali sobą równie łatwo manipulować jak cała reszta świata.

Cztery dni później wszystko wyszło na jaw: słowa Dupreya nie należały do niego; wszystko zostało sprokurowane za pomocą modu marionetki. Nielegalnie, gdyż Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych potwierdził zaledwie kilka miesięcy wcześniej, że wymuszone stosowanie modów nerwowych było – niezależnie od okoliczności – niezgodne z konstytucją, a nigdy i w żadnym przypadku stan Maine nie starał się przeforsować zezwalającego na to prawa. Naczelnik więzienia podał się do dymisji. Najstarszy stanowy biurokrata z FBI odstrzelił sobie głowę. A co najważniejsze, trudno byłoby sobie wyobrazić coś, co mogłoby bardziej rozjuszyć Dzieci.

Ledwie minęła druga w nocy 15 listopada, kiedy wraz z Vincentem Lo odpowiedzieliśmy na alarm z położonego w dokach magazynu z kontenerami. Ludzie pytali nas później, jak mogliśmy być tak „nierozsądni”, by wkroczyć „samotnie” w tak „oczywiste”

niebezpieczeństwo. A cóż im się wydawało? Że zdarzające się w ciągu jednego dnia na całym świecie włamania miałyby być traktowane jako potencjalne ataki terrorystyczne, z których każdy kosztuje około półtora miliona dolarów? Maine było na drugim końcu świata, a jak do tej pory Dzieci uderzyły w Australi zaledwie raz – w sfuszerowanej próbie zamachu bombowego, w której stracił życie jedynie sam terrorysta. Oczywiście, że wkroczyliśmy. Bez zastanowienia.

Wcześniej jednak połączyliśmy się z systemem bezpieczeństwa magazynu. Kamery nie pokazały nam nic odbiegającego od normy, jakkolwiek coś wzbudziło wcześniej detektor ruchu.

(Przejeżdżający obok pociąg? Nie byłby to pierwszy raz). Kontenery były poustawiane w rzędach; ja poruszałem się wzdłuż jednego ze znajdujących się pomiędzy nimi przejść, Vincent wzdłuż drugiego, a **P2** pozwalał nam obserwować otoczenie równocześnie przez nasze własne oczy i którąkolwiek (lub też wszystkie naraz) z umieszczonych pod sufitem kamer.

Uruchomiłem niewielkie pirotechniczne urządzonek wypuszczające wąskie kłęby kolorowego dymu, które rozchodziły się przypadkowo po całym poszerzonym polu widzenia – sztuczka pozwalająca wykryć nawet najbardziej wyrafinowane kameleony danych. Kamery były czyste.

W budynku poza nami nie było nikogo.

W kilka sekund później obaj poczuliśmy słabo wyczuwalne wibracje podłogi. Połączyliśmy nasze dane czuciowe, celem otrzymania dokładniejszej paralaksy, a **P2** umiejscowił źródło tych drgań w jednym z kontenerów, w drugim rzędzie od lewej. Już miałem przełączyć na podczerwień znajdujące się nad naszymi głowami kamery (cokolwiek mogłoby to nam ujawnić), kiedy, nieoczekiwanie, nie było już takiej potrzeby. Przezroczyisty bladoniebieski płomień palnika plazmowego przebił stal w pobliżu górnego rogu jednej ze ścian kontenera i począł

gładko sunąć, rozcinając sobie drogę w dół.

Vincent zasięgnął informacji w głównym systemie magazynu, a następnie przekazał:

– Robot górniczy, Hitachi MA52, w drodze na urobek.

Wtedy właśnie poczułem tyle dreszczu emocji, na ile pozwalał mi **P3**. Kontener miał

piętnaście metrów wysokości. Widziałem MA52 w holowizji: przypominały skrzyżowanie czołgu z buldożerem, wielokrotnie powiększone, posiadające kilkanaście stalowych akcesoriów, z których każde było zakończone najprzeróżniejszymi niezbyt ciekawie wyglądającymi narzędziami. Roboty same zajmowały się własną konserwacją, co wyjaśniało obecność palnika plazmowego. Nie trzeba dodawać, że nie zwykło się ich transportować z włączonym zasilaniem, ale zasilany czy też nie, robot nie powinien być w stanie uaktywnić się spontanicznie w czasie transportu i zdecydować się wyciąć sobie drogę na wolność. Co najmniej został całkowicie przeprogramowany, a najprawdopodobniej również i przerobiony mechanicznie. Wszelkie zasady rządzące zachowaniem standardowego modelu z pewnością można było wyrzucić do kosza, tak więc przeszukiwanie dokumentacji, by odnaleźć awaryjne kody dezaktywacji, nie miało najmniejszego sensu.

Co oczywiste, byliśmy uzbrojeni, tyle że posiadana przez nas broń mogłaby przeniknąć przez jego zewnętrzny pancerz w ciągu jakiegoś dziesięciolecia.

Powiadomiłem posterunek o rozwoju sytuacji i wezwałem posiłki. Palnik plazmowy osiągnął najniższy punkt swojej drogi, starannie wykonał skręt i ruszył w poziomie.

Magazyn wyposażono w sześć potężnych dźwigów przymocowanych do sufitu, po jednym na każdy rząd kontenerów. Zanim obdarzyłem je ponownym spojrzeniem, Vincent już przejął nad nimi kontrolę. Jednakże ten, którego akurat potrzebowaliśmy, znajdował się na drugim końcu budynku, najdalej od miejsca, gdzie był potrzebny, i wlekł się niesamowicie wolno wzdłuż swojej szyny. Przywołałem ocenę odległości i prędkości **P5**, a następnie porównałem ją z postępem pracy palnika; kontener stanie otworem przynajmniej piętnaście sekund wcześniej, nim moglibyśmy zacząć go unosić. Ale znajdował się on w drugim rzędzie od brzegu siatki kontenerów, której przesmyki miały zaledwie trzy metry szerokości – MA52 nie będzie miał

wystarczająco miejsca, aby zaszarżować bezpośrednio po wydostaniu się z kontenera, i na początku będzie musiał oczyścić sobie przedpole. To powinno nam dać o wiele więcej niż piętnaście sekund.

Prostokąt stali odpadł od reszty, a następnie prześlizgnął się wzdłuż przejścia z ogłuszającym zgrzytem, balansując na krawędzi, dopóki nie uderzył w ścianę. Kiedy napędzany przez zespół zwrotnych gaśnic robot wytoczył się tak daleko, jak tylko zdołał, kontener przesunął się odrobinę w przeciwnym kierunku. Nie więcej niż dziesięć czy dwadzieścia centymetrów.

– Cholerka! – Vincent zaklął łagodnie.

Dźwig zniżył swe chwytne szczytce do dachu wysuniętego z szeregu kontenera. Bolce –

grube niczym moje ramię – wystrzeliły w poszukiwaniu otworów docelowych, cofnęły się

zaskoczone, a następnie, nim zaprzestały działać, idiotycznie powtórzyły całą operację czterokrotnie. Czerwone światło na chwytniku zaczęło migotać, przesywająca uszy syrena zaskrzeczała dwukrotnie, a następnie cały dźwig się wyłączył.

Jak do tej pory trzymaliśmy się na odległość, dwadzieścia sekund zabrało mi więc dotarcie od martwej strefy pola widzenia robota do miejsca akcji, a do tego czasu zaczął on już taranować blokujący mu drogę kontener. Za każdym razem kiedy się cofał, jego własny kontener ślizgał się nieznacznie do przodu; za każdym razem kiedy nacierał, kontener przesunął się w przeciwnym kierunku – lecz całkowity ruch składowy kontenera odbywał się do tyłu. Robot był więc w pułapce na najbliższe kilka minut, lecz jakakolwiek perspektywa dopasowania szczypców chwytника malała z sekundy na sekundę.

Każdy kontener miał przyspawaną z boku drabinę; tak się jednak złożyło, że w tym przypadku znajdowała się ona akurat na wyciętej i odrzuconej ścianie, wspiałem się więc na kontener znajdujący się w przeciwnym rzędzie i przeskoczyłem ponad dzielącym je przejściem. Rozkołysanie chwytника było o wiele trudniejsze, niż przewidywałem; zwiślał on na sześciu kablach, ułożonych w trzy pary, których połączenia utrudniały i tłumiły cały ruch.

Stopniowo wzbudzałem wahania, dopóki szczypcy nie zakreślały łuku wystarczającego do skompensowania przesunięcia kontenera.

Teraz wszystko było tylko kwestią synchronizacji.

Nie musiałem tłumaczyć Vincentowi swoich zamiarów; najbliższa ze znajdujących się u sufitu kamer dawała mu doskonały widok. **P5** bez problemu ekstrapolował ruch huśtających się szczypcy, lecz chaotyczne ruchy kontenera były nieprzewidywalne. Firmowe oprogramowanie dźwigu nie ułatwiało nam wcale sprawy – za każdym razem kiedy Vincent nakazywał dokonać próby pochwycenia kontenera, ten przechodził przez zapisany w pamięci cykl pięciu prób, by następnie się wyłączyć. Jediną rzeczą, na którą mieliśmy wpływ, był wybór chwili rozpoczęcia całej sekwencji. Trzykrotnie kontener przesunął się, negując wszelkie jego kalkulacje. Za czwartym razem zdawałem sobie sprawę, że to nasza ostatnia szansa. Mógłbym rozkołysać chwytник jeszcze bardziej horyzontalnie, ale łuk tego mchu uniósłby go za wysoko, by bolce mogły zaskoczyć.

Kiedy wreszcie się udało, wyglądało to na cud, tak nieprawdopodobnie jak sekwencja z puszczonego od tyłu filmu: wszystko magicznie dopasowało się do siebie, niczym fragmenty potłuczonego wazonu. Wszystko z wyjątkiem pojedynczego bolca, który jakimś niedorzecznym ułamkiem milimetra zaklinował się na brzegu otworu, podczas gdy pozostałe wsuwały się już do środka. Niemal mogłem sobie wyobrazić, jak wszystkie ponownie się wysuwają, w chwili kiedy jakiś idiotyczny mikroprocesor porzuci nadzieję ze względu na ten zaklinowany.

Kopnąłem z całej siły. Wsunął się na swoje miejsce. W trybie uzbrojonym czy też nie, poczułem chwilowy zawrót głowy spowodowany uczuciem triumfu. Zanurkowałem pomiędzy kablami i przeskoczyłem z powrotem ponad przejściem, podczas gdy unoszące dźwig silniki z hałasem budziły się do życia. Następnie zgramoliłem się po drabinie i odbiegłem.

Kontener gładko uniósł się w górę; MA52, wciąż w dwóch trzecich w jego wnętrzu, nie miał

innego wyboru niż uciec się wraz z nim. Kiedy jego gaśnice osiągnęły wysokość dachu blokującego mu drogę kontenera, prawie wyobraziłem sobie, jak wykonuje skok ku wolności – ale odległość była zbyt wielka. Robot poszybował ku sufitowi, pięćdziesiąt metrów nad ziemię.

Mogłem usłyszeć zbliżające się syreny – nasze posiłki były już na miejscu. Spotkałem się z Vincentem przy wejściu do magazynu.

– Teraz poczekamy na kawalerię – stwierdziłem – i wysadzimy sukinsyna w drobny mak.

– Nie ma potrzeby – Vincent potrząsnął głową.

– Co masz na myśli?

– Cechy bezpieczeństwa tego systemu – powiedział – pozostawiają wiele do życzenia.

A następnie zwolnił blokadę kontenera.

Później w tym, co pozostało, odnaleziono broń mogącą zrównać z ziemią jedno lub dwa przedmieścia – i to jedynie niekompetencja Dzieci nie dopuściła do takiej tragedii, gdyż, jak się okazało, przejęły one kontrolę nad systemem bezpieczeństwa niewłaściwego magazynu.

Gdyby nie było wcześniejszego ostrzeżenia, wszystko zakończyłoby się z udziałem wojska zmuszonego do podjęcia walki z MA52 na ulicach. Dokładnie do tego doszło w trzech afrykańskich miastach, co pociągnęło za sobą duże straty w ludziach. We wszystkich miejscach kuli ziemskiej doszło oczywiście do zwyczajowych podłoży wszelkiego rodzaju bomb: od ładunków wybuchowych po pociski chemiczne rozsiewające neurotoksyny. Nie chciałem nic o tym wiedzieć; spoglądałem na nagłówki i zmieniałem ekrany, niechętny, by tak szybko przełknąć prawdę o tym, jak mikre było nasze zwycięstwo.

Co było do przewidzenia, wbrew temu, że wszystko było zaledwie kwestią niebywałego szczęścia, Vincent i ja zostaliśmy obwołani bohaterami. Nie miałem nic przeciwko temu, oznaczało to bowiem, że obecnie awans do jednostki antyterrorystycznej praktycznie miałem już w kieszeni. Uwaga mediów była męcząca, ale zagryzałem zęby i czekałem, aż przeminie.

Cała sprawa oburzała Karen i nie mogłem jej za to winić; jak się wydaje, żaden z naszych przyjaciół nie chciał rozmawiać o niczym innym, i musiało się jej robić równie niedobrze od ciągłego wysłuchiwania tej historii jak mi od jej opowiadania.

Co gorsza, brat Karen, pełen dobrych intencji, wpadł pewnego niedzielnego popołudnia z nagraniami wszystkich moich wywiadów, których zgodnie z naleganiami wydziału udzieliłem w trybie uzbrojonym, a których oglądania unikaliśmy z wielkim trudem podczas ich emisji. Teraz musieliśmy obejrzeć je wszystkie. Patrząc na mnie w trybie uzbrojonym, Karen odczuwała wstręt, niemal równie silny jak ja. „Zombie chwata” – tak mawiała i nie mogłem się z nią nie zgodzić; oglądany w holowizji gliniarz, posiadający moją twarz, był tak pozbawiony wyrazu, tak uczciwy, tak ograniczony, tak kurewsko rozsądny, że aż wszystko się w tobie wywracało. (Być może istnieją ludzie, którzy się tacy urodzili, ale nie jest ich zbyt wielu i żałujesz ich z całego serca).

Każdy gliniarz posiada nie mniej niż sześć standardowych „uzbrajających modów”, od **P1**

po **P6**, ale to **P3** narzucał stan umysłu właściwy dla służby czynnej, to **P3** tak naprawdę sprawiał, że byłeś *uzbrojony*. To akurat zawsze było dla mnie jasne, że **P3** kaleczy mózg –

wydajnie, odwracalnie i niosąc ze sobą same korzyści, ale bycie w tej kwestii delikatnym czy też eufemistycznym nie miało sensu. To uzbrajającym modom zawdzięczaliśmy lepszych gliniarzy, to one ratowały życie – i to one na określony czas robiły nas czymś mniej ludzkim.

Mogłem z tym żyć tak długo, jak długo nikt zbyt często nie zmuszał mnie do oglądania siebie z zewnątrz. „Uzbrajające środki farmakologiczne” dawnych złych dni – prymitywna, czysto farmaceutyczna próba zahamowania emocjonalnych odpowiedzi, podwyższenia świadomości sensorycznej i zminimalizowania czasu reakcji – powodowały szereg efektów ubocznych, w tym nieprzewidziane przejścia pomiędzy stanami, lecz nadejście modów nerwowych usunęło wszelkie tego typu komplikacje. Podział mojego życia był prosty, wyraźny, absolutny: na służbie byłem uzbrojony, poza nią – nie. Nie istniały stany pośrednie ani żadne problemy dotyczące zachodzenia jednego stanu na drugi.

Karen nie posiadała żadnych profesjonalnych modów; lekarze, wieczni konserwatyści, wciąż kręcili nosem na technologię – ale między innymi różnicowanie składek związanych z ubezpieczeniami od błędów lekarskich stopniowo podmywało ich opór.

2 grudnia dowiedziałem się, że awans mam w kieszeni – na kilka godzin wcześniej, nim przeczytałem o tym w wieczornych wiadomościach. To było w piątek. W sobotę Karen, ja oraz Vincent z żoną Marią wybraliśmy się na wspólną kolację, aby to uczcić. Vincentowi również zaproponowano miejsce w jednostce, ale odmówił.

– Złe posunięcie zawodowe – stwierdziłem, tylko częściowo się z nim drocząc. Prawie w ogóle nie mieliśmy okazji, aby to wcześniej przedyskutować, gdyż kiedy byłeś uzbrojony, nie rozważałeś takich tematów. – Antyterroryzm to rozwijający się sektor. Dziesięć lat w jego szeregach, a będę mógł odejść ze służby i stać się nieprzyzwoicie przepłacanym konsultantem multinarodowych korporacji.

Popatrzył na mnie dziwnie i stwierdził:

– Zdaje mi się, że ja po prostu nie mam aż takich ambicji. – A wtedy schwycił i ścisnął dłoń Marii. Trudno było to nazwać jakimś ekstrawaganckim gestem, ale jakoś utkwiał mi on w pamięci.

W niedzielny poranek obudziłem się przed świtem i nie mogłem ponownie zasnąć.

Wygrzebałem się z pościeli, ponieważ Karen zawsze potrafiła wyczuć, kiedy nie spałem i, jak się zdawało, zawsze niepokoiło ją to o wiele bardziej niż moja nieobecność u jej boku. Usiadłem w kuchni, starając się podjąć decyzję, lecz czułem jedynie narastającą złość i zakłopotanie.

Nienawidziłem się za to, że ani na chwilę nie przystanąłem, by pomyśleć, czy może narażam ją na ryzyko. Powinniśmy byli przedyskutować to wspólnie, zanim jeszcze przyjąłem promocję –



ale sam pomysł takiej dyskusji wciąż wydawał mi się niedorzeczny. Jak mogłem ją pytać? Jakże mogłem przyjąć do wiadomości najmniejsze nawet realne niebezpieczeństwo i przyznać w tym samym zdaniu, że za jej przyzwoleniem przyjąłbym tę posadę? A gdybym zamiast tego po prostu zmienił zdanie i odrzucił propozycję bez żadnych konsultacji z Karen, to tak czy siak wyciągnęłaby ze mnie powód takiej decyzji i nigdy nie wybaczyłaby mi wykluczenia jej z procesu jej podejmowania.

Podszedłem do okna i wyrząłem na jasno oświetloną ulicę; miałem wrażenie, że odkąd pojawiła się Bańka, lampy uliczne z roku na rok stawały się coraz silniejsze. Dwóch rowerzystów minęło nasz dom. Tafla szyby okiennej rozprysła się na zewnątrz i w ślad za odłamkami wyleciałem przez pustą futrynę.

Spontanicznie mod uzbrajający zaskoczył do życia.

**P4** zadbał już o to, żebym uderzając o ziemię, zwinął się w kłębek i przekoziółkował. Przez sekundę lub dwie krwawiąc, bez tchu leżałem w trawie. Za sobą mogłem słyszeć płomienie, mogłem czuć, jak przyspiesza mi akcja serca i ochładza się skóra, podczas gdy **P1**

zatrzymywał krążenie obwodowe w kontrolowanej wersji naturalnego kopa adrenaliny, lecz byłem odcięty od agitacji mojego ciała i nie miałem innego wyboru jak tylko pozostać spokojnie analitycznym. Podniosłem się na nogi i odwróciłem, aby rozeznać sytuację. Dachówki leżały porozrzucane po trawniku; bomba musiała być umieszczona w suficie, blisko tyłu budynku, prawdopodobnie dokładnie nad naszą sypialnią. Mogłem dostrzec ścieżki bulgoczącej mazi, ściekające po pozostałościach ścian wewnętrznych, z których wyrastały zasłony niebieskich płomieni.

Wiedziałem, że Karen była martwa. Nie była ranna, nie była w niebezpieczeństwie. Bez żadnej osłony przed wybuchem, musiała umrzeć na miejscu.

Od tego czasu bardzo dużo nad tym myślałem i zawsze dochodziłem do takich samych wniosków: każda normalna osoba, która znalazłaby się w podobnej sytuacji, wbiegłaby z powrotem do domu, zaryzykowałaby własnym życiem – w szoku, braku orientacji, niewierze, dokonałaby najbardziej niebezpiecznych i daremnych z wyobraźalnych czynów.

Ale zombie chwata wiedział, że nic tu po nim. Więc odwrócił się i odszedł.

A zdając sobie sprawę, że martwym nie mógł już pomóc, zwrócił swoją uwagę w kierunku potrzeb osoby, której udało się przeżyć.

Staram się, co prawda bezskutecznie, wymyślić pojedynczy, przekonujący powód, dla którego Dzieci nie miałyby być w to wmieszane. Jak do tej pory nie uprawiali takiego procederu jak uprowadzenia upośledzonych umysłowo pacjentek poczętych w Dniu Przesłonięcia, ale z pewnością panuje tu nieurodzaj, jeśli chodzi o odpowiednich kandydatów – a i bez faktycznego precedensu cała ta absurda zbrodnia posiada ich niezaprzeczone piętno.

Prawdą jest również, że nie są znane przejawy aktywności Dzieci na terenie Nowego Hongkongu, co wcale nie oznacza, iż nie posiadają tu swojej komórki, jakiegoś bezpiecznego miejsca, gdzieś na terenie miasta. Do przemycenia tu Laury wystarczyłoby zaledwie cztery czy pięć osób.

Chodzę po pokoju, starając się zachować spokój. Bardziej od strachu odczuwam oburzenie – jak gdyby mój klient musiał o tym wiedzieć i winien był mnie ostrzec już na samym początku. To niedorzeczne, ale takie są fakty: nie płacą mi wystarczająco dużo, bym miał

wkurwiać terrorystów, a już szczególnie takich jak Dzieci. Ci łaskawie mogli nie powtórzyć zamachu na moje życie – polityka, którą, jak się zdaje, stosują względem wszystkich, którym przypadkowo udało się przeżyć, jak gdyby odmawiając w ten sposób przyjęcia do wiadomości własnej porażki – ale osobiście nie mam zamiaru przypominać im o swoim istnieniu, nie wspominając już o dostarczeniu zupełnie nowego powodu do umieszczenia mnie po raz kolejny na liście ich celów.

Dzwonię na lotnisko – samolot do domu mam o szóstej. Rezerwuję miejsce. Pakuję walizkę. Wszystko to zabiera mi kilka minut. Wtedy siadam na łóżku i wpatrując się w walizkę, stopniowo zaczynam odzyskiwać poczucie perspektywy.

Laura została poczęta w samym czy też w pobliżu Dnia Przesłonięcia. Pytanie tylko, czy taki fakt jest informacją, czy zaledwie informacyjnym szumem? Jak świat długi i szeroki, siły przestrzegania prawa zaprogramowały komputery w taki sposób, by te niestrudzenie podążały śladem obsesji Dzieci – dat, numerologii, koniunkcji ciał niebieskich, *ad nauseam* – a rezultaty niezmiennie były takie same: nieprzebrane pliki pełne rzekomych współzależności i nic nie znaczących zbiegów okoliczności; terabajty śmieci. Zresztą tak czy inaczej, około dwudziestu procent wszystkiego można było przekształcić tak, by wyglądało na potencjalnie znaczące dla Dzieci. Ułamek tego wszystkiego – ten zgodny z rzeczywistością – jest nieskończenie mały; w praktyce metoda ta jest niemal równie przydatna jak uznawanie za podejrzanego o terroryzm każdego człowieka o oczach w takim samym kolorze co oczy Marcusa Dupreya.

Nie mam wątpliwości, że każdy członek Dzieci, któremu by podano datę poczęcia Laury, przypisałby jej uprowadzeniu wielkie znaczenie – ale traktowanie tego jako dowodu ich zaangażowania w tę sprawę zakrawa na niedorzeczność. Pytanie nie brzmi: coż to oznacza dla Dzieci? W przypadku wyznawców Dupreya ich liczba musiałaby zostać nieoszacowana o współczynnik około miliona, by mogli odgrywać rolę w każdej najmniejszej zbrodni dokonanej gdziekolwiek na świecie, w której mogliby dostrzec jakiś kosmiczny omen.

Ucieczka byłaby żałosna.

A jednak. Z wyjątkiem pieniędzy nie mam nic do stracenia. Mogę się mylić i chuchać na zimne. Mogę też porzucić sprawę, nie bacząc na nic. Taaa, i mógłbym również zasilić szeregi ludzi tak zastraszonych bestialskimi wyczynami Dzieci, że obsesyjnie przeszukują wzorzec własnego codziennego życia w poszukiwaniu oznak zagrożenia, zamykając się w domach w każdą rocznicę najbardziej błahego etapu bezkrwawego męczeństwa Dupreya, w ten sposób uroczyście obchodząc święte dni własnej religii strachu.

Rozpakowuję się.

Niemal wschodzi już słońce. Brak snu, jak zwykle w podobnych przypadkach, pozostawia mnie ze specyficznym poczuciem jasności umysłu, wrażeniem wyswobodzenia się spod typowego stanu umysłu, osiągnięcia zupełnie nowej więzi z otaczającym światem. Wywołuję **Bossa**, by ten wymusił na moim układzie wewnątrzwydzielniczym powrót do normalnego stanu, i złudzenie wkrótce przemija.

W porównaniu z piorunującymi rewelacjami dotyczącymi zaangażowania terrorystów, zebrane do tej pory informacje wyglądają beznadziejnie niejednoznacznie. Ale gdzieś muszę zacząć – a Biomedical Development International jest jedyną firmą na Uście, która nie ma żadnego rażąco niewinnego powodu, by kupować całą gamę potrzebnych Laurze środków. A skoro BDI nie posiada akcjonariuszy, na których należałoby zrobić wrażenie, a haking jest w jej przypadku zbyt ryzykowny, to chcąc odkryć, czym też dokładnie się zajmuje, jestem zmuszony użyć bardziej bezpośrednich środków.

Wyciągam z walizki niewielkie pudełeczko i otwieram je delikatnie. Wewnątrz, umoszczony w bibułce, śpi komar.

Nie posiadam specjalistycznego modu używanego do programowania owada, ale w drugiej przegródce pudełka znajduje się ROM z zapisem staromodnego oprogramowania sekwencyjnego, które, mimo iż dużo wolniej, pozwoli mi dopiąć celu. Wyjmuję chip i go uruchamiam. Świeci niewidzialną dla oczu modulowaną podczerwienią, a porozrzuca po skórze moich dłoni i twarzy, działające w podczerwieni komórki nadawczo-odbiorcze, które zawdzięczam bioinżynierii, zbierają i demodulują ten sygnał. **RedNet\***(NeuroComm, \$1.499) otrzymuje pochodzące z tych komórek bodźce nerwowe, które następnie dekoduje i buforuje w postaci danych.

Przesyłam program do **von Neumanna\*\***(Continental BioLogic, \$3.150). Symulacja uniwersalnego komputera nie należy do zadań, które system nerwowy wykonywałby z wielką wydajnością – stąd też potrzeba istnienia wyspecjalizowanych modów, fizycznie zoptymalizowanych w tym celu, zamiast pojedynczego, programowalnego „komputera wewnątrz czaszki”. Ale nikt nie może sobie pozwolić na zakup każdego dostępnego na rynku modu, a mobilizowanie tak wielkiej grupy neuronów prawdopodobnie zakłóciłoby normalne funkcjonowanie mózgu. Tak więc czasami, jakkolwiek osobliwe może się wydawać, załadowanie pełnego sekwencyjnego oprogramowania z ROM-u jest jedynym praktycznym rozwiązaniem.

*Culex explorator* jest w pełni organiczny, lecz został znacząco zmodyfikowany, i to zarówno na poziomie genetycznym, jak i w okresie porozwojowym. Większość zabiegów genetycznych wykonano jedynie po to, aby dostarczyć dorosłemu osobnikowi wystarczającej liczby neuronów, którymi

mogłyby zająć się nanomaszyny – oraz jego własnych działających w podczerwieni komórek nadawczo-odbiorczych. W znajdującym się w mojej głowie menu wybieram potrzebne mi parametry behawioralne, odczekuję pięć minut, podczas których program koduje je na język zrozumiały dla nerwowych połączeń owada, a następnie – celem maksymalnego wzmocnienia mocy sygnału – obejmuję pudełko dłońmi i właczam moje decyzje do malutkiego mózgu insekta. W protokole **RedNetu** istnieją niekończące się warstwy weryfikujące poprawność, ale i tak zarządzam raz jeszcze pełen odczyt danych, który potwierdza, że wszystko zakończyło się sukcesem.

W drodze do stacji metra przechodzę ulicami, których już o tej porze nie można nazwać opustoszałymi. Sprzedawcy jedzenia stoją przy swoich parujących mobilnych stoiskach, wokół

których zbierają się klienci, ignorując wabiąco sfotografowane – lecz pozbawione wrażeń zapachowych – holograficzne pokusy automatów z żywnością. Kupuję torebkę makaronu, który jem po drodze. Elegancko ubrani członkowie wyższej kadry kierowniczej, bankierzy i brokerzy mijają mnie długimi krokami; ludzie, którzy z łatwością mogliby pracować z własnych domów, którzy mogliby działać tylko i wyłącznie wewnątrz własnych czaszek – a za pomocą modów nawet zadecydować, by sprawiało im to przyjemność. Niełatwo mi to przyznać, ale widok dzierżących parasolki infokratów spieszących tuż obok, promieniujących poczuciem własnej ważności, uderza mnie jako pewien rodzaj potwierdzenia siły ludzkiego ducha. Światło nieoczekiwanie traci blask, spoglądam w niebo i zauważam dwie goniące się po niebie skłębione warstwy szarych chmur. W chwilę później jestem już przemoczony do suchej nitki.

Badawczo-rozwojowa część Nowego Hongkongu leży dwadzieścia kilometrów na zachód od centrum miasta. Wyłaniam się z podziemi metra w bezludnym świecie, wypełnionym rzędami betonowych budynków, poustawianych na trawnikach tak doskonałych, że gdyby były prawdziwe, to równie dobrze mogłyby takimi nie być. Poczucie panującej tu przestrzeni, po tłoku i znajdujących się w centrum drapaczach chmur, wydaje się być niemal skandaliczne; wiele z tutejszych laboratoriów i fabryk ma po piętnaście czy dwadzieścia pięter wysokości, ale ulice są na tyle szerokie, a przylegające do budynków tereny na tyle rozległe, by nie dopuścić do przysłaniania nieba przez architekturę. Nieba, które zmienne niczym rtęć, znów jest błękitne, aż hen, po horyzont.

Przystaję na moment i wytrząsam z pudełka do wnętrza dłoni *Culexa*, który przywiera do mojej skóry. Unoszę go do oczu; ledwo mogę rozróżnić malutkie plamki dwunastu kameleonów danych przylegających do jego tułowia po obu stronach. Zanim ruszę w dalszą drogę, zwijam wokół niego palce. Narzucenie sobie niedbałego kroku, trzymając wewnątrz własnej dłoni wartość dwadzieścia tysięcy dolarów wyposażenie, mające na celu oszukanie systemów ochrony budynku, wymaga pewnego wysiłku.

Przypominający labirynt teren na północ od stacji metra nosi znamiona tego, że kiedyś składał się z kilku oddzielnych, odrębnie zaprojektowanych „parków nauki”, które w późniejszym czasie rozlały się na rozdzielające je przestrzenie. Każdy z nich musiał posiadać własny, uporządkowany – nawet jeżeli dziwnie – awangardowy układ ulic, z własnymi specyficznymi symetriami i hierarchiami, i każdy z nich osiągnął w pewnym stopniu sukces w poszerzeniu tego wzorca poza oryginalne granice. Niestety, w miejscach gdzie zachodziły na siebie dwa lub więcej nieprzystających projektów, rezultat można było nazwać jedynie patologicznym. Samo BDI leży na końcu ślepej uliczki – co wyklucza możliwość nonszalanckiej przechadzki przed głównym wejściem – ale cały ten teren jest

takim kapilarnym ogromem małych uliczek wyrastających z nie połączonych odgałęzień ulic, że powinienem bez problemu dotrzeć wystarczająco blisko tyłów budynku, równocześnie sprawiając wrażenie, że zmierzam zupełnie gdzie indziej.

Ulice są ciche; mogę nawet dosłyszeć śpiew ptaków. Jedyne mijany rowerzysta obdarza mnie, zaintrygowany, ponownym spojrzeniem; jak się wydaje, w pobliżu nie ma żadnych innych pieszych i czuję się – przedwcześnie – jakbym wkraczał bez pozwolenia na cudzy teren. Być może ulice są ogólnodostępne, ale wszystkie one prowadzą do nielicznych prywatnych miejsc.

W mało prawdopodobnym przypadku, gdyby ktoś zatrzymał mnie, aby udzielić mi wskazówek dotyczących drogi, będę musiał po prostu odegrać najlepszą z możliwych wersji zagubionego turysty-idioty.

Wreszcie, w odległości około stu metrów, zauważam coś, co – mam nadzieję – jest BDI, brudnobiałe betonowe pudełko po butach, widoczne w prześwicie pomiędzy Transgenic Eco-control a Industrial Morphogenesis. Tak właściwie stąd, gdzie się znajduję, nie widzę żadnego identyfikującego budynek oznaczenia ani logo, ale sprawdzam ponownie na znajdującym się w mojej głowie planie ulic i nie mam już żadnych wątpliwości, że obserwuję właściwy budynek.

Przelatuje mi przez głowę myśl, że to dosyć *nieprzystający front jak na Dzieci Bezmiaru...*, i śmieję się głośno z takiej podnoszącej na duchu obserwacji. Dzieci nie są w to zamieszane – i aby w to uwierzyć, nie muszę wynajdywać żadnych wymówek. Największe związane z BDI

„ryzyko”, jakiemu muszę stawić czoło, jest takie, że okażą się oni zupełnie niepowiązani z całym porwaniem.

Dołączam kopię mojego pola widzenia do buforu obrazów wizualnego programu *Culexa*.

Wyraźnie oznaczam właściwy budynek, a następnie przesyłam tę wiadomość do samego owada. Unoszę dłoń, rozkładam palce, a insekt natychmiast unosi się w powietrze, wykonuje nade mną kilka okrążeń, by wreszcie rozpląnąć się w powietrzu.

Większość dnia spędzam, studiując ogólnodostępne informacje dotyczące właściciela BDI, Wei Pailinga. Sumiennie przedzieram się przez dwadzieścia pięć lat jego obecności w mediach

– ze średnią około sześciu artykułów rocznie – lecz nie odnajduję tam niczego godnego uwagi.

Jedyny niepowiązany bezpośrednio z wiadomościami biznesowymi artykuł dotyczy otwarcia nowego skrzydła Muzeum Techniki NHK, gdzie Wei stał na czele zbierającego nań fundusze konsorcjum, a sam tekst cytuje fragment jego banalnej przemowy: „Przyszłość naszych dzieci zależy od stymulowania ich intelektów i wyobraźni już od najmłodszych lat”.

Uderza mnie, że Wei nie posiada żadnych widocznych udziałów w jakichkolwiek wystarczająco wieloletnich firmach, by mogły być odpowiedzialne za stan Laury; ledwie przekroczył pięćdziesiątkę i, jak się wydaje, woli raczej tworzyć nowe przedsięwzięcia, niż folgować sobie w przejmowaniu już istniejących. Oczywiście, nie rzuca to żadnego światła na klientów BDI.

Późnym popołudniem zaczyna mi brakować produktywnych sposobów spędzania wolnego czasu. Wciąż powracają moje irracjonalne obawy dotyczące Dzieci; wiem dokładnie, jak się ich pozbyć, ale nie chcę tego robić. Jeszcze nie teraz.

Włączam holowizję w połowie spotu reklamowego, przełączam na inny kanał, jednakże bezskutecznie. Reklamy pozbawione są aktywnej zmywy pomiędzy rywalizującymi stacjami (niech Bóg broni przed taką myślą); zdaje się, że wszystkie stacje wprowadziły praktykę pozwalającą reklamodawcom na wybór z dokładnością niemal co do setnej części sekundy wymaganych przez siebie przedziałów czasowych. Mógłbym teraz wyłączyć się z czasu rzeczywistego i poszukać czegoś do załadowania, lecz nie wydaje mi się to warte wysiłku, skoro jedynym celem jest zabicie czasu.

Młody mężczyzna mówi: „...brak ci celu i kierunku? Axon ma dla ciebie rozwiązanie! Teraz możesz kupić potrzebne ci cele! Życie rodzinne... sukces w życiu zawodowym... bogactwo materialne... spełnienie seksualne... możliwość artystycznego wyrażenia się... duchowe oświecenie". Przy każdym kolejnym wyrażeniu w jego prawej dłoni materializuje się sześcian zawierający odpowiadającą mu scenę, który mężczyzna następnie podrzuca w powietrze, robiąc tym samym miejsce dla kolejnego, aż zupełnie bez wysiłku żongluje wszystkimi sześcioma. „Przez przeszło dwadzieścia lat Axon pomagał ci osiągać życiowe przyjemności.

Teraz pomożemy ci ich pragnąć!"

Po obejrzeniu drugiej połowy niezrozumiałego, lecz wizualnie zapierającego dech w piersiach, surrealistycznego thrillera wyłączam holowizję i zaczynam chodzić po pokoju, z minuty na minutę coraz bardziej pełen obaw. Do umówionego spotkania z *Culexem* wciąż jeszcze pozostały mi cztery godziny.

Dlaczego miałbym cierpliwie znosić kolejne cztery godziny nudy i niepokoju? Dla masochistycznego dreszczu przeżywania prawdziwie ludzkich uczuć? Pieprzyć to, tego ranka już dostałem swoją dawkę i prawie porzuciłem sprawę.

Wywołuję **P3**.

Czasem powód dobrego samopoczucia razi bardziej niż zwykle. Uzbrojenie to właściwy sposób na chwilę obecną: błyskawiczne myślenie, racjonalność, wydajność, niepodatność na rozproszenie uwagi. To wszystko to całkowita prawda, jakkolwiek, co ironiczne, analityczny stan umysłu wywoływany przez **P3** utrudnia mi unikanie tłumaczenia faktu, że takie nastawienie jest w tym przypadku narzucane odgórnie. Prawie każdy zmieniający osobowość mod idzie w parze z niepodważalnym zapewnieniem, że używanie tego modu jest właściwe.

Krytycy technologii nazywają to propagandą, która służy samej sobie; zwolennicy zaś powiadają, że to jedynie podstawowa miara mająca zapobiec potencjalnemu obezwładniającemu konfliktowi – rodzaj gwarancji bezpieczeństwa przeciwko (metaforycznej) mentalnej odpowiedzi immunologicznej. Kiedy jestem rozbrojony, skłaniam się ku akceptacji pozycji cynicznej. Natomiast będąc uzbrojonym, przyznaję, że brak mi danych i ekspertyzy, aby móc ocenić argumenty którejkolwiek ze stron.

Przez dziesięć minut podsumowuję wszystko, co do tej pory udało mi się zebrać. Nie przychodzi mi do głowy żaden nowy pomysł, ale to nie jest jakaś wielka niespodzianka; **P3**

jedynie eliminuje rozproszenie uwagi i ułatwia skupienie – a co za tym idzie, wnioskowanie staje się bardziej płynne – ale nie gwarantuje żadnego magicznego przyrostu inteligencji.

Pozostałe mody uzbrajające dostarczają innych udogodnień: **P1** potrafi manipulować biochemią użytkownika, **P2** zwiększa przetwarzanie czuciowe, **P4** jest zbiorem fizycznych odruchów, **P5** polepsza osąd czasowy i przestrzenny, **P6** jest odpowiedzialny za kodowanie i komunikację..., ale główną rolą **P3** jest rola filtra, wybierającego ze wszystkich naturalnie dostępnych możliwości mózgu jego optymalny stan i powstrzymującego pojawienie się tych trybów pracy umysłu, które uznaje za niewłaściwe.

Nie pozostało nic do zrobienia jak tylko czekać – tak więc, niezdolny do nudy, niekłopotany już bezsensownymi obawami, czekam.

Wracam, mimo iż nie jest to konieczne, tak blisko miejsca wypuszczenia insekta, jak to tylko możliwe. Komar odnajduje mnie po zapachu i unikałby każdej innej obcej osoby, stojącej dokładnie w tym samym miejscu. Ląduje na mojej dłoni i rozpoczyna zdawanie raportu w podczerwieni.

Misja zakończyła się sukcesem. Na samym początku *Culex* odnalazł własną drogę do wnętrza budynku – bez potrzeby zaczepienia się na plecach któregoś z pracowników – i powrót do wnętrza budynku nie stanowi teraz żadnego problemu. Będąc już w środku, zlokalizował stanowisko ochrony, wyśledził wiązkę kabli biegnącą do sufitu, a następnie odnalazł drogę do środka przewodów, gdzie umieścił dwanaście kameleonów. Później ruszył

dokonać szerszego rozpoznania; oprogramowanie właśnie pracuje w tle, przekształcając zebrane przez niego dane na szczegółowy układ wewnętrzny budynku. Na samym końcu *Culex* sprawdził pracę kameleonów, którym udało się złamać protokół systemu ochrony dotyczący zatwierdzania zgodności sygnału i które zameldowały, że po wypróbowaniu wszystkich trzydziestu pięciu kabli zidentyfikowały dwanaście, za pomocą których można wytworzyć użyteczny układ sąsiadujących ze sobą stref martwych.

Przeglądam ejdetyczne fotki wydobyte z mózgu komara, przetworzone w taki sposób, że nawet w najmniejszym stopniu nie zdradzają faktu, iż powstały w mozaikowych oczach owada. Żadnych większych niespodzianek. Technicy. Komputery. Różnoraki sprzęt do biochemicznej analizy i syntezy. Żadnych śladów obłożnie chorych pacjentów – co prawda do tej pory Laura mogłaby już poruszać się samodzielnie i nie mam najmniejszego pojęcia, jak też mogłaby obecnie wyglądać; być może jak Han Hsiu-lien, ale zbytnio bym na to nie liczył.

Zbliżenia ekranów stacji roboczych przedstawiają przepływ diagramów związanych z procesami laboratoryjnymi, schematy molekuł białek, dane dotyczące sekwencji DNA i aminokwasów... oraz kilka map nerwowych. Ale mapy nie są oznaczone w jakikolwiek rzucający światło sposób – chociażby ANDREWS, L. czy też WRODZONE USZKODZENIE

MÓZGU PRZYPADEK #1. Posiadają jedynie nic nie znaczące numery seryjne.

Rozkład wewnętrzny budynku jest już gotowy, więc wewnątrz własnej głowy wędruję jego korytarzami. Pięć pięter, dwa podziemia. Biura, laboratoria, magazyny. Dwie windy, dwie klatki schodowe. Kilka obszarów zostało zaznaczonych na bladoniebiesko, co oznacza BRAK

DANYCH, miejsca, gdzie *Culex* nie mógł przeniknąć samodzielnie, a nie miał sposobności doczepienia się do człowieka. Największy z nich, o boku długości dwudziestu metrów, leży pośrodku głębszego podpiwniczenia. Może być jakimś rodzajem pomieszczenia o specjalnym przeznaczeniu – laboratorium czystym, magazynem kriogenicznym, laboratorium radioizotopowym, strefą ryzyka biologicznego. Miejsce, gdzie ludzie będą wchodzić z rzadka, a większość pracy wykonywana będzie zdalnie. Ale zdjęcia pokazują jedynie monotonną białą ścianę i nieoznaczone w żaden sposób drzwi, brak ostrzeżeń przed ryzykiem związanym z promieniowaniem, materiałem biologicznym, czy też jakiegokolwiek innego rodzaju oznaczeń.

Kameleony zostały uprzednio zaprogramowane na drugą po północy – na wypadek gdyby miejsce okazało się niedostępne dla komara poza godzinami pracy – ale teraz nie ma potrzeby trzymać się sztywno pierwotnego planu. Wysłałem *Culem* z powrotem do środka, by przekazał

kameleonom rozkaz aktywacji za siedem minut, dokładnie o jedenastej pięćdziesiąt pięć.

Kameleony są za małe, aby odbierać sygnały radiowe – co zapewne, patrząc na to ze strony bezpieczeństwa, ma też swoje dobre strony.

Zbliżając się do budynku, przekazuję jego wewnętrzny układ do **P2**, który nakłada go na obraz rzeczywisty. Pola widzenia kamer bezpieczeństwa i obszary monitorowane przez detektory ruchu jaśnieją mi teraz słabym czerwonym blaskiem. Myśl, aby odbierać to jako *niebezpieczeństwo uczynione widzialnym*, jest kusząca, jak gdyby jakiś mod w mojej głowie potrafił magicznie „wyczuć” działanie każdego urządzenia ochronnego – ale w rzeczywistości jest to jedynie mapa teoretyczna, która z jednej strony może okazać się kompletna i prawidłowa, a z drugiej wręcz przeciwnie.

O 11:55:00 wyłączam – całkowicie na wiarę – dwanaście obszarów czerwieni. Nie mam żadnych dowodów, że martwe strefy naprawdę powstały. Jeżeli jednak tak nie jest, to wkrótce się o tym przekonam.

Ogrodzenie okalające budynek posiada drut kolczasty, a mój miernik pola stwierdza, że w górnych splotach przepływa przez nie prąd o napięciu sześćdziesięciu tysięcy woltów – grubo poniżej progu izolatorów w moich rękawiczkach i butach. Drut kolczasty wygląda na paskudnie ostry, jednak musiałby być ponabijany przemysłowymi diamentami, a na dodatek wirować z prędkością kilku tysięcy obrotów na minutę, aby wywierać jakiś większy wpływ na kompozytowe włókna moich rękawiczek. Wskakuję na ogrodzenie i gramolę się na drugą stronę, uderzając w ziemię tak lekko jak tylko w mojej mocy, gdyż w pobliżu wciąż znajdują się aktywne detektory ruchu, o których czułości nic mi nie wiadomo.

Rozcinam okno na parterze i wsuwam się do nieoświetlonego pomieszczenia, jakiegoś laboratorium. **P2** niezwłocznie przestawia na maksimum czułość mojego wzroku, cokolwiek jest to warte, ale to mapa *Culexa* pomaga mi poruszać się pomiędzy przeszkodami z rozsądną prędkością. To znaczy:



przynajmniej jeśli chodzi o przeszkody stałe, bo kiedykolwiek

„widzę” w pochodzącym od komara polu widzenia zarys krzesła bądź taboretu, zwalniam i wyciągam rękę, aby upewnić się co do ich obecnej pozycji.

Na korytarzu również panuje ciemność. Kiedy wychodzę z laboratorium, zauważam zaraz na lewo poblask czerwieni, a kolejny, z wciąż obserwowanych obszarów, pojawia się niecały centymetr od drzwi na klatkę schodową. Już mam przekręcić ich klamkę, kiedy uświadamiam sobie, że odstający mechanizm domykający drzwi znajduje się na granicy wtargnięcia do niebezpiecznej strefy. **P5** stawia sprawę jasno – nie mam szans przecisnąć się przez szparę w drzwiach. Sięgam więc i łamię urządzenie w miejscu styku, a następnie odginam obie rozdzielone w ten sposób połówki wzdłuż drzwi.

Schodzę do niższej piwnicy. Kameleony zrobiły co w ich mocy, aby zapewnić mi na każdym piętrze jak najszersze z możliwych pól dostępu, ale to miejsce wydaje się jakby z założenia marnie chronione. Korzystając z tego, że w pobliżu nie ma rejestrujących obraz kamer, które mogłyby wychwycić rozproszone światło, ryzykuję użyciem latarki, co pozwala dodać nowe szczegóły do dostarczonego przez komara szkieletowego zarysu otoczenia.

Odkrywam pękate pojemniki z rozpuszczalnikami i reagentami, rząd horyzontalnych zamrażarek i stojącą pod ścianą rozkręconą wirówkę, z wysypującymi się z niej układami scalonymi, jak gdyby była w trakcie naprawy czy też autokanibalizmu.

Docieram do obszaru oznaczonego napisem BRAK DANYCH, dużego, kwadratowego pomieszczenia, które jest dziwnie nie na miejscu pośrodku niepoprzedzielanej w żaden inny sposób piwnicy, a które, wnioskując z wyglądu – i zapachu – postawiono zupełnie niedawno.

Ale jeżeli Laura jest w środku, to po co mieliby zadawać sobie aż tyle trudu, aby zapewnić jej takie miejsce pobytu? Na pewno nie po to, aby trzymać ją w nierzucającym się w oczy ukryciu, gdyż to przygotowane *ad hoc* więzienie, jeżeli takie właśnie jest jego zadanie, z trudnością mogłoby prezentować się bardziej podejrzanie.

Okrażam pomieszczenie. Do środka prowadzą tylko jedne drzwi, a ich zamek nie jest wielkim wyzwaniem. Chwila oględzin, a następnie pojedynczy, odpowiednio skierowany impuls magnetyczny – to wszystko, czego potrzeba, by wzbudzić prąd w obwodach obsługujących mechanizm blokujący. Sięgam po broń, przyciągam drzwi do siebie – i wpatruję się w kolejną ścianę, znajdującą się w odległości dwóch-trzech metrów.

Ostrożnie wchodzę do środka. Nic nie znajduje się w przestrzeni pomiędzy ścianami, ale druga ściana nie łączy się z pierwszą z żadnej strony. Zanim ruszam dalej, zamykam za sobą drzwi i umieszczam na szczycie framugi niewielkie urządzenie alarmowe. Po dotarciu do znajdującego się na prawo narożnika staje się jasne, że ściany są koncentryczne. Nie przystaję i za kolejnym rogiem odnajduję drzwi umieszczone w wewnętrznej ścianie. Ich zamek ma taką samą tandetną budowę jak pierwszy. Chciałbym poznać powód takiego dziwaczego układu, ale o to mogę pomartwić się później, bo teraz ma znaczenie tylko to, czy w środku pogrzebano, czy też nie pogrzebano Laury.

Otwieram drugie drzwi. Odpowiedź brzmi: nie, ale...

Wewnątrz znajduje się łóżko, rozścielone, jak gdyby pozostawione przez kogoś, kto spał

w nim niedawno; kołdra leży zsunięta na jedną stronę, tę, w którą prawdopodobnie mieszkaniec tego pomieszczenia wysunął się z łóżka. Toaleta, zlew, mały stolik i krzesła. Na przeciwległej ścianie widnieje fresk przedstawiający kwiaty i ptaszki, dokładnie taki sam jak w pokoju Laury w Hilgemannie.

Łóżko jest wciąż trochę ciepłe. Gdzie też zabrano ją w samym środku nocy? Być może wynikły komplikacje i musieli ją przenieść do szpitala. Przeszukanie pomieszczenia zajmuje mi trzydzieści sekund, ale jeśli o to chodzi, nie mam tu zbyt wiele do zrobienia. Już przecież sam fresk mówi wszystko. Laura tu była, zaledwie kilka minut temu, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. A to, że się z nią minąłem, to jedynie kwestia złego zgrania w czasie.

Ale wciąż może być wewnątrz budynku. Gdzieś na górze, poddawana nocnemu skanowi mózgu? BDI mogą być tak chętni, by ukończyć objęte kontraktem badania – cokolwiek by to za sobą pociągało – że pracują na okrągło przez całą dobę.

Wychodząc z wewnętrznego pomieszczenia, niemal skręcam w prawo, chcąc wrócić tą samą drogą, którą tu przybyłem, najkrótszą trasą na zewnątrz – lecz zmieniam zdanie i decyduję się dokończyć obchód przestrzeni pomiędzy ścianami.

Tuż za rogiem stoi kobieta, która wygląda dokładnie jak Han Hsiu-lien, oparta ze zmęczeniem o balkonik. Spogląda na mnie i wybuchą płaczem. Szybko do niej podchodzę i aplikuję jej środek uspokajający w postaci sprayu do nosa. Nogi uginają się pod nią; łapię ją pod pachami i zarzucam sobie na ramię. Niekoniecznie najbardziej łagodny rodzaj transportu, ale ręce będą musiał mieć wolne. Balkonik to dobry znak; być może nie powróciła jeszcze całkowicie do zdrowia, ale bez wątpienia można ją stąd zabrać, zbytnio nie szkodząc jej tym.

Kiedy już wydostaniemy się z budynku, w czasie wycinania dziury w ogrodzeniu mogę zadzwonić po karetkę.

Gdy odchodzę jakieś trzy kroki od zewnętrznych drzwi, dochodzący zza moich pleców męski głos stwierdza spokojnie:

– Nie odwracaj się. Odłóż broń i latarkę, a następnie kopnij je od siebie.

Kiedy to mówi, czuję, jak malutka, dokładnie wydzielona plamka ciepła rozlewa się z tyłu mojej głowy – laser podczerwieni ustawiony na minimalną moc. To więcej niż namacalne ostrzeżenie, że jestem na muszce. Jeżeli broń ustawiono na ogień automatyczny, to rozproszenie promienia lasera jest monitorowane i jakikolwiek nagły ruch z mojej strony wyzwoliłby w ciągu mikrosekund impuls o wysokim natężeniu.

Spełniam więc żądania.

– Teraz połóż ją ostrożnie na ziemi, a następnie złóż ręce na głowie.

Wykonuję i to. Laser przez cały czas gładko śledzi moje ruchy.

Mężczyzna mówi coś po kantońsku, wywołuję więc **Déjà Vu**, aby mi to przetłumaczył:

– Co chcesz, żeby z nim zrobić?

– Ja się nim zajmę – odpowiada kobiecie głos.

– Proszę, stój nieruchomo – mówi mężczyzna po angielsku.

W moim polu widzenia pojawia się chowająca broń kobieta. Z torebki umieszczonej przy pasie, tuż obok kabury, wyciąga małą strzykawkę. Przechodząc nad Laurą, jedną dłonią chwytą mnie za szczękę – *obniżam tempo pracy serca* – wbija igłę w żyłę z boku szyi –

*wstrzymuję przepływ krwi w tym rejonie* – a następnie naciska tłok.

Spowolnione krążenie da mi w najlepszym wypadku kilka sekund, ale to powinno wystarczyć **P1** na dokonanie oceny. Jeżeli była to substancja, którą mod potrafi zneutralizować, to nastąpi czas działania, gdyż laser będzie trzeba przełączyć z ognia automatycznego, o ile od samego początku nie planowano mnie spopielić w momencie, kiedy pod wpływem działania narkotyku będę się osuwał na podłogę. Jeżeli udam, że tracę przytomność, zatoczę się, okręcę wokół siebie kobietą jako tarczą, zabiorę jej broń...

Lecz **P1** nie podaje żadnego raportu. Staram się poruszyć palcem, jednakże bez skutku.

W chwilę później tracę przytomność.

Budzę się, nagi, leżąc na boku na betonowej podłodze. Bola mnie ramiona, ale kiedy staram się nimi poruszyć, chłodny metal wrzyna się w moje nadgarstki. Rozglądam się wokół.

Znajduję się w małym, wąskim magazynie, oświetlanym dzięki pojedynczemu, wysokiemu oknu.

Ręce mam przykute z tyłu do biegnącego wzdłuż całej długości ściany regału na metalowym szkielecie, wypełnionego szkłem laboratoryjnym.

**P5** nie może zlokalizować mojej pozycji, gdyż to zależy od nałożenia się wielu percepcyjnych wskazówek, zmysłu równowagi i propriocepcji, i jest dokładne co do milimetra, kiedy jesteś przytomny i poruszasz się o własnych siłach, lecz kompletnie bezużyteczne, kiedy czymś cię naszprycowano i gdzieś zawleczono. W każdym razie **P5** utrzymuje, że jest pewien co do czasu: 15:21, 5 stycznia. Zegary kilku innych modów potwierdzają tę wiadomość, a wątpię, by działanie narkotyku zakłóciło je wszystkie dokładnie w taki sam sposób.

W ciągu piętnastu godzin mogłem zostać przetransportowany do jakiegokolwiek miejsca na kuli ziemskiej... gdziekolwiek, gdzie o 15:21 czasu środkowoaustralijskiego jest, sądząc ze światła dostającego się z zewnątrz, poranek bądź popołudnie. Poniewczasie wpada mi myśl, aby przejrzeć znajdujący się w mojej głowie plan budynku w poszukiwaniu pomieszczeń o przystających wymiarach. Znajduję po jednym na każdym piętrze. *Culex* w żadnym z nich nie dostrzegł nic wartego sfotografowania, ale szkieletowe zarysy, które rejestrował

automatycznie, są wystarczająco szczegółowe, by umiejscowić mnie na czwartym piętrze.

Mam założone dwie pary kajdanek; jedna z nich została przewleczona przez szczelinę w pionowym stelażu regału. Sam regał nie jest przymocowany do ściany i nawet niewielkie przeniesienie mojej wagi powoduje grzechotanie szkła. Mógłbym spróbować podpiłować łańcuch kajdanek o krawędź szczeliny, ale nawet jeżeli nikt mnie nie obserwuje, to wszystkim, co uda mi się w ten sposób osiągnąć, będzie lawiną szkła.

W porządku, utknąłem tutaj.

Z kim więc mam do czynienia?

Wciąż możliwe, że BDI jest, dokładnie tak jak utrzymuje: firmą, której pracownicy zajmują się kontraktowymi badaniami biomedycznymi i być może nie mają żadnych powodów, aby czuć jakiegokolwiek wyrzuty sumienia z powodu porwania. Zostali wynajęci przez firmę – producenta farmaceutyku, który uszkodził mózg Laury, *in utero*, trzydzieści pięć lat temu. Firma X

podjęłaby ryzyko zaangażowania ludzi z zewnątrz, ale być może mniejsze, niż gdyby starała się zajmować Laurą w miarę własnych możliwości na swoim terenie. Firma X być może posiada mnóstwo lojalnego personelu, ale prawdopodobnie jedynie garstka z nich to kryminaliści, podczas gdy BDI może specjalizować się tylko w usługach tego rodzaju.

Wszystko to brzmi równie wiarygodnie jak moje pozostałe teorie, nawet jeżeli lista niewytłumaczalnych faktów, których nie wyjaśnia, wciąż rośnie w oczach. Wyznanie Caseya.

Architektura pomieszczenia w piwnicy. Laura włączająca się w przestrzeni pomiędzy ścianami wybudowanego specjalnie na zamówienie więzienia. Wszystko to sugeruje jeszcze jedno rozwiązanie, które być może wszystko tłumaczy, ale przy okazji wcale nie brzmi wiarygodnie: Laura rzeczywiście uciekła z Hilgemanna. Bez niczyjej pomocy. Dwukrotnie. Dlatego właśnie została porwana. Bo ktoś się o tym dowiedział. Ktoś, kto był przekonany, że mógłby odpowiednio wykorzystać jej umiejętności. Właśnie w tym celu zbudowano pomieszczenie o podwójnych ścianach – jako test dla upośledzonej kobiety, która niczym magik potrafi uwalniać się z więzów i zamknięć. A kiedy na nią wpadłem, była właśnie w trakcie zdawania swojego egzaminu.

Co jednak ubiegłej nocy sprowadziło na dół strażników? Musiałem oczywiście uruchomić jakiś rodzaj alarmu – ale jeżeli kameleony nie pokpiły sprawy, pomieszczenie nie było pod obserwacją żadnego urządzenia podłączonego do stanowiska ochrony budynku. Gdyby jednak Laura nie była traktowana jako rutynowe zadanie ochrony, ale jako przedmiot eksperymentu, to fakt, że była pod obserwacją zupełnie odrębnego systemu, nie byłby niczym dziwnym.

A dlaczego BDI wykonuje mapy nerwowe? Cóż, nie ma to nic wspólnego z negocjowaniem odpowiedzialności za wrodzone uszkodzenia mózgu. Starają się jedynie zidentyfikować ścieżki czyniące z Laury największy hit od czasów Houdiniego, w nadziei, że umożliwi im to zakodowanie tego talentu w formie modu. Dlaczego przemycili ją za granicę jako trupa, a niejako pasażerkę z modem marionetki? Ponieważ nie chcieli mieszać w jej mózgu i ryzykować zniszczeniem tego, co sprawiało, że całe jej porwanie stawało się opłacalne.

Wszystko doskonale do siebie pasuje.

Jedynym problemem jest to, że nie potrafię tego przełknąć.

Bo jaki to hipotetyczny talent mogłaby posiadać Laura, który umożliwiałby jej ucieczkę z zamkniętych pomieszczeń, bez jakichkolwiek narzędzi? To wystarczająco wątpliwe, nawet gdyby przyjąć postulat, że potrafi intuicyjnie zrozumieć zasady działania urządzeń bezpieczeństwa – ale co może zrobić z zamkiem czy kamerą bezpieczeństwa człowiek, i to nieważne jak utalentowany, który ma do dyspozycji jedynie własne ręce? Dwieście lat badań naukowych potwierdziło, że telekineza nie istnieje. Znikome pole elektromagnetyczne ludzkiego ciała – nawet gdyby istniała możliwość jego kontroli – jest około miliona razy za słabe, by chociażby w najmniejszym stopniu można było go użyć do otwierania elektronicznych zamków. I nie może tego zmienić żaden stopień przypadkowego uszkodzenia mózgu – nie bardziej, niż gdyby jakieś nowatorskie programowanie dało komputerowi możliwość lewitacji.

W jaki więc sposób się wydostała?

Wciąż rozważam ten problem, kiedy otwierają się drzwi. Młody mężczyzna rzuca na podłogę obok mnie stos ubrań, a następnie sięga po broń i pilota zdalnego sterowania, którego skierowuje na kajdanki. Natychmiast aktywuję **RedNet**, w nadziei przechwycenia wymiany sygnału. Kajdanki się otwierają, ale nie wyłapuję niczego – używana częstotliwość musi się znajdować poza zakresem

moich komórek nadawczo-odbiorczych.

Mężczyzna stoi w drzwiach z wycelowaną we mnie bronią.

– Proszę się ubrać.

Rozpoznaję głos z ubiegłej nocy. Mężczyzna ma rzeczowy wyraz twarzy, bez śladu samozadowolenia czy bojowości, bez wątpienia posiada własne mody optymalizacji behawioralnej.

Ubrania są nowe i pasują doskonale. W związku z utratą całego poupychanego po ukrytych kieszeniach sprzętu **P3** odmawia mi możliwości czegokolwiek poza stoicyzmem, lecz nawet wtedy, w chwilę po tym jak się ubrałem, jakaś część mojego mózgu wyświetla zbyteczne ostrzeżenie dotyczące nieobecności zwyczajowego wyposażenia uspokajających pakiecików.

– Załóż jedną parę kajdanek za plecami.

Kiedy już to robię, zawiązuje mi oczy, a następnie wyprowadza z pokoju, idąc tuż obok mnie, jedną ręką trzymając łańcuch kajdanek, drugą przykładając broń do mojej klatki piersiowej.

Po drodze nie dochodzi do mnie zbyt wiele: wyrwane z kontekstu fragmenty rozmów po kantońsku i angielsku, mijające nas odgłosy kroków na dywanie, gdzieś w oddali cichy szum urządzeń. Wyłapuję słaby zapach organicznych rozpuszczalników. **P5** śledzi moją lokalizację dosyć dokładnie, tak jakby miało to jakieś znaczenie. Kiedy się zatrzymujemy, zostaję wepchnięty na fotel, a broń przesuwana się ku mojej skroni.

– Kto cię wynajął? – bez żadnych wstępów rozpoczyna zwrócona przodem do mnie kobieta, znajdująca się w odległości kilku metrów.

– Nie wiem.

Wzdycha.

– Co masz nadzieję osiągnąć, zachowując się w ten sposób? Może wydaje ci się, że z twojego powodu przelecimy przez wszystkie technologiczne nowinki? Sera prawdy, mody prawdy, mapowanie nerwowe – i to wszystko w pogoni za wspomnieniami, które mogą, chociaż wcale nie muszą, okazać się sfalszowane bądź wymazane? Jeżeli ci się wydaje, że w ten sposób zyskujesz na czasie, to jesteś w błędzie. Nie mam najmniejszej ochoty wydawać setek tysięcy dolarów na zabawę z twoim mózgiem. Jeżeli powiesz nam prawdę, a twoja historia podpasuje nam do tego, co już wiemy, będziemy łagodni. Ale jeżeli nie będziesz współpracować, tu i teraz, to zabijemy cię, również tu i teraz.

Jest spokojna, ale nie jest to spokój osiągnany za pomocą modu. Jej ton zasmuconej protekcjonalności brzmi jak nieudana próba bycia chłodno onieśmielającą. Co niekoniecznie oznacza, że blefuje.

– Mówię prawdę. Nie mam pojęcia, kim jest mój klient. Wynajęto mnie anonimowo.

– I nie potrafię zgłębić tej anonimowości?

- Takie próby nie należały do mojego zadania.
- W porządku. Ale musiałeś sformułować sobie jakiś rodzaj hipotezy roboczej. Kogo podejrzewasz?
- Kogoś, kto wierzy, że Laurę zabrano przez przypadek. Kogoś, kto obawia się, że prawdziwym celem porywaczy w Hilgemannie był jego krewny.
- Kto dokładnie?
- Nigdy nie doszedłem do prawdopodobnego kandydata. Kimkolwiek by był, zrobiłby wszystko co w jego mocy, aby ukryć więzy rodzinne. Cały pomysł, że porywacze mogli zabrać niewłaściwą osobę, miałby sens jedynie w przypadku osoby, która zrobiła bardzo wiele, aby zataić tożsamość swojego krewnego. Nie poszedłem tym tropem. Miałem ważniejsze sprawy na głowie.

Waha się, ale wreszcie tak to pozostawia.

- A jak śladem Laury trafiłeś do nas?

Mówię dosyć obszernie o zdjęciach rentgenowskich z manifestów ładunkowych i o danych z hurtowni farmaceutycznych.

- Czy ktoś jeszcze wie o tym?

Fikcyjność jakiegokolwiek wymyślonego powiernika byłaby łatwa do udowodnienia.

Mógłbym utrzymywać, że posiadam oprogramowanie, które działając w sieci publicznej, jest zakamuflowane i poza wszelkim zasięgiem, a które w przypadku mojego zniknięcia gotowe jest ujawnić wszystko policji NHK – ale nie byłaby to groźba. Gdybym bowiem posiadał

wystarczające dowody, aby przekonać gliniarzy, to udałbym się do nich już na samym początku, a nie włamywałbym się tutaj.

- Nikt.

- Jak dostałeś się do budynku?

I znów, kłamstwem nic bym nie zyskał. Do tej pory musieli już sobie poskładać do kupy większość szczegółów. Potwierdzenie tego, co już jest im znane, może mnie tylko bardziej uwiarygodnić w ich oczach.

- Co wiesz o przeprowadzanych tu badaniach?

- Tyle co z reklam. Kontraktowe badania biologiczne.

- Dlaczego więc uważasz, że interesujemy się Laurą Andrews?

- Jeszcze tego nie rozgryżłem.

– Ale musisz mieć jakąś teorię.

– Już nie.

Istnieją specjalistyczne mody, dzięki którym można kłamać w przekonujący sposób – tak by pod względem napięcia głosu, temperatury skóry, częstości akcji serca i tym podobnych odpowiadać jak zwykły człowiek, który jest święcie przekonany, że mówi prawdę – ale osobiście nie potrzebuję żadnego z nich. Sam **P3** sprawia, że wszelkie takie zmienne kompletnie nic nie znaczą.

– Nic, co pasowałoby do faktów.

– Nie?

Nie brak mi mało prawdopodobnych wyjaśnień, które mógłbym podać na potwierdzenie własnej ignorancji. Powtarzam więc każdą hipotezę, która przeleciała mi przez głowę w ciągu ostatnich ośmiu dni, jakkolwiek nieudolnie by brzmiała. Zostawiam sobie tylko Firmę X i ich pozwy związane z wrodzonymi wadami oraz Laurę – magika od ucieczek. Niemalże dochodzę do punktu, w którym mam wspomnieć o moich obawach związanych z zaangażowaniem w sprawę Dzieci, ale powstrzymuję się, bo teraz brzmi to tak głupio, że jestem przekonany, iż zabrzmiałoby to jak oczywiste kłamstwo.

Kiedy wreszcie kończę, kobieta rzuca: „W porządku”, ale nie mówi tego do mnie. Strażnik odsuwa broń od mojej głowy, jednak pozostaję na krześle i nagle dociera do mnie, co się za chwilę stanie. Doznaję krótkotrwałego uczucia czystej frustracji – *nieprzytomny przez większość czasu, z zasłoniętymi oczami przez resztę, w jaki sposób mam tu cokolwiek odkryć?*

– nim **P3** tłamsi ten bezproduktywny poryw. Igła wchodzi w żyłę, narkotyk wpływa do mojego krwiobiegu. Nie walczę z tym, bo nie miałoby to żadnego sensu.

Budzę się na łóżku i nie jestem nawet skuty. Rozglądam się wokół – znajduję się w małym, prawie pustym mieszkanku. Człowiek, którego wcześniej nie widziałem, siedzi w kącie na krześle, z opartą na kolanach bronią, obserwując mnie z nie wyrażającą niczego twarzą.

Dochodzą do mnie dźwięki ze znajdującej się poniżej – piętnaście, może dwadzieścia pięter – ulicy. Jest siódma czterdzieści siedem, 6 stycznia.

Podnoszę się z łóżka i ruszam w kierunku łazienki. Strażnik nawet nie drgnął, aby mnie powstrzymać. Odkrywam tam toaletę, prysznic, umywalkę, nie dające się otworzyć okno o boku około trzydziestu centymetrów, z taflą wytłaczanego szkła, które nie przepuszcza z zewnątrz żadnego wyraźnego obrazu, oraz kratkę wentylacyjną w suficie, wielkości połowy okna. Sikam, następnie myję ręce i twarz. Nie zakręcając wody, szybko przeszukuję pomieszczenie, lecz nie odnajduję niczego, co chociażby w najmniejszym stopniu mogło mi posłużyć jako broń.

Resztę mieszkania stanowi pojedynczy pokój, a w jednym z jego rogów znajduje się kuchnia – mała, odłączona od prądu lodówka z uchylonymi drzwiami, mikrofalówka i elektryczne płyty grzewcze



wbudowane w ladę kuchenną. Ponad zlewem znajduje się okno z zaciągniętymi żaluzjami. Ruszam w tamtym kierunku, ale strażnik mówi:

– Nie ma tam nic, czego byś potrzebował. Śniadanie jest w drodze.

Kiwam głową i wracam. Krążę obok łóżka, starając się rozruszać zdrętwiałe mięśnie.

Po chwili kolejny mężczyzna przynosi karton wypełniony różnym jedzeniem na wynos i kawą. Jem, siedząc na łóżku. Strażnik nie przyłącza się do posiłku i ignoruje wszelkie podejmowane przeze mnie próby nawiązania rozmowy. Tylko jego oczy wędrują za mną, więc od czasu do czasu wygląda, jak gdyby znajdował się w jakimś stuporze, ale dokładnie zdaję sobie sprawę, w jakiej gotowości jest naprawdę. Sam spędziłem w podobnym stanie wiele dwunastogodzinnych obserwacji. Kiedy mod gwarantuje twoją czujność, jesteś dosłownie niezdolny do czegokolwiek innego – nuda, rozproszenie uwagi bądź niecierpliwość stają się po prostu niedostępnymi stanami umysłu. Kiedy jestem rozbrojony, to mogę sobie żartować na temat bycia zombie, ale uzbrojony, nie mam żadnych wątpliwości, że to właśnie tu leży prawdziwa siła neurotechnologii. Nie w tworzeniu nowych niespotykanych stanów mentalnych, ale w świadomym, dokonanym z premedytacją ograniczeniu możliwości, na skupieniu i poddaniu kontroli aktu wyboru.

Częściowo oczekuję, że jak tylko skończę jeść, znów zostanę oszołomiony narkotykami, ale nic takiego nie ma miejsca. Nie przeciągam więc struny swojego szczęścia i leżę na łóżku, gapiąc się w sufit, jak na modelowego więźnia przystało, zapobiegając w ten sposób jakiegokolwiek potrzebie unieruchomienia. Nie mam zamiaru stwarzać najmniejszych problemów moim ciemnościom, przynajmniej do czasu, gdy szanse, że przyniesie mi to jakieś pozytywne skutki, nie będą o wiele większe.

A co, jeżeli nie nadarzy się żadna taka okazja?

Co, jeżeli nie będę mógł uciec?

Zabicie mnie byłoby pod wieloma względami najprostszym rozwiązaniem. Ale jakie są inne możliwości? Co mogła nieść ze sobą obietnica przesłuchującej mnie kobiety dotycząca łaskawości – przyjmując, na potrzeby obecnych rozważań, że w ogóle cokolwiek oznaczała?

Być może wymazanie pamięci. I to dość bezceremonialne. Jeżeli BDI nie miała zamiaru wydawać fortuny na mapowanie mojego mózgu, aby wydostać stamtąd potrzebne im informacje, to tym bardziej nie będą mieli ochoty robić tego z troski o integralność mojej osobowości. Naturalna ludzka pamięć nie ewoluowała w celu łatwej odwracalności; eliminacja określonego fragmentu wiedzy, z równoczesnym pozostawianiem w nietkniętym stanie całej reszty, jest poważnym zadaniem obliczeniowym. Jedynym sposobem, aby równocześnie wyszło to tanio i dokładnie, jest polecieć po pamięci szerokim łukiem.

Martwy, z wymazaną pamięcią, ewentualnie wolny. W kolejności zmniejszającego się prawdopodobieństwa. Jak mógłbym zmienić taką kolejność? Jak mogę żywić nadzieję, że odkryję – bądź też wymyślę – jakiś powód, by moi ciemności utrzymali mnie przy życiu, i to w nienaruszonym stanie, kiedy wciąż jeszcze nie wiem, ani kim oni są, ani do czego zmierzają?

A jak mogę mieć nadzieję, że uda mi się to odkryć, skoro pozbawiono mnie możliwości zbierania informacji?

Wciąż posiadam wewnątrz głowy pochodzące od *Culem* zdjęcia. Przeglądam je po raz kolejny, jedno za drugim, z nadzieją, że mogłem nie zauważyć jakiegoś wyjątkowo ważnego szczegółu. Wszystkie ujęcia ekranów stacji roboczych są wypełnione informacjami – ale sekwencje DNA, modele białek i mapy nerwowe niezbyt wiele mi mówią. Potrafię je „czytać” –

w takim samym sensie, jak dziecko potrafi odróżnić wszystkie pojedyncze litery najbardziej nawet złożonego fragmentu tekstu – ale nie mam szans, by rozpoznać którąkolwiek z przedstawianych tu struktur, nie wspominając już o wywnioskowaniu czegokolwiek na temat ich funkcji czy kontekstu.

Znowu dostaję jeść. Strażnik się zmienia. Godzinami zongluję wewnątrz głowy faktami, ale z posiadanych przeze mnie sprzeczności nie krystalizuje się nic nowego. Ucieczka wciąż pozostaje równie niemożliwa jak do tej pory. Atak na strażnika byłby samobójstwem; wyskoczenie się przez okno i upadek na ulicę miałby marginalnie mniejsze prawdopodobieństwo pozbawienia mnie życia – z tym wyjątkiem, że i tak prawdopodobnie zostałbym zastrzelony gdzieś w połowie drogi przez pokój.

Wraz z topnieniem możliwości, **P3** wydaje się wciągać mnie coraz głębiej w stan obojętności. Chce, bym zebrał więcej informacji, równocześnie zdając sobie sprawę, że znajduje się to poza moimi możliwościami. Chce, bym skoncentrował się na możliwych strategiach przetrwania, równocześnie przyjmując do wiadomości, że żadne nie istnieją. Co też zamierza zrobić, kiedy wszystkie jego cele zostaną wykluczone, kiedy wszystkie jego złożone kryteria optymalizacji zostaną pozbawione znaczenia? Wyłączy się? Podziękuje za współpracę? Da mi wolną rękę w wyborze równie daremnych możliwości?

Pod wieczór mężczyzna, który doprowadził mnie wczoraj na przesłuchanie, wchodzi do pokoju, rzucając na łóżko parę kajdanek.

– Załóż je z tyłu.

I co teraz? Kolejna seria pytań? Wstaję, podnoszę kajdanki. Drugi strażnik wymierza broń w moje czoło, przelączając ją na ogień automatyczny.

– Dokąd mnie zabieracie?

Nikt mi nie odpowiada. Waham się, wreszcie je zatraskuję. Pierwszy mężczyzna podchodzi do mnie, w jego rękach pojawia się strzykawka. Wszystko wygląda już jakby znajomo.

Taaa. Codzienna rutyna. Nie ma się czego obawiać. Jakiż lepszy sposób, żeby to zrobić?

Strzykawka ma ten sam bladoniebieski kolor co poprzednio, ale jego palce zasłaniają mi umieszczone na niej oznaczenia.

– Nie możesz mi powiedzieć, gdzie idziemy?

Ignoruje mnie i zdejmuję osłonkę z igły. Patrzy mi prosto w oczy, ale posiadane przez niego mody obdarły go ze wszystkiego, nie ma nic, co mogłyby zdradzić jego oczy.

– Ja tylko...

Przykłada dwa palce do mojej szyi i naciąga skórę. Mówię spokojnie:

– Chcę znów porozmawiać z twoją szefową. Jest coś, czego jej nie powiedziałem. Coś ważnego, co muszę jej wyjaśnić.

Zero reakcji. Broń jest ciągle ustawiona na ogień automatyczny, więc jeżeli zacznę się szamotać, to bez wątpienia skończę martwy. Igła wbija się w ciało. Nie pozostało nic, tylko czekać.

Otwieram oczy i mrugam, wpatrując się w jasny sufit, następnie rozglądam się wokół.

Nigdzie mnie nawet nie przeniesiono. Jestem co prawda w stanie rozbrojonym. Jest 16:03, 7

stycznia. Krzesło strażnika – mimo iż wciąż znajduje się w kącie – jest puste.

Przez chwilę leżę w doskonałym bezruchu, czując odrętwienie i dezorientację. Kiedy staram się stanąć na nogach, uświadamiam sobie, że jestem o wiele słabszy, niż mi się wydawało. Siadam na skraju łóżka, opieram głowę na kolanach i staram się pozbierać myśli.

Moje ciało przenika fala czystej, duszącej klaustrofobi . Mogłem umrzeć jak posłuszny mały robocik. To jest najgorsze – sposób, w jaki z pełnym spokojem akceptuję utratę nadziei, ograniczenie możliwości, każdy kolejny krok na tej drodze. Sam wykopałbym sobie pieprzony grób – wystarczyłoby tylko poprosić.

Ale tak się nie stało. Dlaczego więc wciąż jeszcze żyję? Dlaczego podano mi środki uspokajające? Jeżeli grzebali w mojej pamięci, to wykonali kawał nieskazitelnej roboty, co –

biorąc pod uwagę okoliczności – nie jest zbyt prawdopodobnym wyczynem. (Z drugiej jednak strony, być może przeznaczyli na to rok, a wszystko, co przekonuje mnie, że jest inaczej, zostało sfabrykowane).

Kiedy ktoś otwiera drzwi, spoglądam w ich kierunku. Strażnik, który zrobił mi wczoraj zastrzyk, wchodzi do pokoju; jest uzbrojony, ale jego broń znajduje się w kaburze, jak gdyby zdawał sobie sprawę z mojego stanu. Być może wykasowali moje mody uzbrajające.

Sprawdzam **P3**; wciąż istnieje. W ostatniej chwili powstrzymuję się przed jego uruchomieniem.

Strażnik rzuca coś w moim kierunku. Nawet nie staram się tego złapać. Rzecz ląduje u moich stóp – klucz magnetyczny.

– To od drzwi frontowych – stwierdza.

Wpatruję się w niego. Wydaje się być niemal zażenowany i bez względu na to, z jakimikolwiek

behawioralnymi modami bym go wcześniej widział, to teraz stwierdziłbym, że ma je wyłączone. Chwyta za krzesło stojące w kącie pokoju i przystawia je sobie do łóżka.

Następnie siada na nim, przodem do mnie.

– Spokojnie, w porządku. Nazywam się Huang Qing. Mam ci coś do powiedzenia.

– Co? – Zaczyna mi się wydawać, że znam odpowiedź. Ponownie się zastanawiam, czy nie uzbroić – po to by wytłumić cios, oszczędzić sobie szoku – ale wtedy uświadamiam sobie, że najprawdopodobniej nie ma takiej potrzeby.

– Zostałeś zwerbowany – mówi ostrożnie. – Przez Ansambl.

„Ansambl”. Wyrażenie wiruje w mojej głowie, naciskając przyciski, przestawiając przełączniki. Przez moment cała nowiutka i nietknięta maszyna jest dla mnie wyraźnie widoczna; doskonale zarysowana, oddzielna i zrozumiała – jakkolwiek być może jest to złudzeniem, efektem ubocznym bądź też błędem w oprogramowaniu. W każdym razie w chwilę później owa intuicja (czy też miraż) odpływa, a ja nie potrafię już opisać w najdrobniejszych szczegółach tego, co mi zrobiono, podobnie jak przez samoobserwację nie potrafię określić, które neurony poruszają moimi jelitami, a które są odpowiedzialne za pracę mojego serca.

– W porządku?

– Tak – I jest to zgodne z prawdą, nic mi nie jest. Czuję jakieś abstrakcyjne przerażenie, ogarniające mnie wraz z odległą, niemal sumiennie wzbudzaną wściekłością – ale bezbrzeżna ulga z powodu poznania wreszcie mojego przeznaczenia i zrozumienia jego sensu przerasta je obie.

To właśnie mieli na myśli, mówiąc o łagodności. Żyję. Moja pamięć pozostała nietknięta. Nic mi nie odebrano – coś jednak zostało dodane.

Nie mam pojęcia, czym jest Ansambl. Z wyjątkiem tego, że jest teraz najważniejszą rzeczą w moim życiu.

## **CZEŚĆ DRUGA**

Po wyjściu Huanga przez kilka minut krążę po mieszkaniu, układając sobie w głowie listę koniecznych zakupów. Ubrania, które miałem na sobie podczas włamania do budynku BDI, zostały zniszczone, ale zwrócono mi portfel, w nienaruszonym stanie. Wtedy przypominam sobie, że moje rzeczy ciągle znajdują się w pokoju w „Renaissance”, gdzie wciąż mam otwarty rachunek. Wkładam do kieszeni klucz od drzwi wejściowych i schodzę po schodach na ulicę, a tam dzięki znakom drogowym orientuję się w moim położeniu. Znajduję się zaledwie kilka kilometrów na południe od hotelu, ruszam więc pieszo.

Nie mogę przestać wyobrażać sobie, co robiłbym dokładnie w tym momencie, gdyby wciąż dochodziły do głosu moje poprzednie priorytety – a nowy mod nijak nie cenzuruje tych spekulacji. Nieprzerwanie przelatują mi przez głowę scenariusze; absurdalne rojenia dotyczące opanowania modu jakimś heroicznym wysiłkiem woli, wystarczająco długim, by oddać się w ręce neurotechnika mogącego mnie od niego uwolnić. Nie mam żadnych wątpliwości, że

„chciałbym” dokładnie tego, ale jestem równie mocno przekonany, że nie tego chcę obecnie.

To rozstrojenie jest irytujące, ale nie jest mi obce; moje dawno wyparte cele uwierają mnie niczym uporczywe, aczkolwiek nieszczerze wyrzuty sumienia.

Wilgotność powietrza dusi, a ulice są zatłoczone ludźmi; z pewnym mechanicznym uporem kluczę pośród tłumu, który wyległ w sobotnią noc. Przechodzę przez środek gangu małolatów, sześćdziesięciorga lub nawet więcej nastolatków obu płci. Wszyscy mają na twarzach identyczne, drwiące uśmiechy, wszyscy są wymodelowani na podobieństwo tej samej kultowej gwiazdy wideo, wszystkich ozdabiają jednakowe migoczące i świecące tatuaże, które przechodzą w doskonałej synchronizacji przez te same cykle psychodelicznych wzorów. Jak zapewnia mnie **Déjà Vu**, nie szukają kłopotów. Po prostu chcą się rzucić w oczy.

Kiedy docieram do hotelu, nie widzę powodu, aby zwlekać. Szybko pakuję walizkę i wymeldowuję się w recepcji. Okrężną drogą, przez lotnisko, wracam do domu. Nie jestem do końca pewny powodów wyboru takiej trasy. Po części kieruje mną zwykła ciekawość, aby się przekonać, czy w jakikolwiek sposób jestem namierzany bądź śledzony, ciekawość, by poznać rzeczywiste granice zaufania, jakim mnie obdarzają ludzie z BDI. Wpada mi do głowy pomysł, by przemaszerować do terminala pasażerskiego i kupić tam bilet, po to tylko, by sprawdzić, czy zostanę w jakiś sposób powstrzymany, ale po chwili wydaje mi się to dosyć dziecinnyim zagranem i ruszam przed siebie.

Po części oczekuję, że zacznę słyszeć głosy czy też mieć jakieś wizje, jakkolwiek wiem bardzo dobrze, że takie prymitywne techniki są przestarzałe. Mody lojalności nie szepczą propagandy wewnątrz twojej czaszki. Nie bombardują cię obrazami przedmiotu oddania z równoczesną stymulacją centrów przyjemności w twoim mózgu ani nie paraliżują bólem i nudnościami, jeżeli tylko zboczysz z właściwej drogi. Nie mącą ci w głowie błogą euforią ani gorączkową gorliwością; nie oszukują cię, byś zaakceptował jakąś wadliwą, aczkolwiek elegancką porcję kazuistyki. Żadnego prania mózgu, żadnego uwarunkowania, żadnej perswazji. Mod lojalności nie jest czynnikiem wprowadzającym zmiany, jest produktem końcowym, *fait accompli*. Nie jest on powodem wiary,

lecz samą wiarą, ucieleśnieniem tej wiary czy może raczej – ciałem, które zamieniono w wiarę.

Co więcej, neurony, których w nim użyto, są „zablokowane”, gdyż fizycznie odebrano im możliwość kolejnych zmian. Twoja wiara jest nietykalna.

Nie potrafię się zdecydować, czy cała ta wiedza sprawia, że stan, w jakim się znalazłem, jest bardziej, czy też mniej dziwaczny. Mod nie staje mi na drodze przemyśleń dotyczących własnych efektów; prawdopodobnie zalety, jakie niesie ze sobą zezwolenie na ogarnięcie tego, co się ze mną dzieje, przeważają nad jakimkolwiek konfliktem pomiędzy szczerością moich uczuć a moją własną świadomością ich pochodzenia. Mimo wszystko gdybym nie miał pojęcia, dlaczego w ten sposób odbieram Ansambl, prawdopodobnie zwariowałbym, próbując to sobie wyjaśnić. Mod bez wątpienia można było zaprojektować w taki sposób, by trwał w ukryciu i podejmował kroki uniemożliwiające mi nawet pojedyncze chwile rozważań, czym też

„oberwałem” – ale takiej cenzurze trudno byłoby przejść niezauważonej, o ile przy okazji nie zredukowałaby mózgu użytkownika do stanu graniczącego z niedorozwojem umysłowym.

Zamiast tego rozum i pamięć pozostawiono mi nietknięte (przynajmniej w stopniu, w jakim sam mogę to ocenić), a także dano mi wolną rękę w odnalezieniu własnej drogi dojścia do ładu z zaistniałą sytuacją.

Ansambl, jak wyjaśnił mi Huang, jest międzynarodowym sojuszem zespołów badawczych.

BDI jest grupą przewodniczącą tego sojuszu. Praca, jaką wykonują, jest przełomowa, a ja mam zagrać niewielką rolę w zapewnieniu kontynuacji takiego stanu rzeczy. Wciąż odczuwam otępienie spowodowane niewielkim szokiem, ale kiedy przemija, zaczynam sobie uświadamiać, jak bardzo ekscytują mnie moje perspektywy na przyszłość. Ansambl jest dla mnie ważny, a sam fakt, że zawdzięczam to nanomaszynom, które przepięły fragment mojego mózgu, a nie jakimś bardziej tradycyjnym powodom, wcale nie czyni tego mniej prawdziwym.

Oczywiście, mówiąc ogólnie, grzebanie w ludzkim mózgu wbrew woli jego właściciela jest obrzydliwą praktyką, ale ze względu na coś tak istotnego jak bezpieczeństwo Ansamblu było to całkowicie usprawiedliwione. Pewnie jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu mogłem odbierać BDI jako moich przeciwników – ale fakt ten nie był dokładnie kamieniem węgielnym mojej tożsamości. Jestem tą samą osobą co kiedyś, tyle że mam teraz nową drogę życiową i jestem wierny zupełnie innym osobom. Do tego się to wszystko sprowadza.

Zatrzymuję się na posiłek w małej zatłoczonej jadłodajni, a równie dobrym powodem, że to robię, jest chęć odciążenia własnych myśli od tych rozważań. Odkrywam, że im dłużej powstrzymuję się od bezcelowego roztrząsania własnej sytuacji, tym lepiej jest mi z tym. Będę pracował dla Ansamblu! Czegóż więcej mógłbym pragnąć? I być może mimo wszystko przemawia przeze mnie moje uwarunkowanie – mod nagradzający mnie za przyjęcie właściwego nastawienia – ale jakoś nie wydaje mi się, by to było powodem. Z pewnością znużenie związane z roztrząsaniem powodów własnego szczęścia jest jak najbardziej naturalną ludzką reakcją.

Tuż po północy wracam do mieszkania.

– Powiedz mi: zakochałeś się? Czy też zostałeś nawrócony? – pyta Karen.

Odsyłam ją z powrotem.

Leżąc w ciemnościach nic jednak nie mogę na to poradzić i staram się roztrząsać wszystko po raz kolejny.

Mody lojalności są obsceniczne, ale Ansambl wykonuje ważną pracę, więc muszą się chronić, a ja nie chciałbym, aby było inaczej.

Dlaczegoż więc uważam, że ich praca jest ważna, skoro nie mam nawet pojęcia, czym się zajmują? To oczywiste – z powodu modu lojalności.

Świadomość, że moje uczucia zostały mi fizycznie narzucone, nie zmniejsza wcale ich siły.

Część mnie uważa to za paradoksalne, część – za oczywiste. I mogę się zajmować rozważaniem tej sprzeczności dopóty, dopóki nie popadnę w obłąd – lub też dopóki nie zacznę mi się wydawać kompletnie bezprzedmiotowa – ale nic nie mogę zrobić, aby to zmienić.

I nie wierzę, bym stracił zmysły. Żyję z **P3**. Żyję z Karen. Nigdy co prawda nie zainstalowano mi modu wbrew mojej woli, ale rządzące tym zasady są tutaj takie same.

Głęboko wewnątrz, już dawno temu musiałem przyjąć do wiadomości fakt, że moje emocje, pożądania czy wartości są uzależnione od anatomii. Na tym poziomie nie istnieją żadne paradoksy, żadne sprzeczności, nie ma zupełnie żadnych problemów. Coś poprzestawiano w tym znajdującym się w mojej czaszce kawałku mięsa. Tak można wszystko wyjaśnić najprościej.

A jeśli chodzi o świat pożądań i wartości? Chcę służyć Ansamblowi, i to bardziej, niż chciałem czegokolwiek do tej pory. A wszystko, co muszę zrobić, to odnaleźć sposób pogodzenia tego z moim wewnętrznym poczuciem własnego ja.

Huang wraca rano, by pomóc mi się zorganizować. Z BDI w roli moich sponsorów imigracja jest zwykłą formalnością. Umawiam się z ludźmi od przeprowadzek, by spakowali i przesłali tutaj zawartość mojego mieszkania w Perth. Przeniesienie moich kont bankowych z jednego kraju do drugiego oraz zmiana podstawowego fizycznego adresu moich numerów komunikacyjnych jest zaledwie kwestią kilku sekund.

Mój klient ma planowo zadzwonić dwunastego, po codwutygodniowy raport o postępach śledztwa. Nagrywam na **The Night Switchboard** wiadomość – która zostanie odegrana po podaniu hasła przekazanego jeszcze w czasie naszego pierwszego kontaktu (hasło zna mod, ale ja sam nie mam o nim żadnego pojęcia) – stwierdzającą, że z powodów zdrowotnych porzuciłem sprawę i proszę o podanie numeru konta, na które będę mógł zwrócić honorarium.

Kiedy tak porządkuję wszelkie niedokończone sprawy mojego dawnego życia, odkrywam, o ile więcej sensu miała moja rekrutacja niż pozbawienie mnie życia. Dzięki temu nie ma ciała, którego należałoby się pozbyć, żadnych danych, które należałoby wymazać, żadnego policyjnego śledztwa,

które należałoby sprowadzić na manowce. Na jedyne wymagane oszustwo złożyło się użycie kilku białych kłamstw – a czegoż więcej chcieć od zbrodni doskonałej niż szczerzej współpracy samej ofiary?

Po południu Huang oprowadza mnie po BDI.

Pracuje tu około setki osób, przeważnie naukowców i techników, lecz zostaje mi przedstawiona zaledwie drobna część struktury organizacji. Chen Ya-ping (kobieta, która mnie przesłuchiwała) jest odpowiedzialna za bezpieczeństwo, lecz równocześnie pełni obowiązki administracyjne i naukowe; jej oficjalny tytuł to „menedżer służb pomocniczych”. Przepytuje mnie raz jeszcze – już bez broni przystawionej do mojej głowy – i zdaje się być zawiedziona faktem, że moja historia praktycznie się nie zmieniła. Jedyne kłamstwem, do którego mogę się teraz przyznać, są moje przemyślenia dotyczące powodów porwania, ale kiedy opisuję obie poprzednio zachowane dla siebie teorie, w żaden sposób nie daje po sobie poznać, jak bardzo zbliżyłem się w nich do prawdy. Przełykam zawód; Ansambl jest dla mnie wszystkim i chcę o nim wszystko wiedzieć – ale zdaję sobie sprawę, że będę musiał sobie zapracować na ich zaufanie, a obecność modu lojalności w mojej głowie nie ma tu żadnego znaczenia.

Później Chen pokazuje mi kilka lśniących materiałów promocyjnych dotyczących upgrade'ów z najwyższej półki, które rzekomo mają uodpornić na kameleony ich system bezpieczeństwa. Dziele się z nią wiadomością, tak taktownie, jak tylko potrafię, że najnowsze modele kameleonów, mające się pojawić na rynku pod koniec tego miesiąca, uczynią wszelkie tego typu drogie udoskonalenia przestarzałymi. I jakkolwiek nie mogę zaproponować jej bezpośredniego wciągnięcia na subskrypcyjną listę producenta kameleonów (gdyż wszelcy kandydaci są tam prześwietlani bardzo skrupulatnie), to obiecuję jej przekazywać wszelkie dodatkowe informacje tak szybko, jak tylko je otrzymam.

Ochrona to zaledwie cztery osoby, z których wszystkie już spotkałem wcześniej. Oprócz Huang Qing jest tu Lee Soh Lung (która wstrzyknęła mi narkotyk w piwnicy), a także Yang Wenli i Liu Hua (którzy pilnowali mnie w mieszkaniu). Najstarsza wiekiem, Lee, jest odpowiedzialna za ustalanie wszelkich szczegółów codziennych czynności i to ona oficjalnie wyjaśnia mi moje obowiązki. Na służbie zawsze znajduje się dwoje strażników, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu; teraz, kiedy jest nas pięcioro, każda zmiana będzie wynosiła dokładnie dziewięć godzin i trzydzieści sześć minut. Już dziś w nocy jestem rozpisany pomiędzy 19:12 a 4:48.

Wczesnym wieczorem dzwonię do podróżujących po Europie rodziców; łapię ich w Poczdamie. Jak się wydaje, z wielką ulgą przyjmują wiadomość, że nareszcie podjąłem stałą pracę. Co do przeprowadzki na północ – cóż, dlaczego nie? „NHK jest miastem pełnym możliwości, nieprawdaż?” – wymijająco stwierdza moja matka. Niemcy, jak mi mówią, stają się coraz mniej przyjemne – Saksoński Front Niepodległościowy znów wysadza pociągi w powietrze.

Do północy jestem na służbie z Huang. Spędzam zmianę w trybie uzbrojonym; czworo moich współpracowników posiada **Sentinel\***, który właściwie jest komercyjnym odpowiednikiem **P3**. (Nie wścibiam głębiej nosa, mimo iż zżera mnie ciekawość. Przyjmuję, że pytanie, czy ktokolwiek posiada mod lojalności, byłoby nietaktowne). Poza odbywanymi przypadkowo patrolami po budynku i przylegających doń terenach – o zwiększonej częstości, jak utrzymuje Huang, od czasu mojego



wtargnięcia – nie mamy zbyt wiele do roboty. Nawet obrazy pochodzące z kamer bezpieczeństwa są monitorowane przez odpowiedni program komputerowy. Nasza obecność jest jednak daleka od zbędnej – żaden komputer nie mógłby samodzielnie powstrzymać mnie pamiętnej nocy przed wymknięciem się z Laurą z budynku –

ale bycie potencjalnie niezastąpionym nie ma żadnego wpływu na wynajdywanie zajęcia. Czas pomiędzy patrolami wypełniamy, grając w karty bądź szachy. Skoro nasze mody wykluczają znużenie, to nie ma takiej potrzeby, ale Huang – piętnaście lat młodszy ode mnie – ma kilka staromodnych pomysłów. „Kiedy coś robisz, bardziej znajdujesz się w stanie gotowości. Z

drugiej strony, przeżycie połowy życia w transie przyczajenia jest niczym przeżywanie tylko jego połowy”.

W nocy pracuje inny personel, ale nie mamy z nimi bliskiego kontaktu. Co do jednego miałem rację: pokój Laury jest monitorowany osobno, a członkowie zespołu, który się nią zajmuje, pracują przez okrągłą dobę. Mają do swojej dyspozycji pół piętra wypakowanego sprzętem komputerowym. Kiedy tamtędy przechodzimy, kilku z nich pozdrawia Huanga, ale większość nas ignoruje. Rzucam okiem na ekrany ich komputerów; niektóre pokazują mapy nerwowe, inne są gęsto pokryte równaniami; jeden przez chwilę (zanim użytkownik przełącza go na inne zadanie) pokazuje schemat pokoju w podziemiach. Zaczynam się zastanawiać, jak by się wszystko potoczyło, gdyby *Culex* wychwycił taki właśnie obraz, ale rozmyślenia nad tym nie mają żadnego sensu.

O północy Lee zastępuje Huanga. W porównaniu z nim jest małomówna, na co **P3**

odpowiada, wbijając mnie głębiej w tryb przyczajenia. Nie tracę poczucia przemijania czasu, po prostu nie ma on na mnie żadnego wpływu. Kiedy przybywa Yang, aby przejąć moje obowiązki, wcale nie jestem tym zdziwiony ani też nie przyjmuję tego z ulgą. Niczego nie czuję.

Idąc na stację, rozbrajam. Kiedy znikają narzucone mi przez **P3** ograniczenia, w jednej chwili staję się zdezorientowany, przystaję więc, aby zorientować się w swoim otoczeniu: pusta, kręta ulica, przysadziste betonowe laboratoria i fabryki, szare niebo na moment przed świtem. Powietrze jest chłodne i orzeźwiające. Odkrywam, że drzę z radości.

Zgodnie z oczekiwaniami dwunastego dzwoni mój klient, ale nie zostawia żadnej wiadomości; być może ona lub on jest zbyt paranoidalny, aby zażądać zwrotu pieniędzy, obawiając się, że transakcja zostanie namierzona – mimo iż ryzyko czegoś takiego jest zaledwie marginalnie większe od tego związanego z zapłaceniem mi na samym początku.

Przybywają moje meble. Zostaje potwierdzony mój status rezydenta. W wolnym czasie zaczynam odkrywać miasto – z pomocą mapy **Déjà Vu** jako przewodnika, ale z wyłączoną opcją turystycznego trajkotu. Nie jestem zainteresowany wyszukiwaniem świątyń czy muzeów; na chybił trafił wybieram kierunek i włóczę się pomiędzy blokami mieszkalnymi i wieżowcami biurowców, domami handlowymi i targami staroci. Upał i tłumy wciąż są uciążliwe, a krople monsunu zawsze, jak się wydaje, zaskakują mnie nieprzygotowanego – ale zaczynam zauważać, że klnę na pogodę raczej z przyzwyczajenia niż z powodu banalnego niepowodzenia co do aklimatyzacji.

Huang Qing mieszka kilka kilometrów ode mnie na zachód, dzieli mieszkanie ze swoją dziewczyną, Teo Chu, inżynierem dźwięku i muzykiem. Pewnego ranka zapraszają mnie do siebie i słuchamy najnowszego ROM-u Chu – hipnotycznie pięknego, pełnego dziwnych, połamanych rytmów, nagłych zamaszystych wzniesień natężenia, wymierzonych okresów ciszy. Opowiada mi, że praca ta została zainspirowana tradycyjną muzyką kambodżańską.

Oboje przybyli tu jako uchodźcy, ale żadne nie pochodzi ze starego Hongkongu. Huang urodził się na Tajwanie. Niemal cała jego rodzina pracowała tam w administracji państwowej nacjonalistycznego rządu i jedenaście lat po inwazji wciąż mieli zakaz pracy na większości stanowisk. Huang miał pięć lat, kiedy ruszyli na południe. Piraci zdobyli ich statek, kilkoro ludzi straciło życie.

– Mieliśmy szczęście – opowiada. – Zabrali nam sprzęt nawigacyjny i zniszczyli silniki, ale nie odnaleźli wszystkich zapasów słodkiej wody. Kilka dni później napotkaliśmy łódź patrolową z Mindanao, która odholowała nas do naprawy. Filipiny były wtedy anty chińskie, traktowano nas więc jak bohaterów.

Chu urodziła się w Singapurze. Jej matka, dziennikarka, spędziła w tamtejszych więzieniach ostatnie osiem lat; nikt nawet nie wytłumaczył jej dokładnie, za co. Kiedy doszło do aresztowania, Chu studiowała na uniwersytecie w Seulu. Od tamtej pory nie pozwolono jej wrócić do kraju. Nie miała ojca, gdyż została poczęta partenogenetycznie. Wysłała dziadkom pieniądze na sfinansowanie prawnych zmagania matki, ale do tej pory, jak w zegarku, co osiemnaście miesięcy sądy ponawiają nakaz aresztowania.

Wątpię, żeby Chu zdawała sobie sprawę, że BDI jest wmieszane w porwanie, więc ogólnie opisuję moją własną drogę do NHK. Huang wpatruje się w dywan, kiedy rozwijam przed nim prozaiczne kłamstwo o sześciu latach pracy w charakterze strażnika więziennego, zanim zostałem zwolniony po przejściu RehabCorp. Bez **Sentinel**a często wydaje się być skrępowany moją obecnością, co jest zrozumiałe; jestem całkowicie przekonany, że nie posiada modu lojalności, a nie byłoby to normalne, gdyby nie uznawał mojego oddania Ansamblowi za odrobinę niepokojące – znając powód mojego zachowania, ale nie zdając sobie tak jak ja sprawy z tego, jakie to jest słuszne. Jestem również święcie przekonany, że został poinstruowany, aby się ze mną zaprzyjaźnić, co jeszcze bardziej musi mu wszystko utrudniać.

W kolejnych tygodniach moje nowe życie zaczyna mi się wydawać coraz mniej niezwykle.

Moja ciekawość dotycząca Laury – oraz ogólnie pracy Ansambłu – nie blaknie, ale muszę zaakceptować fakt, że moja ignorancja leży w najlepszym interesie organizacji. Lecz nawet wtedy chciałbym móc wносить większy wkład niż spędzanie dziewięciu i pół godziny dziennie jako zombie stróż. Nie wiem nawet, przed kim mamy strzec BDI – z pewnością byłem jedyną osobą na planecie, która na poważnie poszukiwała Laury. Nawet jeżeli mój były klient wynajął

już kogoś innego, to jest mało prawdopodobne, aby mój następcą miał tyle szczęścia co ja, gdyż trop farmaceutycznych zakupów został już wymazany. Zatem kim jest wróg?

Wkrótce uczę się nie wywoływać Karen; jej sarkastyczne komentarze jedynie mnie złoścą i wprawiają w zakłopotanie. Staram się przejąć kontrolę, fantazjować, jak szczęśliwie dzielimy razem

to życie, ale wydaje się, że moje wspomnienia mogą zostać poprzekęcane tylko do pewnego stopnia, który właśnie osiągnąłem; dosłownie nie potrafię sobie wyobrazić, jak akceptuje to, kim się stałem. Nie używając modu, łapię się jednak na tym, że śnię o niej; budzę się z wypełnionych herezją nocnych koszmarów, z siłą – jeżeli nie poczuciem – jej diatryby łomoczącej w mojej głowie. Instruuje **Bossa**, aby trzymał ją z dala od moich snów.

Życie bez niej jest bolesne, lecz Ansambl daje mi siłę.

Raz na jakiś czas – kiedy staram się zmuszać do wyboru snu w gwarze i upale poranka – rozwijam sprzeczność leżącą w centrum tego, kim jestem, i wpatruję się w nią po raz kolejny.

Nigdy nie blaknie, nigdy się nie zmienia. Rozumiem tak jasno, jak rozumiałem do tej pory, że „powinienem” być przerażony własnym losem, ale wiem też, że w głębi duszy wcale nie jestem.

Nie czuję się, jakbym się znalazł w pułapce. Nie czuję się, jakbym został pogwałcony.

Rozumiem, że moje zadowolenie jest dziwaczne, nieracjonalne, niespójne – ale znowu powody mojego szczęścia w przeszłości nigdy dokładnie nie były oparte na logicznie wypracowanych założeniach, pieczołowicie sformułowanej filozofii .

Czasem jestem przygnębiony, samotny, zakłopotany; mod lojalności nie podnosi mnie na duchu – nigdy bezpośrednio nie interweniuje w mój nastrój. Słucham muzyki, oglądam holowizję – nie brakuje mi sposobów uśmierzenia bólu.

W końcu jednak, kiedy najśłodsza z muzyk cichnie, kiedy najbardziej odwracające uwagę obrazy rozplywają się w powietrzu, nie pozostaje mi do zrobienia nic innego jak zajrzeć do własnego wnętrza i zapytać: po co właściwie żyję? I mam odpowiedź, jakiej nigdy do tej pory nie posiadałem.

Służę Ansamblowi.

Kiedy po raz pierwszy od sześciu miesięcy Chen Ya-ping wzywa mnie do swojego gabinetu, nic na to nie mogę poradzić i jestem zdenerwowany. Moja codzienna rutyna stała się tak głęboko zakorzeniona, że nawet przejazd znaną mi linią metra o niecodziennej porze wzbudza mój niepokój. Przetrzęsam pamięć w poszukiwaniu zaniedbań obowiązków względem Ansambłu i odnajduję ich tak wiele, że prawie nie mogę uwierzyć, iż pozwolono mi bezkarnie pracować tak długo. Co mnie czeka? Nagana? Degradacja? Zwolnienie?

Chen jest lakoniczna.

– Przenosimy cię na inne stanowisko. Do innego ośrodka. Będziesz pomagał chronić jednego z ochotników.

Ochotników? Przez chwilę zastanawiam się, czy nie jest to jakiś eufemizm, że może gdzieś w drodze jest jeszcze więcej uprowadzonych osób z uszkodzonym mózgiem podobnych do Laury – ale wtedy Chen pokazuje mi zdjęcie Chung Po-kwai, zrobione w czasie ceremonii ukończenia studiów, i jest jasne, że słowo to oznacza coś zupełnie innego.

– Będziesz pracował w miejscu nazywanym ASR – Advanced Systems Research. Nie każdy ma tam pojęcie o naszej prawdziwej działalności, ale są istotne powody utrzymania takiego stanu rzeczy; w najlepszym interesie Ansambłu jako całości leży, aby projekt pozostawał... rozdzielony. Zatem pod żadnym pozorem nie wolno ci dyskutować z kimkolwiek z ASR ani o BDI, ani o czymkolwiek, czego się tutaj dowiedziałeś. Podobnie jak nie wolno ci dyskutować o pracach prowadzonych przez ASR z kimkolwiek z tutejszego personelu, oczywiście poza mną. Czy to jasne?

– Tak.

I dochodzi to do mnie, niemal z oszałamiającą siłą, że nie jestem karany ani nawet jedynie przenoszony na inne stanowisko. To dowód zaufania. Zostałem awansowany.

Dlaczego ja? Dlaczego nie Lee Soh Lung? Dlaczego nie Huang Qing?

To oczywiste, że z powodu modu lojalności. Nie jestem godny, ale mod odkupuje moje grzechy.

– Masz jakieś pytania?

– Przed czym dokładnie będę chronił pannę Chung? Chen waha się przez chwilę, wreszcie rzuca oschle:

– Przed nieprzewidzianymi okolicznościami.

Zwalniam się z BDI. Chen daje mi olśniewające referencje i numer do agencji pracy specjalizującej się w służbach ochroniarskich. Dzwonię do nich i, jak się okazuje, zupełnie przypadkowo posiadają w swoich aktach coś jak znalazł dla mnie. Rozmowa o pracy odbywa się przez wideofon; przesyłam im moje referencje i CV. W czterdzieści osiem godzin później mam już nową pracę.

Advanced Systems Research zajmuje kruczoczarney wieżowiec, którego fasada, przypominająca odłupujący się węgiel, została zapakowana w pięciometrową warstwę cieniuteńkich srebrnych pajęczych sieci – a wszystko to prawie niewidzialne, z wyjątkiem oślepiających punktów w miejscach, gdzie połyskliwe nitki odbijają światło słoneczne.

Wystawna architektura z początku mnie martwi, jak gdyby w jakiś sposób zachęcała do bliższego zbadania sprawy, co jest niedorzeczne, bo w tej części miasta wszystko poniżej tego poziomu zdobnictwa byłoby nie na miejscu. W każdym razie może być i tak, że ASR nie mają żadnych obaw przed bliższą inspekcją, gdyż nie posiadają żadnych formalnych powiązań z BDI i, o ile wiem, mogą nie być bezpośrednio wmieszani w cokolwiek nielegalnego.

Tutejsza ochrona daleko przewyższa tę z BDI. Strażnicy są rozmieszczeni na każdym piętrze, a kontrola dostępu jest tak szczelna, jak w większości więzień. Chung Po-kwai i inni ochotnicy zostali rozlokowani w apartamentach na trzydziestym piętrze. Dołożenie do tego jeszcze osobistych ochroniarzy zdaje się być przesadą, ale taki stan rzeczy musi dać się jakoś wytłumaczyć – i to przypomnienie, że Ansambl musi mieć wrogów, napełnia mnie poczuciem wściekłości i determinacją, aby wypełniać swoje obowiązki z największym oddaniem. W trybie uzbrojonym, co oczywiste, nie odczuwam złości, ale priorytety ustalone przez moje zewnętrzne ja są te same.

Tong Hoi-man, szef ochrony, wprowadza mnie pobieżnie w moje obowiązki i zamawia kilka nowych modów, mających mi umożliwić współpracę ze złożonymi protokołami bezpieczeństwa ASR. Będę pracował na dwunastogodzinnych zmianach, od szóstej po południu do szóstej rano. Rozkład dnia panny Chung będzie się zmieniać: czasem przesiedzi w laboratorium do późnego wieczora, czasem spędzi dzień lub dwa, odpoczywając. Jednakże cały czas będzie ograniczona do wnętrza budynku, co niezmiernie uprości moje obowiązki.

W przeddzień rozpoczęcia pracy jestem podenerwowany, ale wniebowzięty. Zbliżam się o kolejny krok ku tajemnicy drzemiącej w sercu Ansamblu. Być może arogancją jest sądzić, że kiedykolwiek zaufają mi w takim stopniu, aby zapoznać z całą prawdą – ale Chen ją zna, czyż nie? A Chen – czego jestem pewien – nie posiada modu lojalności.

Z wahaniem wywlekam na wierzch moje dawne teorie dotyczące porwania Laury. Po miesiącach pozwalania, by moje wyobrażenia Ansamblu stawały się coraz bardziej abstrakcyjne, wymyślanie sobie konkretnych, specyficznych, prozaicznych możliwości jest odrobinę niepokojące. Ale czego mam się obawiać? Ze prawda w jakiś sposób zdevaluuje ideał? Wiem, że to niemożliwe. Czymkolwiek zajmuje się Ansambl, jakkolwiek przyziemne mogłoby się to wydawać, to wciąż będzie ich pracą i na mocy wyłącznie tego faktu –

najważniejszą działalnością na całym świecie.

Większość moich oryginalnych teorii wydaje się teraz absurdalna. Nie mogę uwierzyć, by międzynarodowa multidyscyplinarna grupa badawcza została powołana wyłącznie po to, aby badać wrodzoną wadę mózgu spowodowaną przez jakiś mało znany farmaceutyk. Nawet jeżeli potencjalna odpowiedzialność producenta sięgałaby miliardów, trudno doszukać się powodów, dla których mieliby topić porównywalne sumy na samo tylko badanie problemu, skoro istniałyby o wiele prostsze – i o wiele pewniejsze – sposoby sabotażu ewentualnych pozwów.

W jednej zaledwie teorii wciąż można się doszukiwać jakiegokolwiek sensu: Laura, magik specjalizujący się w ucieczkach. A skoro wciąż nie potrafię sobie wyobrazić zasady, zgodnie z którą miałyby działać jej hipotetyczny talent, być może muszę przełknąć fakt, że jestem po prostu za głupi, aby to ogarnąć. *Uciekła z Hilgemanna. Wymknęła się z wewnętrznego pomieszczenia w piwnicy.* Istnieją inne wyjaśnienia tych faktów, ale wszystkie są rażąco sprzeczne. Co, jak mi się wydaje, przydarzyło się tamtej nocy w czasie mojego włamania do BDI? Ktoś przypadkowo zostawił otwarte drzwi i Laura wywędrowała sobie na zewnątrz, zamykając je za sobą? Biorąc pod uwagę budowę zamka, dokonanie tego bez klucza byłoby równie wielkim wyzwaniem jak ich otwarcie.

Jedno wszak nie pozostawia wątpliwości: jeżeli istnieje coś takiego jak telekineza, to badania mające to na celu, wraz z późniejszym wykorzystaniem, mogłyby być projektem wartym sojuszu na skalę Ansambłu.

A jeżeli BDI udałooby się zawrzeć umiejętności Laury w formie modu? Wtedy taki mod musiałby zostać przetestowany.

Przez ochotników.

– *Góra. Dół. Góra. Góra. Dół. Góra. Dół. Dół. Dół. Góra. Dół. Góra. Góra. Dół.*

*Góra. Dół. Góra. Góra.*

Głos, wypełniający pokój 619, jest spokojny i pozbawiony napięcia, lecz prawie z pewnością należy do człowieka; biorąc pod uwagę wszelkie antropomorficzne nakładki dodane w ostatnim czasie do komputerowych systemów mowy, nie słyszałem jeszcze, aby instrument naukowy chrypl z powodu nadmiernego użycia.

Pokój jest zawalony poustawianymi na sobie modułami elektronicznego sprzętu; optyczne włókna łączące poszczególne segmenty wiją się pomiędzy pudłami. Pośród całego tego rozgardiaszu przy centralnej konsoli siedzi starsza kobieta, wpatrując się w olbrzymi ekran pokryty wielokolorowymi histogramami; dwóch młodych mężczyzn stoi obok niej, kibicując.

**MetaDossier** (Mindvaults, 3.950\$)\* natychmiast, na podstawie listy autoryzowanego personelu, identyfikuje mi całą trójkę: Leung Lai-shan, Lui Kiu-chung, Tse Yeung-hon. Do wszystkich trojga należy się zwracać „doktorze”. Dr Lui spogląda przelotnie w moim kierunku, a następnie odwraca się z powrotem do ekranu; jego współpracownicy ignorują mnie całkowicie.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie mam Chung Po-kwai, ale, jak mi się zdaje, to właśnie jej głos dochodzi tutaj z głośnika.

– *Góra. Dół. Góra. Dół. Dół. Dół. Góra. Dół. Góra. Góra.*

Wtedy zauważam drugiego z jej ochroniarzy, Lee Hing-cheunga, stojącego przy drzwiach łącznikowych, przed którymi na wysokości wzroku unosi się jaskrawoczerwony hologram: NIE

WCHODZIĆ. Podajemy sobie ręce, moja wersja **MetaDossier** – przez **RedNet** i umieszczone w

naszych dłoniach komórki nadawczo-odbiorcze – angażuje się w błyskawiczny, kodowany dialog ze swoim odpowiednikiem w jego czaszce, dostarczając nam obu dodatkowego potwierdzenia naszych tożsamości.

– Dobrze cię widzieć. Jeszcze pięć minut tego gówna i chodziłbym po ścianach – szepcze.

– *Dół. Dół. Dół Góra. Góra. Dół. Dół. Góra. Góra. Dół.*

– O czym ty mówisz? Masz przecież **Sentinel**, prawda?

– Pewnie. Ale w niczym mi to nie pomaga. – Obdarzam go pełnym pytań spojrzeniem i zdaje mi się, że już ma to szerzej wyjaśnić, kiedy zmienia zdanie i tylko ponuro potrząsa głową.

– Sam się przekonasz.

– *Góra. Dół. Dół. Góra. Góra. Góra. Dół. Dół. Góra. Góra.*

– Wiesz, co ona tam robi? – pyta.

– Nie.

– Siedzi w ciemności i wpatrując się w ekran fluorescencyjny, oznajmia kierunek odchylenia jonów srebra w polu magnetycznym.

Nie potrafię wymyślić żadnej inteligentnej odpowiedzi, więc tylko kiwam głową.

– Do zobaczenia za dwanaście godzin.

– Taaa.

Zajmuję pozycję przy drzwiach, ale nic nie mogę poradzić i ukradkiem spoglądam na ekran, który naukowcy uznają za tak szczególnie zajmujący. Histogramy drgają i kołyszają się – ale na dłuższą metę każdy z nich zdaje się utrzymywać swój podstawowy kształt; przeciętnie wszelkie fluktuacje zdają się nawzajem niwelować. Co oznacza, jak mi się wydaje, że jakiegokolwiek złożone testy przypadkowości są reprezentowane przez te diagramy, to odchylane jony srebra zdają je bez problemów.

Jeżeli mam rację w sprawie modu telekinezy, to prawdopodobnie Chung Po-kwai stara się zakłócić tę przypadkowość, starając się odchylić ruch jonów w określonym kierunku; uczy się wykorzystywać nową umiejętność, zaczynając od najmniejszych z możliwych celów. Ale nie rozumiem powodu, dla którego ma osobiście wywoływać dane. Przecież komputery muszą monitorować cały eksperyment przez własne detektory, dlaczego więc zrzucać na ochotnika konieczność dostarczania aktualnego komentarza?

Histogramy migają hipnotycznie, ale nie jestem tutaj po to, by zabawiać się obserwowaniem

eksperymentu. Odwracam się od ekranu – i wkrótce się przekonuję, że same słowa są równie rozpraszające.

– *Dól. Dól. Góra. Góra. Góra. Dól. Dól. Góra. Góra. Góra. Góra. Dól. Góra. Dól. Dól. Góra.*

*Dól. Góra. Góra. Góra.*

Jakaś część mojego umysłu chwyta się każdego przejściowego wzoru, każdego rzekomego rytmu i kiedy każdy z nich się rozplywa, każdy rytm zanika, jedynie wyteża się jeszcze bardziej, aby wyróżnić kolejny.

– *Góra. Dól. Góra. Góra. Dól. Dól. Góra. Dól. Góra. Góra. Dól. Dól. Góra. Góra. Góra. Dól.*

*Góra. Dól. Góra. Dól.*

Będąc w trybie uzbrojonym, powinienem móc się od tego odciąć, zignorować to, bez żadnych problemów. Ale, to niesamowite, nie potrafię. Lee miał rację – a **P3** najwyraźniej nie jest w tym wcale lepszy od **Sentinel**a. Nie potrafię przestać słuchać.

– *Góra. Dól. Góra. Dól. Dól. Dól. Dól. Góra. Dól. Dól. Dól. Góra. Dól. Góra. Góra. Góra.*

*Dól. Dól. Dól.*

Najgorsze jest to, że zauważam, jak wbrew własnej woli, przymuszony, staram się odgadnąć każdy kierunek na ułamek sekundy, nim zostanie wywołany. Nie, jest jeszcze gorzej: staram się na niego wpłynąć. Staram się narzucić jakiś porządek. Jeżeli nie potrafię wyłączyć tego chaotycznego i monotonnego brzęczenia, to tym, co mi pozostało, wydaje się narzucenie mu jakiegoś porządku.

Zdaje mi się, że Chung Po-kwai czuje dokładnie to samo.

Każda sesja trwa piętnaście minut, a rozdziela je dziesięciminutowa przerwa. Panna Chung wyłania się z pomieszczenia jonowego – ze ściśle przylegającymi okularami przeciwsłonecznymi, mającymi przeciwdziałać utracie zbyt dużej adaptacji oczu do ciemności

– po to, by łyknąć herbaty, rozprostować nogi i wystukać palcami na obudowach sprzętu fragmenty przypadkowych rytmów. Przez chwilę ze mną rozmawia, po raz pierwszy, ale później już oszczędza głos. Naukowcy ignorują nas oboje, zaaferowani przeglądaniem danych i przeprowadzaniem ezoterycznych testów statystycznych.

Za każdym razem, kiedy eksperyment rozpoczyna się na nowo, postanawiam wymusić na sobie ignorowanie podstępnej przypadkowej wyliczanki; mimo iż **P3** mógł mnie zawieść, to uzbrojony czy też nie, powinienem posiadać jakieś resztki wrodzonej samokontroli. Niestety, bez powodzenia, ale koniec końców zmieniam taktykę i udaje mi się osiągnąć pewien rodzaj równowagi, bo przynajmniej dłużej nie pogarszam sytuacji, usilnie starając się osiągnąć stan perfekcyjnej czujności, do której zostałem przyzwyczajony.

Jednak dla naukowców nie stanowi to chyba najmniejszego problemu, a z drugiej strony, dla nich są



to dane, a nie szum informacyjny. Nie mają żadnego obowiązku starać się tego ignorować.

Do tej pory mogę stwierdzić, że z czasem trwania eksperymentu wyniki nie ulegają żadnej zmianie. Zauważam jednakże jedną dziwną rzecz, która jakoś umknęła mi wcześniej: histogramy zmieniają się *po* wywołaniu kierunku. Łatwiej jest to zauważyć podczas serii jonów w jednym określonym kierunku, gdyż większość histogramów zdaje się wtedy miarowo przekrzywiać, a tendencja ta nie zanika dopóty, dopóki w rzeczywistości nie zostanie wywołany jon przełamujący serię. Ale jeżeli komputery zbierają dane wprost ze sprzętu, to taka kolejność wydarzeń jest zastanawiająca. Niezależnie od tego, jak złożonych przeliczeń wymagałoby uaktualnianie histogramów, to jest mało prawdopodobne, aby ich wykonywanie trwało dłużej niż kilka mikrosekund – co z pewnością nie przewyższa opóźnień czasowego pomiędzy chwilą zauważenia przez człowieka rozbłysku światła a wydaniem przez niego oświadczenia: „góra” lub „dół”. Cóż to oznacza? Że komputery nie są podłączone do eksperymentu? Otrzymują dane z drugiej ręki, słuchając słów Chung Po-kwai? To nie ma żadnego sensu. Być może naukowcom po prostu łatwiej jest śledzić wyniki w ten właśnie sposób, więc zaprogramowali intencyjne opóźnienie.

O 20:35 dr Leung zarządza wreszcie koniec pracy. W czasie kiedy trójka naukowców pozostaje skupiona nad konsolą, debatując nad czułością szóstego momentu rozkładu dwumianowego, panna Chung szturcha mnie i szepcze:

– Chodźmy stąd. Umieram z głodu.

Kiedy jesteśmy już w windzie, wyciąga niewielki pojemnik i spryskuje sobie gardło.

– Nie wolno mi tego używać podczas eksperymentu – wyjaśnia. – Jest w tym pełno składników przeciwbólowych i przeciwzapalnych, a oni nalegają, żebym pozostała nieskalana farmaceutykami. – Kilkakrotnie kaszle, wreszcie dodaje pozbawionym już chryпки głosem: – A kimże jestem, aby się z nimi spierać?

Wieżowiec ASR posiada na osiemnastym piętrze własną, prywatną restaurację. Panna Chung powiadamia mnie pełnym radości głosem, że jej kontrakt obejmuje darmowe jedzenie w nieograniczonych ilościach. Wsuwa swój identyfikator do umieszczonego w stole czytnika, co powoduje pojawienie się ilustrowanego menu, osadzonego w blacie stołu. Szybko zamawia, a następnie spogląda na mnie zaintrygowana.

– Nie masz zamiaru jeść?

– Nie, kiedy jestem na służbie.

Śmieje się niedowierzająco.

– Masz zamiar pościć przez dwanaście godzin? Nie bądź śmieszny. Lee Hing-cheung jada w czasie służby. Dlaczego ty miałbyś tego nie robić?

Wzruszam ramionami.

– Przypuszczam, że posiadamy różne mody. Mod kontrolujący mój metabolizm zaprojektowano w ten

sposób, by radził sobie z krótkimi okresami postu. Właściwie to nawet lepiej utrzymuje on na właściwym poziomie optymalny poziom cukru we krwi, kiedy nie komplikuję mu tego jedzeniem.

– Co masz na myśli, mówiąc „nie komplikuję mu tego”?

– Po posiłku następuje zazwyczaj nadmierne wydzielanie insuliny – wiesz, to nieznacznie uczucie senności, które nadchodzi wraz z sytością. Do pewnego stopnia można to kontrolować, ale łatwiej jest polegać na stałej konwersji glikogenu.

Potrząsa głową, częściowo rozbawiona, częściowo bez aprobaty, i rozgląda się wokół po zatłoczonej restauracji. Znad każdego stolika unosi się para, wciągana prostymi kolumnami bezszelestnego ciągu do umieszczonych w suficie wywietrzników.

– Ale... czy sam unoszący się tutaj zapach nie jest wystarczającym powodem, byś umierał z głodu?

– Mam rozprężnięte połączenia kojarzeniowe.

– Znaczy, że nie posiadasz zmysłu zapachu?

– Nie, mam na myśli, że nie ma to wpływu na mój apetyt. Mam wyłączone wszystkie zwyczajowe sensoryczne i biochemiczne sygnały. Nie potrafię czuć głodu, to niemożliwe.

– Ach. – Do naszego stolika podjeżdża zautomatyzowany wózek, który zręcznie rozładowuje jej pierwsze danie. Nabiera kęs czegoś, co wydaje się być kałamarnicą, i przeżuwa łapczywie. – Czy nie jest to potencjalnie niebezpieczne?

– Nie do końca. Jeżeli mój poziom rezerw glikogenu zszedłby poniżej określonego poziomu, to zostałbym o tym powiadomiony za pomocą prostej rzeczowej wiadomości od odpowiedniego modu, a wtedy podjęcie decyzji należałoby już do mnie. W przeciwieństwie do uporczywego ssania w żołądku, które może mnie rozpraszać i oddalać od pilniejszych spraw.

Kiwa głową.

– Tak więc zmuszasz swoje ciało, aby przestało cię traktować jak dziecko. Koniec z prymitywnymi karami i nagrodami, mającymi na celu zachęcenie do właściwego zachowania; zwierzęta może i potrzebują całego tego syfu po to, by przeżyć, ale my, ludzie, jesteśmy wystarczająco inteligentni, by sami ustalać własne priorytety. – Ponownie kiwa głową, niechętnie. – Mogę w tym zauważyć pewien urok. Ale gdzie ustalasz granicę?

– Jaką granicę?

– Granicę pomiędzy „ty” a „twoje ciało”... pomiędzy popędami, które przyjmujesz za

„własne”, a tymi, które traktujesz jako narzucone. No pewnie, dlaczego głód ma cię rozpraszać? Ale z drugiej strony, dlaczego być rozpraszanym przez seks? Czy też poddawać się potrzebie posiadania potomstwa? Dlaczego znajdować się pod wpływem smutku? Bądź

winy? Współczucia? Logiki? Jeżeli masz zamiar ustalać własne priorytety, to musi pozostać ktoś, kto mógłby je posiadać.

Spogląda na mnie niedwuznacznie, jak gdyby częściowo oczekiwała, że teraz, kiedy mnie ostrzegła co do okropieństw, do których może to doprowadzić, rzucę się na stół i publicznie ogłoszę bezterminowy powrót apetytu. Nie mam serca, aby jej powiedzieć, że jest już na to za późno. Pod każdym względem.

– Wszystko, co robisz, zmienia twoje ja – stwierdzam. – Zmienia cię to, że jesz. Podobnie jak to, że nie jesz. Spryskiwanie gardła środkami przeciwbólowymi także cię zmienia. Jaka jest różnica między używaniem modu wyłączającego głód a stosowaniem leku wyłączającego ból?

To dokładnie to samo.

Potrząsa głową.

– W taki sposób możesz wszystko trywializować. Coś jest „dokładnie takie samo” jak coś mniej skrajnego. Ale mody nerwowe nie są „dokładnie takie same” jak środki przeciwbólowe.

Istnieją mody zmieniające ludzkie wartości...

– A czy te nigdy nie ulegały zmianie?

– Powoli. Z właściwych powodów.

– Albo i z niewłaściwych powodów. Albo w ogóle bez żadnych powodów. Jak to sobie wyobrażasz: przeciętna osoba siada sobie pewnego dnia i układa jakiś rodzaj drobiazgowej i racjonalnej filozofii moralnej – odpowiednio modyfikowanej, jeżeli i kiedy odkrywane są jej wady? To czysta fantazja. Większość ludzi jest po prostu miotana na skutek wydarzeń, przez które muszą przechodzić, kształtowana przez wpływy, nad którymi nie mają kontroli. Dlaczego nie mieliby zmieniać samych siebie – jeżeli tego właśnie chcą, jeżeli dzięki temu staną się szczęśliwi?

– Ale kto staje się szczęśliwy? Na pewno nie używająca modu osoba; gdyż ta przestała już istnieć.

– Strasznie to staromodne. Zmiana równa się samobójstwu.

– Cóż, może i tak. – Nieoczekiwanie się śmieje. – Przypuszczam, że muszę brzmieć jak kompletna hipokrytka. Skoro niewielka moralna nanochirurgia stwarza zupełnie nowego człowieka, to w takim razie mod, który tylko ja posiadam, najprawdopodobniej robi ze mnie przedstawiciela zupełnie nowego gatunku...

– Nie wolno ci tutaj poruszać tego tematu – niezwłocznie jej przerywam.

– Dlaczego nie? – Marszy czoło. – Jesteśmy przecież w firmowej restauracji. Wszyscy obecni w niej pracują dla ASR.

– Tak, ale w tym budynku toczą się dwadzieścia trzy odrębne projekty. Różni ludzie mają dostęp do

różnych projektów. Musisz brać to pod uwagę.

– Powiedziałam tylko...

– Wiem, co powiedziałaś. Przepraszam. Ale częścią mojej pracy jest zapewnienie, że bezpieczeństwo projektu nie jest zagrożone.

Przez chwilę złość wpływa na jej twarz, wreszcie stwierdza:

– Przypuszczam, że w pewien sposób powinno mnie to uspokoić.

– Dlaczego?

– Ponieważ wolałabym przyjąć do wiadomości, że twoja praca polega na chronieniu mnie przed otwieraniem ust w niewłaściwym miejscu, niż przekonać się, że w rzeczy samej potrzebuję ochroniarza.

Apartament Po-kwai leży głęboko w trzewiach budynku, nie posiada więc żadnych prawdziwych okien, a jedynie umieszczone w ich miejscu hologramy w czasie rzeczywistym, posiadające tak wysoką rozdzielczość i tak szeroki kąt widzenia, że różnica jest czysto akademicka – z wyjątkiem względów bezpieczeństwa. Szybko przeszukuję każdy z pokoi, aby się upewnić, że nie ma tam żadnego intruza, co nie trwa długo, a nie warto szukać niczego bardziej subtelnego. Dokładne przeczesanie apartamentu w poszukiwaniu mikrobotów zabrałoby tydzień i kosztowałoby kilkaset tysięcy dolarów. Podobnie w przypadku wirusów i nanomaszyn, lepiej więc nawet nie zwracać sobie tym głowy.

Życzę panie Chung dobrej nocy i siadam w przedpokoju, obserwując drzwi wejściowe do apartamentu. Ze środka nie dochodzi do mnie żaden dźwięk; chyba czyta, a jeżeli cokolwiek dzieje się w przylegających pomieszczeniach, to odgłosy giną w izolacji ścian. Nie dochodzi do mnie nawet dźwięk działającej klimatyzacji. W rzeczy samej wszystko, co słyszę, to ledwie słyszalna mieszanina odgłosów owadów – najprawdopodobniej wytwarzana syntetycznie –

rozprowadzana w całym budynku z jakichś modnych pseudopsychologicznych powodów; imitacja ekologicznego otoczenia Ziemi Arnhema, mająca utrzymać nas w zgodzie z naturą.

Na pewnym poziomie przypadkowa, ale z wystarczającym uporządkowaniem, by nie stawać się denerwującą, w każdym razie **P3** nie ma żadnego problemu z jej blokowaniem. Wchodzę w tryb przyczajenia. Godziny mijają bez żadnych wydarzeń. Wreszcie przybywa Lee, by zająć moje miejsce.

Wyliczanka Chung Po-kwai nawiedza moje sny. Instruuje **Bossa**, by ją wycinał, lecz ta wciąż wkrada się, pod różnymi przebraniami; przypadkowy telegraf kropek i kresek w każdym dźwięku, każdym rytmie, każdym ruchu... począwszy od obrazków z dzieciństwa, kiedy jako dziecko odbijam piłkę do koszykówki, zmieniając ręce: prawa, lewa, prawa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, lewa, lewa..., po robota górniczego w magazynie, wychylającego się tam i z powrotem ze swojego kontenera, który to temat był rzekomo wzbroniony.

Wady **P3**, wady **Bossa...** cóż mi jest, mam guza mózgu? Uruchamiam testy integralności każdego znajdującego się w mojej głowie modu i wszystkie zgodnie ogłaszają, że mody są w nienaruszonym stanie.

Eksperyment trwa dalej, dzień po dniu, bez widocznego postępu. Wywołując dane, Po-kwai przez cały czas brzmi równie cierpliwie jak do tej pory, lecz poza pokojem 619 jej zwykła radość zaczyna nabierać defensywnego zabarwienia i wkrótce przekonuję się, by nie zaczynać z nią rozmów dotyczących wyników. Nie potrafię stwierdzić, czy Leung, Lui i Tse są nimi zawiedzeni; przez większość czasu się sprzecają, głównie po angielsku, ale żargon, którego używają, jest dla mnie niezrozumiały. Nie ma sensu zadawanie im pytań na temat projektu, gdyż w ich oczach jestem w gruncie rzeczy kolejną częścią składową systemu ochrony budynku, w niczym nie przewyższam umieszczonej pod sufitem kamery czy też skanera na korytarzu, których nie należy powiadamiać o etapie zaawansowania eksperymentu. I mają rację; dokładnie taka powinna być moja rola.

Jednak kiedy pewnego wieczoru pojawiając się na służbie, wchodzę do windy z dr Lui. Kiwa do mnie głową i z zakłopotaniem pyta:

– Cóż, jak ci się u nas pracuje, Nick?

Jestem zaskoczony samym faktem, że w ogóle zna moje imię.

– Nie narzekam.

– To dobrze. Jak słyszałem, zostałeś... zwerbowany w szczególny sposób?

Nie odpowiadam. Skoro dyskusja na temat BDI leży poza moimi uprawnieniami, to z trudem można przyjąć, że mam wolną rękę, by zaczynać pogawędki dotyczące modu lojalności i okoliczności, które doprowadziły do jego zainstalowania wbrew mojej woli.

Droga na szóste piętro nie zabiera zbyt wiele czasu. Na chwilę przed otwarciem drzwi stwierdza cicho:

– Podobnie i ja.

A wtedy wychodzi przede mną i nie odwracając się więcej przechodzi przez kontrolę bezpieczeństwa. Kiedy podążam za nim wzdłuż korytarza – kilka kroków z tyłu, w milczeniu – absurdalnie czuję się jak jakiś konspirator.

– *Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Dół. Dół. Góra. Góra. Góra.*

*Dół. Góra. Dół. Dół. Góra.*

Dziesięć z rzędu jest wystarczająco rzadkim wydarzeniem, by je wychwycić, ale wciąż nic nie znaczy. Podrzucić monetę dziesięć razy, a szanse wyrzucenia dziesięciu reszek z rzędu są mniejsze niż jeden do tysiąca – ale podrzucić ją dziewięćset razy, a szanse przynajmniej pojedynczej serii dziesięciu lub więcej stają się większe niż jeden do trzech. Podrzucić ją dziewięć tysięcy razy, a wynoszą prawie dziewięćdziesiąt dziewięć do stu.

Spoglądam na histogramy. Niektóre są wyraźnie zniekształcone w następstwie przebiegu serii, ale już mogę zauważyć, jak zaczynają powracać do zwykłych kształtów.

Dawno już porzuciłem wszelkie próby ignorowania danych. Zmaganie się z nimi sprawiało jedynie, że stawały się bardziej kuszące – a co do mało prawdopodobnego przypadku intruza przedzierającego się przez pozostałe warstwy ochrony i wpadającego do pokoju 619, to osobiście wątpię, aby mój czas reakcji został wyraźnie obniżony jedynie z tego powodu, że pozwoliłem sobie na obserwację najnowszego iluzorycznego wzoru w wyliczance Chung Po-kwai. To, że takie wyjaśnienie wpada mi do głowy, odbieram jako rodzaj herezji; praca modu uzbrajającego polega na tym, że masz znajdować się tylko i wyłącznie w optymalnym stanie gotowości. Ale biorąc pod uwagę oczywistego robaka w **P3**, „optymalny” oznacza obecnie coś zupełnie innego; nie mam żadnego innego wyboru jak tylko zaakceptować ten fakt. Lee i ja, obaj sumiennie powiadomiliśmy Tonga o gnębiącym nas problemie, ale nic nam to nie da; ani Axon – producent **P3** i **Sentinel**a – ani też ASR (mające najwyraźniej sporo doświadczeń w dziedzinie modów nerwowych) nie są chętni, by marnować swój czas i pieniądze na dochodzenie powodów tak nieokreślonych wad.

– *Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra, Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra.*

*Góra. Góra. Dół. Góra. Góra. Dół.*

Szesnaście! Nowy rekord. Wprowadzam dane do niewielkiego programiku, który napisałem pod **von Neumanna**. Byłem obecny w czasie czterdziestu jeden piętnastominutowych sesji czy też trzydziestu sześciu tysięcy dziewięćset zdarzeń... w tym czasie istniało dwudziestopięcioprocentowe prawdopodobieństwo zaistnienia serii szesnastu. Ale nie mam czasu dłużej tego rozważać, bo...

– *Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra.*

*Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra.*

*Góra...*

Moja koncentracja załamuje się i gubię się w liczbie zliczeń. Ponownie odwracam się w kierunku histogramów. Wszelkie znajome poszarpane kształty zniknęły, zastąpione wąskimi pikami, które robią się coraz to bardziej wąskie.

– Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra.

Góra. Góra. Góra. Góra. Góra. Góra...

Dr Leung śmieje się i stwierdza:

– P jest na poziomie dziesięć do minus czternastej. Jak mi się zdaje, mamy efekt.

Dr Lui odwraca swą widocznie przejętą emocjami twarz od ekranu. Dr Tse spogląda na niego i chmurzy twarz.

Dziwne jest to, że w głosie Po-kwai nie słyhać ani odrobinę, by zauważyła własny triumf.

Wciąż jedynie wywołuje dane, równie cierpliwie jak do tej pory – a ton jej głosu, nawet pozbawiony haczyka przypadkowości, jest równie hipnotyczny jak do tej pory.

Trzy minuty później seria dobiega końca, rozpadając się do zwykłego szumu utrzymującego się już do końca tej sesji. Kiedy Po-kwai wyłania się z pomieszczenia, bez ciemnych okularów, na chwilę przystaje w drzwiach, zasłaniając ramieniem oczy, a następnie je mruży, rozglądając się po pomieszczeniu, wyraźnie oszołomiona.

A po chwili zdeprymowana.

– Gratulacje – mówi dr Tse.

Kiwa głową i szepcze ochryple:

– Dzięki.

Obejmuje się ramionami, a przez jej ciało zaczynają przechodzić dreszcze, nieoczekiwanie jej nastrój się poprawia. Odwraca się w moim kierunku.

– Zrobiłam to, no nie?

Kiwam głową.

– Cóż, nie sterczcie więc tak. Gdzie szampan? Zwołana *ad hoc* uroczystość trwa niecałą godzinę; cztery osoby (plus jeden przygodny zombie) to niezbyt wiele, by zagwarantować dobrą zabawę. Wiem, że nad projektem pracuje dwunastu innych naukowców i dziewięciu innych ochotników – wszyscy oni zostali wymienieni w **MetaDossier** – ale, jak się wydaje, dr Leung nie przejawia zbytnej ochoty, aby podzielić się z pozostałymi zespołami wiadomością o własnym sukcesie.

Naukowcy rozmawiają o eksperymentach, rozważając plany napompowania do pełna głowy przedmiotu ich doświadczeń wskaźnikami emitującymi pozytrony, by w ten sposób potwierdzić pewne aspekty „efektu”, ale nic z tego, o czym rozmawiają, nie daje mi żadnych wskazówek co do sposobu, w jaki ów „efekt” powstaje. Po-kwai przysiada się do nich; wygląda na zmęczoną, ale równocześnie szczęśliwą; od czasu do czasu przyłącza się do rozmowy, przebijając ich wszystkich

własnym użyciem żargonu.

Kiedy jesteśmy już w windzie, stwierdza:

– Cóż, teraz przynajmniej wiem, że jestem w grze.

– Przepraszam?

– Że nie jestem w grupie kontrolnej. Nie wiedziałaś? Codziennie rano inna ochotniczka robiła dokładnie to samo co ja – zliczała jony pochodzące z tego samego urządzenia Sterna-Gerlacha. To było podwójne doświadczenie fikcyjne; jedna z nas posiadała mod pełniący funkcję placebo, druga prawdziwy mod... i tylko komputery wiedziały, kto co posiadał – aż do tej pory. Biedna kobieta. Gdybym to ja musiała nadaremnie przejść przez to wszystko, to jestem pewna, że byłabym wściekła.

– Śmieje się. – Być może to właśnie przechyliło szalę; może dlatego właśnie nie jestem w grupie kontrolnej.

Przyglądam się jej zaintrygowany; uśmiecha się w sposób dający do zrozumienia, że żartuje, lecz sens tego żartu jakoś mi umyka.

Wysiadamy na trzydziestym piętrze, gdyż Po-kwai stwierdza, że jest za bardzo zmęczona, aby coś jeść. Jak zawsze, metodycznie przeszukuję pokój.

– Powiedz mi – wzdycha – nawet przyjmując, że jakiś konkurent ASR odkryłby nasz projekt i zdołał uzyskać dostęp do plików stwierdzających, którzy z ochotników posiadają prawdziwy mod – czy ty naprawdę wierzysz, że zadaliby sobie aż tyle trudu, by spróbować nas porwać?

BDI zadało sobie aż tyle trudu, porywając Laurę – i to dokładnie z powodu tej samej umiejętności, którą teraz posiada Po-kwai. Ale rozmowa o BDI jest zakazana, a Po-kwai nie ma pojęcia o Laurze, gdyż z jej komentarzy wynika wyraźnie, że przyjmuje – lub tak jej to przedstawiono – że mod został zaprojektowany od podstaw na komputerze.

Wzruszam ramionami.

– Jestem pewien, że woleliby raczej dostać w ręce specyfikację modu, ale...

– Dokładnie! To przekładałoby się na tysiąckrotnie mniej pracy niż porywanie kogoś i skanowanie go, by...

– ...ale możesz być na sto procent pewna, że ta dokumentacja techniczna jest chroniona, więc szaleństwem byłoby czynić tę drugą opcję bardziej kuszącą. Nie wydaje mi się, że powinnaś zawracać tym sobie głowę – ale równocześnie nie uważam, że jakakolwiek ochrona idzie na marne. Trudno stwierdzić, jak dalece posunąłby się taki konkurent. Nie mam pojęcia, jaka na dłuższą metę może być komercyjna wartość tego, co masz w głowie... ale tylko wyobraź sobie, ile mogłabyś wygrać w kasynie w ciągu jednej tylko nocy.

Śmieje się.



– Zdajesz sobie sprawę, z ilu atomów składa się para kości? Żądasz ode mnie powiększenia skali dzisiejszych osiągnięć średnio o rząd dwudziestu trzech wielkości.

– A co z elektroniką? Z automatami do pokera? Rozbawiona, potrząsa głową.

– Nie w tym życiu.

A co z otwieraniem zamków? Być może to też leży poza wszelkimi wątpliwościami, być może nauczenie się, jak wykonywać takie sztuczki, zabrało Laurze trzydzieści lat. Ten prototypowy mod posiada zapewne jedynie podstawową umiejętność, nie zawierając doświadczenia Laury dotyczącego jego stosowania... ale Po-kwai wciąż zasługuje na to, by poznać prawdę dotyczącą pochodzenia właśnie otrzymanego talentu – i z pewnością im więcej się o nim dowie, tym prawdopodobnie więcej osiągnie. Jak utrzymywanie jej w nieświadomości dotyczącej pochodzenia modu i jego potencjału może leżeć w najlepszym interesie Ansamblu? Może i nie mam prawa kwestionować takiej decyzji... ale nie potrafię udawać, że dla mnie ma ona sens.

Osuwa się na kanapę, przeciąga, a następnie spogląda na mnie z wyrzutem.

– Właśnie dokonaliśmy największego przełomu naukowego tego stulecia, a ty mówisz o automatach do pokera?

– Przepraszam. Hazard był pierwszą rzeczą, która wpadła mi do głowy. Nie mogę powiedzieć, żebym ostatnio wiele zastanawiał się nad bardziej szczytnymi zastosowaniami telekinezy.

Mruga oczami.

– Telekinezy! – Następnie dodaje niechętnie: – Cóż... taaa, przypuszczam, że dokładnie tak nazwą to media – jeżeli kiedykolwiek porzucimy brednie dotyczące względów bezpieczeństwa i opublikujemy wyniki.

– A jak miałyby to nazwać?

– Och... Nerwowy liniowy rozkład wektora stanu, wraz z następującym przesunięciem fazy i preferencyjnym wzmocnieniem wybranych stanów własnych układu. – Śmieje się. – Masz rację. Lepiej pomyślmy nad czymś bardziej chwytliwym albo wszystko to zakończy się skandalicznie przeinaczone.

Jej opis nic mi nie mówi, ale...

– „Stany własne”? To coś z mechaniki kwantowej, prawda?

– Dokładnie. – Kiwa głową.

Przez sekundę wydaje mi się, że zamierza drążyć ten temat, ale niestety, tylko ziewa.

Jestem wszak pewien, że z przyjemnością wyjaśniłaby mi wszystko (albo przynajmniej tyle, ile sama wiedziała), gdybym tylko spytał: jak właściwie działa ten mod? Jaki jest jego mechanizm?

Jaki trik? Jaka jest tajemnica drzemiąca w sercu Ansamblu? Czym jest sens mojego życia?

– Nick, naprawdę jestem zmęczona... – mówi.

– Oczywiście. W takim razie dobranoc. Do zobaczenia jutro.

– Dobranoc.

Siadam w przedpokoju, sumiennie gapiąc się w znajdujące się przede mną drzwi...

...i o trzeciej pięćdziesiąt dwie łapię się na tym, że wsłuchuję się w niekończące się cykanie syntetycznych insektów... odrobinę, lecz niezaprzeczalnie podrażniony tym dźwiękiem.

Staram się odpłynąć ponownie w tryb przyczajenia: zamiast tego zauważam, że staję się coraz bardziej znudzony, a następnie niespokojny. Po raz dwudziesty w tym tygodniu uruchamiam wszelkie programy diagnostyczne **P3**.

[NIE WYKRYTO ŻADNYCH BŁĘDÓW]

*Cóż się ze mną dzieje?*

To nie jest choroba – nie może nią być; wszystkie moje mody utrzymują, że nie są zepsute, a nawet jeżeli zostały naruszone poszczególne systemy sprawdzające, to jest mało prawdopodobne, by przypadkowe uszkodzenia związanych z tym neuronów spowodowały dokładnie takie zmiany, które generowałyby fałszywe raporty dotyczące dobrego stanu zdrowia.

A jeżeli uszkodzenia nie są przypadkowe? Jeśli przeciwnik ASR za pomocą nanomaszyn infekuje tutejsze służby bezpieczeństwa? Ale gdyby tak było, to wtedy przyjęta przez nich taktyka byłaby absurdalna. Dlaczego mieliby powoli degradować nasze mody, dając nam tym samym całe dni na rozważanie symptomów? Nieskończenie więcej sensu miałoby stworzenie utajnionej wersji modu marionetki, która mogłaby przycziąć się w ukryciu, subiektywnie niewykrywalna, aż do czasu kiedy zostałaby aktywowana we wcześniej ustalonym terminie.

*Co w takim wypadku?*

Karen materializuje się tuż przede mną. Bezskutecznie staram się jej pozbyć. Po prostu sterczy nade mną; bez słowa, z nieznacznie zmarszczonym czołem, jak się wydaje, równie jak ja zagubiona w wyjaśnieniach swojej obecności. Nakłaniam ją do zniknięcia:

– Jestem uzbrojony. Sama wiesz, jak bardzo nienawidzisz patrzeć na mnie w takim stanie.

Argument ten jakoś na nią nie działa i nic w tym dziwnego; najwyraźniej nie jestem w trybie uzbrojonym – cokolwiek sam **P3** mógłby o tym sądzić.

Jaki jest pożytek z ochroniarza, którego mody optymalizacyjne przestały działać? Który cierpi na niekontrolowane omamy wzrokowe?

Zamykam oczy, uspokajam się. To proste: pójdę jutro do firmowej jednostki zdrowotnej ASR, opiszę swoje symptomy i pozwolę specjalistom doprowadzić się do porządku. Jeśli cokolwiek nie jest tam w środku tak, jak należy, oni potrafią się z tym uporać.

Sama perspektywa faktu, że obcy ludzie będą dokonywać inwentaryzacji zawartości mojej głowy, jest poniżająca, ale to zaszło już za daleko. Będę musiał wytłumaczyć obecność Karen... i modu lojalności? Jakoś tu namotam; nie muszą znać wszystkich szczegółów. To, co ostatecznie ma znaczenie, to służba Ansamblowi, a nie jestem w stanie tego robić, rozsypując się na kawałki.

Otwieram oczy. Karen wciąż tu jest.

– Cóż, jeżeli masz zamiar już tak tu sterczeć, to co chcesz robić? – pytam. – Stać ze mną na straży?

– Nie.

– Co w takim razie?

Stojąc nade mną, wyciąga dłoń i dotyka mojego policzka. Chwytam ją za drugą rękę –

bardziej niż zazwyczaj świadom modu szukającego sposobu, aby powstrzymać mnie przed wsunięciem palców w jej nieistniejące ciało. Przesuwam kciuk wzdłuż wierzchu jej dłoni, zatrzymując się na znajomym kształcie każdej kostki palca.

– Tęsknię za tobą. Wiesz o tym.

Nie odpowiada.

Musi istnieć jakiś sposób na to, żeby wpakować ją z powrotem. Być może mógłbym nauczyć się powstrzymywać ją od bluźnierstw przeciwko Ansamblowi; nauczyć się silniej ją kontrolować – nie niszcząc całkowicie iluzji jej autonomii. Albo... może mógłbym poddać ją modyfikacji, skrepić – nałożyć na nią jej własny „mod lojalności”. Dlaczegoż wcześniej na to nie wpadłem? Mody można dostosowywać. Wszystko jest możliwe.

Spoglądam w górę, w jej kierunku, i spotykamy się wzrokiem. Spokojna, niezmacona miłość, która się w niej zrodziła, zdaje się nieznacznie falować, niczym obraz odbijany w gładkiej tafli jeziora, subtelnie zakłócany jakimś ukrytym w głębi prądem. Przechodzi przeze mnie dreszcz oczekiwania; nie czuję żadnych zabronionych uczuć – żadnego smutku, winy czy złości. Ale sama myśl, że ten mod mógłby również zawieść – że wszystko, czego on mnie pozbawia, przed czym osłania, może stać się ponownie możliwe – momentalnie przejmuje mnie oszałamiającym strachem.

Puszczam jej dłoń, a ona...

Ona wypełnia pokój.

Rozchodzi się, rozmazuje, replikuje, niczym jakaś sztuczka z holograficznego programu graficznego, który wyrwał się spod kontroli. Wywracając krzesło, zrywam się na nogi, podczas gdy otaczająca mnie przestrzeń wypełnia się coraz większą liczbą kopi jej iluzorycznego ciała.

Oslaniam twarz, ale wciąż mogę poczuć, jak z każdej strony one ocierają się o mnie. Buczący dźwięk narasta zewsząd, zniekształcony i niezrozumiały, ale bezsprzecznie wciąż rozpoznawalny jako jej głos.

Krzyczę...

...i wszystko znika całkowicie.

W ciszy, która nagle zapanowała, w pamięci odbijają mi się echa ostatnich chwil dźwięku – i uzmysławiam sobie, że mój własny krzyk niemalże zagłuszył zupełnie inny głos.

Po-kwai.

Z wyciągniętą bronią wkraczam do mieszkania. Rzucane przez imitacje okien znaki reklamowe świateł miasta – hologramy hologramów – oświetlają mi drogę. **P2** stwierdza, że nie potrafi zlokalizować źródła krzyku, gdyż dane nie są jednoznaczne, ale żywię dziwaczne przekonanie, że wiem, iż pochodził on z sypialni. Tak czy inaczej, jest to pierwsze miejsce, gdzie należałoby zajrzeć. Drzwi są uchylone; kopniakiem otwieram je na oścież. Stojąca w przeciwległym kącie pokoju Po-kwai obraca się gwałtownie, przestraszona. Na moment zastygam w bezruchu, starając się coś wyczytać z jej twarzy, z nadzieją na znak – drgnienie powieki wydające pozycję intruza – ale tylko wygląda na zaniepokojoną i zbitą z tropu, jedynie samą moją obecnością. Wchodzę do środka.

– Jesteś sama?

Kiwa głową, a następnie zdobywa się na nerwowy, pełen złości śmiech.

– Co ty wyprawiasz? Starasz się wystraszyć mnie na śmierć?

– Nie krzyczałaś?

Groźnie na mnie patrzy i już prawie ma gwałtownie temu zaprzeczyć, kiedy opanowuje się i rozgląda po pokoju, jak gdyby nieoczekiwanie nie była w stanie określić, jak się tutaj znalazła.

– Wydaje mi się... musiałam mieć koszmar. Być może krzyczałam przez sen. Nie wiem. –

Przykłada dłoń do ust. – Przepraszam. Musiałeś pomyśleć...

– W porządku. – Chowam broń, gdyż ta najwyraźniej ją niepokoi.

– Przepraszam, Nick.

– Nie ma sprawy; nic złego się nie stało. To ja przepraszam, że tak cię wystraszyłem. –

Teraz, kiedy napięcie opadło, mam chwilę, aby zauważyć, że znów jestem w trybie uzbrojonym, a **P3** działa, jak należy. To dobra wiadomość – ale równie niewytłumaczalna jak cała reszta.

Potrząsa głową, wciąż przeproszając.

– Nawet nie przypominam sobie, żebym wstawała z łóżka.

– Lunatykujesz?

– Nigdy. Być może doznałam we śnie takiego szoku, że z krzykiem zerwałam się z łóżka...

ale przebudziłam się dopiero wtedy, kiedy byłam już na nogach. Naprawdę nie potrafię sobie przypomnieć.

Spoglądam na łóżko, które wcale nie wygląda tak, jakby „zerwała” się z niego. Jednakże nie sprzeczam się. Jeżeli lunatykuję, to warto o tym wiedzieć, ale nic nie zyskam, zawstydzając ją, skoro nie chce się do tego przyznać.

– Taaa. Cóż, przeproszam za to wtargnięcie. Lepiej już sobie pójdę i pozwolę ci trochę pospać.

Kiwa głową.

Kiedy wracam do przedpokoju, słyszę, jak niespokojnie krąży po mieszkaniu. Siadam i czekam, by **P3** ponownie zaczął szwankować, a Karen pojawiła się i jeszcze raz wpadła w szal, ale nic się nie dzieje. Żywienie nadziei, że błąd w oprogramowaniu cudownie rozszedł się po kościach, jest pobożnym życzeniem, a prawda jest taka, że o ile wiem, to może powrócić w każdej chwili – i raczej wolałbym stanąć przed lekarzami jako bełkoczący wrak człowieka, niepokojony przez ducha swojej zmarłej żony, niż mieliby mnie zbadać powierzchownie i przedstawić te same uprzejme zapewnienia, które oferują mi mody: **NIE WYKRYTO ŻADNYCH**

**BŁĘDÓW.**

Dziesięć minut później Po-kwai wyłania się z apartamentu.

– Miałbyś coś przeciwko temu, gdybym na chwilę się przysiadła?

– Oczywiście, że nie.

– Już za późno, żeby wracać do łóżka, a za wcześnie, by zasiadać do śniadania. Nie wiem, co mam ze sobą począć.

Wynosi z mieszkania i dostawia sobie drugie krzesło, siada na nim, nachyla w moim kierunku, wciąż wyraźnie poruszona.

– Może powinienem wezwać lekarza – mówię.

– Nie wygłupiaj się.

– Środki uspokajające...

– Nie! Nic mi nie jest. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do uzbrojonych ochroniarzy, którzy wpadają do mojego pokoju i wymachują bronią. To wszystko. – Zaczynam przepraszać, ale mnie ucisza. – Nie skarżę się. Cieszę się, że robisz to, co do ciebie należy. Po prostu chodzi o to, że – wreszcie – godzę się z faktem, że twoja obecność jest konieczna. Byli tutaj w czasie rozmowy o pracy absolutnie szczerzy i wyjaśnili mi bardzo precyzyjnie, jakie będą zarządzenia dotyczące środków ochrony; to wyłącznie moja wina, że odrzucałam je jako paranoję.

– Ale co wpłynęło na zmianę twojego sposobu myślenia? Moja przesadna reakcja?

Przepraszam, powinienem był podejść do tego w sposób bardziej opanowany. Nie ma żadnego powodu, byś czuła się osaczona; najprawdopodobniej nikt spoza ARS nie ma pojęcia o istnieniu całego projektu.

– Taaa. To tylko... teraz, kiedy wiem, że nie jestem w grupie kontrolnej, kiedy wszystko najwyraźniej działa... i kiedy myślę o tym, ile badawczo-rozwojowego kapitału obecnie...

ucieleśniam... – Potrząsa głową. – Wpakowałam się w to z powodu fizyki – myślałam, że będę bardziej współpracownikiem niż świnką doświadczalną. Leung traktuje mnie jak idiotkę. Tse sam jest idiotą. Lui traktuje mnie jak jakąś delikatną pomniejszą boginkę; nie mam pojęcia, jaki jest jego problem. Anie nie zostanie opublikowane przez wiele lat. To powinno się znaleźć na pierwszych ekranach *Nature* już jutro: ROLA OBSERWATORA W MK POTWIERDZONA – I ZMODYFIKOWANA!

– Rola...?

– Obserwatora. W mechanice kwantowej. – Spogląda na mnie, jakbym powiedział coś rażąco obłudnego, ale wtedy doznaje olśnienia. – Nie powiedzieli ci nawet, tak? – Wydaje z siebie dźwięk pełen oburzenia i niedowierzania. – No tak. Nick jest tylko ochroniarzem, takim chłopcem na posyłki – dlaczegóż więc ktokolwiek miałby zawracać sobie głowę tłumaczeniem mu, dlaczego ryzykuje własnym życiem?

Potrząsam głową.

– Nie ryzykuję życiem. A skoro nie muszę wiedzieć, to tak może jest lepiej...

– Och, gówna prawda.

– Naprawdę tak uważam.

**P3** sprawia, że jestem spokojny, ale beznamiętnie zauważam narastający w moim wnętrzu rodzaj duchowego zawrotu głowy. Nie chcę słuchać o tajemnicach Ansamblu; nie chcę słyszeć rozstrzygających doczesnych wyjaśnień; nie chcę przedzierać się przez tę zasłonę.

Jakkolwiek kiedy jestem uzbrojony to uczucie jest tylko odległą i bezcielesną paniką; nie należy do mnie. Uzbrojony, jestem zadowolony z bezkrytycznego posłuszeństwa – a nie otrzymałem żadnych instrukcji, by utrzymywać moją pełną czci ignorancję. Quasi-mistyczne ozdóbki, którymi

przyozdobiłem Ansambl, nie pochodzą jedynie od samego modu lojalności, a zombie chwyt nie odczuwa ich potrzeby.

Tak czy inaczej, nie mam wyboru. Po-kwai zdecydowanie rozpoczyna:

– Tylko posłuchaj. Aspekty techniczne są zawile, ale same podstawy są banalne.

Słyszałeś o problemie pomiaru kwantowego?

– Nie.

– A o kocie Schrödingera?

– Oczywiście.

– Cóż, kot Schrödingera jest ilustracją problemu pomiaru kwantowego. Mechanika kwantowa opisuje mikroskopijne układy – cząstki subatomowe, same atomy, molekuly – za pomocą formalizmu matematycznego zwanego funkcją falową. Na podstawie funkcji falowej możesz przewidzieć prawdopodobieństwo otrzymania poszczególnych wyników podczas dokonywania pomiarów w układzie.

Przypuśćmy na przykład, że masz przygotowany w szczególny sposób jon srebra, który przechodzi przez pole magnetyczne, a następnie uderza w ekran fluorescencyjny. Mechanika kwantowa przewiduje, że w połowie przypadków zauważysz rozbłysk na ekranie tak, jak gdyby jon odchylił się w polu magnetycznym w górę, a w połowie tak, jak gdyby odchylił się w dół. Można to wyjaśnić tym, że jon posiada spin, dzięki któremu oddziałuje z polem magnetycznym i zostaje pchnięty bądź w górę, bądź w dół, w zależności od kierunku spinu względem pola. Tak więc obserwując rozbłyski światła na ekranie, dokonujesz pomiaru spinu jonu.

Albo przypuśćmy, że posiadasz atom radioaktywnego pierwiastka, którego okres połowicznego zaniku wynosi godzinę. Skieruj na niego detektor promieniowania, podłączony do urządzenia rozbijającego pojemnik z trującym gazem, który – jeżeli tylko atom ulegnie rozpadowi – zabije kota. Umieść całą aparaturę w nieprzezroczystym pudełku, odczekaj godzinę, a następnie zajrzyj do środka. Jeżeli przeprowadzasz eksperyment raz za razem –

za każdym razem z nowym atomem i nowym kotem – mechanika kwantowa przewiduje, że w połowie przypadków odkryjesz, że kot będzie martwy, a w połowie, że żywy. Sprawdzając, który z tych dwóch stanów ma miejsce, dokonasz pomiaru dotyczącego faktu, czy atom uległ

rozpadowi, czy też nie.

– Więc... gdzie tkwi problem?

– Problem jest następujący: w obu powyższych przypadkach przed dokonaniem pomiaru funkcja falowa nie podaje, jaki będzie jego wynik. Załedwie określa, że istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo któregoś z nich. Ale kiedy dokonałeś już pomiaru, kolejny pomiar tego samego systemu zawsze da te same wyniki. Jeżeli za pierwszym razem, kiedy zajrzałeś do środka, kot

był martwy, to wciąż taki będzie, gdy zajrzysz tam ponownie. W kategoriach funkcji falowej sam akt dokonywania pomiaru w jakiś dziwny sposób zmienił mieszaninę dwóch fal, reprezentowaną przez dwie możliwości, do „czystej” fali –

nazywanej stanem własnym układu – reprezentowanej przez zaledwie jedną z nich. To właśnie nazywamy załamaniem – „redukcją funkcji falowej”.

Ale dlaczego pomiar miałby być taki szczególny? Dlaczego miałby załamywać funkcję falową? Dlaczego jakaś aparatura pomiarowa – sama wykonana z pojedynczych atomów, z których najprawdopodobniej wszystkie podlegają tym samym prawom mechaniki kwantowej co badany układ – powoduje redukcję mieszaniny dwóch możliwości do jednej? Jeżeli po prostu traktujesz urządzenie pomiarowe jako kolejną część układu, to równanie Schrödingera przewiduje, że i ono samo powinno zakończyć jako mieszanina stanów – podobnie jak wszystko, co z nim wzajemnie oddziałuje. Pojemnik z trującym gazem powinien zakończyć jako funkcja falowa będąca mieszaniną stanów „rozbity” i „cały”, a sam kot powinien zakończyć jako mieszanina stanów „martwy” i „żywy”. Dlaczegoż więc zawsze obserwujemy kota wyłącznie w jednym, czystym stanie, martwego bądź żywego?

– Być może po prostu cała ta teoria jest błędna.

– Nie, to nie jest aż takie proste. Mechanika kwantowa jest najbardziej udaną teorią naukową z powstałych do tej pory – o ile przyjmujesz za pewnik redukcję funkcji falowej.

Gdyby cała teoria była błędna, nie mielibyśmy takich rzeczy, jak mikroelektronika, lasery, optoelektronika, nanomaszyny, dziewięćdziesięciu procent substancji chemicznych i farmaceutycznych, przemysłu... Mechanika kwantowa sprawdza się w każdym eksperymentalnym teście, jaki został kiedykolwiek wykonany. Tak długo, jak długo zakładasz istnienie tego szczególnego procesu nazywanego „pomiar” – który podlega zupełnie odrębnym prawom niż mające zastosowanie przez cały pozostały czas.

Tak więc celem badań problemu pomiaru kwantowego jest ustalenie, czym dokładnie jest

„pomiar” i dlaczego jest taki szczególny? Kiedy dochodzi do redukcji funkcji falowej? Wtedy kiedy zostaje wzbudzony detektor cząstek? Kiedy pęka butelka? Kiedy umiera kot? Kiedy ktoś zagląda do pudełka?

Jednym sposobem odpowiedzi jest wzruszenie ramionami i stwierdzenie: mechanika kwantowa bezbłędnie przewiduje prawdopodobieństwa ostatecznego, obserwowalnego wyniku – a czegoż więcej można wymagać? Atomy są obserwowane tylko przez efekty, jakie wywierają na instrumenty naukowe, zatem mechanika kwantowa pozwala dokładnie wyliczyć, przez jaki procent czasu otrzymasz poszczególne odczyty na instrumentach – czy też pozycje rozkładu światła bądź śmiertelność kota – i masz już kompletną teorię.

Inni ludzie starali się wykazać, że funkcja falowa powinna się załamywać wtedy, kiedy układ osiąga rozmiar krytyczny – czy też energię krytyczną bądź krytyczny stopień złożoności



– i że jakiegokolwiek użyteczne instrumenty pomiarowe byłyby grubo ponad tym progiem. Ludzie wprowadzali efekty termodynamiczne, grawitację kwantową, hipotetyczne nieliniowości w równaniach... wszystko, co tylko się dało. Ale nic nigdy tak naprawdę do końca nie wyjaśniało faktów.

Istnieje jeszcze teoria wielu światów...

– Historia alternatywna, światy równoległe...

– Dokładnie. W teorii wielu światów funkcja falowa nie załamuje się. Cały wszechświat rozszczepia się wtedy na różne wersje, po jednej dla każdego z możliwych pomiarów. W jednej z wersji mamy martwego kota i eksperymentatora, który widział, że był on martwy. W kolejnej mamy żywego kota i eksperymentatora, który widział, że był on żywy. Problem jest taki, że teoria ta nie mówi, dlaczego cokolwiek z tego miałyby się wydarzać – ani nawet gdzie dochodzi do rozszczepienia wszechświata. W detektorze? W butelce? W kocie? A może w człowieku? Tak właściwie to na nic nie odpowiada.

– Być może odpowiedzi nie istnieją, być może wszystko to tylko metafizyczna gra słów...

Potrząsa głową.

– Metafizyka stała się nauką eksperymentalną w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Jakkolwiek osobiście wołałabym przyjąć, że dziedzina ta tak właściwie naprawdę rozpoczęła się dzisiaj. – Spogląda na zegarek. – Przepraszam, wczoraj. We wtorek, dwudziestego czwartego lipca dwa tysiące sześćdziesiątego ósmego roku.

Cierpliwie czeka – z odrobiną zadowoloną z siebie miną – aż to do mnie dochodzi:

– W mózgu? W jakiś sposób udało ci się wykazać, że załamywanie funkcji falowej odbywa się w mózgu?

– Tak.

– Ale... w jaki sposób? Jak cokolwiek z tego może mieć coś wspólnego z wpływem na jony, sprawianiem, by wszystkie podążały w tym samym kierunku? Czy nie używasz jakiegoś efektu elektromagnetycznego...

– Nie! Żadne pole biologiczne nie byłoby wystarczająco silne...

– Tak właśnie myślałem. Jak w takim razie?

– Mod wykonuje dwie rzeczy. Po pierwsze, powstrzymuje mnie przed załamywaniem funkcji falowej; wyłącza te części mózgu, które normalnie to wykonują. Ale gdyby mod robił

tylko tyle, wtedy kierunek odchylenia jonów wciąż pozostałby przypadkowy, pół na pół... wtedy to wy – ty, Leung, Tse i Lui – załamywalibyście system zamiast mnie.

Ale mod pozwala również na manipulację stanami własnymi – tak że nie niszczy już dłużej,

niezręcznie i przypadkowo, wszystkich, z wyjątkiem jednego z nich. Pozwala mi zmieniać ich względne wartości – a co za tym idzie, zmieniać prawdopodobieństwo możliwych wyników eksperymentu.

W teorii, jak przypuszczam, sama mogłabym załamywać funkcję falową, ale gdyby jedna i ta sama osoba wykonywała obie czynności, pozbawiłoby to eksperyment pewnej finezji. Tak więc to ludzie w pokoju kontrolnym załamują cały system – w skład którego wchodzi jon srebra, ekran fluorescencyjny i ja – ale dopiero wówczas, gdy już wpłynęłam w ten sposób na prawdopodobieństwa, że nie są już dłużej pół na pół.

– Więc... każdy w pokoju kontrolnym jest częścią eksperymentu? Dlatego histogramy nie zmieniają się dopóty, dopóki nie wypowiesz kierunku odchylenia jonu, bo gdybyśmy znali wyniki, nim miałaś okazję wpłynąć na prawdopodobieństwa, załamywalibyśmy jony w sposób przypadkowy?

– Dokładnie.

Przez chwilę rozmyślałam nad tym, co mi powiedziała.

– Twierdzisz, że to my załamujemy „cały system”. Więc dopóki nie usłyszymy twojego głosu, istniejesz jako mieszanina?

– Tak.

– I jakie to... uczucie?

Śmieje się.

– To akurat jest najbardziej frustrujące ze wszystkiego: nie mam pojęcia! Dosłownie nie pamiętam. Kiedy jestem już załamana, pozostaje mi zaledwie jeden zestaw wspomnień; pamiętam obserwowanie zaledwie jednego rozbłysku światła na ekranie. Nie pamiętam nawet, jak się operuje częścią modu odpowiedzialną za stany własne... Nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego osiągnięcie pierwszych wyników zabrało mi tak dużo czasu? A ja nie mam pojęcia, czy chociaż przez chwilę kiedykolwiek „widzę” oba błyski; podejrzewam, że oba moje stany ewoluują zbyt oddzielnie, aby do tego dochodziło. To, co ma miejsce, może odrobinę przypominać model wielu światów, na bardzo małą skalę. W efekcie może to dawać dwie, prawie oddzielne wersje mnie – nawet jeżeli tylko na ułamek sekundy przed załamaniem. Ale cokolwiek się dzieje w pozostałych częściach mojego mózgu, oba stany modu definitywnie ze sobą oddziałują – ich funkcje falowe interferują ze sobą, wzmacniając jeden, a osłabiając drugi stan własny układu. Gdyby było inaczej, cały eksperyment spełzyłby na niczym – byłby zaledwie metafizyczną grą słów.

Waham się, oszołomiony, i staram się prześledzić wstecz całą dyskusję, tak by odnaleźć to miejsce, gdzie zaczęła się ona wykołysać z rzeczywistości. Wreszcie pytam:

– Mówisz poważnie? A nie po prostu dla żartu nabijasz mnie w butelkę? Odwdzięczając się tym samym za to, że wpadłem nieoczekiwanie do twojego pokoju? Bo jeżeli tak jest, to wygrałaś – przyznaję się do klęski. Doprowadziłaś mnie do punktu, w którym nie potrafię już określić, co jest

prawdziwe, a które fragmenty zmyślasz na poczekaniu.

Wygląda na urażoną.

– Nie zrobiłabym czegoś takiego. Wszystko, co ci powiedziałam, jest prawdą.

– To tylko... wszystko zaczyna przypominać ten rodzaj bełkotu mistyków kwantowych...

Gwałtownie potrząsa głową.

– Nie, nie – oni utrzymują, że istnieje jakiś нефизyczny element ludzkiej świadomości – coś niezależnego od mózgu, jakaś choro określona istota „duchowa”, która załamuje funkcję falową. Wczorajszy eksperyment dowiódł, że zupełnie nie mają racji. Wyłączone przez mod części mózgu nie odwalają żadnej mistycznej roboty; wykonują wyrafinowaną – aczkolwiek zupełnie zrozumiałą, doskonale fizyczną – akcję. Wiem, że brzmi to dziwacznie, ale w rzeczy samej wszystko to jest zupełnie powszechne. Każdy przez całe swoje życie załamuje układy, z którymi wzajemnie oddziałuje. To bardzo wiekowe założenie; już wielu pionierów mechaniki kwantowej było przekonanych, że obserwator odgrywa decydującą rolę – że samo urządzenie pomiarowe nie stanowiłoby wystarczającego powodu załamania funkcji falowej. Ale przeszło wiek zabrało określenie miejsca, gdzie dokładnie w obserwatorze do tego dochodzi.

Wciąż nie wiem czy wierzyć chociażby w jedno jej słowo, ale wydaje się być tak przekonana do tego, co mówi, że warto przynajmniej dokładnie zrozumieć, w co wierzy.

Odkładam na bok własny sceptycyzm i z trudem usiłuję dogonić jej tok myślenia.

– W porządku... więc nie wystarczy „urządzenie pomiarowe”, musisz mieć „obserwatora”

– ale co stanowi takiego obserwatora? Ludzie, tak... ale co w przypadku komputerów? Co w przypadku kotów?

– Och. Jeśli chodzi o istniejące komputery, to zdecydowanie nie. Załamwanie funkcji falowej jest specyficznym procesem fizycznym – a nie automatycznym produktem pośrednim określonego poziomu inteligencji czy też samoświadomości bądź czegokolwiek innego – a komputery po prostu nie zostały zaprojektowane po to, aby to robić... jakkolwiek bez wątplenia takie się pojawią w przyszłości. Co do kotów... jak mi się zdaje, one to robią, ale w gruncie rzeczy nie jestem ekspertem od neurofizjologii porównawczej, więc nie wierz w każde moje słowo. Obecnie może nam zabrać całe lata, nim ktokolwiek podejmie się określenia, które dokładnie gatunki to robią bądź też nie robią. I pojawia się jeszcze kwestia dotycząca ewolucji tej cechy – i co dokładnie oznacza słowo „ewolucja” w niezalamanym wszechświecie.

Wyjaśnianie wszelkich implikacji z pewnością zajmie ludziom całe dekady.

Oniemiały kiwam głową – i mam nadzieję, że zamilknie chociażby na chwilę, w czasie kiedy sam postaram się wyjaśnić kilka implikacji. Jeżeli to wszystko jest prawdą, to co mi to mówi o Laurze? Czy „manipulowanie stanami własnymi” mogłoby pozwolić jej na otwieranie elektronicznych zamków i zwodzenie kamer systemów bezpieczeństwa? Być może... ale jak przypadkowa mutacja,

czy też przypadkowa wada wrodzona, mogłaby gwarantować jej tak złożone umiejętności? Gdyby chodziło o samą tylko utratę zdolności załamywania funkcji falowej – to tak. Przypadkowe uszkodzenie mogłoby z łatwością spowodować deficyty. Ale jakie jest prawdopodobieństwo uszkodzenia mózgu prowadzące do pewnej wyszukanej umiejętności, której zgodnie z zapewnieniami Po-kwai dostarcza jej mod? Jednak z drugiej strony, Laura musiała posiadać te moce; w jaki inny sposób mogłaby uciec z Hilgemanna? I w jaki inny sposób sam mod mógłby ich teraz dostarczać? Nie potrafię uwierzyć, że BDI zaprojektowała wszystko od zera – w sześć miesięcy – badając jedynie zwykłą ludzką cechę, której Laura była pozbawiona.

Co jest więc bardziej niedorzeczne: to, że BDI odkrywa nerwową manipulację stanami własnymi w czasie krótszym, niż większości firm zajmuje praca nad nowym modem gry..., czy też przypadkowe wydarzenie podające Laurze – a tym samym i BDI – końcowy produkt na srebrnej tacy?

Po-kwai kontynuuje.

– Aczkolwiek jest to dość trzeźwiąca myśl: dopóki jeden z naszych przodków nie nauczył

się tej sztuczki, dopóty wszechświat musiał być miejscem różniącym się zasadniczo od tego, które znamy obecnie. Wszystko działa się równocześnie; wszelkie możliwości współistniały.

Funkcja falowa nigdy się nie załamywała, po prostu stawała się nieprzerwanie coraz bardziej i bardziej złożona. I zdaję sobie sprawę, że brzmi to niedorzecznie – pretensjonalnie –

antropocentrycznie... bądź też geocentrycznie... aby uważać, że akurat życie na naszej planecie mogłoby dokonać tak olbrzymiej przemiany, ale przy całym bogactwie, całej złożoności, być może było to nieuniknione, że gdzieś we wszechświecie jakaś istota ewoluowałaby w taki właśnie sposób, który podkopałby to wszystko, anihilując całą różnorodność, która doprowadziła do jej powstania.

Śmieje się zakłopotana. Wydaje się być niemal zawstydzona – w sposób, w jaki niektórzy ludzie zachowują się, kiedy opowiadają o jakiejś katastrofie czy innej okropności.

– Nie tak łatwo przejść nad tym do porządku dziennego, ale tacy właśnie jesteśmy. Nie jesteśmy zaledwie wszechświatem „mającym świadomość samego siebie” – jesteśmy wszechświatem dziesiątkującym się, w samym akcie zdobywania tej wiedzy.

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem.

– Co ty opowiadasz? Że pierwsze posiadające tę cechę zwierzę na Ziemi... załamało cały wszechświat?

Wzrusza ramionami.

– Być może nie miało to miejsca na Ziemi, ale nie ma powodu, dla którego tak miałoby nie być. Ktoś musiał być pierwszy. I nie do końca cały wszechświat – jedno przypadkowe spojrzenie w nocne niebo z trudem mogłoby wszystko zmierzyć. Bądź co bądź jednak znacząco przerzedziłoby możliwości – na sam początek ustaliłoby położenie Ziemi i Słońca: wyróżniło je z całej mieszaniny

wszelkich możliwych układów materii, które mogłyby okupować Układ Słoneczny. Ustaliłoby naj-  
aśniejsze gwiazdy pod względem ich ostrości w polu widzenia wspomnianej istoty, odrzucając  
wszelkie alternatywne konfiguracje. Pomyśl o wszystkich konstelacjach, które mogłyby zaistnieć;  
gwiazdach i światach, które zniknęły raz na zawsze, kiedy jakiś nasz przodek otworzył oczy.

Potrząsam głową.

– Nie możesz mówić tego poważnie.

– Mówię.

– Nie wierzę ci. Jakie masz na to dowody? Na podstawie jednego małego eksperymentu z jonami  
srebra wyciągasz wnioski, że ów hipotetyczny przodek ludzi – a najprawdopodobniej i kotów –  
dokonał za pomocą pojedynczego spojrzenia w nocne niebo transformacji wspaniałej, imponującej  
mieszanki każdego możliwego wszechświata, który mógł tam zaistnieć od czasu Wielkiego  
Wybuchu... w niesamowicie małą frakcję uzależnioną od tego, co akurat objął

wzrokiem? Wymazując całą resztę? Dokonując czegoś w rodzaju... kosmologicznego mordy na  
wielką skalę?

– Tak. Być może i dosłownie mordy. Życie – inteligentne życie – nie potrzebuje załamywać funkcji  
falowej. Gdyby przed nami istniało życie, które nie załamywało funkcji falowej, to my musielibyśmy  
to zrobić. Co mogłoby oznaczać odesłanie w niebyt całych cywilizacji.

– I tobie się wydaje, że wciąż to robimy? Załamujemy rzeczy odległe o lata świetlne? Inne gwiazdy?  
Inne galaktyki? Inne formy życia? „Przerzedzając możliwości”? Przycinając wszechświat – samą  
tylko obserwacją?

Śmieję się, coś sobie nieoczekiwanie przypominając.

– Bądź też raczej: robiliśmy to, dopóki...

Urywam w połowie zdania. Na chwilę zamykam oczy, czując zawrót głowy i klaustrofobię.

Niewypowiedziany wniosek tak czy inaczej rozwija się w moje głowie i żaden znajdujący się tam  
mod nie jest – jak się zdaje – w stanie go unieszkodliwić.

Po-kwai miękko dopowiada:

– Taaa. Robiliśmy to. Do czasu pojawienia się Bańki.

Po spędzonym w pokoju jonowym poranku, który potwierdził, że wyniki poprzedniej nocy nie były żadnym ślepym trafem, Po-kwai otrzymała dwa tygodnie wolnego; w tym czasie poczynione zostaną przygotowania do kolejnej fazy eksperymentu. Ograniczenie jej wolności do wnętrza budynku zdaje się jej nie martwić i większość wolnego czasu spędza na lekturze.

– I tak to właśnie bym robiła – stwierdza. – A gdybym mogła zapomnieć, że nie mam innego wyboru, to wtedy cała sytuacja byłaby wręcz doskonała: cisza i spokój oraz bezawaryjna klimatyzacja. Tak właśnie wygląda raj z moich marzeń.

Wyliczanka znika z moich snów. P3 funkcjonuje bez zarzutu. Karen nie powraca.

Ostrożnie wypytuję Lee Hing-cheunga o jego własne mody. Okazuje się, że posiada jedynie **Sentinel**, **MetaDossier** i **RedNet** i – z wyjątkiem pierwotnego problemu w czasie eksperymentów z jonami – żaden nie sprawiał mu problemów. Moja determinacja, by odkryć powody błędnej pracy moich własnych modów zanika; nie widzę sensu oddawać się w ręce lekarzy czy też neurotechników, skoro nie mam żadnych symptomów – a nie mam zbyt wielkiej ochoty ryzykować ujawnieniem faktu, że posiadam mod lojalności, ludziom, którzy nie powinni się o tym dowiedzieć. Obiecuję sobie szukać u nich pomocy przy pierwszych oznakach dysfunkcji, ale kiedy każdy kolejny dzień mija bez nawrotów, nadzieja, że problem jakoś „sam się wyleczył”, wydaje się być coraz mniej nedorzeczna.

Obawiam się jakiegoś pomysłowego, lecz kompletnie przyziemnego wyjaśnienia

„telekinezy” Laury – drżąc przed ciężarem kolejnej sprzeczności, kolejnej różnicy pomiędzy tym, co czuję względem Ansamblu, a prawdą dotyczącą ich działalności – rewelacje Po-kwai znacznie przekraczają limit tego, czego mogłem ewentualnie oczekiwać. Ansambl bada sprawy dotyczące natury rzeczywistości, natury ludzkości – i prawdopodobnie również powodów pojawienia się Bańki. Wstydem napełnia mnie wspomnienie, że kiedyś poważnie skłaniałem się ku opinii, że wyłącznym celem tego potężnego sojuszu mogło być jedynie nikczemne wykorzystanie umiejętności Laury. Powinienem był zdawać sobie sprawę, że chodziło o coś znacznie bardziej szczytnego.

Ale gdyby mimo wszystko chodziło o „nikczemne wykorzystanie”? Wtedy Ansambl pozostałby wciąż najważniejszą rzeczą w moim życiu, gdyż taki stan rzeczy jest gwarantowany przez mod lojalności. Obawy przed rozczarowaniem i radość z potwierdzenia mojej wiary są równie absurdalne. Snuję takie obserwacje wewnątrz głowy, ale nie prowadzi mnie to nigdzie.

Szokujące stwierdzenie Po-kwai, że życie na Ziemi mogło być istotnie nieprzystające do reszty wszechświata, jest dla mnie równie trudne do przemyśleń. Opinia, że ludzkość jest, czy też była, częścią swego rodzaju kosmicznej nekrozy, przersedzającej możliwości całego wszechświata, dokonującej mimowolnego mordu na skalę, której w żaden sposób nie potrafię objąć rozumem, wystarczająco mocno nie daje spokoju – aby określić ją jako odrębną, abstrakcyjną propozycję – ale jest niemożliwa do prześledzenia. Moje uczucie przerażenia gwałtownie zmienia się w niewiarę. Czuję się, jakbym został poprowadzony przez jeden z tych fałszywych matematycznych „dowodów”, które rzekomo demonstrują, jak jeden równa się zeru. Wycofuję się z tej mentalnej ślepej uliczki i

poszukuję skaz w argumentacji. Kiedy późnym popołudniem pojawiając się na służbie, Po-kwai przerywa lekturę i kontynuujemy naszą dyskusję.

– Sama przyznałaś – zaczynam – że to niedorzecznie geocentryczne.

Wzrusza ramionami.

– Tylko jeżeli bylibyśmy pierwsi. Być może nie byliśmy. Być może odbyło się to na tysiącu innych planet miliard lat wcześniej, nim przytrafiło się na Ziemi. Nie oczekuję, byśmy mieli się kiedykolwiek tego dowiedzieć. Ale po ustaleniu, która część ludzkiego mózgu załamuje funkcję falową, geocentryczne byłoby przyjęcie, że każda inna istota rozumna we wszechświecie robi dokładnie to samo.

– Ale nie jestem przekonany, że określiłaś to miejsce. Nie udowodniłaś przekonująco, że wciąż nie załamujesz fali; wykazałaś jedynie, że mod ingeruje przed załamaniem – cokolwiek je powoduje. Być może mimo wszystko któraś ze starych teorii jest słuszna – być może fala załamuje się tylko wtedy, kiedy system staje się wystarczająco duży, ale modowi udaje się zadziałać tuż poniżej rozmiaru krytycznego... wciskając przy ostatniej możliwej sposobności swoją sztuczkę z interferencją.

– Co w takim razie z tymi obszarami mózgu, które są wyłączane przez mod? Z czym mamy tu do czynienia?

– Nie wiem. Ale skoro wyglądają one tak, jakby zostały „zaprojektowane” do wywierania efektu kwantowego, to być może są prymitywną próbą wykonywania dokładnie tego samego, co robi część modu kontrolująca stan własny układu – raczej wpływania na sposób załamania fali niż zwykłego akceptowania naturalnego prawdopodobieństwa. Być może ewolucja dała nam wszystkim niewielką zdolność wpływu na prawdopodobieństwo; nie możesz zaprzeczyć, że coś takiego miałoby pewną wartość, jeżeli chodzi o zdolność przetrwania. A jeżeli odkąd tylko rozpoczął się wszechświat, funkcja falowa rzeczywiście zawsze, kiedykolwiek tylko układ stawałby się wystarczająco duży, załamywałaby się przypadkowo... to wszystkim, o co można nas oskarżyć, jest zaledwie zapoczątkowanie ewolucji jakiegokolwiek kontroli nad tym procesem.

Jest przychylna, ale nieporuszona.

– Jeżeli nie uruchamiam powstrzymującej załamywanie części modu – jeżeli nie blokuję tych naturalnych ścieżek – cały efekt zanika i jony ponownie stają się przypadkowe. To pierwsza rzecz, którą przetestowaliśmy zaraz następnego ranka po serii zwyciężonej sukcesem. W porządku, twoja teoria wciąż może być słuszna – naturalne ścieżki mogłyby w jakiś sposób interferować z efektami modu na stany własne, nawet jeżeli nie miałyby nic wspólnego z załamywaniem fali. Ale skoro ludzie mieliby zdolność „wpływania na prawdopodobieństwo”, to zdaje mi się, że do tej pory powinno to zostać odkryte. Nie wątpię, że istnieją inne wyjaśnienia eksperymentu z jonami – ale jak wytłumaczysz obecność Bańki?

– Na *to* akurat nie brakuje nam innych wyjaśnień – sam musiałem usłyszeć przynajmniej tysiąc w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

– A ile twoim zdaniem miało jakikolwiek sens?

– Tak z ręką na sercu – żadne. Ale ileż sensu ma twoje? Skoro Budowniczy Bańki byli tak podatni na nasze obserwacje, jak w takim razie zdołali przetrwać tak długo? Jak daleko mogły sięgać nasze teleskopy, zanim jeszcze pojawiła się Bańka? Miliardy lat świetlnych!

– Tak, ale nie mamy pojęcia, jaki rodzaj zniszczeń – jaki stopień obserwacji – mogliby tolerować. Kiedy wszechświat był całkowicie niezłamany, być może istniały formy życia, które dosłownie opierały się na wszelkiej różnorodności – formy życia, w których każda indywidualna jednostka rozciągała się przez znaczną część całej rozpiętości stanów własnych układu, zajmując olbrzymie zakresy tego, co my uznajemy za wzajemnie wykluczające się możliwości.

Pierwsze złamanie byłoby dla nich niczym... odebranie cieniutkiego plasterka ciała ludzkiego i odrzucenie całej reszty.

– Jak w takim razie Budowniczy Bańki przetrwali? Dlatego że byli bardzo ciency na samym początku?

– Dokładnie! Musieli potrzebować o wiele bardziej ograniczonego zakresu stanów. Być może w ich przypadku efekt bardziej przypominał... głęboki ocean, który nagle stał się płytki.

Mogliśmy obserwować galaktyki odległe o miliardy lat świetlnych, ale nasz Układ Słoneczny nie został złamany do nawet najmniejszego fragmentu pyłu meteorów. Systemy planetarne odległych gwiazd wciąż miałyby wiele wolności. I być może taki Budowniczy Bańki mógłby przetrwać niemal wszystko, z wyjątkiem konfrontacji twarzą w twarz z istotą ludzką, ale to coraz bardziej dokładna ludzka astronomia przerzedzała funkcję falową – „wysuszała ocean”

– do takiego stopnia, że stworzenie Bańki, mającej powstrzymać nas przed powodowaniem jeszcze większych szkód, było jedynym sposobem na zachowanie ich cywilizacji.

– No, nie wiem...

Śmieje się.

– Ja też nie wiem. A cały sens pojawienia się Bańki jest taki, że nigdy się tego nie dowiemy. Mam co prawda – jeżeli ta do ciebie nie przemawia – jeszcze kilka innych teorii. Być może Budowniczy Bańki są zrobieni z zimnej ciemnej materii – aksjonów czy jakiś innych słabo oddziałujących cząstek, których nigdy nie byliśmy w stanie zarejestrować z odpowiednią wydajnością. Gdyby to było powodem, to mogliśmy czynić im relatywnie mało szkód – lecz zdecydowali, że nasza technologia zbliżała się niebezpiecznie blisko do punktu, w którym mogłaby zacząć im zagrażać. W latach dwudziestych i wczesnych trzydziestych wielu astronomów poszukiwało zimnej ciemnej materii – a ich sprzęt z roku na rok stawał się coraz bardziej czuły i dokładny. Być może to ich powinniśmy obwiniać o to, co się stało.

Abstrakcje mogą zostać odłożone na bok. Kiedy przeciskam się przez ulicę, sam pomyśl, że to otaczający mnie tłum zbiorowo powstrzymuje miasto przed rozplynięciem się we mgle



równoczesnych możliwości, wydaje się nie tyle nie do przyjęcia, ile zwyczajnie nieistotny.

Jakiegolwiek złożone i groteskowo sprzeczne z intuicją miałyby być te podpory znajomej rzeczywistości, ta z uporem nie przestaje być znajoma. Kiedy Rutheford wykazał, że atomy były w większości pustą przestrzenią, czy ziemia pod stopami stała się mniej solidna? Sama prawda niczego nie zmienia.

To, czego nie mogę zignorować, to to, że Ansambl zajmuje się *Bańkologią* – i nie ma żadnej różnicy, czy ich hipotezy są, czy też nie są właściwe. Liczy się sam fakt. Warstwy ochrony i osobiści ochroniarze dla ochotników nie mają nic wspólnego z obawami przed komercyjną konkurencją.

Ansambl ma dokładnie jednego jedyne go wroga: Dzieci Bezmiaru.

Reagując na pukanie do drzwi, **Boss** budzi mnie gładko, pozostawiając w trzeźwym stanie umysłu, ale tak czy siak wkurzonego. Ledwo minęło południe i spałem tylko dwie godziny. Przekazuję holowizorowi rozkaz w podczerwieni, aby wyświetlił mi obraz pochodzący z elektronicznego wizjera u drzwi. Moim gościem jest dr Lui. Zbity z tropu, ubieram się szybko.

Tong lub Lee na pewno zadzwoniliby po mnie, gdybym tylko z jakichś powodów był potrzebny na służbie.

Zapraszam go do środka. Z pewnego rodzaju przeproszającym zaskoczeniem przeczesuje wzrokiem pokój, jak gdyby chciał powiedzieć, że nigdy nawet sobie nie wyobrażał, by mógł on być aż tak skromny, i teraz, kiedy już o tym wie, mam jego najgłębsze współczucie.

Proponuję mu herbatę, ale wylewnie odmawia. Wymieniamy kilka uprzejmości, po których następuje krępująca cisza. Przez długie pół minuty uśmiecha się, niczym w agonii, wreszcie stwierdza:

– Żyję dla Ansamblu, Nick.

Po części brzmi to jak żarliwe stwierdzenie, po części jak pełna wstrętu do samego siebie spowiedź.

Kiwam głową i mruczę:

– Tak jak i ja.

To prawda, nie powinienem się tego wstydić – ale intensywne sygnały pochodzące od Luiego są tak pomieszane, że nic nie mogę poradzić i zarażam się jego dwuznacznością.

– Wiem, przez co przechodzisz – stwierdza. – Wewnętrzne walki, paradoksy, męka. Sam to przeżywam.

Ani przez chwilę nie wątpię w ani jedno jego słowo – i czuję ukłucie winy połączonej z uczuciem własnego braku wartości: jak widać, jego cierpienia w szponach zaprzeczeń modu lojalności były o wiele gorsze od moich.

– I wiem też, że nie będziesz wdzięczny za dołożenie do twojego bólu jeszcze mojego.

Ale prawda nigdy nie przychodzi łatwo.

Przytakuje idiotycznie, słysząc ten frazes, w czasie kiedy bezstronna część mnie zastanawia się: czy to kolejny etap? Rodzaj masochistycznego nurzania się w konflikcie stwarzanym przez mod lojalności? Zmuszania się do rozważania niemocy własnych powodów

– i idealizowanie własnej męki na podobieństwo jakichś mistycznych, proroczych cierpień? Ma to pewien perwersyjny sens: nie chcę czuć urazy do modu – dlaczego więc nie miałbym spróbować przyjrzeć się własnej mentalnej udręce w innym świetle, przedefiniować jej znaczenia, ogłosić, że prowadzi mnie ona ku głębszej intuicji i silniejszej wierze?

– Obaj chcemy służyć Ansamblowi – kontynuuje Lui – ale co to właściwie oznacza? Dzień po dniu wykonujemy, co do nas należy, zgodnie z instrukcjami, odgrywamy nasze role w nadziei, że znajdujący się ponad nami w łańcuchu dowodzenia mogą być godni pokładanego w nich zaufania, że mają w sercu najlepsze interesy Ansamblu. Ale pytanie, które sam musisz sobie zadać, brzmi następująco: czy oni zasługują na takie zaufanie? Czy służą Ansamblowi z tym samym rodzajem absolutnego oddania, które w twoim i moim przypadku jest naszą drugą naturą... czy też zaledwie służą własnym interesom? Jak możemy być tego pewni?

Potrząsam głową.

– Są częścią Ansamblu. Im należy się nasza lojalność...

– *Częścią* Ansamblu, dokładnie. Nasza lojalność należy się całości.

Nie do końca wiem, jak odpowiedzieć na coś takiego. Z pewnością, to co mówi, jest prawdą – w tym sensie, że mod odnosi się tylko do Ansamblu, a nie do jakiejś ściśle określonej osoby. Ale dlaczego zawracać sobie głowę dokonywaniem takiego rozróżnienia? Jaką praktyczną różnicę niesie to ze sobą?

Wiercę się nieśmiało na krzesło; Lui nachyla się w moim kierunku, jego przejęta, młoda twarz jaśnieje intelektualną natarczywością. *Nasza lojalność należy się całości*. I zaczynam się zastanawiać, czy na podwalinach efektów modu lojalności nie stworzył sobie całego systemu filozofii moralnej – ta możliwość sprawia, że odczuwam wyraźny niepokój. Trudno byłoby to nazwać pierwszym w historii przypadkiem, że ofiara choroby psychicznej odpowiedziała na własną przypadłość w taki właśnie sposób – ale byłby to z pewnością pierwszy raz, kiedy to ja znalazłbym się w podatnej na zranienia pozycji posiadania takiego samego upośledzenia jak umysłowo chory prorok. I to aż do ostatniego neuronu.

– Wszyscy musimy skądś przyjmować rozkazy – stwierdzam rozsądnie. – Musimy przyjąć, że łańcuch dowodzenia działa tak, jak należy. W praktyce, jaką inną możliwość mamy do wyboru? Nie mam nawet pojęcia, jaka jest struktura wyższych kadr kierowniczych ASR – nie wspominając już o Ansamblu. A nawet gdybym wiedział, to co sugerujesz? Że powinienem przyjmować jedynie rozkazy z samej góry? To byłoby absurdalne. Wszystko powoli rozeszłoby się w szwach.

Lui potrząsa głową.

– Wcale tak nie twierdzę. Przyjmować rozkazy jedynie z samej góry? Jest więcej niż jedna

„góra”. Tak, Wei Pai-ling jest właścicielem BDI... – Marszczę czoło i zaczynam wypierać się jakiegokolwiek wiedzy dotyczącej tego człowieka czy też skrótu, ale Lui stwierdza niecierpliwie: –

Wiem dokładnie, w jaki sposób do nas dołączyłeś; nie ma sensu, byś marnował swój oddech.

Wei jest właścicielem BDI – ale dlaczego uważasz, że kontroluje całą resztę? Ma pewien ograniczony wpływ na pozostałych członków pochodzących z NHK, lecz bardzo niewielką siłę przebicia gdziekolwiek indziej. Czy wydawało ci się, że to BDI odnalazło Laurę Andrews? –

Przypuszczam...

– „Odnalazła” ją grupa hakerów z Seulu – przy okazji przedzierania się przez hałdy skradzionych danych w poszukiwaniu przejawów naruszenia warstw ochrony w instytucjach należących do International Services – i to dla zupełnie innego klienta. Ale byli świadomi oferty puszczonej w obieg przez Ansambl – godziwe pieniądze za informacje pasujące do określonego wzorca – więc przekazali to dalej.

– Wzorca? Jakiego wzorca?

– Jak do tej pory nie byłem w stanie tego określić.

– Niewyjaśnione ucieczki? Wydawało mi się, że Ansambl stworzono po tym, jak BDI natknęło się przypadkiem na Laurę... ale ty twierdzisz, że Ansambl istniał już wtedy – i że aktywnie poszukiwał dokładnie kogoś takiego jak ona?

– Tak.

– Ale jak mogliby podejrzewać...?

– Nie wiem – ale to nie należy do tematu naszej rozmowy. Pytanie brzmi następująco: komu jesteś winny swe posłuszeństwo? Globalnie frakcja Wei stanowi mniejszość. Musiał się bardzo targować, żeby to BDI wykonywało skan Laury Andrews – nawet mimo iż byli najbliższym ośrodkiem spełniającym wymagania. W końcu tak naprawdę to jedynie wykonawczej próżni NHK należy zawdzięczać przechylenie szali na jego stronę; większość innych krajów zbyt mocno strzeże istotnej tu technologii. Ale gdyby pewien akt legislacyjny nie został przegłosowany w Argentynie, cóż... ty i ja moglibyśmy nigdy nawet nie zostać zatrudnieni.

Kręcę głową.

– I co z tego? Nigdy nie przyjmowałem, że to Wei kieruje tym wszystkim. Ansambl jest sojuszem różnych frakcji – dlaczego miałoby mnie to martwić? Skoro oni mogą współżyć z własnymi różnicami, dlaczego ja miałbym nie potrafić?

– Ponieważ twoja lojalność dotyczy Ansamblu, a nie dowolnej frakcji, która przypadkowo dojdzie do władzy. Co będzie, kiedy sojusz ulegnie zmianom? Kiedy się rozpadnie i ponownie zorganizuje, z

nowymi celami, nowymi priorytetami? Czy też rozpadnie się i nie zorganizuje na nowo? Gdzie wtedy będzie twoja lojalność? Gdyby doszło do tego, po stronie której z grup odłamowych byś stanął?

Zaczynam mówić coś lekceważącego, ale się powstrzymuję. Ansambl jest najważniejszą rzeczą w moim życiu: nie mogę ot tak po prostu, słysząc takie pytania, wzruszać ramionami, jak gdyby nie miały one dla mnie żadnego znaczenia. Ale...

– Cóż może znaczyć bycie lojalnym wobec Ansamblu, jako całości" jak nie lojalność względem frakcji u władzy? – pytam. – To wystarczająco dobra zasada dla rządów... – Lui parska szyderczo, więc dodaje: – W porządku, nie sugeruję, że powinniśmy opaść do tego samego poziomu cynizmu. Ale co ty właściwie sugerujesz? Wciąż jeszcze nie określiłeś innego rozwiązania.

Kiwa głową.

– Masz rację. Nie określiłem. Po pierwsze, chciałem, żebyś sam przyznał, że inne rozwiązanie jest konieczne.

Nie do końca jestem pewien, czy przyznałem coś takiego, ale pozwalam temu przejść bez echa.

– Istnieje tylko jedna grupa ludzi – mówi – posiadająca odpowiednie kwalifikacje, by decydować, która z frakcji – o ile w ogóle któraś – naprawdę reprezentuje Ansambl. Kwestia ta musi zostać rozszkodowana z najwyższą uwagą i prawdopodobnie nie może być zależna od tego, kto posiada czy też nie posiada władzy w dowolnie wybranym momencie. Z pewnością zauważasz taką potrzebę?

Niechętnie przytakuję.

– Ale... jaka „grupa ludzi”?

– Oczywiście ci z nas, którzy posiadają mody lojalności.

Śmieję się.

– Ty i ja? Chyba żartujesz.

– Nie jesteśmy sami. Są inni.

– Ale...

– Komu innemu możemy zaufać? Mod lojalności jest jedyną gwarancją. Każdy, kto go nie posiada – nieważne, czy należy do organizacji, czy też jest na najwyższych jej szczeblach –

jest narażony na ryzyko pomieszania prawdziwego celu Ansamblu z własnymi prywatnymi interesami. W naszym przypadku jest to niemożliwe. Dosłownie fizycznie niemożliwe. To na nas musi spaść zadanie polegające na rozróżnianiu interesów Ansamblu.

Gapię się w niego.

– To jest...

Co? Bunt? Herezja? Jakże może tym być? Skoro Lui naprawdę posiada mod lojalności – a nie potrafię uwierzyć, że wszystko udaje – to jest fizycznie niezdolny do żadnego z powyższych. Cokolwiek robi, jest to z definicji aktem lojalności wobec Ansamblu, ponieważ...

Uderza mnie to z oszałamiającą falą jasności...

...Ansambl z samej definicji jest dokładnie tym, względem czego sam mod czyni nas lojalnym.

Brzmi to okrężnie, kazirodczo, na granicy swego rodzaju solipsystycznego bezsensu... i tak właśnie powinno. Mimo wszystko mod lojalności nie jest niczym innym jak układem neuronów w naszych czaszkach; odnosi się tylko do samego siebie. Skoro Ansambl jest najważniejszą rzeczą w moim życiu, w takim razie najważniejszą rzeczą w moim życiu, czymkolwiek by ona była, musi być Ansambl. Nie mogę się „mylić”, nie mogę „rozumieć tego niewłaściwie”.

Nie uwalnia mnie to od modu – wiem, że nie jestem zdolny do przededefiniowania na zawołanie, Ansamblu". Ale wciąż istnieje w tym punkcie widzenia coś potężnie, niezaprzeczalnie uwalniającego. Jak gdyby moje ręce i nogi zostały skute łańcuchami, a te z kolei okręcone wokół jakiegoś wielkiego, nieporęcznego obiektu – i udało mi się zsunąć okowy, nie tyle z moich nadgarstków i kostek, ile przynajmniej z owej ciężkiej kotwicy.

Lui, jak się zdaje, czyta w moich myślach albo przynajmniej z mojego wyrazu twarzy; brat w obłędzie, jakim bez wątpienia jest. Trzeźwo kiwa głową i uświadamiam sobie, że uśmiecham się do niego jak jakiś idiota, ale po prostu nie mogę przestać.

– Nieomyślność – mówi – jest naszym największym pocieszeniem.

Zanim Lui wychodzi, z zawrotami głowy, chcąc nie chcąc, staję się częścią konspiracji.

Arbitrzy z uszkodzonym mózgiem natury „prawdziwego Ansamblu" nazywają się Kanonem. Wszyscy posiadają mody lojalności – lecz wszyscy zdołali się przekonać, że

„prawdziwy Ansambl", ten, któremu winni są posłuszeństwo, nie jest tą organizacją, która posługuje się taką nazwą.

Czym w takim razie jest „prawdziwy Ansambl"?

Każdy członek Kanonu posiada własną odpowiedź.

Jedyną rzeczą, co do której się zgadzają, jest to, czym nie jest: sojusz badawczy, który to mieni się Ansamblem, jest imitacją, oszustwem.

Kiedy pozostaję sam, po wyjściu Luiego, który nieustannie podpierał ten dziwaczny sposób myślenia, łapię się na tym, że zastanawiam się, czy rzeczywiście opanowałem to umysłowe skrzywienie, wymagane, aby to wszystko podtrzymać. Ansambl nie jest prawdziwym Ansamblem – co to za rodzaj głupiej, rozdzielającej włos na czworo sofistyki?

Ale z drugiej strony... jeśli potrafię w to jakoś uwierzyć, to tyle wystarcza, aby stało się to prawdą. Zdrowy rozsadek i codzienna logika zwyczajnie nie mają z tym nic wspólnego: nie mam żadnych racjonalnych powodów, by być lojalnym wobec Ansamblu – wszystko, co mam, to anatomiczny fakt modu lojalności. Prawdziwy Ansambl, ten, do którego odnosi się mod, jest wszystkim tym, w co jestem fizycznie zdolny uwierzyć, że nim jest...

To niedorzeczne, to bezsensowne...

Kroczę po mieszkaniu, starając się zachować spokój, w poszukiwaniu porównania, metafory – modelu mającego mnie poprowadzić, jakkolwiek w prymitywny sposób, jednak częściowo racjonalnie, do wyobrażenia sobie tego, co dzieje się w mojej głowie. *Ansambl nie jest prawdziwym Ansamblem*. Czym jest w takim razie ten prawdziwy Ansambl? Czymkolwiek, w co szczerze uwierzę, że nim jest.

To *obłąd*. Gdyby każdy członek Kanonu miał wolną rękę, by móc interpretować swoje posłuszeństwo dokładnie według własnego życzenia, jak gdyby było to kwestią prywatnego sumienia, bez względu na istniejącą władzę... to mówimy o anarchi .

I wtedy wreszcie to do mnie dochodzi.

Rozumiem, w jaki sposób mogę nadać sens temu wszystkiemu, jak sam mogę to sobie wyjaśnić.

Zatrzymuję się w połowie kroku i wypowiadam na głos:

– Witamy w Reformacji.

Moje wprowadzenie w szeregi Kanonu jest procesem stopniowym; Lui aranżuje spotkania w różnych miejscach w całym mieście, za każdym razem z jednym lub dwoma członkami –

niektórzy są z BDI, inni z ASR, a pozostali pochodzą z nienazwanych organizacji. Początkowo nie mogę znaleźć żadnego usprawiedliwienia dla podejmowania takiego ryzyka; nie dyskutujemy niemal o niczym, czego już wcześniej nie wyjawiłby mi Lui, a z pewnością muszą istnieć o wiele bezpieczniejsze sposoby wprowadzenia mnie do Kanonu. Ostatecznie jednak uświadamiam sobie, że to właśnie osobisty kontakt jest istotny dla scementowania moich nowych lojalności; jedynie rozmowy twarzą w twarz z ludźmi mogą mnie przekonać – a także ich – że naprawdę posiadamy mod.

Oczywiście, sam fakt, że członkowie Kanonu mieliby w ogóle życzyć sobie spotkań, współpracy i narad, jest paradoksalny. Jednomyślność powinna być naszą klątwą; prawdziwy Ansambl jest definiowany wewnątrz naszych własnych indywidualnych czaszek i opinia żadnego innego człowieka nie mogłaby mieć znaczenia. Dlaczego po wyswobodzeniu się z kłamstw fałszywego Ansamblu nie mielibyśmy wszyscy podążyć za naszymi własnymi, unikalnymi, oddzielnie doskonałymi wizjami?

Ponieważ sami, rozdzieleni, nie mielibyśmy żadnej nadziei zreformowania fałszywego Ansamblu, przebudowania go tak, jak powinien wyglądać. Gdy jesteśmy zjednoczeni, perspektywa jest zniechęcająca, ale nie do końca niewyobrażalna.

Moja praca toczy się, jak gdyby nic się nie zmieniło. Pokusa, aby zwierzyć się Po-kwai, by wyjaśnić

jej wszystko, przez co przechodzę, i wszystko, co zostało przed nią ukryte, czasami jest niemal przytłaczająca – ale nie wtedy, kiedy rzeczywiście jestem w jej towarzystwie, kiedy P3 gwarantuje mi bezgraniczną samokontrolę. Instrukcje Chen, dotyczące milczenia na temat Laury i BDI, mogą mnie dłużej nie zniewalać, lecz pierwsze miejsce zajmuje teraz potrzeba ochrony Kanonu i zauważam, że nawet bardziej niż do tej pory pilnuję się w towarzystwie Po-kwai. Początkowo wydaje się być tym zdziwiona, ale po jakimś czasie przechodzi nad tym do porządku dziennego i wycofuje się do swoich lektur. Nasze wieczorne dyskusje dotyczące kwantowej metafizyki i niewidzialnych Budowniczych Bańki dobiegają końca. Kiedy jestem uzbrojony, nie sprawia mi to żadnej różnicy, ale każdego ranka, gdy wracam do domu i spoglądam wstecz na niczym nie wyróżniające się godziny spędzane w transie przyczajenia, odczuwam dziwny, pusty ból w klatce piersiowej, który nie pozwala mi wybierać snu.

Rozpoczyna się druga faza eksperymentu. Po-kwai, z głową pełną radioznacznikowej glukozy i prekursorów neurotransmiterów, powraca do pokoju jonowego, gdzie zostaje otoczona baterią gamma kamer o wysokiej rozdzielczości. Jest bardzo dokładnie obserwowana – przynajmniej przez maszyny. Mimo że dane gromadzone przez gamma kamery mogą być przetwarzane na wiele sposobów, by ujawnić bądź nie ujawnić działania różnych partii jej mózgu – to wybór dotyczący tego, co będzie pokazywane eksperymentatorom (czy może raczej: współuczestnikom eksperymentu) na ekranie komputera będzie dokonywany przypadkowo przez sam komputer, w ostatnim możliwym momencie.

– Przypomina to trochę pochodzące z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku eksperymenty z opóźnionym wyborem, przeprowadzane przez Aspecta na fotonach\*\* –

wyjaśnia. – Leung opracowała swego rodzaju unowocześnioną wersję nierówności Bel a\*: współzależność pomiędzy pobudzeniem bądź niepobudzeniem odpowiednich neuronów, która

– o ile wszystkie nasze przypuszczenia są słuszne – powinna być poniżej wartości progowej.

Strona techniczna przekracza możliwości mojego zrozumienia, ale wystarczająco łatwo łapię główny sens: moje rokujące nadzieję alternatywne wyjaśnienia dotyczące roli domniemanych ścieżek załamujących fale mają właśnie zostać dość dokładnie starte na proch.

Cóż to oznacza? Że będę musiał przełknąć wizję wszechświata, w którym jestem spadkobiercą nie mieszczącego się w głowie mordy? Coraz częściej rozważam tę możliwość, ale wciąż donikąd mnie ona nie prowadzi. Próbuję się karmić pokrępowymi porównaniami z ewolucji: nigdy nie czułem się winny z powodu dinozaurów, czyż nie? W rzeczy samej, jeżeli Po-kwai ma rację, to dinozaury mogłyby nawet nie istnieć – w podobnym sensie, w jakim istnieją współczesne nam zwierzęta – dopóki jakiś ssak nie pojawił się i nie sprezyował

przeszłości, czyniąc ją wyjątkową, załamując wszelkie nieskończone możliwości do pojedynczej ścieżki ewolucyjnej. Wszystko zaczyna brzmieć uspokajająco niczym jedno z tych głupich, zupełnie nie dających się sprawdzić, metafizycznych przypuszczeń: „Być może wszechświat został stworzony w całości dziś rano, z fałszywymi wspomnieniami dla każdego i doskonale sfabrykowanymi archeologicznymi, paleontologicznymi, geologicznymi i kosmologicznymi dowodami wydarzeń mających miejsce przez ostatnie piętnaście miliardów lat...”

Jedyny problem stanowi to, że sedno przypuszczeń Po-kwai jest testowane. A nie dająca się śledzić idea wiruje w mojej głowie, nietknięta i bez odpowiedzi.

Tym razem pokój, w którym odbywają się eksperymenty, jest dźwiękoszczelny i nawet jeżeli Po-kwai mruczy pod nosem wyniki, pomagając sobie w koncentracji, męka ich słuchania jest nam oszczędzona. Natomiast centralna konsola jest urządzeniem, dzięki któremu Leung, Lui i Tse będą załamywać określone części jej mózgu. Raz na jakiś czas spoglądam na ekran, ale skany PET, mapy nerwowe i histogramy, mimo iż pełne kolorów, są jak dla mnie zbyt stłoczone i niezrozumiałe, by przykuć moją uwagę, więc nie mam najmniejszego problemu z oderwaniem od nich wzroku.

Naiwnie oczekuję natychmiastowych wyników, ale pojawiają się pewne niedociągnięcia, którymi należy się zająć, dotyczące sprzętu, samego programu czy też dawno niewykorzystywanego opanowania modu przez Po-kwai. W czasie służby nie jestem dłużej zalewany danymi, a niezdolny do odszyfrowania ekranów, praktycznie tracę zainteresowanie, nawet odcinając się od paplaniny naukowców. Tak właśnie powinno być, kiedy uzbijam.

Jakiegokolwiek decyzje dotyczące wartości tych eksperymentów może ostatecznie podjąć Kanon, moja obecna rola jest doskonale określona: jestem tu, aby wykonywać pracę, której oczekuje ode mnie fałszywy Ansambl, tak sumiennie, jak gdyby moje oddanie nie uległo żadnej zmianie.

Po służbie, rozbrojony, wciąż jednak kombinuję: być może Kanon – podobnie jak Bańka, podobnie jak prawdy ontologii kwantowej – w ostatecznym rozrachunku w ogóle nie ma żadnego znaczenia. Być może w praktyce prawdziwy i fałszywy Ansambl nigdy się nie rozwidlą, a rozróżnienie – jak się zdaje, tak zasadnicze dla członków Kanonu – pozostanie abstrakcją. Ani Lui, ani ktokolwiek inny nie powiedział mi do tej pory, co też Kanon w rzeczy samej miałby zmienić, gdyby mógł kontrolować fałszywy Ansambl, a moja własna wiedza z zakresu tych zagadnień jest wciąż dla mnie samego zbyt niejasna, aby podtrzymywać jakiegokolwiek zdecydowane opinie. Zdaję sobie sprawę z przekonania, że Po-kwai powinna usłyszeć o Laurze, jak i o tym, jak zaprojektowano ten mod, jednakże powstrzymuję się przed zrobieniem tego, uświadamiając sobie, że nie jestem w stanie przewidzieć konsekwencji takiego czynu.

Być może jedyną prawdziwą funkcją Kanonu jest sprawianie, by nasza nieskuteczna herezja wydawała się nam samym bardziej namacalna. Być może knujemy i konspirujemy, aby udowodnić sobie, że mamy wolną rękę, aby knuć i konspirować – ale to, do czego to doprowadzi, nie będzie niczym innym niż konspiracją posłuszeństwa.

Kiedy w trakcie conocnego rytuału przeszukiwania apartamentu wychodzę z sypialni, Po-kwai stwierdza zdawkowo:

– Otrzymaliśmy dziś całkiem dobry zestaw wyników. Potencjalnie nie do podważenia.

Zdecydowanie nadające się do publikacji – jeśli tylko mogę w związku z okolicznościami użyć takiego wyrażenia. Nie powiedziałam ci w restauracji... widzisz, uczę się trzymać język za zębami.

– Gratulacje.



– Z jakiego powodu? Że trzymam język za zębami?

– Z powodu wyników.

Patrzy na mnie wilkiem.

– Nie bądź taki rzeczowy, bo robi mi się od tego niedobrze. Nie chciałeś, żeby racja była po naszej stronie. Nie oczekuję, że podetniesz sobie żyły, ale mógłbyś przynajmniej być odrobinę... markotny.

– Nie na służbie.

Wzdychając, opiera się o framugę.

– Czasem naprawdę zastanawiam się, kto z nas jest w mniejszym stopniu człowiekiem –

ty na służbie czyja, kiedy jestem rozmazana.

– Rozmazana?

– Kiedy nie jestem załamana i znajduję się w stanach wielokrotnych. Tak to właśnie nazywamy: rozmazanie. – Śmieje się.

– To właśnie będzie powodem mojej sławy: pierwszy człowiek w historii, który rozmazywał na zawołanie.

W ciszy, która nastąpiła po tej wypowiedzi, przez chwilę zachęcająco wisi w powietrzu możliwość zaprzeczenia jej słowom i wspomnienia o Laurze – ale ryzyko tego, do czego mogłoby to doprowadzić, jest zbyt wielkie. Co wcale nie znaczy, że nie mogę ostrożnie pozglębiać tematu.

– Na zawołanie – tak, ale czy ktoś nie mógłby posiadać uszkodzeń neurologicznych pozbawiających go zdolności załamania fali?

Kiwa głową.

– Celne spostrzeżenie. Coś takiego mogło się przydarzyć. Tylko że nikt wcale by tego nie zauważył, nikt nie mógłby tego stwierdzić. Za każdym razem, kiedy taka osoba oddziaływałaby z kimś kto załamywał fale, zostawałaby zredukowana do pojedynczej historii, pojedynczego zestawu wspomnień – i nawet sama nie miałaby pojęcia, że cokolwiek się zmieniło.

– Ale kiedy byłaby sama...?

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, dlaczego o to pytasz. Powiedziałam ci, że sama kończę zaledwie z jednym zestawem wspomnień. Efekty udowadniają, że byłam rozmazana, ale oczywiście ktoś z uszkodzeniem mózgu nie posiadałby kontroli nad stanami własnymi gwarantowanymi przez mod – więc inni ludzie

załamywaliby ich zgodnie z dokładnie taką samą dystrybucją prawdopodobieństwa, która miałaby zastosowanie, gdyby tamci sami dokonywali załamывania. Wynik końcowy byłby ten sam. – Śmieje się. – Pewnie Niels Bohr powiedziałby, że taka osoba była dokładnie taka sama jak cała reszta. Skoro nikt nie miałby sposobu, wliczając w to również i samą osobę, aby wiedzieć, czego „doświadczają” w czasie, kiedy nikt ich nie obserwuje, jak można by uważać to za prawdziwe? I w połowie bym się z nim zgodziła: to znaczy jakkolwiek długo udawałoby się im pozostać poza kontaktem z innymi ludźmi, za każdym razem, kiedy dochodziłoby do obserwacji, wszystkie stany, które zajmowałiby –

wszystkie wielokrotne myśli i akcje, jakich by „doświadczali” – załamywałyby się w jedną, doskonale przyziemną, linearną sekwencję.

– A gdyby wystarczająco często byli pozostawiani w samotności? Gdyby przez większość czasu znajdowali się poza obserwacją? Czy uważasz, że mogliby się w jakiś sposób nauczyć się z tego korzystać? Wymusić wytworzenie rzeczywistej, stałej różnicy – w taki sam sposób, jak ty to robisz za pomocą modu?

Wydaje się, że ma porzucić ten pomysł, ale waha się, poważnie rozważa pytanie – i nieoczekiwanie się uśmiecha.

– Zastanawiam się, jak nieprawdopodobna jest konfiguracja neuronów w modzie? Gdyby ktokolwiek był rozmazany przez wystarczająco długi czas, wyewoluowałby w sobie wszelkie rodzaje dziwnych i nieprawdopodobnych struktur nerwowych – wraz z całym pakietem tych wysoce prawdopodobnych. Normalnie nie dawałoby to żadnego efektu – kiedy dochodziłoby do załamania, wciąż byłaby wybierana ta najbardziej prawdopodobna z konfiguracji, a wszystkie inne by zniknęły. Ale gdyby w jakiś sposób jedna z takich nieprawdopodobnych wersji mózgu zyskała zdolność do manipulacji stanami własnymi, być może mogłaby zwiększyć swoje prawdopodobieństwo.

– A kiedy już wersja, która mogłaby to zrobić, stałaby się „prawdziwa”...

– ...wtedy następnym razem, kiedy ta osoba by rozmazywała, jej wersje miałyby podwójną przewagę. Nie tylko posiadałyby zdolność manipulacji stanami własnymi, *per se*, ale rozpoczynałyby z zupełnie nowej linii odniesienia – kolejne stany, odpowiadające jeszcze większym umiejętnościom, byłyby teraz o wiele bardziej prawdopodobne, łatwiej dostępne.

Cała rzecz mogłaby nabrać tempa lawiny. – Zachwycona, potrząsa głową.

– Ewolucja w czasie pojedynczego życia! Zaciekle wzrastające prawdopodobieństwo!

Podoba mi się to!

– Naprawdę mogłoby do tego dojść?

– Bardzo w to wątpię.

– Co? Przed chwilą powiedziałaś...

Współczująco klepie mnie po ramieniu.

– To piękny pomysł. Tak piękny, że powiedziałabym, iż prawie sam udowadnia swoją niemożliwość. Gdyby rzeczywiście mogło się to wydarzyć, to gdzie masz efekty końcowe?

Gdzie są akta ludzi posiadających uszkodzony mózg, którzy mogą dowolnie, na zawołanie, zonglować stanami własnymi? Pierwsze stadium jest na pewno zbyt trudne do osiągnięcia w jakimkolwiek rozsądnym czasie. Koniec końców jestem pewna, że ktoś kiedyś zabierze się do obliczeń, jak długo zabrałoby wykonanie inicjującego przeniesienia na wyższy poziom – ale odpowiedź na to z łatwością może brzmieć: miesiące, lata, dekady... może nawet więcej niż ludzkie życie. A jak dużo czasu spędza samotnie pojedyncza osoba?

– Przypuszczam, że masz rację.

– Cóż, muszę bronić mojego miejsca w historii, czyż nie? Skoro już do mnie należy.

– Lubię ją – stwierdza Karen. – Jest inteligentna, cyniczna i tylko odrobinę naiwna; najlepsza z przyjaciół, jakich od lat udało ci się znaleźć. I wydaje się, że może ci pomóc.

Na jej widok mrugam oczami i wydaję stłumiony jęk. Dziwne jest to, że nie czuję wcale cierpienia z powodu nagłej utraty kontroli; raczej moje niczym nie wyróżniające się wspomnienia ostatnich trzech godzin spędzonych w trybie przyczajenia zdały się wyparowywać, jak gdyby były tylko złudzeniem.

– Czego chcesz? – pytam.

– Czego ty chcesz? – śmieje się.

– Ja chcę, żeby wszystko toczyło się normalnie.

– Normalnie! Na początku byłeś niewolnikiem grupki porywaczy, a teraz, jak się zdaje, czcisz rzecz, która cię zniewala. Ansambl wewnątrz głowy! To stek bzdur.

– Nie mam wyboru. – Wzruszam ramionami. – Mod lojalności nie rozplynie się w powietrzu.

Czego ode mnie oczekujesz? Żebym starając się go zwalczyć, wpędził się w obłąd? Nie chcę go zwalczać. Wiem dokładnie, co mi zrobiono. Nie zaprzeczam, że gdybym nie posiadał modu, to chciałbym być od niego wolny, ale gdzie mnie to pozostawia? Gdybym był wolny, chciałbym być wolny. A gdybym był zupełnie kimś innym, chciałbym zupełnie innych rzeczy. Ale nie jestem i nie chcę. To nie ma znaczenia. To ślepa uliczka.

– Nie musi tak być.

– Co to ma znaczyć?

Nie odpowiada; odwraca się i spogląda, „na zewnątrz”, ponad miastem, następnie unosi rękę i – choć to niemożliwe – wydaje oknu rozkaz, by wzmocniło kontrast hologramu, przycinając rozmycie pochodzące od znaków reklamowych, przyciemniając puste niebo do najgłębszej z wyobraźalnych

czerni.

Karen kontrolująca **RedNet**? Czy też halucynacyjny proces, który przywołuje do życia jej ciało, rozpoczął manipulowanie resztą mojego pola widzenia? Rozważam te równie niemożliwe wyjaśnienia z równie otępiłą rezygnacją. Nie ma sensu dłużej pokładać nadziei, że problem sam się rozwiąże. Neurotechnicy będą musieli rozłożyć mnie na części.

Wpatruję się w perfekcyjną czerń Bańki, niechętnie oczarowany tym widokiem, bez względu na to, jakim rodzajem iluzji – hologramem o wzmocnionym kontraście czy też czysto umysłową fabrykacją – jest „ten widok”.

W ciemności pojawia się słabe ukłucie światła. Przyjmując, że to nic innego jak tylko skaza mojej wizji, mrugam i potrząsam głową, ale światełko dalej pozostaje w tym samym miejscu na niebie. Wysoki, wolno poruszający się satelita, który dopiero wysunął się z cienia Ziemi? Punkt staje się coraz jaśniejszy, a wtedy tuż obok niego pojawia się następny.

Obracam się w kierunku Karen.

– Co ze mną robisz?

– Óóóó. – Chwyta mnie za rękę. – Po prostu patrz.

Gwiazdy zaczynają się pojawiać, co chwila podwajając swą liczbę niczym jakaś fosforescencyjna bakteria żyjąca na nieboskłonie, aż wreszcie niebo jest nimi zasłane tak gęsto jak we wspomnieniach z czasów najciemniejszych nocy mojego dzieciństwa. Poszukuję znajomych konstelacji i przez ulotną chwilę rozpoznaję kształt spodka Oriona, który wkrótce znika, zatopiony w natłoku pojawiających się wokół niego kolejnych gwiazd. Moje oczy odnajdują egzotyczne nowe układy, ale te są równie przejściowe jak rytm przypadkowej wyliczanki Po-kwai. Satelitarne widoki pochodzące z Dnia Przesłonięcia – najbardziej barokowej space opery lat czterdziestych – nigdy nie posiadały takich gwiazd.

Oślepiająca ścieżka światła – niczym niemożliwie intensywna wersja Drogi Mlecznej – gęstnieje do punktu stałości, a następnie z każdą mijającą chwilą robi się coraz jaśniejsza.

– Co ty mówisz? – szepczę. – Że zniszczenia, których dokonaliśmy, mogą zostać...

cofnięte? Nie rozumiem.

Pas światła eksploduje, rozszerzając się na całe niebo, dopóki absolutna ciemność nie staje się absolutną, oślepiającą jasnością. Odwracam się. Po-kwai krzyczy. Karen rozplywa się w powietrzu. Odwracam się gwałtownie, by znów stanąć twarzą w twarz z hologramem. Niebo ponad wieżowcami Nowego Hongkongu jest puste i szare.

Waham się przez chwilę, stojąc przed drzwiami do apartamentu i jedynie nasłuchując. Nie chcę jej ponownie przestraszyć, ale nie mam zamiaru tkwić tu bez ruchu. Nikt nie mógł do niej dotrzeć, nie mijając mnie po drodze... ale w jakim byłem stanie – doznając halucynacji kosmicznych wizji – by

wiedzieć, kto lub co mogło niezauważone przejść tuż obok? Cały epizod już wydaje mi się kompletnie nierzeczywisty i gdyby nie pozostała po nim wizja oślepiającego nieba, to mógłbym przysiąc, że miałem niczym nie zakłócone wspomnienie trwania na posterunku w transie przyczajenia, odkąd życzyłem Po-kwai dobrej nocy, aż do chwili kiedy usłyszałem jej krzyk.

Kiedy otwieram drzwi, wychodzi do salonu, obejmując się ramionami.

– Cóż, nie ma z ciebie zbytniego pożytku – rzuca oschle.

– Do tej pory mogłam już zostać zamordowana w łóżku.

Mimo żartu wydaje się być o wiele bardziej wstrząśnięta niż ostatnio.

– Kolejny koszmar?

Przytakuje.

– Ale tym razem pamiętam... czego dotyczył.

Nic nie mówię. Patrzy na mnie spode łba.

– Więc przestań wreszcie być pieprzonym robotem i zapytaj, co mi się śniło.

– Co ci się śniło?

– Śniłam, że straciłam kontrolę nad modem. Śniłam, że rozmazałam. Śniłam, że ja...

wypełniłam... cały pokój, cały apartament. A jak wiesz, nie lunatykuję...

Nagle zaczyna gwałtownie drżeć.

– Co...

Chwyta mnie za ramię, prowadząc wzdłuż korytarza w kierunku sypialni. Drzwi są zamknięte. Ciałem wskazuje na nie, przez moment łapiąc oddech, wreszcie rzuca:

– Otwórz je.

Staram się przekręcić klamkę. Ta nawet nie drgnie.

– Są zamknięte. Taka jestem paranoidalna. Zamykam je każdej nocy.

– A obudziłaś się...?

– Na zewnątrz. W połowie korytarza. – Staje w miejscu, o którym mówi. – Po wybiciu ośmiocyfrowej kombinacji, aby otworzyć to cholerstwo, i kolejnej, żeby je za sobą zamknąć.

– Czy... śniło ci się, jak to robisz? Czy śniło ci się, jak zajmujesz się zamkiem?

– Och, nie. We śnie nie potrzebowałam nawet dotykać zamka – już byłam poza pokojem.

Wewnątrz i poza. Nie musiałam się ruszać... po prostu musiałam jedynie wzmocnić stan własny.

Waham się, wreszcie mówię: – I wydaje ci się, że...

Odpowiada zdecydowanie:

– Myślę, że moja podświadomość musiała to za mnie zrobić, tylko tyle mogę powiedzieć.

We śnie musiałam wbić właściwe kody, jakkolwiek trudno w to uwierzyć. A jeżeli zastanawiasz się, czy mod mógł mi pozwolić przejść przez zamknięte drzwi – podobnie jak elektronowi w czasie tunelowania przez barierę potencjałów – to odpowiedź brzmi następująco – nie mógł

tego zrobić. Nawet gdyby teoretycznie było to możliwe, to ten mod nie został zaprojektowany po to, by robić takie rzeczy. Został zaprojektowany, by móc wpływać na mikroskopowe układy.

Został zaprojektowany, by demonstrować najprostsze z efektów – nic więcej.

Tak wyraźnie wyobrażam sobie własną odpowiedź, że prawie słyszę własne słowa:

„Wcale go nie *zaprojektowano*”.

Ale maszyna w mojej głowie nie pozwala mi się tak odezwać. Zamiast tego potakująco kiwam głową i mówię:

– Wierzę ci – to ty jesteś ekspertem. To był twój sen, nie mój.

– Możemy to wykorzystać – stwierdza Lui.

– Wykorzystać? Ja nie chcę tego wykorzystywać, chcę to powstrzymać! Potrzebuję błogosławieństwa Kanonu, by móc wytłumaczyć Po-kwai, co się dokładnie dzieje. Chcę to wszystko opanować.

Marszczy brwi.

– Opanować, tak, ale nie wolno ci powiedzieć Po-kwai o Laurze. Przypuśćmy, że Chen by odkryła, że byłeś jej nieposłuszny. Gdzie by to nas doprowadziło? Obecnie, a jestem o tym całkowicie przekonany, nikt nawet nie podejrzewa istnienia Kanonu; pokładają zbyt wiele wiary w modzie lojalności. Albo mają dla niego za mało szacunku. Na razie chyba nie mają pojęcia, jak potężna mogłaby być zaledwie kombinacja inteligencji i jej antytezy. Wiesz, w logice formalnej niczego nie udowodnisz, używając niespójnego układu aksjomatów. Mając pojedynczą sprzeczność, A i nie-A, z czegoś takiego niczego nie wyprowadzisz. Lubię myśleć o tym jako o metaforze naszego specyficznego rodzaju wolności. Zapomnij o heglowskiej syntezie: mamy Orwel owskie dwójmyślenie w czystej formie.

Zirytowany patrzę obok niego, przez zatłoczone trawniki Kowloon Park, na lśniącą w upale rabatkę. Nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić, a do niego, jak się wydaje, zupełnie z tym nie trafiam.

– Po-kwai zasłużyła sobie, aby poznać prawdę – stwierdzam.

– Zasłużyła? To nie jest kwestia tego, na co sobie zasłużyła. To jest kwestia konsekwencji, jakie to za sobą pociągnie. Uwierz mi, mam dla niej największy szacunek i podziw. Ale czy ty naprawdę chcesz poświęcić Kanon tylko po to, aby mogła się dowiedzieć, że ją oszukano? Może wydaje ci się, że w takim przypadku fałszywy Ansambl narzuciłby nam jedynie bardziej surowe mody; nie, spisaliby nas na straty – zostalibyśmy zabici. A co, jak ci się wydaje, spotkałoby ją z ich strony, gdyby spróbowała się teraz wycofać?

– W takim razie musimy ją chronić, i chronić samych siebie. Musimy doprowadzić do upadku fałszywego Ansamblu.

Kiedy wypowiadam te słowa, uzmysławiam sobie, jak niedorzeczna jest taka sugestia, ale Lui mówi:

– Kiedyś, tak. Ale nie stanie się to z powodu czyjś kaprysu. Musimy działać z pozycji siły. Musimy wykorzystać wszelkie pojawiające się przed nami możliwości. – Przerywa na wystarczająco długo, by moje niezdecydowane milczenie zabrzmiało jak milcząca zgoda, a następnie dodaje: – Jak właśnie teraz.

– Po-kwai traci kontrolę nad modem. Ja popadam w obłąd. Jak można nazywać to możliwością?

Potrząsa głową.

– Wcale nie „popadasz w obłąd”. Zawodzą niektóre z twoich modów, ot co. Dlaczego? P3

zaprojektowano w ten sposób, by działał jako bariera ograniczająca cię do określonych, użytecznych stanów umysłu – a ty jakoś tunelujesz przez tę barierę do stanów, które rzekomo są niedostępne: do nudy, rozproszenia uwagi, emocjonalnej agitacji. To powinno być wysoce nieprawdopodobne – jednak to robisz. Wszelkie programy diagnostyczne powtarzają ci, że mod jest fizycznie nienaruszony. Co oznacza, że sam system nie jest uszkodzony... ale prawdopodobieństwa dotyczące systemu są zmieniane. Coś ci to przypomina?

Wzdrygam się.

– Jeżeli dowodzisz, że Po-kwai manipuluje mną w taki sam sposób, w jaki manipuluje jonami... jak mogłaby tego dokonywać? W porządku, może zmieniać prawdopodobieństwa rozmazanego układu – takiego jak jon srebra, którego spin jest wciąż mieszaniną stanów

„góra” i „dół” – ale co to ma wspólnego ze mną? Jestem zupełnym przeciwieństwem rozmazanego układu: ja załamuję fale, może nie?

– Oczywiście, że tak – ale jak często?

– Cały czas.

– Co masz na myśli, mówiąc „cały czas”? Czy wydaje ci się, że nieprzerwanie jesteś załamany? Załamanie jest procesem – procesem, który przytrafia się rozmazanemu układowi.

Czy tobie się wydaje, że rozmazywanie jest jakimś stanem wyjątkowym – czymś, co przytrafia się wyłącznie w warunkach laboratoryjnych?

– A nie jest tak?

– Nie. Jak to sobie wyobrażasz? Całe twoje ciało zbudowane jest z atomów. Atomy są układami mechaniki kwantowej. Przypuśćmy – zgrubnie kalkulując – że przeciętny atom w twoim ciele, nie załamany przez milisekundę, może dokonać jednej z dziesięciu możliwych rzeczy. Oznacza to, że w ciągu milisekundy rozmazuje się do mieszaniny dziesięciu stanów własnych: po jednym dla każdej rzeczy, którą taki atom mógłby wykonać. Niektóre ze stanów będą bardziej prawdopodobne od innych – ale dopóki cały system nie zostanie załamany, dopóty wszystkie możliwości będą ze sobą współistnieć.

Po dwóch milisekundach istniałaby setka różnych kombinacji rzeczy, które ten atom mógłby wykonać, czyli jakiegokolwiek z tych dziesięciu możliwości, po której układ przeszedłby ponownie przez ten sam wybór. Oznacza to rozmazanie do mieszaniny stu różnych stanów własnych. Po trzech milisekundach – tysiąca. I tak dalej.

Dodaj kolejny atom. Dla każdego możliwego stanu pierwszego atomu drugi atom znalazłby się w jednym ze swoich własnych stanów. Liczby się mnożą. Skoro jeden atom, sam, mógłby zostać rozmazany do tysiąca stanów, układ dwóch rozmazanych atomów mógłby sięgnąć miliona. Trzy



atomy i masz już miliard. Gdybyś tak kontynuował, to do czasu aż dojdiesz do jakiegoś widzialnego obiektu – ziarenka piasku, źdźbła trawy, ciała ludzkiego –

liczby te staną się astronomiczne. I wciąż jeszcze będą rosły wraz z upływającym czasem.

Otępiały, potrząsam głową.

– Jak więc to się kiedykolwiek zatrzymuje?

– Właśnie do tego dochodzę. Kiedy jeden rozmasany układ oddziałuje z innym, przestają być oddzielnymi jednostkami. Mechanika kwantowa stwierdza, że muszą być rozpatrywane jako pojedynczy układ – nie możesz nijak położyć palca na jednym z nich, równocześnie nie wpływając na całość. Kiedy Po-kwai obserwuje rozmasany jon srebra, tworzy się nowy układ: Po-kwai-i-jon, który ma dwukrotnie więcej stanów niż sama Po-kwai. Kiedy ty obserwujesz źdźbło trawy, tworzy się nowy układ: ty-i-źdźbło-trawy, który ma tyle stanów, ile sam posiadasz, pomnożone przez liczbę stanów źdźbła trawy.

Ale układ, który ma ciebie w swoim składzie, zawiera również wywołującą załamanie część twojego mózgu – która kończy rozmazana na niezliczone różne wersje, reprezentujące wszelkie możliwe stany wszystkiego innego: reszty twojego mózgu, reszty twojego ciała, źdźbła trawy i cokolwiek byś tam obserwował. Kiedy ta część twojego mózgu załamuje samą siebie – tworząc jedyną rzeczywistą wersję samej siebie ^ nic nie może poradzić na załamywanie całego, powiązanego z nią układu: reszty twojego mózgu, reszty twojego ciała, źdźbła trawy i tak dalej. Wszystkie one załamują się do pojedynczego stanu, w którym rzeczywiście „wydarza” się zaledwie jedna z niezliczonych miliardów możliwości. Wtedy, co oczywiste, wszystko zaczyna rozmazywać po raz kolejny...

– W porządku – stwierdzam. – Rozumiem: ludzie muszą rozmazywać, by móc załamywać.

Muszą tam zaistnieć – w pewnym sensie – wszystkie możliwości, po to, aby jedna z nich mogła zostać wybrana. Załamywanie przypomina... drastyczne przycinanie drzewa – które musi nieznacznie urosnąć we wszystkich kierunkach, nim wybierzemy te gałęzie, które pozostawimy nie przycięte. Ale musimy załamywać tak często, że nie mamy nawet pomiędzy tym wszystkim czasu, by mieć świadomość bycia rozmazanym. Musimy to robić przynajmniej setki razy na sekundę.

Lui marszczy czoło.

– Dlaczego tak sądzisz? Jak moglibyśmy mieć „świadomość bycia rozmazanym”?

Świadomość tylko zdaje się przypominać gładki strumień przepływu, ale tak naprawdę jest to jedynie dokonywaną przez mózg organizacją naszej percepcji; rzeczywistość nie jest kreowana w sposób ciągły, pojawia się w seriach, spazmach. Doświadczenie musi być konstruowane retrospektywnie; coś takiego jak ta teraźniejszość nie istnieje – to tylko przeszłość, którą udaje nam się uczynić jedyną w swoim rodzaju. Jedyne pytanie dotyczy skali czasowej. Twierdzisz, że gdyby trwało to dłużej niż kilka milisekund, to jakoś musielibyśmy być świadomi takiego procesu... ale to po prostu nie jest prawda. Tak oto przyszłość zamienia się dla nas w przeszłość, tak oto powstaje czas subiektywny. Nie mamy możliwości, by zauważyć, jak czy też kiedy to się wydarza.

Zgoda, kiedy Po-kwai w eksperymentach nie używała powstrzymującej załamania części modu, to nie była w stanie wpływać na stany własne – ale to niczego nie dowodzi. Nawet jeżeli zawodziła dlatego, że załamywała układ ona-i-jon, zanim jeszcze mogła zmienić prawdopodobieństwa – a to stanowczo nie jest jedyne wytłumaczenie – nie możesz uogólniać przypadku jednej osoby, w warunkach laboratoryjnych, na całą rasę ludzką, przez cały czas. W

zależności od stanu umysłu, w zależności od tego, czy są sami, czy w grupach, ludzie mogą wytrzymywać pomiędzy kolejnymi załamaniami całe sekundy, a nawet minuty. Nie istnieje sposób, aby to określić.

Mam ochotę schwycić go w swoje ręce i wytrząsnąć z niego cały ten metafizyczny bełkot, ale mówię spokojnie:

– Proszę cię, żebyś mi pomógł. Nie dbam o to, jak konstruowane jest nasze doświadczenie. Nie dbam o to, czy czas jest złudzeniem. Nie dbam, jeżeli nic nie jest prawdziwe, dopóki nie ma pięciu minut. Wszystko to sumuje się do normalności – bądź też powinno. Zwykło. I nie mów mi, że każdy rozmazuje setki razy dziennie; nie każdy cierpi z powodu halucynacji błędów w działaniu modu...

– Może i cierpi. Może „cierpi” dokładnie w taki sam sposób, przez jaki i ty musiałeś przechodzić – pomiędzy niezliczonymi innymi – ale po prostu tego nie pamięta. Oni nie są w stanie; ich mózgi, ich ciała, otaczający ich świat, nie zawierają żadnych dowodów, że cokolwiek z tego kiedykolwiek się im przydarzyło. Te wydarzenia nigdy nie stają się dla nich prawdziwe; za każdym razem kiedy są załamywani, ich unikalne przeszłości zawierają coś o wiele bardziej prawdopodobnego,

– Dlaczego ja więc pamiętam?

– Wiesz, dlaczego. Ponieważ w grę wchodzi Po-kwai, która posiada mod stanu własnego.

Która może zmieniać prawdopodobieństwa.

– Ale dlaczego miałyby mnie rozbrajać? Dlaczego miałyby powodować pojawianie się Karen? Dlaczego miałyby chcieć robić którąkolwiek z tych rzeczy? Ona nie ma nawet pojęcia o istnieniu Karen!

Wzrusza ramionami.

– Powiedziałem, że w grę wchodzi „Po-kwai” i że to „Po-kwai” manipuluje prawdopodobieństwami... ale to, co powinienem był powiedzieć, brzmi następująco: „W grę wchodzi tu mod stanu własnego”.

Śmieję się szyderczo.

– Tak więc teraz to mod jest autonomiczny? Ma swoje własne cele? To jego należy winić za rozbrajanie mnie?

– Nie, oczywiście, że nie.

Czeka cierpliwie, by minęła nas całująca się i roześmiana młoda para, co uważam za absurdalny środek ostrożności; gdyby Ansambl chciał wiedzieć, o czym teraz rozmawiamy, raczej nie posunąłby się do wysyłania parki lipnych zakochanych, by przechadzali się tuż pod naszym bokiem. Czuję przerażenie, gdyż od samego początku zakładałem, że szczegóły dotyczące środków bezpieczeństwa Kanonu były przede mną ukrywane, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle istniały jakiegokolwiek, które należałoby ukrywać.

Lui kontynuuje:

– Jeżeli ktokolwiek dokonuje świadomego wyboru, to ty. Czy też raczej, by być pedantycznym, połączony układ ty-i-Po-kwai – ale skoro w tym czasie ona w przeważającym stopniu śpi, powiedziałbym, że to w tobie należy szukać motywów.

– W przeważającym stopniu śpi?

– Tak.

Zatrzymuję się i otepiałym stwierdzam:

– To ona ma mod – ale to ja go używam?

– Tak, z grubsza mówiąc. Kiedy ty i Po-kwai rozmazujecie, ty rozmazujesz w każdy możliwy stan, w jakim oboje moglibyście się znaleźć – jakkolwiek mało prawdopodobny by on był. Nie widzę powodu, by nie miało to obejmować stanów, w których ty wpływasz na używanie modu stanu własnego.

Chyba nie potrafię zebrać w sobie wystarczającej energii, by zakwestionować to niedorzeczne stwierdzenie; mój zdrowy rozsądek uczyniono bezbronny, naiwnym, nieistotnym. Wreszcie mówię, niemal błagalnie:

– Ale ja nie chcę, żeby cokolwiek z tego miało miejsce!

Lui marszczy czoło z zakłopotaniem, a po chwili na jego twarzy pojawia się rzadki w jego przypadku uśmiech.

– Nie, oczywiście, że nie chcesz. Ale najwidoczniej z łatwością mógłbyś. Te twoje wersje, które tego chcą, mogą być mało prawdopodobne, *per se* – ale kiedy już mają dostęp do modu stanu własnego, to mogą zmieniać całe znaczenie tego, co jest prawdopodobne i nieprawdopodobne.

Mam już na to odpowiedzieć, że tak, dokładnie tak, dokładnie to muszę powstrzymać, kiedy on dodaje:

– A jeżeli wydaje ci się, że to, co zrobiłeś jak do tej pory, jest zdumiewające, to z łatwością możesz zrobić o wiele więcej – w służbie prawdziwemu Ansamblowi.

Kanon mnie nie przymusza; zaledwie doradza. Podjęcie decyzji będzie należało w pełni do mnie – a nie mogę dokonać niewłaściwego wyboru – ale z pewnością punkty widzenia innych posiadających

mod lojalności nie mogą być zupełnie bez znaczenia.

Prawda jest taka, że sam pomysł prób określenia interesów Ansamblu na drodze konsensusu jest absurdem. I prawda jest taka, że nie może być nic bardziej przerażającego niż perspektywa konieczności dokonywania takiego wyboru w pojedynkę. Dostyc łatwo przełykam samą sprzeczność. Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć, co też Lui miał na myśli, mówiąc o naszym specyficznym rodzaju wolności. Mentalny węzeł stworzony przez mod lojalności wprawdzie nie może zostać rozwikłany, lecz może być nieskończenie przeplatany.

Spotkania z udziałem członków Kanonu, których czas wolny akurat się na siebie nakłada, odbywają się przez cały tydzień, a na każdym kolejnym etapie wybierani są delegaci, których zmiany są kolejno coraz to bliższe moich. Po ostatnim sukcesie Po-kwai znów odpoczywa i, tak jak poprzednio, powoduje to zawieszenie efektów wywieranych przez mod stanu własnego na moją osobę.

O dziewiątej rano trudno poczuć się jak konspirator. Kiedy wchodzę do mieszkania –

według zapewnień Luiego, użyczono nam na jeden dzień przez kogoś zupełnie niepowiązanego z Kanonem czy też Ansamblem – widok jest równie prozaiczny, równie niewinny, jak gdybym wkroczył na zebranie komitetu społecznego mieszkańców czy też jakiegoś rodzaju małomiasteczkowej grupy politycznej niższej klasy średniej. Sześcioro z nas siedzi w małym salonie, pośród domowego kiczu o zabarwieniu buddystycznym, należącego do nieobecnego właściciela. Popijamy herbatę i rozważamy najlepszy sposób przejęcia kontroli nad międzynarodowym sojuszem, przekonany, że jesteśmy jego niewolnikami doskonałymi.

Li Siu-wai jest technikiem zajmującym się obrazowaniem medycznym w BDI. Kiedy jeszcze tam byłem, często pracowała na nocnej zmianie i musieliśmy dziesiątki razy wymieniać uprzejmości – ale wcale nie ma w tym nic zadziwiającego, że żadne z nas nigdy nie domyśliło się, co nas łączy.

Chan Kwok-hung jest fizykiem w ASR, pracującym w zespole podobnym do zespołu Luiego, ale z układem eksperymentalnym wykorzystującym zamiast pomiarów spinu jonu srebra spektroskopię atomową. Jak na razie nie odnieśli sukcesu, więc nie wiedzą, który z ich ochotników posiada autentyczny mod. Przypominam sobie żart Po-kwai, że nie znalazła się w grupie kontrolnej, „ponieważ” bardzo by ją to rozwścieczyło. To, co mnie martwi, to fakt, że biorąc pod uwagę, jak wszystko się układa, to prawie zaczyna to brzmieć wiarygodnie.

Yuen Ting-fu i Yuen Lo-ching to rodzeństwo, brat i siostra, matematycy (aby być bardziej precyzyjnym, topolodzy – choć wnioskuję, że nawet i to, jest prymitywnym uogólnieniem), wykładowcy uniwersyteccy, którzy niezbyt rozsądnie odrzucili lukratywną propozycję pracy jako ochotnicy w barwach fałszywego Ansamblu.

– Mam już wystarczająco danych, by skonstruować mod mogący w nieskończoność powstrzymać załamanie funkcji falowej – zagaja Lui. – Samo w sobie jest to oczywiście bezużyteczne, gdyż potrzebujemy zdobyć jego drugą część, selektor stanu własnego. BDI posiada jego specyfikację – na ROM-ie zamkniętym pod kluczem w skarbcu. Nie ma jednak żadnych szans, aby osiągnął go haker. Nikt w ogóle obecnie go nie używa, nie wspominając już o tym, by był on wykorzystywany na jakimkolwiek podłączonym do sieci urządzeniu. Jednak Nick...

– Poczekaj – przerywam. – Zanim zacniemy rozważać sposoby pozyskania tych danych... przypuścmy tylko, że da się to wykonać. Przypuścmy, że otrzymujesz kopię specyfikacji i konstruujesz pełną wersję modu. Co wtedy?

– Na krótką metę koncentrujemy się na odkrywaniu, tak szybko, jak to tylko możliwe, jak najbardziej efektywnie z niego korzystać. Zespoły ASR postępują bardzo ostrożnie, ograniczając się do mikroskopijnych układów, starając się – nim rozpoczną działania z czymś bardziej złożonym – ustalić rygorystyczny szkielet ontologii kwantowej. Co jest z rozumowego punktu widzenia godne pochwały, ale nie jest warunkiem koniecznym, jeśli chodzi o rezultaty praktyczne. Jeżeli Chung Po-kwai potrafi przejść przez zamknięte drzwi, i to w czasie snu... to wyobraźcie sobie, czego mógłby dokonać doświadczony użytkownik, w pełni świadom potencjału modu.

– A na dłuższą metę? – pyta Chan Kwok-hung.

Lui wzrusza ramionami.

– Dopóki nie posiadamy własnej kopii całego modu, dopóki nie przeprowadzimy własnych doświadczeń mających dokładnie określić, jakie są jego zalety i słabe strony, dopóty jest zbyt wcześnie na ustalanie szczegółowej strategii przejścia kontroli nad fałszywym Ansamblem.

– Co nawet może okazać się niekonieczne – stwierdza łagodnie, lecz zdecydowanie Li Siu-wai. – Z naszą własną, niezależną organizacją, po co zawracać sobie głowę staraniami o zreformowanie całego fałszu? Dlaczego po prostu go nie zignorować?

– Fałszywy Ansambl jest parodią! – rzuca oburzony Yuen Lo-ching. – Zignorować go?

Należy rozerwać go na strzępy! Musi zostać starty z powierzchni ziemi!

– Czy wydaje ci się, że zostawią nas w spokoju? – dodaje jej brat. – Tak, byśmy mogli kontynuować nasz własne doświadczenia? Czy wydaje ci się, że pozwolą nam odejść z ich tajemnicami...

– Nie – odpowiada Li Siu-wai – ale będziemy się w stanie obronić. O ile zachowamy przewagę dotycząca używania modu...

– Lepiej, żeby nie zaistniała konieczność naszej obrony.

Chan Kwok-hung potrząsa głową.

– Fałszywy Ansambl może i jest niedoskonały, ale równocześnie wciąż jest szablonem prawdziwej wersji, tej, którą my postrzegamy. Musimy utrzymać go w nienaruszonym stanie – i musimy bezustannie wyęczać siły, aby go ulepszać, zbliżać do ideału, rok po roku. Zadanie krańcowo daremne – ale dla spokoju własnych sumień musimy się go podjąć.

– Wszystkie te możliwości wcześniej czy później mogą zostać rozważone – mówi łagodnie Lui – ale jeżeli nie będziemy posiadać własnego modu stanu własnego, nie będzie nadziei, by w ogóle cokolwiek osiągnąć. I tutaj właśnie na scenie pojawia się Nick.

Odwraca się w moim kierunku. Za nim cała reszta. Zakłopotany zaczynam:

– Przyjmuję, że wszyscy rozumiecie, co sugeruje Lui Kiu-chung – i że wszyscy przedyskutowaliście już jego plan z innymi członkami Kanonu. Chcę usłyszeć, co myślicie.

Wszyscy, jak się zdaje, zgadzamy się co do jednego: musimy zdobyć specyfikację modu – ale czy to właśnie jest najlepszy sposób, aby tego dokonać? Czy są jakieś problemy, jakieś niebezpieczeństwa, których mogliśmy nie przewidzieć? Czy chociażby mamy pewność, że to w ogóle zadziała?

– Co do tego nie ma wątpliwości – Lui wtrąca się do rozmowy. – Weź pod uwagę, co osiągnęła Laura Andrews – kobieta poważnie opóźniona w rozwoju. Rozważ, czego dokonała Chung Po-kwai, w czasie snu. Dzięki „pomocy” Po-kwai – „wypożyczając” jej mod stanu własnego, gdy będzie spała – nic nie będzie mogło powstrzymać Nicka przed odnalezieniem bezpiecznej drogi, jakkolwiek nieprawdopodobnej, z budynku ASR, przez miasto, przez służby ochrony BDI, do ich skarbcza i z powrotem.

Już samo wysłuchiwanie tego po raz kolejny sprowadza wrzask protestów niewiary wewnątrz mojej głowy. Po trzydziestu latach udoskonalania własnego talentu Laura Andrews nie dokonała niczego poza wymknięciem się przeciętnej ochronie Hilgemanna, przebywając najwyżej kilka kilometrów, nim została ponownie załamana. Ode mnie oczekuje się przejścia przez zatłoczone miasto oraz wykradnięcia najcenniejszej własności Ansamblu – a w tym czasie ja nie będę nawet posiadał modu stanu własnego w mojej własnej czaszce.

– Na pewno przez cały czas pozostanie rozmazany? Jesteś tego pewien? – pyta Chan Kwok-hung.

– Mod powstrzymujący załamanie powinien być gotowy w ciągu najbliższych dni –

odpowiada Lui.

– A co z wcześniejszymi epizodami? – pyta Yuen Lo-ching. – Jakie masz dla nich wytłumaczenie?

Lui wzrusza ramionami.

– Mogły być odzwierciedleniem jakiejś naturalnej usterki procesu załamania. Albo mogły być powiązane z **P3**, modem kontroli behawioralnej, używanym wtedy przez Nicka. Mod zaprojektowano po to, by znacznie zwiększać prawdopodobieństwo optymalnych stanów umysłu – co brzmi dokładnie jak przeciwieństwo rozmazywania – lecz jak na ironię, mogło mimowolnie powstrzymać załamanie, oceniając, że proces ten był takim właśnie

„rozproszeniem”, którego należało się pozbyć. Co oczywiście nie miałyby żadnych widocznych konsekwencji, dopóki w grę nie wchodziłby mod stanu własnego.

Taką teorię słyszę po raz pierwszy – i nie rozumiem, jak **P3** mógłby zagrać decydującą rolę w spowodowaniu własnej niesprawności. Chociaż... czyż nie czułem, kiedy było już po wszystkim, jakbym przez cały czas pozostawał w trybie przyczajenia? Możliwe, że byłem jednocześnie uzbrojony i rozbrojony – być może załamanie pozostawiło w jakiś sposób nienaruszone ślady obu

przeszłości. W normalnych okolicznościach mogły przetrwać tylko wspomnienia pojedynczego stanu – ale z pomocą modu Po-kwai, przesuwającego i łączącego ponownie „wzajemnie wykluczające się” możliwości, być może nie musiałyby tak być.

Pamiętam Karen wypełniającą przedpokój, czyż nie? Co to było? Pojedyncza obłąkana halucynacja, pochodząca od straszliwie rozległej dysfunkcji modu? Czy też wspomnienia z tysiąca równoczesnych, alternatywnych wcieleń, którym udało się przetrwać – z których każde osobno wyglądałoby perfekcyjnie zwyczajnie?

Perspektywa spędzenia kilku godzin w stanie rozmazanym jest już wystarczająco niepokojąca – nawet jeżeli Lui ma rację i przez cały czas przydarza się to każdemu, a nawet gdybym mógł mieć pewność, że przetrwam załamanie ze wszystkimi stanami własnymi zredukowanymi do mało znaczącej fikcji, z wyjątkiem jednego wybranego. Ale skoro istnieje ryzyko, że stany wielokrotne pozostawiają niewymazywane wspomnienia, to nie tylko byłbym zmuszony potraktować rozmazywanie jako coś więcej niż jedynie abstrakcję... ale kto wie jakie inne namacalne, fizyczne następstwa mogłyby po wszystkim stać się bezsensowne?

Gdybym spróbował wykraść ROM i gdyby okazało się, że pamiętam obie możliwości – zarówno sukces, jak i porażkę – wtedy jaką dziwną hybrydą obu tych stanów mogłaby stać się reszta świata?

– Musimy się za to zabrać tak szybko, jak to tylko możliwe – stwierdza Lui. – Nie wiemy, ile zostało nam czasu, aż Po-kwai zacznie sobie zdawać sprawę z tego, co się dzieje. Im wcześniej Nick zacznie udoskonalać swoją kontrolę nad modem stanu własnego, tym większe prawdopodobieństwo utrzymania Po-kwai w niewiedzy przez wystarczająco długi okres, by wykorzystać sytuację. – Dodaje tu dla mojej korzyści: – Również z pożytkiem dla niej. Odkrycie, że była oszukiwana, mogłoby tylko postawić ją na niepewnym gruncie. A jeżeli Nick przejmie pełną kontrolę, nie będzie musiała nawet przeżywać żadnego niepokojącego

„somnambulizmu”. Nick będzie mógł tak wybrać ich połączone stany własne, by okazało się, że przez cały czas, gdy on podróżował przez miasto, ona spała bezpiecznie we własnym łóżku.

Taaa, pewnie. Dodaj kolejny cud do tej listy. Któż by to liczył?

– A jeżeli zawiedzie, w połowie drogi? – pyta Li Siu-wai.

– Jeżeli zostanie załamany na ulicy, wtedy pozostaje na mieliźnie. Po prostu będzie musiał, jakoś mydląc oczy, dostać się z powrotem do ASR – wymyślić jakieś wymówki tłumaczące opuszczenie posterunku. Ryzykuje, że zostanie ukarany – ale z drugiej strony, być może uda mu się wyjaśnić tę sprawę z innymi członkami służb ochrony. Mimo wszystko, gdyby doszło do jakiegokolwiek śledztwa, to jak oni sami wytłumaczyliby fakt, że nie zauważyli go jak opuszczał budynek?

Taki scenariusz nie robi na mnie wrażenia; nikt posiadający w głowie **Sentinel** na pewno nie da się zaszantażować, aby kogoś kryć.

– Jeżeli zostanie załamany w BDI, to wtedy oczywiście będzie o wiele gorzej. Mogę tylko przyjąć, że

wówczas wszyscy stalibyśmy się podejrzanymi. Każdy posiadający mod lojalności byłby obiektem bardzo wnikliwych dochodzeń i w najlepszym razie Kanon musiałby się rozwiązać, być może na kilka lat. Być może na zawsze. W najgorszym przypadku – wrusza ramionami – ryzykujemy wszystkim. Ale to samo można powiedzieć o wszelkich używanych przez nas jak do tej pory sposobach uzyskiwania informacji. Oto nadszedł czas podjęcia decyzji: czy kontynuujemy dotychczasowe ostrożne życie, w taki sposób, że równie dobrze moglibyśmy służyć fałszywemu Ansamblowi? Czy też wykonujemy pierwszy krok na drodze ku naszej własnej, prawdziwej wizji?

Ta retoryka jest nierealna: *nasza własna prawdziwa wizja* dla każdego z zebranych tutaj ludzi znaczy coś zupełnie innego, ale wydaje się, że nikomu nie spędza to snu z powiek.

Fałszywy Ansambl może posiadać własne frakcje (jak na ironię, dokładnie taki był rdzeń argumentów Luiego, mających mnie przekonać do zwrócenia się przeciwko niemu), ale Kanon jest pod tym względem – wyraźnie, bezwstydnie – tysiąc razy gorszy. Więc na co ci ludzie w rzeczywistości mają nadzieję? Czy każdy z nich wierzy, że to jego osobisty punkt widzenia w jakiś cudowny sposób wreszcie przeważy?

Nie wiem. Jak mogę żywić nadzieję, że zrozumiem, co tu się dzieje, kiedy nie wiem nawet, jaka jest moja „prawdziwa wizja” Ansambłu. Staram się sobie wyobrazić samego siebie wolnego od BDI i ASR – podczas gdy wciąż będę lojalny wobec... czego?

Przemawia teraz Chan Kwok-hung, ale trudno mi się skupić na jego słowach.

Nieoczekiwanie jestem zmęczony wymigiwaniem się od tego pytania. Czym jest dla mnie Ansambl? Muszę odkryć bądź zdecydować się na odpowiedź. Jak daleko mogę rozciągnąć jego definicję? Jak radykalnie mogę zdeformować węzeł?

Uderza mnie, że istnieje jedna rzecz, której z pewnością nie potrafię podważyć: prawdziwy Ansambl musi być zaangażowany w badanie dziwnego talentu Laury wszelkimi dostępnymi środkami. Pomieszczenie w piwnicy o podwójnych ścianach. Eksperymenty Po-kwai z jonami. A teraz... moje własne dziwaczne wplątanie w sprawę modu stanu własnego. A jedynym sposobem, w jaki mógłbym służyć prawdziwemu Ansamblowi, jest wzięcie udziału w tych badaniach, z największym oddaniem, na jakie mnie stać.

To szok, precyzować to tak bez ogródek – ale kiedy już wyraziłem prawdę, nie potrafię jej odwołać. Logika jest niezaprzeczalna. Sam fakt, że cały pomysł dotyczący rozmazywania wciąż mnie przeraża, czyni ten wniosek jeszcze bardziej nieodpartym: gdybym nie miał się czego obawiać, gdybym nie **miał** niczego do stracenia, jakim rodzajem lojalności by to było?

Rozglądam się po pokoju, przenosząc wzrok kolejno z jednej twarzy na drugą.

Uświadamiam sobie, że nie ma wcale potrzeby, bym zmuszał się do dbania o donkiszotowskie plany tych ludzi – nie bardziej, niż oni sami dbają o plany innych. Ukradnę dla nich specyfikację tego modu – ale dokonam tego z własnych powodów.

Chan Kwok-hung właśnie kończy:



– ...zatem wierzę, że biorąc wszystko pod uwagę, jest to warte ryzyka. Moja rada jest taka, by to zrobić.

Lui kiwa głową w kierunku Yuen Lo-ching. Jej oczy ozywają i zaczyna się rozwodzić nad własnym usprawiedliwieniem wniosku, do którego, z czego zdaje sobie sprawę, musi dojść.

Następni w kolejności robią to Yuen Ting-fu i Li Siu-wai; słucham ich uważnie, starając się wyłapać reguły, odkryć sposób, jak pogodzić ze sobą ich punkty widzenia. Musi istnieć jakiś zawzięcie osobisty pogląd Ansamblu, rażąco zaprzeczający każdemu innemu z wyrażonych jak do tej pory – i musi on prowadzić do zgody, że podjęcie akcji jest konieczne.

Tylko Lui wydaje się być pojednawczy. Po prostu stwierdza:

– Cóż, znacie moje stanowisko, nie ma więc potrzeby, bym się rozwodził. Wszystko zależy od ciebie, Nick. To twoja decyzja.

Pieczęłowicie wykladam własne powody. Członkowie Kanonu z kamiennymi twarzami słuchają dowodu na to, że ich własne wizje są bezkompromisowe i jedyne w swoim rodzaju.

Nikogo nie urażam nawet najmniejszym ustępstwem – nie sprzeczam się bezpośrednio z niczyją argumentacją, ale stawiam sprawę jasno – dla mnie wszystkie one są nieważne.

Prawdziwy Ansambl, obwieszczam, jest tajemnicą daru Laury; wszystko inne ma drugoplanowe znaczenie.

– Więc niezależnie od ryzyka, nie możemy odrzucić tej możliwości. Potrzebujemy modu stanu własnego – nie z powodu jakiegokolwiek przewagi taktycznej w jakichś mało istotnych zmaganiach o władzę, ale dlatego że jest on ucieleśnieniem wszystkiego, czego dotyczy Ansambl. A jaki może być lepszy sposób jego uzyskania, niż użycie dokładnie tego samego procesu, który znajduje się w sercu Ansamblu? Mam zamiar zrobić wszystko, co będę musiał, aby tego dopiąć. Z waszym poparciem lub bez niego.

Po wyjściu wszystkich osób pozostajemy wraz z Luim w mieszkaniu. Przez chwilę siedzę w ciszy, czując się kompletnie wyczerpany i skonfundowany. Wciąż nie jestem zupełnie przekonany, czy Kanon może rzeczywiście funkcjonować, czy też wszystko, co zdołaliśmy osiągnąć, to jakiś rodzaj złudzenia konsensusu. Bezkompromisowe porozumienie – miły Orwelowski oksymoron.

Ale przynajmniej wreszcie zdecydowałem, czym jest dla mnie Ansambl wewnątrz mojej głowy – jakkolwiek nie daje mi spokoju przeczucie, że za tydzień, miesiąc czy też rok może oznaczać coś zupełnie innego.

– Powiedz mi szczerze – zaczynam. – Przypuśćmy, że uda mi się tego dokonać.

Przypuśćmy, że zdobędę te informacje, a ty skonstruujesz mod stanu własnego. – Macham ręką w kierunku pustych krzesel. – Jak długo, jak ci się wydaje, wszystko naprawdę będzie trzymać się kupy?

Wzrusza ramionami.

– Wystarczająco długo.

– Wystarczająco długo na co?

– Wystarczająco długo, by każdy dostał to, czego chce.

Śmieję się.

– Może i masz rację. Być może w ten sposób można to ciągnąć w nieskończoność: każdy popierający jakieś posunięcia z zupełnie innych powodów. To teoria jest tylko kością niezgody.

No i długoterminowa przyszłość. – Potrząsam głową, zdezorientowany. – A jaki jest twój powód? Jesteś człowiekiem, dzięki któremu to wszystko się dzieje, ale nigdy naprawdę nie powiedziałeś, dlaczego.

Obdarza mnie tym odrobinę zaskoczonym zmarszczeniem brwi.

– Właśnie ci powiedziałem, czyż nie?

– Kiedy?

– Pięć sekund temu.

– Musiałem to przegapić.

– Wszystkim, czego ja chcę – stwierdza – jest to, aby wszyscy byli zadowoleni. Takie to proste.

W trzy dni po tym spotkaniu wracam do domu ze stacji metra trochę okrężną trasą.

Zaglądam na stoisko, gdzie sprzedawane są konsumpcyjne farmaceutyki i wątpliwej jakości nano: inteligentne kosmetyki, aktywne tatuaże, „naturalne” – co oznacza, że działają na nerwy w genitaliach, a nie w mózgu – wspomagacze życia seksualnego, „polepszacze” mięśni, będące bezbolesnym skrótem do dysfunkcyjnej hipertrofi, oraz tego rodzaju mody nerwowe, które można znaleźć w pudełkach z płatkami śniadaniowymi. Nie orientuję się, którego spośród wytwórców z ciemnego zaułka zatrudnił Lui do wytworzenia modu powstrzymującego załamanie, ale nie mogę powiedzieć, by odbiór gotowego produktu w miejscu takim jak to napawał mnie do niego zaufaniem.

Powołuję się na przekazany mi przez Luięgo numer zamówienia, a właściciel stoiska podaje mi małą, plastikową fiolkę.

Przed snem rozpylam zawartość fiolki do prawego nozdrza i potężnie zmodyfikowana wersja *Endamoeba histolytica* – pierwotniaka odpowiedzialnego, między innymi przyjemnościami, za zapalenie opon mózgowych – niesie w kierunku mojego mózgu brzemień nanomaszyn. Przez chwilę leżę w łóżku, rozmyślając nad zniechęcającymi nawigacyjnymi i konstrukcyjnymi cechami, których wymaga się od robocików wielkości wirusa. Żałuję, że nie zapytałem Luięgo, jakie ma

doświadczenie w projektowaniu modów. O ile mi wiadomo, aby stworzyć i zaprogramować te pudełka, wytwórca mógł użyć najbardziej nowoczesnego sprzętu dostępnego na rynku – ale nawet doskonale zbudowane nanomaszyny mogą spowodować doskonale śmiertelne szkody, jeżeli wykonują zadania zawarte w projekcie, który zmienia życiowe centra mózgowe w neuronowe spaghetti.

Wreszcie przestaję się zamartwiać. Robię co w mojej mocy, aby służyć prawdziwemu Ansamblowi, a skoro tylko w tym stwierdzeniu nie potrafię odnaleźć pokoju ducha...

Wpatruję się w sufit, w wąski pasek światła porannego słońca, wpadający przez szczelinę w żaluzjach.

Wybieram sen.

**Boss**, zgodnie z życzeniem, budzi mnie trzy godziny wcześniej niż zwykle. Cóż, nie jestem martwy, sparaliżowany, głuchy, niemy ani ślepy. Jeszcze nie jestem. Uruchamiam testy integralności wszystkich pozostałych modów – żaden z nich nie został uszkodzony, ale z drugiej strony, taki błąd należy do najmniej prawdopodobnych. Neurony będące już częścią istniejącego modu zostają oznakowane za pomocą komórkowych białek powierzchniowych, których nie mogłaby przegapić żadna prawidłowo działająca nanomaszyna – są również przekształcane na inne sposoby, które musiałyby zostać rozmyślnie odwrócone, nim takie neurony mogłyby zostać pobudzone do kolejnej zmiany swoich połączeń synaptycznych.

Lui nie podał mi nazwy, którą powinienem wywołać, więc **MindTools\*** (Axon, 249\$) dokonuje inwentaryzacji. Nie może dostępnymi mu środkami „przeskanować” całej zawartości mojej czaszki, ale może wysłać nerwową magistralą zbiorczą modów standardowy rozkaz

„oznajmij swoją obecność”, a następnie ułożyć listę otrzymanych w ten sposób odpowiedzi.

Jedynie mod lojalności pozostawia to bez słowa, odmawiając podania swej nazwy czy nawet potwierdzenia swej obecności.

Mod powstrzymujący załamywanie okazuje się być zakamuflowany, ukryty wewnątrz badziwnego i paskudnego modu gry nazywanego **Hypernova** (Virtual Arcade, 99\$)\*\*.

**Hypernova** jest w porównaniu z **von Neumannem** tym, czym był w czasach mojej młodości flipper z salonu gier w porównaniu z komputerem osobistym. Przeglądam menu i treść plików pomocy. Oprogramowanie można załadować do niego albo z ROM-u, albo ze znajdujących się w sieci bibliotek, poprzez działający w podczerwieni mod, taki jak **RedNet**, lub też w prymitywny, staromodny sposób: modulowanym światłem widzialnym.

Równie dobrze mogę uwiarygodnić cały ten kamuflaż; nikt nie posiada modu gier, w którym nic się nie znajduje. Łączę się z biblioteką Virtual Arcade. Obecny bestseller to historyczna gra wojenna dla tępych fetyszystów broni, nazywana *Basra 91*, a szczytująca się autentycznymi obrazami ludobójstwa z punktu widzenia spadających pocisków raketowych.

Odpuszczam to sobie i ładuję hit ubiegłego tygodnia, *Metaszachy*. „Każda konfiguracja figur generuje jedyny w swoim rodzaju zestaw reguł”.

Przez chwilę w to gram (przegrywając z kretesem na najłatwiejszym z poziomów), starając się wywołać po kolei wszystkie funkcje modu, ale po dwudziestu minutach wciąż jeszcze nie odnalazłem tajnego przejścia prowadzącego do właściwego modu. Zaczynam się zastanawiać, czy może konieczna jest jakaś złożona sekwencja komend, kiedy uświadamiam sobie, że wciąż pozostała nietknięta jedna z funkcji. Wracam do menu ładowania nowych gier i wywołuję archaiczną opcję światła widzialnego. Zamiast otrzymać oczekiwaną skargę – że wpatruję się w nieodpowiedni strumień danych – wyświetla się kolejne menu, na którym są zaledwie dwa skróty: WŁ i WYŁ. WYŁ jest oznaczony ptaszkiem.

Waham się przez chwilę, ale to chujostwo wcześniej czy później musi zostać przetestowane – i jeżeli ma straszliwie zawieść, to wołałbym się raczej o tym przekonać tu i teraz, a nie w przedpokoju apartamentu Po-kwai.

Różnica pomiędzy beczynną wizualizacją a aktywną komendą dla modu jest trudna do wyjaśnienia – ale jest równie łatwa do opanowania i zapomnienia jak różnica pomiędzy prawdziwymi a wyobrażanymi działaniami ciała. Tylko pod wpływem presji przestaje się ją odczuwać jako drugą naturę. Kiedy wyobrażam sobie znaczek pojawiający się przy skrócie WŁ, jestem dokładnie świadom faktu, że umysłowy obraz, którym manipuluję, *jest* samym menu.

Nic się nie dzieje, nic się nie zmienia – dokładnie tak, jak być powinno. Podnoszę dłoń do oczu i bezspornie nie udaje się jej rozmyć w powietrzu do smugi alternatyw. Cały pokój pozostaje równie solidny jak do tej pory. Tak dalece, jak potrafię to ocenić, mój stan umysłowy pozostał niezmienny – z wyjątkiem przewidywalnej fali ulgi, kiedy odkrywam, że wciąż nie jestem sparaliżowany, ślepy ani też w żaden widoczny sposób obłąkany. Lui może jednak mimo wszystko wiedział, co robi. Ten mod może nawet działać.

A w takim przypadku jestem teraz rozmazany – nawet jeżeli ten fakt nie ma żadnych obserwowalnych konsekwencji takiego czy innego rodzaju. Wyjątkowość, stałość, bezbrzeżna normalność wszystkiego wokół jest produktem faktu, że zostanę załamany w jakimś momencie w przyszłości – tym razem bez pomocy zaburzającej prawdopodobieństwa bądź

też mieszającej i gmatwającej możliwości części modu Po-kwai, kontrolującej stany własne.

Zostanę załamany? Być może więcej sensu miałoby przyjęcie, że „już” zostałem – w czasie, który zaledwie wydaje się leżeć w przyszłości – a całe obecne doświadczenie wyrasta

„retrospektywnie” od tego właśnie procesu. Jak zapewniała mnie Po-kwai – spin jonu staje się określony dopiero wtedy kiedy jest mierzony, nie wcześniej.

Śmieję się na głos. Wbrew wszystkiemu – wyczynom Laury w jej niesamowitych ucieczkach, sukcesowi Po-kwai z jonami, moim własnym niemożliwym usterkom modu – wciąż nie jest to dla mnie rzeczywiste. Wbrew mojej świadomości, że to jest sercem prawdziwego Ansamblu... wciąż brzmi to jak stek pretensjonalnych, błahych, studenckich filozoficznych bzdur. O ile mi wiadomo,

zainstalowałem sobie właśnie nowy mod cesarza.

Wracam do menu, zaznaczam opcję WYŁ...

...i zastanawiam się: co się stało z tymi wszystkimi wersjami mnie, które akurat tego nie zrobiły? Czy zostały one zniszczone przez ścieżki załamania fali w mojej czaszce... nawet jeśli połowa z nich, jak do tej pory, mogła być porzucana po całym pokoju, czy nawet po całym mieście?

Musiały zostać zniszczone przeze mnie, czy też zniszczone przez jakiegoś innego obserwatora.

Wszyscy?

Zapomnij o modzie powstrzymującym załamywanie, który nie zmienia niczego z wyjątkiem koordynacji czasowej. Typowy bieg wypadków musi sumować się do normalności. Nieważne jak często, bądź też rzadko, mózg wykonuje załamanie, musi wtedy sięgać i niszczyć nawet te zakrojone na szeroką skalę, nieprawdopodobne stany. Gdyby tak nie było, to te nietknięte stany trwałyby nieskończenie. Nie ma sensu apelować do innych obserwatorów, aby je wymazali, gdyż i oni wykonaliby tę pracę równie niedoskonale. Gdyby załamanie nie trawiło wszystkiego, to pojedyncza, solidna gałąź rzeczywistości nie byłaby wcale unikalna. Leżałaby pośrodku olbrzymiej pozbawionej alternatyw próżni, ale ta próżnia byłaby skończona – a poza nią rozciągałyby się niekończące się gęstsze drobnych gałązek, widma nieprawdopodobieństw zbyt odległych, by zostać zniszczone.

A tak to przecież nie wygląda.

W czasie kiedy Po-kwai wciąż oczekuje rozpoczęcia kolejnej fazy swojej pracy, ja rozpoczynam własne eksperymenty. Być może to bezcelowe, biorąc pod uwagę fakt, że przynajmniej jak do tej pory najbardziej dramatyczne efekty objawiały się w te noce, kiedy rzeczywiście z powodzeniem używała ona modu stanu własnego. Lecz wciąż nie widzę nic złego w tym, że próbuję – i równie dobrze mogę nastawić się optymistycznie. Gdyby moje własne użycie modu pozostawało absolutnie powiązane z jej użyciem, mogłoby to skończyć się tym, że lata całe zajęłoby mi opanowanie najłatwiejszych sztuczek – nie wspominając już o jakichkolwiek niemożliwych włamaniach, dokonywanych na drugim końcu miasta.

Po-kwai rozwinęła swoje umiejętności, pracując z najłatwiejszym z możliwych układów: starannie przygotowanymi jonami srebra, zawierającymi równe mieszaniny wyłącznie dwóch stanów. Nie mam dostępu do niczego tak czystego, ale wciąż mogę się opierać na tych samych podstawowych założeniach: wybierając układ, który normalnie załamywałby, się według dobrze znanych prawdopodobieństw, i starając się na nie wpłynąć. Zarówno **von Neumann**, jak i **Hypernova**, posiadają układy do generacji prawdziwie losowych liczb – w przeciwieństwie do deterministycznych pseudolosowych sekwencji tworzonych za pomocą czysto algorytmicznych środków. Wykorzystują one grupy specjalnie przystosowanych do tego celu neuronów, zrównoważonych na fraktalnym ostrzu, pomiędzy impulsem a jego brakiem, jękając się w chaotycznym kołysaniu uzależnionym jedynie od wewnątrzkomórkowych fluktuacji chemicznych i szumów cieplnych. Zazwyczaj układ taki powinien załamywać w ten sposób, by losowo generować liczby rozrzucone jednolicie w określonym zakresie; dowolne odchylenie, dowolne zaburzenie znaczyłoby, że udało mi się zmienić prawdopodobieństwa – faworyzując jeden ze stanów systemu,

czyniąc go bardziej prawdopodobnym, tak by stał się jedynym ocalałym z załamania – podobnie jak Po-kwai udało się wzmocnić prawdopodobieństwo stanu *góra* w przypadku jonów srebra.

Przez trzy noce staram się wpłynąć na generowane losowo przez **von Neumanna** liczby, bez żadnego jednak powodzenia... co nie jest wielką niespodzianką. Wykorzystana przeze mnie – z braku czegokolwiek innego – kombinacja wizualizacji i życzeniowości wydaje się bardziej przypominać ćwiczenie dla medium z aspiracjami niż próbę wydania precyzyjnych komend ściśle określonego modowi, w czyjejkolwiek czasce by się on znajdował. Lui nie może mi pomóc; nigdy nawet przelotnie nie widział na własne oczy opisu interfejsu modu stanu własnego. Zatem powoli sprowadzam na ten temat rozmowę z Po-kwai (i prawdopodobnie udaje mi się brzmieć o wiele mniej naturalnie, niż gdybym zapytał ją o to wprost).

– Powiedziałaś ci już – mówi – nie pamiętam używania tej części modu; zaledwie włączam mod powstrzymujący załamanie, później siadam wygodnie i obserwuję jony. Obie funkcje są niezależne. Zainstalowano mi je jako pojedynczy pakiet, ale w rzeczywistości są dwoma oddzielnymi modami. Mod stanu własnego działa tylko wtedy, kiedy jest rozmazany...

a kiedy ja jestem rozmazana, to mogę – najwidoczniej – posługiwać się tym rozmazanym modem. Jednak po załamaniu nic z tego nie pamiętam.

– Ale... jak mogłaś się nauczyć robić coś, czego później nawet nie pamiętasz, że robiłaś?

– Nie wszystkie umiejętności polegają na pamięci epizodycznej. Czy pamiętasz, jak uczyłeś się chodzić? Gdybym nauczyła się lepiej manipulować stanami własnymi, to taka umiejętność musiałaby zostać ucieleśniona w jakiejś strukturze nerwowej, gdzieś w moim mózgu – ale rzecz jasna nie w postaci konwencjonalnej pamięci i prawdopodobnie nie w jakiejś konkretnej formie, która miałaby dla mnie jakikolwiek sens czy też byłaby użyteczna w czasie kiedy jestem załamana. Jak rozumiem, mod stanu własnego jest strukturą nerwową, która działa tylko wtedy, kiedy jest rozmazana, więc nie ma powodu, by inne części mojego mózgu –

ścieżki uformowane naturalnie, w czasie trwania eksperymentu – miały nie działać tylko wtedy, kiedy są rozmazane.

– Twierdzisz, że kiedy jesteś rozmazana, wiesz, jak posługiwać się tym modem – ale wiedza ta jest zakodowana w twoim mózgu w taki sposób, że jest nieczytelna w czasie, kiedy jesteś załamana?

– Dokładnie. Wiedza musiała zostać zapisana w mózgu w czasie, kiedy byłam rozmazana... zatem wcale nie jest dziwne, że potrafię ją odcyfrować tylko wtedy, gdy ponownie rozmazuję.

– Ale... w jaki sposób informacja o byciu rozmazanym może przetrwać w czasie, skoro załamanie usuwa każdy najmniejszy ślad wszystkich stanów własnych z wyjątkiem jednego?

– Ponieważ nie wymazuje! To, co mówisz, jest prawdą jedynie w przypadku, gdy stany własne nie mają okazji ze sobą oddziaływać – a obecność modu stanu własnego oznacza, że oddziałują. Jeśli chodzi o zasadę, to w tym, że rozmazany system pozostawia dowód swojego rozmazania, nie ma nic nowego; połowa doświadczeń krytycznych w czasach wczesnej mechaniki kwantowej opierała się na

czymś takim. Niezaprzeczalne dowody współistniejących stanów wielokrotnych mają przeszło sto lat: dyfraktogramy elektronowe, hologramy... dowolny rodzaj efektu interferencyjnego. Czy wiesz, że kiedyś hologramy fotograficzne wykonywano dzięki rozszczepieniu wiązki lasera na dwie, odbijając jedną z nich od obiektu, a następnie ponownie łącząc te wiązki i fotografując obraz interferencyjny?

– Co to ma wspólnego z rozmazywaniem?

– Jak rozszczepiasz wiązkę lasera? Skierowujesz ją na szklaną płytkę, pokrytą bardzo cienką warstwą srebra i umieszczoną pod kątem czterdziestu pięciu stopni do wiązki; połowa światła ulega odbiciu w bok, w czasie gdy reszta, niepowstrzymana, przechodzi przez nią. Ale kiedy mówię: „połowa światła ulega odbiciu”, nie mam wcale na myśli, że odbijany jest co drugi foton – mam na myśli to, że każdy pojedynczy foton jest rozmazywany do mieszaniny dwóch stanów o takim samym prawdopodobieństwie: stanu, w którym został załamany, i stanu, w którym bez problemu przechodził przez płytkę.

Próbując zaobserwować, którą ścieżką podąża każdy foton, załamujesz układ do pojedynczego stanu – a tym samym niszczysz obraz interferencyjny, rujnujesz hologram. Lecz jeżeli pozwolisz niezakłóconej wiązce połączyć się ponownie, dając tym samym obu stanom możliwość interakcji, wtedy hologram zostaje równie namacalnym, jak i trwałym dowodem na to, że oba stany istniały równocześnie.

Być może więc oddziaływania pomiędzy różnymi wersjami mojego mózgu mogą pozostawiać jakiś rodzaj trwałego zapisu doświadczenia bycia rozmazanym. I podobnie jak hologram wykonany przy użyciu lasera jest nie dającym się rozszyfrować nieuzbrojonym okiem bezładem – nieprzynoszącym w najmniejszym nawet stopniu żadnego podobieństwa do obiektu, dopóki obraz nie jest rekonstruowany – ta przechowywana w moim mózgu informacja może być dla mnie niezrozumiała, ale przypuszczalnie obejmuje umiejętności, które są użyteczne dla rozmazanej Po-kwai.

Trawię to.

– W porządku. Ale nawet jeżeli istnieje dla „rozmazanej Po-kwai” sposób, aby nauczyć się rzeczy, o których ty nie masz pojęcia... co tak naprawdę robisz, aby zachęcić ją do nauki tego, czego chcesz, żeby się nauczyła?

– Mogło tu pomóc wyliczanie odchylenia jonów. Ale podejrzewam, że samo wystarczająco intensywne pragnienie, dotyczące powodzenia eksperymentu, było wszystkim, czego potrzeba. Im bardziej tego chciałam, tym większa była liczba wersji mnie, która wciąż tego chciała, kiedy byłam rozmazana – i dlatego całkowita rozmazana Po-kwai musiała skończyć, również tego pragnąc. Wszystko inne byłoby wysoce niedemokratyczne – mówi żartobliwie, ale nie do końca.

– Nareszcie – odpowiadam – rygorystyczna definicja powagi celu: kiedy rozdzielasz się na wielokrotne ja, ile z nich trzyma się twojego zamierzonego celu, a ile go porzuca?

Śmieje się.

– Oczywiście. Wszystko mógłbyś kwantyfikować w ten sposób. *Jak bardzo cię Kocham?*

Pozwól, niech stany własne zliczę...\*

W domu, rozbrojony, zastanawiam się nad własnymi celami, nad moją własną powagą celu.

Nic, co wydarzyło się w obu przypadkach, kiedy byłem (zauważalnie i pamiętnie) rozmazany, nie było tym, czego chciałem. A teraz? Mogę gorliwie życzyć sobie służyć prawdziwemu Ansamblowi, ucząc się wykraść mod stanu własnego – ale jak przebiega to głosowanie, gdy jestem rozmazany?

Nigdy się nie łudziłem: nigdy ani przez chwilę nie udawałem, że bez modu lojalności byłbym taki sam. Ale z tego, co powiedziała mi Po-kwai na temat znaczenia funkcji falowej, wywnioskowałem, że sam fakt niezawodnego działania modu lojalności musi odzwierciedlać wysokie prawdopodobieństwo tych stanów kwantowych, w których on wciąż działa bez żadnych zakłóceń. Jednak rozmazywanie może tworzyć takie wersje mnie, dla których mod lojalności zawiódł – lecz powinny być one w przeogromnej mniejszości do tych wersji, w których wciąż działa, jak należy.

Ale z drugiej strony... rozbroiłem przy ciągle działającym **P3**; zobaczyłem Karen bez jej wywoływania. W obu przypadkach powinien mieć zastosowanie ten sam argument: większość powinna popierać *status quo*. Ale *status quo* nie zostało zachowane.

Co więc dokładnie ma miejsce, kiedy rozmazuję w przedpokoju i staram się – czy też wydaje mi się, że próbuję – zakłócić przypadkowość liczb wyrzucanych przez **von Neumanna**? Nic, co miałyby znaczenie... czy też wirtualna wojna pomiędzy miliardami możliwych wersji tego, kim mógłbym się stać? Rozstrzygające bitwy pod sztandarem modu stanu własnego, superbroni, tego, co nadaje kształt rzeczywistości? Wszystko, z czego wynurzam się ze świadomością następującego pata – ale być może równowaga sił stopniowo się przesuwa, być może istnieją w mojej głowie „hologramy”, które rejestrują zmiany stanu rozgrywki.

Myśl, że być może istnieją powoływane do życia wersje mnie, które działają wbrew moim życzeniom, które walczą przeciwko wszystkiemu, czym ja żyję, jest tak odrażająca, że pragnę tylko jej ośmieszenia, odsunięcia od siebie jako absurdu. A nawet jeżeli taka jest prawda... to co mogę na nią poradzić? Jak mógłbym wpłynąć na zmianę wyniku tych potyczek? Jak mógłbym wzmocnić frakcje, które pozostają w szponach modu lojalności – te, które pozostają lojalne względem mnie?

Nie mam pojęcia.

Rezygnuję z **von Neumanna**, gdyż zauważam coś wysoce podejrzanego w dążeniu do wywarcia wpływu na neurony w mojej własnej czaszce. Na targu staroci w pobliżu mojego mieszkania wygrzebuje elektroniczny generator kości, wielkości około połowy małej karty do gry. Serce urządzenia to mała zaplombowana jednostka, zawierająca kilka mikrogramów izotopu emitującego pozy trony, otoczona przez dwa koncentryczne, sferyczne szeregi kryształów detektora. Taki układ jest odporny – jak zapewnia mnie wszystkowiedzący naganiacz, hologram właściciela stoiska – zarówno na naturalne promieniowanie tła, jak i celowe próby manipulacji; nie można pomylić żadnego zewnętrznego zdarzenia z charakterystyczną parą kwantów gamma, które powstają na skutek zachodzącej wewnątrz urządzenia anihilacji pozytronu. – Oczywiście, jeżeli szanowny pan życzyłby sobie model, który byłby bardziej podatny na dyskretne wpływy...



Kupuję wersję odporną na zewnętrzne wpływy. Oprogramowanie może dostarczać jakiegokolwiek wymaganej kombinacji wielościanów; decyduję się jednak na tradycyjną parę kości i godzinę spędzam, testując urządzenie. Nie zauważam żadnego śladu odchyłów.

Zabieram je ze sobą na służbę i kiedy Po-kwai zasypia, siadam w przedpokoju, gdzie rozbrojony, rozmazywany i załamany przez **Hypernową**, staram się wpoić wszystkim moim wirtualnym ja poczucie celu, to, że mogą przeżyć nieubłagane rozproszenie funkcji falowej.

Czuję ukłucie winy z powodu celowego rozbrojenia, porzucenia własnych obowiązków względem Po-kwai, ale nie mogę ryzykować, by **P3** w nieprzewidziany sposób wpływał na załamywanie. I powtarzam sobie: jeżeli Dzieci kiedykolwiek odkryją, że ASR angażuje się w błuźniercze badania, to najzwyczajniej w świecie wysadzą budynek w powietrze, a na to nic nie będę w stanie poradzić, uzbrojony czy nie.

Kości pozostają pedantycznie sumienne.

Po-kwai rozpoczyna trzecią fazę eksperymentu, kolejne pomiary powiązań wewnątrz jej mózgu. I potrafię zrozumieć niecierpliwość Luiego, spowodowaną tymi zaglądającymi do jej wnętrza eksperymentami, ale równocześnie doceniam, bardziej niż kiedykolwiek do tej pory, powody takiego ostrożnego postępowania ASR. Może i przyjmuję za fakt, że możliwe są wszelkie rodzaje makroskopowych sztuczek, ale miotam się w ciemności, starając się nad nimi zapanować, podejmując równocześnie olbrzymie ryzyko. Gdyby pozostawiono ich samym sobie, wtedy ASR mogłoby zabrać nawet i dziesięć lat, nim spróbowaliby czegokolwiek zbliżonego – ale kiedy się już za to zaborą, będą mieli całkowitą kontrolę; będą dokładnie wiedzieli, co robią.

I tak sobie myślę: może to oni, mimo wszystko, są najlepszymi kandydatami, aby badać tajemnicę prawdziwego Ansamblu. Wolno, metodycznie, rygorystycznie, z respektem...

Po-kwai osiąga sukces na drugi dzień; wydaje się być zadowolona z tego faktu, ale nie jest zaskoczona. Najwyraźniej zdobywa pewność dotyczącą możliwości obsługi modu, mimo iż nie rozumie szczegółów jej dotyczących. Ile jeszcze zostało mi czasu, zanim to rosnące poczucie pewności siebie, kontroli, nawiedzi jej sny – i tym samym odetnie mnie od modu?

Siedzę w przedpokoju, obserwując automatyczne unoszenie i opadanie symulowanych kości do gry, dziesięć razy na minutę, godzina po godzinie. Moje rzeczywiste pole widzenia skupiam na kościach, mając równocześnie otwarte wewnątrz mojej głowy dwa okna: menu **Hypernowej** i interfejs programu do analizy – zmodyfikowanej, miniaturowej wersji oprogramowania wykorzystywanego przy eksperymentach z jonami, przemyconej z laboratorium przy użyciu **RedNetu** w czasie dwusekundowego uścisku ręki z Luim.

*Rozmazywanie WŁ.*

*Rzut kośćmi.*

*Rozmazywanie WYŁ:*

*Wprowadź wyniki.*

Uzbrojony, mógłbym to robić bez końca, i to bez najmniejszej zmiany nastroju. Rozbrojony, prześlizguję się od wybuchów entuzjazmu po szarość znużenia, następnie wrzeszczącej nudy, wreszcie litościwych pasm automatyzmu – z których wyłania się bardziej sfrustrowany niż kiedykolwiek do tej pory. Wszystko to może być przydatne: jakiegokolwiek są moje wahania nastroju podczas rozmazywania, trudno uwierzyć, że nie jestem jednomyślny w życzeniach dotyczących zakończenia tej ogłupiającej procedury – a jedynym sposobem, żeby to skończyć, jest osiągnięcie sukcesu.

A może nie jest? Mogę trzymać dla okupu moje wirtualne ja tylko w takim wypadku, jeżeli po każdym załamaniu całkowita kontrola leży w moich rękach – a prawda jest taka, że nie mam żadnego sposobu, aby wiedzieć, do czego zostanie użyty mod stanu własnego: po to by wybrać stan kości czy też po to by wybrać mój własny stan umysłu. Przy następnym załamaniu mogę odkryć, że został wybrany stan, w którym po prostu położę krzyżyk na całym eksperymencie... albo też na prawdziwym Ansambli. Za każdym razem kiedy rozmazuję, wszelkie zasady rządzące grą są wyrzucane w powietrze wraz z kośćmi. I mogę tylko żywić nadzieję, że znacznie trudniej jest na nie wpłynąć.

Na chwilę przed przybyciem Lee Hing-cheung na posterunek, chowam generator do kieszeni. Program w mojej głowie – działający o wiele wolniej pod **von Neumannem** niż choćby na przyzwoitym komputerze – przetrząsa zebrane dane przy użyciu coraz to wymyślniej szych i niezrozumiałych testów, w nadziei wykrycia efektu, ale kiedy wychodzę z pociągu, którym wracałem do domu, wyrzuca ostateczny, oczekiwany wniosek:

[HIPOTEZA ZEROWA NIEKWESTIONOWANA]

Pojawiam się na służbie, oczekując, że Po-kwai przyznano dzień odpoczynku, ale otrzymuję rozkazy, by zameldować się w pokoju 619. Kiedy tam wchodzę, Lee wyjaśnia:

– Mówi, że wcale nie odczuwa już zmęczenia; nie ma więc powodów, by odkładać eksperymenty.

Staję na straży, nie myśląc o niczym innym jak tylko o czujności. Tak jakbym chciał

skompensować moje nocne zaniedbania. Wyłączam się z paplaniny naukowców, tłumię poczucie oczekiwania. **P3** rafinuje mnie do stanu czystego obserwatora – podłączonego, by niezwłocznie odpowiedzieć na wszelkie nieoczekiwane okoliczności, lecz kompletnie biernego aż do chwili zaistnienia takiej potrzeby.

W godzinę później, kiedy Po-kwai wyłania się z pomieszczenia jonowego, kończymy pracę.

W windzie, jadąc do restauracji, pytam:

– Jak leci?

– Dobrze. Przez całe popołudnie otrzymywaliśmy przydatne dane.

– Już?

Radośnie kiwa głową.

– Wydaje mi się, że przekroczyłam pewien próg; wszystko staje się coraz łatwiejsze.

Cóż... wiesz, co mam na myśli. Jak zawsze, sama nic nie robię. Nie przypisuję sobie żadnych zasług – ale to z pewnością wygląda tak, jakby rozmazana Po-kwai wreszcie ujarzmiła **Ansambl**.

Przez chwilę kusi mnie, by poprosić ją o powtórzenie tego, ale nie ma takiej potrzeby; już za pierwszym razem usłyszałem ją doskonale, a to, co powiedziała, brzmi jednoznacznie. A skoro do tej pory nigdy nie nazwała modu, to bez wątplenia została wyraźnie poinstruowana –

być może przez Leung – z wystarczającym naciskiem, aby taka wiadomość ugrzęzła mocniej niż wszystkie pozostałe „pierdoły dotyczące bezpieczeństwa”.

Nie widzę powodu, by upominać ją za to, że coś się jej wyrwało.

Gdy je posiłek, siedzę z niekończącą się cierpliwością, przytakując uprzejmie jej narzekaniom, jakie nudne stało się jedzenie.

Siadam w przedpokoju i wsłuchując się, jak porusza się po apartamencie, zastanawiam się, jaką różnicę, o ile jakąkolwiek, sprawia ta informacja.

O pierwszej po północy rozbrajam i dłużej już nic nie krępuje mojej radości. Prawdziwy Ansambl jest modem o nazwie **Ansambl** – i to doskonałe równanie, ta elektryzująca symetria, jest ostatecznym potwierdzeniem wszystkiego, w co wierzę. Tak, z pewnością objawienie –

ale teraz, patrząc na to wstecz wydaje się niemożliwe, by mogło być inaczej. A na jaką większą inspirację mógłbym mieć nadzieję, by ta poprowadziła i dodała otuchy wszystkim moim wirtualnym ja, które pozostały lojalne wobec mojej misji?

Wyciągam generator kości, wywołuję mody, rozpoczynam.

Kości padają przypadkowo, raz za razem, co mnie nie zniechęca. Od mojego rozmazanego ja nie można oczekiwać wykonywania natychmiastowych cudów, bez względu na to jak żarliwie wypełnia moje zadanie... a już szczególnie skoro co sześć sekund anihiluję go poprzez załamanie i musi rozpocząć od nowa, wyławiając nitki wszelkich przechowywanych w moim mózgu hologramicznych śladów własnych doświadczeń.

Czy muszę załamywać tak często – po każdym rzucie? To prawda, że Po-kwai osiągnęła sukces przy takim właśnie podejściu – i załamywanie po każdym jonie dawałoby jej najprostszy z możliwych celów: wzmocnienie jednej z zaledwie dwóch możliwości. Jednakże nasze zadania nie są identyczne; Ansambl znajduje się wewnątrz jej głowy, nie mojej. Być może muszę rozmazywać przez dłuższy czas, aby wygenerować zdolne do wpływu na mod wersje samego siebie. Jak długo byłem rozmazany, kiedy Karen pojawiła się nieproszona? Nie mam sposobu, żeby się tego dowiedzieć; to nie ja kontrolowałem ten proces.

Teraz takie stwierdzenie nie jest już prawdziwe.

Zaznaczam przełącznik WŁ.

Na stole, obok mnie, generator wysyła w powietrze obrazy wirujących kości. Wyglądają niemal jak rzeczywiste – lśnią nawet przekonująco, jak gdyby udając, że łapią światło otoczenia – i padają na powierzchnię z cichym symulowanym stukotem.

Ślepia węża, dwie jedyńki – mój cel.

Z trudem powstrzymuję się przed dokonaniem instynktownego już teraz, trzeciego kroku mojej rutyny i, pozostawiając nietknięte menu **Hypernowej**, wprowadzam pierwszy z wyników do programu analizującego – myśląc tak: za każdym razem kiedy to robię, von Neumann rozmazuje się do wersji wielokrotnych, z kopiami programu, do których zostały wprowadzone wszystkie możliwe kombinacje wyników zebranych do tej pory. Nie muszę myśleć o indywidualnych rzutach; wszystkim, czym muszę się zająć, jest wybór stanu własnego, w którym program dokonujący analizy ogłasza wreszcie sukces. Z pewnością podołam tak prostemu zadaniu – z pomocą prawdziwego **Ansamblu**.

Ślepia węża po raz kolejny.

I po raz trzeci.

A gdybym załamał dokładnie teraz, zanim program wyda swój werdykt? Czym stałoby się to wtedy – ślepym trafem? Przypadkiem? Rzadką, ale niemającą znaczenia – szczęśliwą serią? Czy też już jestem świadkiem dowodu, że pozostanę rozmazany poza ten punkt?

Ślepia węża po raz czwarty. Przy jednej szansie na trzydzieści sześć rzutów prawdopodobieństwo seri czterech lub więcej – przynajmniej raz przy trzydziestu tysiącach rzutów, dziesięciu nocach pracy zbierania danych, które jak dotąd mam za sobą – wynosi już 1,7 procenta.

Piąty raz... to 0,048 procenta. Po przekroczeniu narzuconego jednoprocentowego progu program zaczyna wyświetlać migotające wiadomości triumfu.

Szósty... to 0,0013 procenta.

Siódmy... to 0,000037 procenta.

Ósmy... to 0,0000010 procenta.

Przestaję wprowadzać dane do programu i tylko wpatruję się, jak kości lądują raz za razem w ten sam sposób, niczym jakiś tani, zapętlony hologram reklamowy. Być może do tego się to sprowadza, do nieprawidłowego działania mojego generatora. Nieprawidłowego działania? W jaki sposób? I dlaczego? Czy mi się zdaje, że „siłą woli” wymusiłem zmianę obwodów zapewniających stałą wartość prawdopodobieństwa generowanych przez niego wyników? Czy mam zamiar odpełznąć z powrotem w wygodne obszary tłumaczenia wszystkiego telekinezą za pomocą nieodgadnionej metody? Nawet nie staram się wpływać na urządzenie; ja jedynie przyglądam się, jak wszystko się wydarza. Po-kwai miała rację; całą pracę wykonuje rozmazana osoba.

Będę musiał zaakceptować całą prawdę: przeżywam ciąg wydarzeń, które zostaną (czy też zostały) wyłuskane z kilku biliardów możliwości, kolektywnym wysiłkiem kilku biliardów wersji mnie... z których większość zaraz masowo wymorduję (chyba że już tego dokonałem).

Zaznaczam przełącznik WYŁ.

Kości wciąż wypadają. Trójka i czwórka. Dwójka i jedyńska. Para szóstek.

Wycieram pot z twarzy; roztrzęsiony, podekscytowany, pijany sukcesem i strachem.

Sięgam w dół i chwytam siedzenie krzesła; chłodny, gładki metal jest równie solidny jak dotychczas. Uspokojenie się nie zabiera mi długo. Wszedłem z tego wszystkiego nietknięty, niezmienny, czyż nie? I mam mniej powodów do obaw niż miałem do tej pory; nie będzie już więcej usterek modu, żadnych kolejnych halucynacji. Teraz kontrola wszystkiego należy do mnie.

I z jakimikolwiek dziwacznymi, metafizycznymi konwolucjami będę musiał nauczyć się żyć, pozostaje jedna prosta prawda: na końcu, kiedy już zdecyduję się to przerwać, nacisnę przełącznik WYŁ, załamie falę... to wszystko wciąż zsumuje się do normalności.

Zgodnie z duchem Kanonu, czyli zakładając, że moje własne instynkty w tej kwestii nie mogą być bez skazy, Lui ustala plan mojej wyprawy zdobycia modu. Za jego namową przechodzę do bardziej złożonych sztuczek z kośćmi: cykle dwóch, trzech bądź czterech różnych wyników; sumy, które zawsze są liczbami pierwszymi; kości, które się zawsze zgadzają. Obiektywne prawdopodobieństwa otrzymania wyników spełniających takie warunki na drodze czystego przypadku nie są bardziej widowiskowe od tych związanych z moim pierwszym sukcesem – a w niektórych przypadkach są nawet dużo mniej przekonujące – ale jak się wydaje, tak czy inaczej identyfikacja i wzmocnienie stanów własnych takich złożonych układów powinny być większym wyzwaniem.

Z drugiej znowu strony, kryterium we wszystkich przypadkach jest po prostu moje przekonanie dotyczące prawidłowości wyniku; stan zostaje wybrany tylko dlatego, że zawiera wersję mnie, której się wydaje, że osiągnęła sukces... i jeżeli jedno z moich wirtualnych ja na skutek spadku koncentracji omyłkowo uwierzyło, że pięć i trzy daje w sumie liczbę pierwszą, to mogło w efekcie zostać nagrodzone za swoją niekompetencję przywilejem stania się rzeczywistym. (Być może to już się wydarzyło. Kilka razy. Być może wolno, lecz nieustannie

„mutuję” w kierunku coraz większej zdolności do nieuwagi i samookłamywania. Jeżeli ten rodzaj „ewolucji” mógł dać

Laurze ścieżki mózgowe, na których oparty jest **Ansambl**, osobiście nie powinienem nie doceniać efektów, jakie może wywierać na mnie). Mogłem kupić kieszonkową kamerę holowizyjną i zacząć wszystko nagrywać – odtwarzając to dopiero po załamaniu – ale nie przemawia do mnie myśl, by przemycać tutaj zbyt wiele obciążającego mnie sprzętu. Gdybym został przyłapany jedynie na rzucaniu kośćmi, mogłoby to zostać uznane za niewinny rodzaj rozrywki; mógłbym stwierdzić, że **P3** szwankuje po raz kolejny i utrzymanie mnie przy zdrowych zmysłach w późnych godzinach nocnych wymagało jakiegoś zajęcia mojej uwagi.

Wątpię jednak, by takie wyjaśnienie dało się naciągnąć aż tak bardzo, by wytłumaczyć kręcenie własnym sumptem filmów w czasie służby.

W czasie trwania eksperymentów moje postanowienie często się chwieje, lecz nigdy nie zanika całkowicie. Tego właśnie wymaga ode mnie prawdziwy **Ansambl**; co do tego jestem pewien. I jeżeli rozmazywanie jest antytezą wszystkiego, co popieram, wszystkiego, co starałem się osiągnąć przez całe swoje życie – kontrolą nad tym, kim jestem i kim mogę się stać – to perfekcyjna kontrola, którą gwarantuje mi **Ansambl**, z pewnością bardziej niż rekompensuje podejmowane ryzyko... tak długo, jak długo to ja, jakkolwiek nie bezpośrednio, mam tę kontrolę. Tak długo, jak długo to moje życzenia kontynuują rządy, w czasie kiedy rozmazuję.

Czasem wciąż jednak łapię się na takich oto myślach: Jeżeli nie wiem, jak wywołać **Ansambl**, to kto w takim razie to wie? Który z moich krótko żyjących wirtualnych współników uczy się tej sztuczki... a kiedy już to robi, to dlaczego pozwala na swoją śmierć w czasie załamania? Dlaczego wzmacnia inne stany niż swój własny, skoro mógłby użyć modu, aby stać się rzeczywistym?

Ale im więcej nad tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że punkt widzenia Po-kwai musi być właściwy: to całe moje rozmazane ja operuje **Ansamblem** i żadna pojedyncza wersja mnie nie posiada tej umiejętności. Każdy, kto dzięki załamaniu staje się rzeczywisty, powtarzałby moje uroczyste zapewnienia o tej ignorancji. Wiedza musi być rozdzielona podobnie jak w sieci neuronowej. Żaden pojedynczy neuron w moim mózgu nie zawiera żadnej z moich umiejętności – dlaczego więc miałbym oczekiwać, że jakakolwiek wersja mnie kryje w sobie sekret mojego rozmazanego ja? A czy rozmazany Nick Stavrianos odkrywa tę umiejętność za każdym razem na nowo, kiedy powstaje, czy też wiedza przeżywa załamanie, zakodowana w jakimś „hologramie” w moim mózgu, nie pojawiają się żadni wirtualni męczennicy, żadne samopoświęcające się *alter ego* nie używa modu, aby kosztem własnej egzystencji dać mi to, czego pragnę?

A moje rozmazane ja? Nie jest męczennikiem; ono nie ma wyboru. Tak czy inaczej, zawsze musi kończyć załamane.

Co wcale nie oznacza, że mam przyjmować, iż zawsze musi kończyć załamane jako ja.

Dokładnie wtedy, kiedy cały ten biznes zaczyna mi się wydawać niemalże najzwyczajniejszy pod słońcem (chcę, żeby suma wyniosła siedem... dostaję siedem... cóż łatwiejszego?), Lui podaje mi plik zaklejonych kopert.

– Oto listy stu losowo wybranych wyników. Mógłbyś postarać się, by kości je sprokurowały.

– Masz na myśli, że mam przeczytać całą listę w czasie rzucania kośćmi?

Potrząsa głową.

– Po co miałbyś tak robić? Skonsultuj się z listą po zebraniu danych – ale oczywiście przed załamaniem.

Instynktownie sprzeciwiam się temu – i cztery noce z rzędu przegrywam z kretelem. A prawda jest taka, że jestem zadowolony z moich niepowodzeń: buntowniczo, bluźnierczo, obłudnie, kurewsko radosny – jak gdyby moje porażki niosły ze sobą jakiś rodzaj zawieszenia wszystkich zdyskredytowanych „rozsądnych” wyjaśnień, których – jak mi się **wydawało** –

przestałem się kurczowo trzymać już dawno temu. Jak **mogę** sprawiać, żeby wyniki pasowały, skoro nawet nie mam pojęcia, jakie są? To oczywiste, że mi się nie udaje! To po prostu niemożliwe.

Równocześnie zdaję sobie w pełni sprawę, że obecne zadanie nie jest niczym szczególnym, żadną nowością. I nie wymaga bardziej „jasnowidzenia”, niż poprzednie eksperymenty wymagałyby „telekinezy”. To jedynie kwestia wyboru odpowiedniego stanu własnego: sprawienie, by właściwa terażniejszość stała się przeszłością.

Piątej nocy, podobnie jak w czasie poprzednich, zapisuję wyniki w notatniku **MindTools**, a następnie wyciągam z kieszeni na chybił trafił kopertę, którą otwieram. Po pierwszych trzech zgodnych wynikach mam pewność, że pozostałe dziewięćdziesiąt siedem również będzie się zgadzać, ale sumiennie sprawdzam je jeden po drugim.

Nie czuję się ani trochę zdezorientowany – ani oburzony – dopóki nie oznaczam przełącznika WYŁ i nie załamuję.

Ale znowu, gdybym miał taki wybór, dlaczego miałbym być?

Lui podaje mi kłódkę na szyfr i sugeruje zdawkowo:

– Dlaczego nie otworzysz jej za pierwszym razem?

– Rzucając kośćmi?

– Nie. Sam.

– Używając **von Neumanna**?

– Nie. Zgadując.

Siedzę w przedpokoju i czekam, aż Po-kwai zaśnie. Zastanawiam się, o czym śni, kiedy pożyczam od niej mod; jeżeli moje rozmazane ja należycie wybiera jej stan, to zupełnie o niczym... ale nie budząc jej i nie pytając (jeszcze przez załamaniem), na jakiej podstawie dokonuje tego wyboru?

Być może jakieś wersje mnie budzą ją i zadają to pytanie.

Rozbrajam, rozmazuję, odczekuję pięć minut. Chcę mieć pewność, że będę

„wystarczająco rozmazany”, by móc obsługiwać **Ansambl** – a przechodzenie przez całe to oczekiwanie teraz, zanim jeszcze podejmę się zadania, jest o wiele mniej zniechęcające niż pozostawianie go do momentu, kiedy już mi się udało i odkrycie, że stoję twarzą w twarz z faktem, że nie mam wyboru: nie mogę, nie będę mógł załamać za wcześniej.

Cała kwestia dotycząca koordynacji czasowej załamania wciąż mnie niepokoi. W

przypadku Po-kwai jest to banalne, gdyż ona nie ma żadnego wyboru. W moim przypadku muszą istnieć jakieś stany własne, w których decyduję się na załamanie wcześniej bądź

później, niż robię to w stanie, który ostatecznie staje się rzeczywistym. Te próby oczywiście są nieistotne; załamanie jest prawdziwe tylko wtedy, gdy samo się takim czyni. Brzmi to niepokojąco oględnie, ale przynajmniej jest spójne: cała fala załamuje dokładnie wtedy, kiedy wybrany stan zawiera akcję, która to wywołuje. Albo raczej: jest to spójne z punktu widzenia wersji, która staje się prawdziwa – ale co z wersjami, które próbują dokonać załamania i im się nie udaje? Czy zdają sobie sprawę, że właśnie zawiodły – i co to dla nich oznacza? A może są jedynie matematycznymi abstrakcjami, które nie zdają sobie sprawy z niczego, niczego nie czują, niczego nie doświadczają?

Wyciągam kłódkę z kieszeni i wpatruję się w nią ze wzbierającym niepokojem. Ludzie są notorycznie beznadziejni w wymyślaniu prawdziwie przypadkowych liczb. Żałuję, że przed rozmazaniem nie podjąłem decyzji o zignorowaniu Luiego i użyciu kości. A jeśli kombinacją będzie 9999999999? Albo 0123456789? Nie mam żadnych wątpliwości, że fizycznie – tak czy inaczej – jest możliwe, bym



wybrał klawisze w dowolnym porządku – ale czy jestem psychicznie zdolny do „odgadnięcia” takiej „nieprzypadkowej” sekwencji?

Cóż, lepiej, żebym był. Ponieważ jeżeli nie jestem, to nie mam żadnych wątpliwości, że moje rozmazane ja – za pomocą **Ansamblu** – potrafi odnaleźć kogoś innego, kto będzie w stanie to zrobić.

Wyśmiewam taką myśl. *Zmiana oznacza samobójstwo?* To słowa Po-kwai, nie moje. Poza tym z pewnością jest za późno na takie niepokoje; skoro nic nie jest prawdziwe do chwili załamania, to w takim razie z pewnością, już” załamałem. Całe doświadczenie już zostało wybrane – a ja już stałem się tym, kim musiałem się stać, aby otworzyć tę kłódkę. I jeśli chodzi o mnie, to nie odbieram tego jako wielkiej zmiany.

Ale kiedy przesuwam palec wskazujący w kierunku klawiatury, doznaję nieoczekiwanego przesunięcia perspektywy:

*Jestem jednym z przynajmniej dziesięciu miliardów ludzi, siedzących w przynajmniej dziesięciu miliardach pokoi, stojących przed obliczem przynajmniej dziesięciu miliardów kłódek. Jeżeli odgadnę właściwą kombinację – przeżyję – Jeżeli nie – umrę. Do tego się to sprowadza.*

Dlaczegoż więc uważam, że, już” mi się powiodło? Fakt, że pokój wygląda normalnie?

Fakt, że niczego nie doświadczam? Jeżeli załamanie nie wytwarza doświadczenia – jeżeli jedynie je wybiera – dlaczegoż wtedy postrzeganie którejkolwiek wersji mnie miałyby być radykalnie różne od innych? Dlaczego stan, który jak się przytrafiło stał się rzeczywistym, miałyby być jedynym, który wydaje się prawdziwym?

*I już mam odłożyć kłódkę – nikt mnie przecież nie zmusza, bym przez to przechodził – ale wtedy myślę tak: To najgorsza rzecz, jaką mógłbym zrobić. Moje rozmazane ja ma zamiar wybrać kogoś, kto otwiera zamek, a nie kogoś, kto porzuca cały eksperyment. Jeżeli się poddam, wtedy moje szanse przeżycia wynoszą zero.*

Wpatruję się w kłódkę i staram się pozbyć tych absurdalnych obaw. Przecież już rozmazywałem wcześniej i wychodziłem z tego cało. Tak, to oczywiste, że przeżyłem – albo by mnie tu wcale nie było. To jednak niczego nie mówi o mojej obecnej sytuacji. Potrząsam głową. To niedorzeczne. Każdy załamuje.

Jak mi się wydaje? Ze codzienne życie wiąże się z procesem nieustającego ludobójstwa?

Skoro nie mogłem tego przełknąć w przypadku hipotetycznych obcych, dlaczego miałbym w to wierzyć w przypadku ludzi?

Hipotetycznych obcych? A kto, jak mi się wydaje, stworzył Bańkę?

Więc... co zamierzam zrobić? Siedzieć tutaj i czekać na przybycie Lee, który pozbawi mnie możliwości dokonania wyboru? Czy też planuję odkryć jakiś sposób, aby spędzić resztę mojego życia nieobserwowany? Ale nawet i to by mnie nie ocaliło: kiedy wybrana wersja mnie zdecyduje się na

załamanie, zniknę – chyba że to ja będę tą wybraną wersją... a szanse czegoś takiego są mniejsze niż dziesięć miliardów do jednego.

Nie wiem, co wyzwala mnie od tego zaklęcia, ale nagle – litościwie – znów jestem sceptyczny. Część mnie zastanawia się tak: *Skoro biliardy wirtualnych ludzi rzeczywiście giną co sekundę, to śmierci nie należy się obawiać.* Choć to czysto intelektualna obserwacja; to nie wierzę, abym miał umrzeć. Podnoszę kłódkę i bez zastanowienia, prawie nawet na nią nie spoglądając, wybijam dziesięć klawiszy. Następnie wbijam wzrok w malutki wyświetlacz znajdujący się nad klawiaturą: 1450045409.

Zbyt uporządkowane? Zbyt przypadkowe?

Za późno.

Ciągnę za obręcz.

Lui stoi przy centralnym stawie z Kowloon Park i rzuca chleb kaczkom. Moim zdaniem naoglądał się za dużo tanich filmów szpiegowskich. Stoję tuż obok niego, a on nawet nie spojrzy w moim kierunku.

– Takie udawanie, że mnie nie znasz, nie ma zbytniego sensu. Zdaje się, że nasz pracodawca może być już świadom tego faktu – zauważam.

Ignoruje moje słowa.

– Co się stało ubiegłej nocy?

– Sukces.

– Za pierwszym razem?

– Tak, za pierwszym razem. – Spoglądam na staw i staram się zdecydować: chcę go zabić, czy uściskać.

Po chwili dodaję:

– To był dobry pomysł. Ta kłódka. Przez pięć minut było to torturą, ale muszę przyznać, że ostatecznie było tego warte.

– Śmieję się albo przynajmniej usiłuję, bo wcale nie brzmi to przekonująco. – Mówię ci, kiedy ta pierdolona rzecz odskoczyła, otwierając się, nigdy w całym moim życiu nie byłem tak szczęśliwy. Prawie padłem z ulgi. I... zdaję sobie sprawę, że nie ma w tym żadnej logiki, ale...

nic nie mogło mnie bardziej przekonać, że cokolwiek się teraz wydarzy, to ja wyjdę z tego cało.

Kiwa głową z namaszczeniem.

– Obsługa modu nie jest wyzwaniem. Wyzwaniem jest nauczenie się, jak o tym myśleć.

Musisz odnaleźć stan umysłu, który pozwoli ci przejść nie niepokojonym przez takie sytuacje.

Nie możemy pozwolić, byś w czasie wypadu do BDI uległ metafizycznemu terrorowi.

– Nie. – Znowu się śmieję, tym razem bardziej udanie.

– Weź jednak pod uwagę fakt, że nie wydaje mi się, bym w BDI odnalazł zbyt wiele zamków z tak prostymi kombinacjami. Dziesięć dziewiątek? W prawdziwym życiu? Szczerze w to wątpię.

Lui potrząsa głową.

– Łatwe kombinacje? Cóż to oznacza? Teraz dla ciebie one wszystkie są łatwe.

Kolejny tydzień zabiera mi opanowanie zamków, które zwykle wymagają klucza. Lui przedstawia swoje wyliczenia: szanse, że kilka kwantowych kropek tranzystorów w mikrochipie zamka spontanicznie zaprezentuje mi się ze wszystkimi właściwymi zakłóceniami pracy, nie są mniejsze niż szanse stukrotnego z rzędu wyrzucenia ślepi węża. Nie ma nic do rzeczy fakt, że normalnie nikt nie oczekiwałby zaistnienia żadnego z tych wydarzeń w całej historii wszechświata (o ile tylko taka skala czasu może być bez namysłu przywołana, kiedy jest prawdopodobne, że nic w ogóle się nie „wydarzyło” – w ludzkim tego słowa znaczeniu –

przez większość historii wszechświata). Tym, co ma znaczenie, jest to, że przekonałem się, że to jest do zrobienia – a rozmazany Nick Stavrianos zdaje się przyjmować taką informację za przydatną.

Jednakże kamery bezpieczeństwa wciąż napełniają mnie niepokojem.

– Jeżeli zostanę zauważony, to jestem załamany. Załamany w przypadkowym momencie, przez kogokolwiek, kto właśnie patrzy w monitor.

– Nie w przypadkowym momencie – tłumaczy Lui. – Wciąż masz kontrolę nad modem stanu własnego. I nie załamany – nie, o ile sprawisz, że prawdopodobieństwo będzie wystarczająco znikome. Nie załamujesz sam siebie, kiedy tego nie chcesz, czyż nie? Nawet jeżeli jest to przecież możliwym wydarzeniem. Przestań myśleć o swoim rozmazanym ja jako o delikatnym, bezbronny i niepewnym układzie, który nie może przetrwać pojedynczego spojrzenia.

– Ale jedno spojrzenie zniszczy...

– Nie. Może, ale nie musi. To oczywiste, że jedno spojrzenie może cię załamać. Równie dobrze rzucone kości mogą upaść na wszelkie możliwe sposoby, a jednak, o ile im na to nie pozwalasz, to nie padają. Obserwacja sama w sobie nie załamuje fali. Nie ślepniesz, kiedy rozmazujesz, czyż nie? Załamywanie jest odmiennym procesem. Jeżeli ktoś cię obserwuje, to wtedy obie funkcje falowe wzajemnie ze sobą oddziałują – stając się pojedynczą całością. Daje to co prawda obserwatorowi możliwość, żeby cię załamać – ale również i tobie daje możliwość, aby manipulować obserwatorem i zapobiegać temu załamaniu.

– Więc walczymy o los funkcji falowej? Dokładnie wtedy, kiedy przestałem się zamartwiać borykaniem się z moimi wszystkimi własnymi hipotetycznymi ja, muszę stawić czoła zabawie w

przeciąganie liny rzeczywistości z kimś, kto jest niezaprzeczalnie równie rzeczywisty jak ja.

– Jeżeli tak chcesz, to myśl sobie o tym w ten właśnie sposób, ale to współzawodnictwo nie będzie warte wspomnienia. Twoi „oponenci” nie będą nawet mieli pojęcia, czym jest funkcja falowa, nie wspominając o jakiegokolwiek zdolności manipulowania nią.

– To nie powstrzymało kilku miliardów ludzi przed jej załamaniem, i to po kilka tysięcy razy dziennie.

– Załamaniem siebie samych i nieożywionych obiektów czy też innych – równie nieświadomych i równie bezbronnych – ludzi. Nigdy nie stanęli twarzą w twarz z nikim takim jak ty.

– Ludzie stanęli twarzą w twarz z Laurą Andrews.

Lui się uśmiecha.

– Dokładnie. I jakoś dwukrotnie zdołała się wymknąć z Hilgemanna, czyż nie? Jakiego innego dowodu jeszcze potrzebujesz?

Pierwszej nocy, kiedy opuszczam swój posterunek, pozostaję na tym samym piętrze, co apartament Po-kwai, i ograniczam się do pomieszczeń oraz korytarzy, które są – zgodnie z pozorami prawdopodobieństwa – opustoszałe. Włóczę się w polu widzenia kilkunastu kamer i detektorów ruchu. Moi współpracownicy z centralnego pokoju ochrony powinni przynajmniej domagać się natychmiastowych wyjaśnień, ale żadna zakodowana w podczerwieni informacja nie uderza z umieszczonych przy suficie komórek nadawczo-odbiorczych. Czego to dowodzi?

Że „spowodowałem”, iż kamery oraz detektory cichaczem przestały działać? Że „uczyniłem”

strażników nieuważnymi? Czy też że tylko powstrzymałem przed dotarciem do mnie wszelkich oznak tego, że zostałem zauważony i odparłem konsekwencje aż do czasu załamania?

Przechodzę obok cichych apartamentów innych ochotników, zastanawiając się – z zazdrością – czy którykolwiek z tych ludzi rozpoczął już proces opanowywania **Ansamblu**. Lui uważa, że nie, ale nie może mieć pewności. Mogę żyć z moją potrzebą nieświadomego wstawiennictwa Po-kwai, lecz myśl, że ktokolwiek inny zdobywa dostęp do tajemnic prawdziwego Ansamblu, napęla mnie odrazą. Nikt na całym świecie nie dzieli podobnej do mojej, a gwarantowanej moderm lojalności intuicji; tylko ja mam prawo kroczyć tą ścieżką.

Utrzymuję takie przekonanie tuż obok wiedzy, że moim ostatecznym celem jest dostarczenie **Ansamblu** Kanonowi, ale sprzeczność zdaje się być jedynie powierzchowna, jest nieważną abstrakcją.

Wracam do przedpokoju, załamuję – i czekam, aby przekonać się, czy osiągnąłem niewidzialność, czy tylko, podobne jak struś, oszukiwałem samego siebie. Czy moje rozmazane ja mogłoby wychwycić różnicę pomiędzy stanami, w których naprawdę przeszedłem niezauważony, a stanami, w których poza samym sobą nie okłamywałem nikogo? Co jest mniej prawdopodobne: przejść

niezauważonym przed kamerami – czy też tak poprzekręcać własne wspomnienia i odbierane bodźce, by przekonać siebie samego, że się tego dokonało?

Nie mam pojęcia – ale nikt się nie pojawia, by mnie oskarżyć o zaniedbanie obowiązków.

Godziny, podobnie jak do tej pory, mijają niezakłócone. Ale znowu, być może już leżę zwalony bezwładnie na kupę, katatonicznie, w kącie jakiejś podziemnej więziennej celi, a dzisiejszy widoczny sukces nie jest niczym innym jak tylko rezultatem wyboru przez moje rozmazane ja takiej wersji mnie, która posiada nadzwyczajne umiejętności halucynacyjne. Jakże mogę to wykluczać? Fakt, że jest to „nieprawdopodobne”, obecnie już niczego nie oznacza. Skoro mogę odnosić sukcesy przeciwko spektakularnie nikłym szansom, to w ten sam sposób mogę również doznawać porażek.

Lee Hing-cheung przejmuje moje stanowisko. Siedzę w pociągu, wpatrując się w innych pasażerów, prowokując, by ta podstępna wizja rozpadła się do surrealistycznej anarchi. Ale przedział pozostaje solidny, ludzie odpowiadają na moje spojrzenia, gapiąc się na mnie chłodno, stacje pojawiają się za oknem w dokładnie właściwej kolejności, o dokładnie właściwym czasie. Trudno uwierzyć, że w mojej głowie jest miejsce na aż tyle mechanizmu zegarowego.

Przed dotarciem do domu ulatnia się każdy najmniejszy ślad zwątpienia. Nie mam omamów wzrokowych – albo przynajmniej nie większe niż zwykle. Kiedy leżę już w łóżku, wsłuchując się w dochodzące z ulicy znajome dźwięki, przyziemność świata obejmuje mnie, bardziej pokrzepiająca – i dziwniejsza – niż kiedykolwiek do tej pory. Wpatruję się w sufit, a każde pęknięcie tynku, każda plamka światła słonecznego zdaje się być trwającym poza wszelkie zrozumienie i urągającym wszelkim przekonaniom cudem wytrzymałości. Mógłbym wypatrywać i przez miliard lat, w oczekiwaniu na jakikolwiek znak, objawienie leżącej pod tym wszystkim podskórnej prawdy, a to wciąż będzie mi oszczędzone. Jakże mógłbym nazywać taki wyczyn iluzją, kłamstwem?

Światło przygasa i nieoczekiwanie w okno uderza nagła fala deszczu. I przez chwilę zastanawiam się, co tak naprawdę stwarzamy? Niepowtarzalny, solidny, makroskopowy świat doświadczeń? Czy też posiadający wiele wartości, rozmazany świat kwantowy, który zdaje się go podpierać? Po-kwai wierzy, że nasi przodkowie załamali wszechświat... ale gdyby prawdą było coś przeciwnego – gdyby to dwudziestowieczni twórcy mechaniki kwantowej nie tyle odkryli prawa mikroskopowego świata, ile powołali je do życia – czy w ogóle poczulibyśmy różnicę? Czy trudniej jest uwierzyć w to, że ludzki mózg mógł wytworzyć świat kwantowy ze świata klasycznego niż uwierzyć w coś przeciwnego? A ze wszystkimi naszymi – nieuchronnie

– antropocentrycznymi eksperymentami, czy możemy mieć nadzieję na odkrycie obiektywnej, nieludzkiej prawdy?

Być może nie. Lecz wciąż wiem, która cecha w moich oczach wydaje się być najbardziej ludzka.

Na znajdującej się poniżej ulicy zaczyna pisać grupa dzieciaków, złapana przez deszcz w drodze do szkoły.

Wybieram sen.

Zanim rozpocznę próbę sił ze środkami ochrony ASR i opuszczę trzydzieste piętro, uzbrajam się w kilkanaście wymówek. Ale takie wymówki nie są potrzebne; dwóch mijanych po drodze za stanowiskiem ochrony strażników odwraca wzrok jak w doskonałej choreografii, a wszystko to sprawia, że chce mi się śmiać z radości – albo, w obliczu tego ostatecznego dowodu mojego pełnego rozstroju nerwowego, paść na podłogę, bełkocząc. Zamykam na chwilę oczy i wmawiam sobie nieprzekonująco, że nie jest to wcale dziwniejsze od wyrzucenia stu ślepi węża z rzędu.

Zamiast użyć windy, decyduję się pójść schodami. Obie trasy są monitorowane, ale wpada mi do głowy, że winda mogłaby „połączyć” mnie z kimś, na czyje przejście przez budynek w jakiś sposób wpłynąłbym moim jej użyciem.

Decyduję się pójść schodami? Być może w tej kwestii nie mam wyboru; być może każdy najmniejszy szczegół moich przemyśleń i czynów został, lub też zostanie, wybrany przez moje rozmazane ja. Ale złudzenie wolnej woli pozostaje równie nieodparte jak zawsze do tej pory, a ja nie potrafię (dosłownie *nie potrafię!*) nic poradzić na myśl, że wybór należał do mnie.

Schodzę na szóste piętro, które o tej porze powinno być szczelnie zamknięte – ale drzwi z klatki schodowej zachowują się dokładnie tak, jak gdyby były otwarte. Na stanowisku ochrony nie widzę nikogo, a ciężkie stalowe żaluzje blokują mi dalszą drogę. Zaczynają się unosić, nim nawet spojrzę na panel kontrolny – wyczyn, który powinien wymagać centralnej autoryzacji i użycia dwóch kluczy magnetycznych.

Przechodzę dalej z chwilowym zawrotem głowy spowodowanym mieszaniną megalomani i paranoi; naprawdę nie wiem, czy powinienem czuć się autoryzowany, czy też manipulowany.

Nic z tego, co się wydarza, nie jest robione przeze mnie... a z drugiej strony, to wszystko bez wątpienia jest dokładnie tym, czego ja chcę. Od czasu pierwszej sztuczki z kośćmi moje rozmazane ja wykonywało moje rozkazy. Najwyraźniej wszelkie moje obawy dotyczące buntu były bezpodstawne; tamte wczesne zakłócenia pracy modu, tamte wizje Karen, wszystko to musiało być tylko zakłóceniem pracy. Co wcale nie jest dziwne: przecież nie miałem żadnego –

świadomego – zrozumienia tego, co robiłem, więc nic dziwnego, że nie miałem nad tym kontroli.

Każde laboratorium, każdy magazyn stoi przede mną otworem. Wałęsam się z jednego wybranego przypadkowo pomieszczenia do kolejnego, nie zważając na zamki i kamery – na początku walcząc z rosnącym poczuciem nierealności, by następnie ochoczo mu ulec. Nie wierzę, nawet przez chwilę, że dosłownie mi się to śni, ale łatwiej pozwolić temu sennemu nastrojowi przejąć nade mną kontrolę, niż podtrzymywać walkę pomiędzy wrodzonym zdrowym rozsądkiem a złożonymi, intelektualnymi powodami, dla których te wszystkie dziwaczne cuda są dozwolone w prawdziwym świecie. Lui miał rację: wyzwaniem – jak dla mnie – nie jest obsługa modu, lecz wynajdywanie sposobów, by w czasie rozmazania pozostać przy zdrowych zmysłach.

Bardzo przypomina to sen. Drzwi otwierają się, ponieważ powinny się otworzyć; pozostają niewykryty, ponieważ wymaga tego logika snu. I niczym protagonista każdego snu nie mogę oczekiwać wolnej woli, nie oczekuję, że będę posiadał władzę. W pokoju 619 waham się i na próżno życzę sobie, aby stojące przy głównej konsoli krzesło poczęło lewitować albo przesunęło się po

podłódze w moim kierunku – ale wcale nie jestem zaskoczony, kiedy nie wykonuje żadnego z powyższych. I to nie z powodu moich wątpliwości, czy jest to możliwe, a jedynie dlatego że nie byłoby to w porządku.

W ten senny sposób uświadamiam sobie, że nadchodzi pora, aby opuścić szóste piętro, i mozolnie wspinam się dwadzieścia cztery kondygnacje. Wysiłek, jakiego to wymaga, jest skrupulatnie realistyczny i moje otępienie stopniowo się rozwiewa – wystarczająco, bym znów zaczął odczuwać niepokój. Wszystkie te drzwi, wszystkie te zamki, cały ten monitorujący sprzęt ochrony... wszystko mnoży prawdopodobieństwo, sprawiając, że całe ćwiczenie zdaje się być niebezpiecznie delikatne i ryzykowne.

Przy wejściu na trzydzieste piętro waham się, z obawy, że takie wątpliwości mogą się na mnie zemścić – że mogę zostać ukarany za mój brak wiary. Czekam, wiedząc, jakie to absurdalne, na uspokojenie oddechu, ale podporządkowuję się moim szczątkowym instyktom przez wzgląd na spokój umysłu.

Wreszcie umacniam się wewnętrznie i otwieram drzwi – kolejny banalny cud, udowadniający, że wszystko jest w porządku, czy też kolejna niemożliwość, jakich pełno w tym chwiejnym domku z kart – i przekraczam próg.

Strażnicy, równie wydajnie jak poprzednim razem, znajdują sposób, aby mnie nie zauważyć (a to mnie się wydaje, że mam problemy z wolną wolą). Przechodzę obok ich stanowiska ze skierowanym przed siebie wzrokiem i nawet się nie oglądam, skręcając za róg.

Będąc już poza ich (potencjalnym) polem widzenia, niemal załamuję – zdesperowany, aby ustalić raz na zawsze wydarzenia tej nocy, aby uczynić moje niemożliwe szczęście bezdyskusyjnym, nieodwracalnie prawdziwym – ale kiedy w moim mentalnym polu widzenia wyskakuje menu **Hypernowej**, przypominam sobie, że wciąż jestem w polu widzenia przynajmniej dwóch kamer.

Jako gest ku normalności, drzwi do przedpokoju otwieram w zwyczajowy sposób: używając kodowanego pulsu **RedNetu**, odcisku kciuka i magnetycznego klucza. A wtedy zastanawiam się – ponieważ – czy przypadkiem nie jest bardziej prawdopodobne zalogowanie takiego autoryzowanego zdarzenia w komputerze ochrony budynku niż wszelkich nielegalnych wtargnięć, które – jak wiem – pozostały niezauważone. Trzaskam za sobą drzwiami, mruczając pod nosem:

– Zaczynam fuszerować. Muszę bardziej uważać.

– Nie powiedziałałabym – śmieje się Po-kwai. – Ale byłam zaskoczona, kiedy odkryłam, że ciebie tu nie ma. – Marszczy czoło. – Coś się stało?

– Nic. – Potrząsam głową. – Wydawało mi się, że usłyszałem intruza. Jednak to był

falszywy alarm. Nic, czym należałoby się martwić.

– Intruza? Gdzie?

– Na korytarzu.

– A nie ma tam kamer? Jak ktokolwiek mógłby...?

Wzruszam ramionami.

– Na sprzęt można wpłynąć. Teoretycznie. Ale zapomnij już o tym, nikogo tam nie było.

– Wyglądasz, jakbyś pogonił za tym „nikim” na dach i z powrotem.

Uświadamiam sobie, że rzeczywiście się pocę, i to nie z powodu wspinania się po schodach. Skruszony przecieram czoło.

– Sprawdziłem klatkę schodową, kilka pięter w górę, kilka w dół. Tracę kondycję.

– Jestem zaskoczona, że twój mod pozwala ci się pocić.

Śmieję się słabo.

– Gdyby nie pozwalał, byłoby to bardzo niebezpieczne. Powstrzymywanie apetytu to jedno, ale pieprzenie termoregulacji organizmu byłoby... samobójcze.

Kiwa głową i nic nie mówi. Wydaje się raczej zbita z tropu niż pełna podejrzeń; jeżeli wątpi w moją historyjkę, to jak mi się wydaje, uważa, że wszystko odegrałem, a nie że zmyśliłem.

Staram się wymyślić, jak powstrzymać ją przed niewinnym pytaniem Lee Hing-cheunga o gorączkę ubiegłej nocy, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Nie mów o tym nikomu, bo... co? Bo nie chcę wyjść na ścigającego widma idiotę? Zdaję sobie sprawę, że strażnicy w punkcie kontrolnym „musieli” mnie zauważyć. Ale co ważniejsze: jak długo już nie śpi? Z pewnością obudziła się, zanim przeszedłem przed punktem kontrolnym. Droga z klatki schodowej tutaj nie mogła mi zająć więcej niż dwadzieścia sekund. Jak więc minąłem strażników? Czy załamała siebie, załamała mnie, zrywając moje połączenie z **Ansamblem** – czy też wciąż oboje jesteśmy rozmazani? A skoro jesteśmy... co się stanie, jeżeli teraz wyłączę mod powstrzymujący załamanie? Czy przeszłość, którą pamiętam, jest już nieodwołalna? Czy też gdybym załamał teraz, to ryzykowałbym jakimś innym biegiem wydarzeń – wybranym losowo albo wybranym przez rozmazane ja Po-kwai – który zająłby miejsce tamtego?

Muszę pozostać rozmazany, dopóki ponownie nie zaśnie – lub dopóki nie będzie spała w przeważającym stopniu. Muszę mieć pewność, że to do mnie należy wybór stanu własnego.

Wchodzę głębiej do przedpokoju. Wszystko, co teraz muszę zrobić, to zachować spokój, pogadać z nią o głupotach, poczekać, aż się zmęczy.

– Co cię obudziło? Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. – Wtedy zmienia zdanie i mówi nieśmiało:

– Kolejny głupi sen.



– O czym? Jeżeli nie masz nic przeciwko...

– O niczym szczególnie ekscytującym. Włóczenie się po szóstym piętrze. Przemyknięcie z laboratorium do laboratorium, niczym jakiś włamywacz, chociaż niczego nie ukradłam. Po prostu chciałam sobie udowodnić, że mogłam pójść wszędzie tam, gdzie chciałam. – Śmieje się.

– Bez wątpienia sen odzwierciedlał moją urazę wobec sposobu, w jaki zostałam odcięta od naukowej strony prac. Obawiam się, że moje sny są zazwyczaj takie – łatwiutkie do przejrzenia.

– Co się stało, że się obudziłaś?

Marszczy czoło.

– Nie jestem pewna. Wchodziłam po schodach i... nie wiem, obawiałam się czegoś.

Obawiałam się, że zostanę złapana. Kierowałam się z powrotem tutaj i z jakiegoś powodu byłam przerażona, że ktoś mógłby mnie zobaczyć. – Przerzywa, by po chwili dodać z kamienną twarzą: – Być może to właśnie usłyszałaś na korytarzu. Mnie w drodze powrotnej.

Wiem, że żartuje, ale cierpie mi skóra. Kto wybiera temat tej rozmowy? Moje rozmazane ja? Jej rozmazane ja? Połączona funkcja falowa obu?

– Tak? Więc znów tunelowałaś kwantowo przez ściany? I podłogi? Po co zawracać sobie głowę wchodzeniem po schodach? Dlaczego po prostu nie przemieścić się z punktu A do B?

– Cóż, w snach, kto wie? Mojej podświadomości brak chyba wyobraźni, aby stanąć twarzą w twarz z całą prawdą dotyczącą fizyki kwantowej. I odwagi.

– Odwagi?

Wzrusza ramionami.

– Być może to nie jest odpowiednie słowo. Odwagi? Szczerości? Nie wiem, czego tu trzeba. Ale ostatnio dużo myślałam o... tej części mnie... która ginie, kiedy załamuję. Wiem, że to głupie – ale kiedy staram się zaakceptować fakt, że istnieją... kobiety niemal identyczne jak ja, które istnieją przez sekundę czy dwie, doświadczają czegoś, co nie jest mi dane, a następnie znikają... – Zwykle potrząsa głową, niemal ze złością. – Beznadziejne, no nie?

Zamartwianie się śmiercią moich wirtualnych alternatyw. Ileż to żyć chciałabym posiadać?

– Ty na to odpowiedz.

– Osobiście tylko jedno – ale, jak mi się zdaje, te moje inne ja również nie miałyby nic przeciwko jednemu. – Po raz kolejny potrząsa głową, tym razem stanowczo. – Jednak to szalone, myśleć o tym w ten sposób. To tak jak... próżny lament nad rozlanym mlekiem. Tacy jesteśmy, tak działamy. Ludzie dokonują wyborów; „mordujemy” ludzi, którymi mogliśmy być.

Jeżeli wykonywane przeze mnie badania sprawiają, że jest to nieprzyjemnie sprecyzowane, to wciąż niczego to nie zmienia; nie możemy żyć w żaden inny sposób. A teraz, kiedy Bańka ochrania resztę wszechświata, po prostu sami musimy dojść ze sobą do ładu.

Przypominam sobie własny wcześniejszy sceptycyzm i mówię poniewczasie:

– O ile przyjmujesz, że wszystko to jest prawdą. Być może nie istnieje nic, z czym należałoby dochodzić do ładu.

Wywraca oczami.

– Posłuchaj, nie martw się: ASR nie ma zamiaru ogłosić zewnętrznemu światu, że celem, dla którego powstała Bańka, jest ochrona reszty wszechświata przed ludzkim przeredzaniem możliwości. Ludzie wystarczająco powariowali z powodu samej Bańki, bez żadnych wyjaśnień.

Prawda jest tak naładowana znaczeniami, że nawet nie mam pewności, co byłoby bardziej niebezpieczne: ludzie rozumiejący to błędnie czy też ludzie rozumiejący to tak, jak należy.

Ludzka percepcja zdziesiątkowała wszechświat. Życie składa się z bezustannego wyrzynania wersji samego siebie. Wyobraź sobie, jakie rodzaje sekt powstałyby wokół takich pomysłów.

– A wyobraź sobie, jakiej reakcji mogłabyś się spodziewać od już istniejących. Tych, którym przez ostatnie trzydzieści cztery lata wydawało się, że posiadły wszelkie odpowiedzi. –

Taaa. Tych, przed którymi powinienem cię chronić.

Po-kwai kiwa głową, przeciąga się i tłumi ziewnięcie. Opieram się pokusie, aby jej zasugerować, że musi być zmęczona.

– Nie wiem, jak znosisz moją obecność – stwierdza. – Jeżeli nie zanudzam cię opowiadaniem moich snów albo nie narzekam na temat sposobu traktowania mnie przez ASR, to wyrzucam z siebie wszelkie żale dotyczące wymazywania obcych cywilizacji i mordowania naszych własnych alternatyw.

– Nie przeprasza za to. To mnie interesuje.

– Interesuje cię? – Patrzy na mnie przenikliwie, następnie potrząsa głową w udawanej frustracji. – Nie potrafię cię przejrzeć, wiesz o tym. Gdybyś się ze mnie nabijał, nie wyłapałabym różnicy. Muszę uwierzyć ci na słowo, że mówisz serio. – Spogląda na zegarek: ostentacyjny (a obecnie nieszczerzy) symbol umysłów wolnych od modów. – Już po trzeciej. Przypuszczam, że lepiej... – Rusza w kierunku drzwi, po chwili waha się. – Zdaję sobie sprawę, że fizycznie nie możesz się znudzić tą pracą – ale co o tym sądzi twoja rodzina, skoro ciągle pracujesz po nocach?

– Nie mam rodziny.

– Naprawdę? Żadnych dzieci? Wyobrażałam sobie ciebie z...

– Ani żony, ani dzieci.

– Kogo w takim razie?

– Co masz na myśli?

– Dziewczynę? Chłopaka?

– Nikogo. Od czasu śmierci mojej żony.

Wzdryga się.

– Och, Nick. Przepraszam. Cholera. Oto mój typowy, wyśmienity takt. Kiedy to się stało?

Nie... odkąd tu pracujesz? Nikt mi nie powiedział...

– Nie, nie. To było prawie siedem lat temu. – I... co? Wciąż jesteś w żałobie? Potrząsam głową.

– Nigdy nie byłem w żałobie.

– Nie rozumiem.

– Mam mod, który... określa moje reakcje. Nie odczuwam z jej powodu cierpienia. Nie tęsknię. Pamięć o niej jest wszystkim, na co mnie stać. I nie potrzebuję nikogo innego. Nie potrafię potrzebować kogokolwiek innego.

Waha się, ciekawość bez wątpienia toczy bój z jakimś niemodnym poczuciem przyzwoitości, zanim dochodzi do niej, że nie ma we mnie żadnego smutku, który należałoby uszanować.

– Ale... jak się czułeś wtedy, kiedy to się stało? Zanim zainstalowano ci ten mod?

– Byłem wtedy gliniarzem. Kiedy zginęła, byłem na służbie – czy też tak można to nazwać.

Tak więc... – Wzruszam ramionami. – Niczego nie poczułem.

Przez chwilę mam pełną świadomość, że ta spowiedź jest równie nieprawdopodobna jak wszystko, czego dokonałem tej nocy – że rozmazany układ Nick-i-Po-kwai wyłuskuje ją spośród najciemniejszych obszarów możliwości z tak wielką wymyślnością jak każdy wyczyn otwierania zamków i unikania wartowników. Ale wtedy ta chwila przemija i złudzenie wolnej woli – gładki strumień racjonalizacji – powraca.

– Nie zostałem zraniony jej śmiercią – ale wiedziałem, że byłbym. Wiedziałem, że gdy tylko rozbroję – wyłączę mój Mod behawioralny – to będę cierpiał. I to bardzo. Więc zrobiłem najbardziej oczywistą, rozsądną rzecz: podjąłem kroki mające na celu ochronę mojej osoby.

Czy raczej: moje uzbrojone ja podjęło te kroki, aby chronić moje rozbrojone ja. Zombie chwyt przybył z odsieczą.

Całkiem dobrze wychodzi jej ukrywanie własnych reakcji, ale niezbyt trudno je sobie wyobrazić: mieszanina żalu, i obrzydzenia.

– A twoi zwierzchnicy tak po prostu pozwolili ci to zrobić?

– Och, cholera, nie. Musiałem się zwolnić. Wydział chciał mnie rzucić sępom na pożarcie: terapeutom od smutku, doradcom od utraty bliskich, specjalistom od opanowania traumy. –

Śmieję się. – Wiesz, tutaj niczego nie pozostawia się przypadkowi; istnieje wydziałowy protokół, długi na kilka megabajtów, oraz armia ludzi, których zadaniem jest wprowadzanie go w życie. I trzeba im sprawiedliwie przyznać, nie byli nieugięci – zaproponowali mi do wyboru bardzo wiele opcji. Ale pozostanie uzbrojonym do czasu, kiedy mógłbym fizycznie obejść cały ten problem, nie było jedną z nich. I to nie dlatego, że zrobiliby to ze mnie złego gliniarza.

Dlatego, że okropnie by to wyglądało na łamach prasy: wstąpi do policji, stracił żonę – a wtedy poprzepinaj swój mózg i niech cię to pierdoli.

Wydaje mi się, że aby zatrzymać pracę, mogłem ich pozwać do sądu, gdyż zgodnie z prawem miałem możliwość używania każdego modu, na jaki by mi przyszła ochota, dopóty, dopóki nie wywierałoby to wpływu na moją pracę. Ale nie uważałem, że warto się awanturować. Byłem wystarczająco szczęśliwy, że tak to wszystko się ułożyło.

– Szczęśliwy?

– Tak. Mod sprawiał, że byłem szczęśliwy. Nie nakręcony, nie nabuzowany – nie euforyczny. Po prostu... tak szczęśliwy, jak sprawiała to Karen, kiedy żyła.

– Wcale tak nie myślisz.

– Oczywiście, że myślę. To prawda. To nie jest kwestia opinii; to jest dokładnie to, co to zrobiło. Kwestia anatomii układu nerwowego.

– Więc ona nie żyła, a ty czujesz, że wszystko jest w najlepszym porządku?

– Wiem, że brzmi to gruboskórnie. I oczywiście wołałbym, żeby przeżyła. Ale nie przeżyła i nie mogłem nic na to poradzić. Więc sprawiłem, aby jej śmierć stała się... nieistotna.

Przez chwilę się waha, wreszcie pyta: – I nigdy nie myślisz, że może...?

– Co? Że to wszystko jest jakimś rodzajem okropnej parodi? Że raczej nie chciałbym taki być? Że powinienem przejść przez naturalny proces żałoby i wyłonić się z niego ze wszystkimi moimi naturalnymi potrzebami emocjonalnymi w nienaruszonym stanie? – Potrząsam głową. –

Nie. Mod jest pełnym pakietem, sam zawiera pełen zestaw przekonań na temat każdego przejawu z tym związanego – w tym i własną stosowność. Zombie chwata nie był głupi. Nie pozostawiasz żadnych luźnych końców, bo inaczej wszystko mogłoby się rozplatać. Ja nie potrafię uwierzyć, że to

parodia. Nie potrafię tego żałować. To jest dokładnie to, czego chcę, i zawsze takie pozostanie.

– Ale czy nie zastanawiasz się czasem, co też byś myślał, co byś czuł... bez modu?

– A dlaczego miałbym to robić? Dlaczego miałyby mi na tym zależeć? Ile czasu ty sama spędzasz na zastanawianiu się nad tym, jaka byś była, gdybyś miała zupełnie inny mózg? Taki właśnie jestem.

– W sztucznym stanie...

Wzdycham.

– I co z tego? Każdy jest w sztucznym stanie. Każdy może modyfikować własny mózg.

Każdy stara się ukształtować, to kim jest. Czy mody nerwowe są przerażające tylko z tego powodu, że tak dobrze sobie z tym radzą – ponieważ rzeczywiście pozwalają ludziom dostać to, czego oni pragną? Czy naprawdę uważasz, że połączenia mózgowe powstające w procesie naturalnej selekcji, przypadkowego życia czy też własnych, ludzkich – tak bardzo daremnych – wysiłków, by zmieniać się „naturalnie”, są jakimś rodzajem kryterium perfekcji? W

porządku: spędziliśmy tysiące lat, wynajdując nedorzeczne religie i pseudonaukowe powody, dla których te wszelkie rzeczy, których nie możemy kontrolować, są przypadkowo akurat najwspanialszymi z możliwych wyjść. Bóg musiał odwalić doskonałą robotę – a skoro nie Bóg, to ewolucja. W każdym razie grzebanie w tym byłoby świętokradztwem. A wyrwanie całej naszej kultury z takich bredni musi zabrać dużo czasu. Ale staw czoło prawdzie: to kupa przeterminowanych wymówek, mających na celu to, by nie chcieć rzeczy, których i tak nie możemy posiadać.

Wydaje ci się, że to tragiczne, że jestem szczęśliwy w sposób, w jaki jestem? Cóż, przynajmniej wiem, dlaczego jestem szczęśliwy. I przynajmniej nie muszę się oszukiwać, że produkt końcowy kilku bilionów przypadkowych zdarzeń składa się w szczyt kreacji, bezsporny i nie do udowodnienia.

Po jej wyjściu odczekuję godzinę do załamania. Proces przechodzi bez zakłóceń; przeszłość (nieuchronnie) jest „wciąż” taka, jaką ją pamiętam. Jestem w pełni świadom, że niczego to nie dowodzi, że nie mogłoby się to wydarzyć w żaden inny sposób – ale tak czy siak, umacnia to nieracjonalną lekcję z kłódką: obawy, że nie będę tym, który przeżyje, a następnie odkrycie, że przeżyłem (jak gdyby nastąpił jakiś cud, a nie tautologia), umacnia we mnie przekonanie, że zawsze istnieje tylko jedna „prawdziwa” wersja mnie. Być może jest to złudzenie – ale to ten rodzaj złudzeń, których straszliwie potrzebuję.

Z nieznacznym poczuciem poniżenia rozmyślałam nad moją wymuszoną spowiedzią, ale nie trwa to zbyt długo. Cóż, Po-kwai wie o Karen. Potępia to. Żałuje mnie. Da się z tym żyć.

Jedno wszakże mnie martwi.

Co jeżeli rozmazana Po-kwai znów przejmie kontrolę? I bez żadnego powodu, tylko z ciekawości, zmieni mnie wystarczająco, bym wyjawiał jej sekret, którym – w każdym innym przypadku – nie podzieliłbym się z nią nawet za milion lat?

A uzbrojona w wiedzę, dezaprobatę i litość, co też zmieniłaby w następnej kolejności?

Lui zgadza się, że aby uprzędzić wzrastający wpływ Po-kwai, należy przyspieszyć nasz plan. Moja ulga jest zmieszana z obawą; perspektywa przyspieszenia terminu włamania, bez stopniowego postępu oczekiwanych przeze mnie prób, pozostawia mnie z uczuciem rozpaczliwie niewystarczającego przygotowania. W teorii włamanie może być jedynie odrobinę trudniejsze niż długie serie zadań wykonywanych przeze mnie do tej pory, lecz wciąż nie potrafię się wyzbyć wizji, że każdy zakończony sukcesem wyczyn to kolejne piętro dołożone na szczycie niemożliwie niestabilnego domku z kart. Kiedy ostatnim razem włamałem się do BDI, przynajmniej rozumiałem naturę podejmowanego przeze mnie ryzyka, nawet jeżeli szczegółowa wiedza okazała się być niekompletna. Tym razem będę polegał

wyłącznie na moim rozmazanym ja zgadzającym się na załamanie – proces dla niego pokrewny samobójstwu – w należycie korzystny sposób. *A dlaczego miałby to robić?*

Ponieważ „większość” jego składowych ja (w głosowaniu wyrażonym ich prawdopodobieństwem) chce, żeby tak zrobił? Na razie może to i wygląda, jakby tak działało –

ale co ja wiem na temat jego motywów? Nic. Staję się nim; on staje się mną; lecz jego natura pozostaje dla mnie nieodgadniona. Chcę wierzyć, że ma świadomość moich dążeń, że poruszają go moje niepokoje, ale to mogą być tylko pobożne życzenia. Z tego co wiem, może on mieć więcej wspólnego z Budowniczymi Bańki niż z jakimkolwiek człowiekiem na tej planecie, nie wykluczając mnie.

Mam oczywiście wolną rękę, mogę zmienić zdanie. Kanon nie robi niczego, aby mnie zmusić. Ale nie mogę się poddać, nie mogę się wycofać. Wiem, że służę prawdziwemu Ansamblowi w jedyny sposób w jaki potrafię – i choć nadzieja, że to „błogosławieństwo”

gwarantuje mi sukces, może być absurdalna, to muszę wierzyć, że usprawiedliwia podjęcie ryzyka.

W Kowloon Park, zaledwie trzydzieści sześć godzin przed planowanym rozpoczęciem akcji, Lui podaje mi urządzenie rozmiarami i kształtem przypominające pudełko zapalek. Jest ono szczelnie zamknięte, czarne i bez żadnych znaków szczególnych, z wyjątkiem pojedynczej, nieświecącej diody.

– Ostatnia imprezowa sztuczka – stwierdza. – Sprawdź, czy potrafisz zapalić to światełko.

– Co to jest? – Kryję irytację. Moja natychmiastowa odpowiedź jest taka, że wszystko, co nie jest bezpośrednio związane z jutrzejszą nocą, jest stratą czasu, ale muszę przyznać, że do tej pory wszystko, co zaproponował Lui, okazywało się przydatne.

Potrząsa głową.

– Wołałbym nie mówić. W przypadku każdego zadania, jakiego podejmowałeś się dotychczas, wiedziałeś dokładnie, z czym masz do czynienia. Osiągnij sukces i teraz, a udowodnisz sobie samemu, że nawet taka wiedza nie jest ci konieczna. I udowodnisz, że cokolwiek BDI trzyma w zanadrzu – trudne czy nieoczekiwane – ty będziesz to w stanie pokonać.

Rozważam jego słowa, ale szczerze mówiąc, nie brzmia mi one prawdziwie.

– Nie potrzebuję sobie tego udowadniać; ja już jestem przekonany. Nigdy nie posiadałem schematów połączeń generatora kości, zamków, kamer. Uwierz mi, już dawno temu pozbyłem się mitu dotyczącego telekinezy. Wiem, że wybierałem wyniki, nie manipulując procesami.

Wszystko to było dla mnie takimi „czarnymi pudełkami”; nie potrzebuję żadnego prawdziwego pudełka, aby w to wreszcie uwierzyć.

Chcę mu zwrócić pudełko, ale nie chce go przyjąć.

– To jest szczególne, Nick. Mniejsze prawdopodobieństwo niż cokolwiek, czego dokonałeś do tej pory. Zgrubnie porównywalne z całym włamaniem do BDI. Powodzenie będzie oznaczać, że możesz być pewien, iż tak słabe stany własne są dostępne.

Podrzucam pudełko w wyciągniętej dłoni. Kłamie, ale nie mam pojęcia, dlaczego.

– Zdecyduj się – mówię stanowczo. – O co ci chodzi: o wyzwanie rzucane nieznanemu czy o test czystego nieprawdopodobieństwa?

– O oba – Wzrusza ramionami i dodaje, zdecydowanie zbyt przyjacielsko: – Ale jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, jak to działa... – Milknie, kiedy obdarzam go spojrzeniem pełnym bezbrzeżnej niewiary.

Nawet za pomocą **P5** trudno jest ocenić wagę czegoś tak małego – ale z pewnością wewnątrz pudełka jest więcej niż, powiedzmy, zaledwie standartowy mikrochip wielkości główki od szpilki oraz bateria. Kiedy podrzucam je w powietrze, Lui stara się przyjąć obojętny wyraz twarzy. Sposób, w jaki ta rzecz wiruje, wskazuje na mniej więcej równomierne rozłożenie gęstości: żadnych skupisk, żadnych pustych przestrzeni. Jakiż to rodzaj elektroniki wypełnia całe pudełko po zapałkach?

– Co to jest? – pytam. – Grafit, który mam ci zamienić w diament? Bo za lekkie jak na ołów w złoto. – Marszczę czoło. – Być może po prostu muszę to rozpruć i zajrzeć do środka.

– Nie ma takiej potrzeby – mówi cicho Lui. – To optyczny superkomputer, dokonujący losowych prób wygenerowania gigantycznie wielocyfrowej liczby. Systematyczne wykonanie tego zadania zajęłoby około dziesięciu do trzydziestego lat. Szansa, że jakieś urządzenie zdoła tego dokonać w ciągu kilku godzin, drogą zwykłego ślepego trafu, jest proporcjonalnie znikoma.

Jakkolwiek w twoich rękach...

Przez chwilę jestem rzeczywiście zgorzony; uczciwy, cierpiący katusze Lui Kiu-chung stręczy mój talent (pożyczony od Po-kwai, ukradziony Laurze) dla wstrętnego finansowego zysku... lecz wkrótce szok zostaje wyparty przez niechętny podziw. Pozwólmy komputerowi rozmazać – z odpowiednim rodzajem kwantowej przypadkowości – a w efekcie stworzy on

„równoległą” maszynę z astronomiczną liczbą procesorów. Każdy z nich będzie wykonywał



ten sam program, lecz będzie go stosował do różnych danych. Wszystko, co musisz zrobić, to mieć pewność, że załamując taki układ, wybierasz wersję, która okazuje się znajdować igłę w matematycznym stogu siana. A pierwsze na świecie usługi w generowaniu gigantycznie wielocyfrowych liczb w sercu (dotychczas) *de facto* nie-do-złamania kodów z pewnością warte będą fortunę – przynajmniej dopóki nie rozejdzie się zbyt szeroko, że takowe usługi istnieją, i ludzie nie przestaną ufać kodom.

– Skąd wiesz, że po prostu tego nie zepsuję? – pytam. – Skoro mogę to robić z zamkami, to mogę też z komputerami. A jeśli wybiorę taką awarię urządzenia, że światelko zapali się przy błędnej odpowiedzi?

Wzrusza ramionami.

– Tego nie da się dosłownie wykluczyć, ale podjąłem pewne kroki mające na celu zminimalizowanie względnego prawdopodobieństwa takiej sytuacji. Jakkolwiek by było, bardzo łatwo będzie można sprawdzić odpowiedź, a jeśli okaże się błędna, to możemy spróbować raz jeszcze.

Śmieję się.

– Jak dużo sobie liczysz za coś takiego? Kto jest klientem? Jakiś rząd? Korporacja?

Sztucznie potrząsa głową.

– Nie mam pojęcia. Istnieje osoba trzecia, pośrednik, który jest wystarczająco skryty, jeśli chodzi o jego własną tożsamość, nie wspominając już o...

– Taaa, pewnie. Ale... ile za to dostaniesz?

– Milion. – Tylko tyle?

– Przejawiają znaczny sceptycyzm. Jak najbardziej zrozumią. Później, kiedy metoda zostanie udowodniona, możemy podnieść cenę.

Szczerzę zęby, podrzucając pudełko wysoko w powietrze.

– A jaka jest moja działka? Dziewięćdziesiąt procent brzmi sprawiedliwie.

Nie rozbawia go to stwierdzenie.

– Kanon miał spore wydatki: mod, który pozwala ci rozmazywać, wciąż jeszcze nie został w pełni spłacony.

– Taaa? A kiedy już będziesz miał mod stanu własnego, to wtedy nie będziesz wcale potrzebował mojej pomocy, czyż nie? Więc lepiej dobrze wykorzystam moją pozycję przetargową, póki ta jeszcze istnieje. – Żartowałem, kiedy zaczynałem wypowiadać to zdanie, ale przy końcu byłem już poważny. Dodaję: – Tym właśnie jest dla ciebie prawdziwy Ansambl?

Sprzedają usług łamania kodów każdemu, kto jest gotów za to zapłacić?

Nie odpowiada. Ale też nie zaprzecza. Patrzy tylko na mnie w ten znany mi sposób – głębokiej duchowej agoni .

Powinienem być zły – zły, że zaplanował wyrolowanie mnie, jeszcze bardziej zły z powodu bluźnierstwa – ale prawda jest taka, że po całym tym pierdolącym mi w głowie patologicznym fanatyzmie, jaki mod lojalności zrodził u większości członków Kanonu – w tym i we mnie – jest w jego prostym oportunizmie coś niemal... ożywczego. Powinienem być wściekły – ale nie jestem. Jeżeli już coś czuję, to jest to ukłucie zawiści: wydaje się, że tak poprzesuwał swoje łańcuchy, że ich obecna forma sprawia, że są niemal nieistotne. I nawet gdyby przed tym wszystkim nie był jakimś świętym – kimś, kto nigdy nawet by nie marzył o czerpaniu zysków z pracy Ansamblu – jego oryginalna osobowość mogła teraz zostać rzeczywiście odzyskana.

To, co wynika z całej tej zawiści i podziwu, jest oczywiste, a jednak fałszywe. Mając świadomość tego, czym jest mod lojalności, nic nie mogę poradzić i jestem podniesiony na duchu, gdy widzę uwolnionego od niego Luiego, ale nie oznacza to wcale, że pragnę dla siebie takiej samej wolności.

– Dam ci trzydzieści procent – stwierdza.

– Sześćdziesiąt.

– Pięćdziesiąt.

– Załatwione. – Wali mnie, ile dostanę; to kwestia dumy. Chcę, żeby było dla niego jasne, że ja również jestem prawie-że-człowiekiem. – Kto z Kanonu wie jeszcze o tym cokolwiek?

– Nikt. Na razie. Chciałem przedstawić im to *jako fait accompli*. Jestem pewien, że wszyscy uznają, że potrzebowaliśmy zgromadzić fundusze, ale wołałbym raczej nie dawać im okazji do sporów dotyczących szczegółów, jak tego dokonać.

– Bardzo rozsądnie.

Przytakuje od niechcienia. Ma wokół siebie tę samą intensywność, to samo co zawsze poczucie winy i zmieszania, ale ich znaczenie uległo przemianie; połowa tego, bez wątpienia, jest udawana, podczas gdy cała reszta jest prawdziwym „wyczerpaniem” spowodowanym utrzymywaniem tylu warstw oszustwa. Nie czuję się jednakże oszukany, nie czuję się kiwany; sam fakt, że przez tak długi czas mylnie go odbierałem, i to aż tak bardzo, powoduje tylko to, że widzę jego nieoczekiwany zdrowy rozsądek jako bardziej pożądanym.

Rozmazuję przez pięć minut, potem wyjmuję urządzenie z kieszeni – to moje standardowe środki ostrożności przeciwko niepokojącym efektom utraty złudzenia wolnej woli.

Dioda wciąż nie świeci. Przez chwilę się w nią wpatruję, ale niczego to nie zmienia. Jestem zaintrygowany jedną rzeczą: do tej pory prawdopodobieństwo awarii wywołującej zapalenie światełka nie ma prawa wynosić dosłownie zero – dlatego więc moje rozmazane ja nie skorzystało

skwapliwie ze stanu, w jakim dokładnie do tego dochodziło? Być może jest wystarczająco rozważne, aby poczekać na rozpoczęcie wyłaniania się stanów zawierających działający komputer i właściwą odpowiedź, które – miejmy nadzieję – zatopią fałszywy sygnał.

Zaczynam się nudzić, następnie denerwować, wreszcie ponownie nudzić; chciałbym móc użyć **P3**. Powiniennem być w stanie naśladować wywoływane przez niego efekty – samym tylko wyborem stanu, w którym czuję się dokładnie tak, jakbym był uzbrojony, ale wydaje mi się, że moje rozmazane ja nigdy nie zawracało sobie tym głowy. Częściowo nie mogę przestać wyczekiwać, że przeszkodzi mi krzyk Po-kwai, ale – wspominając wcześniejsze sytuacje, kiedy się budziła – zawsze istniało coś, co to wyzwalało: silne uczucie, szok. Wpatrywanie się w czarne pudełeczko w oczekiwaniu na pojawienie się światełka trudno do nich zaliczyć. A jutro?

Jeżeli zdołam zachować spokój, być może będę bezpieczny... cokolwiek oznacza „zdołam zachować spokój”, skoro sam fakt, że mogę obudzić Po-kwai, zwiększając tym samym jej wpływ na wszystkie wydarzenia, musi być brany pod uwagę do określenia, czy faktycznie cokolwiek robię. Próby przesłedzenia liniowego łańcucha przyczynowo-skutkowego są bezcelowe; to, w czym najbardziej mogę pokładać nadzieję, to nieprzerwana udana racjonalizacja i rodzaj statycznej konsekwencji w przebiegu wydarzeń, kiedy spoglądam na nie po wszystkim.

O czwartej siedemnaście dioda wreszcie rozbłyska stałym rażącym błękitem. Waham się, nim załamuję. Najmniejsze z dotychczasowych prawdopodobieństw – więc ile wersji mnie umarło tym razem? Ale z każdym kolejnym rozszczepieniem wyrastam z takich niepokoi.

Wciąż nie wiem, w co mam wierzyć, ale za każdym kolejnym razem, kiedy to „ja” bez szwanku przeżywam rzekomy holokaust, dbanie o to staje się coraz trudniejsze. Zaznaczam przełącznik WYŁ...

...i... ktoś przeżywa. Moje wspomnienia są spójne, moja przeszłość niepowtarzalna; o co więcej mógłbym prosić? I nawet jeżeli jeszcze przed sekundą dziesięć do trzydziestej żyjących, oddychających ludzi naprawdę tu siedziało, zastanawiając się nad tym, kiedy ta dioda wreszcie dla nich zaświeci... cóż, ich koniec był szybki i bezbolesny.

W każdym razie Po-kwai ma rację; do tego oto sprowadza się bycie człowiekiem: mordowanie ludzi, którymi mogliśmy być. Metafora czy rzeczywistość, abstrakcyjny formalizm kwantowy czy też prawda z krwi i kości, ja nic nie mogę zrobić, aby to zmienić.

Z zadziwiającą łatwością przedzieram się przez Letarg Zenona i wybieram sen. Później, wczesnym popołudniem, dostarczam komputer do stoiska z nanośmieciami, w którym odebrałem **Hypernową**. (Kolejny przejaw dziwnego pojęcia Luiego o bezpieczeństwie; przysięgam sobie, że po dzisiejszej nocy zajmę się uporządkowaniem tego bałaganu). Dioda wciąż świeci, kiedy na stoisku przekazuję pudełko, a to niezbyt dobrze rokujący znak. Jak się zdaje, program po odnalezieniu właściwych współczynników, zapętlił się nieskończenie, raz za razem potwierdzając Wynik... więc albo spowodowałem jakieś trwałe uszkodzenie, sprawiające, że urządzenie nieprzerwanie kłamie, albo też cały zuchwały plan zadziałał – i niezależne potwierdzenie na drugim komputerze wkrótce rozsądzi wszelkie wątpliwości. Nie mam pojęcia, co nasz sceptyczny klient uczyni z tak niemożliwym wyczynem. Będąc na jego miejscu, podejrzewałbym, że zostałem wrobiony w strumień

dezinformacji. Być może rozkoduje potężne fragmenty oryginalnych danych i przyjmie, że zrobiono wszystko, aby wyprowadzić go w pole. Spoglądam na połać bezchmurnego niebieskiego nieba i wybucha śmiechem.

Po-kwai ma dzisiaj wolny dzień, ale nie jest to żaden problem; do tej pory już trzykrotnie z powodzeniem używałem **Ansamblu** w podobnych warunkach. Rozmazany układ Nick-i-

(śniąca)-Po-kwai ma to chyba teraz opanowane do perfekcji, z koniecznymi umiejętnościami zachowanymi pomiędzy wcieleniami w jakimś zakamarku mojej czaszki, jej czaszki, może obu.

Siedzę w przedpokoju, uzbrojony, ale tak czy inaczej zarażony poczuciem oczekiwania –

wystarczająco przynajmniej, aby utrzymać mnie przed odpłynięciem w czysty trans przyczajenia. Rozważam leniwie, nie po raz pierwszy, czy w rzeczywistości mógłbym

„wykraść” **Ansambl** bezpośrednio z czaszki Po-kwai, samym tylko bezwzględny doborem stanu własnego: wybierając „spontaniczne” przepięcia moich własnych neuronów w doskonałą kopię jej modu. Ale nie mam pojęcia, jak moje rozmazane ja mogłoby dokonać rozróżnienia pomiędzy udanymi wynikami a wszelkimi alternatywnymi, bezwartościowymi, możliwymi układami takiego przepięcia, skoro jakikolwiek test skuteczności wymagałby ode mnie uprzedniego załamania.

Przy obiedzie Po-kwai wydaje się być markotna. Pytam, co się stało.

Wzrusza ramionami.

– Nic nowego. Mam po prostu dosyć bycia zastraszaną, traktowaną protekcjonalnie i uciszaną. Tyle.

– Co znowu zrobiła Leung?

– Och, nikt niczego nie zrobił. Nic się nie zmieniło. To tylko... dziś wszystko wydaje mi się bardziej głupie i deprymujące niż zazwyczaj. Rano przeczytałam artykuł w *Physical Review*: zupełnie nowe podejście do problemu pomiaru. Dodali do czasoprzestrzeni kilka wymiarów ekstra, dorzucili kilka nieliniowości, asymetrii i różnorodnych oszukańczych czynników i – cud nad cudami! – koniec końców doprowadza nas to do załamania funkcji falowej.

Wiem, że powinienem był ją uciszyć w połowie słowa „pomiar” – chociażby tylko przez wzgląd na pozory – ale taka hipokryzja byłaby już przesadą.

– Ludzie – mówi – marnują cenny czas, posuwając się wzdłuż ścieżek, które, jak wiem, są ślepyimi zaułkami. Czyni to ze mnie kłamcę z założenia. Nie oczekuję, że Leung ujawni jakiegokolwiek komercyjne tajemnice, takie jak mapy nerwowe czy szczegóły dotyczące modu, ale nie rozumiem, dlaczego nie możemy przynajmniej opublikować wyników „eksperymentów”.

– Wydaje dźwięk świadczący o bezbrzeżnej frustracji. – Nikt mnie nie zmuszał do podpisania klauzuli poufności. Z wyjątkiem samej siebie, nie mam nikogo, kogo mogłabym winić.

Oczywiście, gdybym nie podpisała, to by mnie nie wynajęto, więc w pewnym sensie nie miałam

wyboru, ale w żaden sposób nie czuję się dzięki temu lepiej.

– Jestem pewien, że ASR we właściwym czasie wszystko opublikuje – mówię łagodnie. –

Ile czasu minęło, odkąd otrzymałaś pierwsze wyniki? Trzy miesiące? Newton nie opublikował swoich prac przez całe lata.

– Prace Newtona – mówi gorzko – nie były aż tak ważne.

Rozbrajam, rozmazuję i czekam. To już znajoma rutyna. Chwilę tracę na uspokojeniu się, aż uświadomiam sobie, że to, co czuję, to bardziej podekscytowanie niż strach. Obce mi emocje; mnóstwo czasu upłynęło, odkąd stanąłem w obliczu jakiegoś wyzwania – nie wspomnę już o niebezpieczeństwie – bez użycia **P3**, który miał neutralizować te doznania.

Czuję falę czystej złości: zombie chwyt podstępnie pozbawił mnie połowy mojego życia; ukradł mi ją po to, by przejść przez nią jak lunatyk, nawet prawdziwie nie przeżywając jej dla mnie...

ale tłamszę te sentymentalne dyrdymały. Zombie chwyt z tysiąc razy ocalił mi życie – a ten właśnie sposób życia był moim wyborem. Nigdy nie chciałem ekscytacji, nigdy nie chciałem zostać bezmózgim ćpunem uzależnionym od adrenaliny. Nie zostałem „podstępnie pozbawiony” niczego z wyjątkiem przedwczesnej śmierci.

A jakiemu „niebezpieczeństwu” mam teraz stawić czoło? Wiem, że mogę ominąć każdy sprzęt ochronny. Udowodniłem, że mogę wybrać stany własne równie nieprawdopodobne jak wszystko, co dzisiaj mnie czeka. Cóż więc pozostało, czego należałoby się obawiać?

Jedynie zmiany.

Przez nieprawdziwe okna wyglądam „na zewnątrz”, na grupę ciemnych wieżowców pokrytych całunem iskier złotego światła, i myślę: miasto, przez które muszę przejść dzisiejszej nocy, nie jest miejscem, które kiedykolwiek udało mi się poznać. W prawdziwym Nowym Hongkongu drzwi z zamkniętymi zamkami nie otwierają się same, strażnicy nie odwracają wzroku. Wyjdę w miasto wyrwane ze snu, gdzie wszystko bez wyjątku może się zdarzyć.

Śmieję się cicho. Wszystko bez wyjątku, tak – ale z tej nieskończonej różnorodności wybiorę tylko najbardziej gładkie i najprostsze z włamań w historii. Nic prócz sukcesu. Żadnych komplikacji, żadnych szkód. Żadnych zmian.

Przejście niezauważonym przed punktem kontrolny na trzydziestym piętrze to łatwy początek; gdyby teraz doszło do załamania, dokonałbym tylko opuszczenia na trzydzieści sekund mojego posterunku, po to, by poprosić któregoś z współpracowników o chwilowe przejęcie moich obowiązków, żebym ja mógł w tym czasie uporać się z nagłym ruchem jelit, którego, jak się zdaje, mój mod nie był w stanie dłużej powstrzymać. Taka procedura nie należy do prawidłowych, ale nikt nie postawi mnie za to pod ścianą.

Spoglądam na strażników: młody mężczyzna i kobieta w średnim wieku, oboje wstydliwie odwracają wzrok. A ja się zastanawiam: Czy czują, że są manipulowani? Czy może racjonalizują swoje czyny (aż trudno uwierzyć, jak bardzo jest mi to na rękę, ale z drugiej strony nie jest to aż tak znowu dziwaczne) równie łatwo jak zawsze? Jeżeli moje rozmazane ja wybiera stan, w którym są oni widocznie nieuważni, lecz pozostawia przypadkowi niewidoczne szczegóły ich procesów myślowych, to – jak oczekuję – istnieją szanse, że taki stan zawiera również finezyjne usprawiedliwienie. Jeżeli mózg jest w stanie podolać tak konsekwentnie takiej sztuczce w przypadku stanów własnych wybieranych czysto losowo, to z pewnością odchylenia, które ja wprowadzam – zmieniające ich akcje, ale równocześnie niezauważalne dla ich myśli – nie powinny popsuć efektu.

Pomiędzy dwunastym a jedenastym piętrem słyszę, jak pode mną otwierają się drzwi.

Nieruchomieję, myślę o cofnięciu się po własnych śladach, ale zanim zdołam się ruszyć, tuż obok mnie, pogwizdując bez melodi, wbiega po schodach jeden z techników.

Odsuwam się na ścianę. Kilka sekund później drzwi na trzynastym piętrze zamykają się z trzaskiem. Czy mnie widział? Spieszył się; mógłby mnie zignorować, albo i nie – ale czy moje rozmazane ja rozróżnia oba te stany? (Dlaczego w ogóle nie zatrzymało tego człowieka z dala od pierdolonej klatki schodowej, dopóki nie przeszedłem?).

Zostałem załamany czy nie?

Wyciągam generator kości i uruchamiam go.

Ślepie węża. I raz jeszcze. I ponownie. I znowu.

Witam to z wielką ulgą... ale jest w tym teście coś perwersyjnego, coś niemalże szalonego. Gdybym został załamany przed tym wszystkim, to wtedy tak, szanse przeciwko takiemu układowi byłyby miażdżące... ale skoro jestem rozmazany, to pojawiają się wszystkie układy – więc zmniejszam faktyczne prawdopodobieństwo stanu własnego stanowiącego sukces, dokładając mojemu rozmazanemu ja kolejne wymagania i tworząc coraz to większą liczbę wersji samego siebie, które zdają sobie sprawę, że nie zostaną wybrane.

I udowadniając tym samym, że to ja przetrwam ostateczne załamanie? Albo przynajmniej ktoś, kto powstanie z mojej osoby: „potomek”, „syn”? Nie, nie robię nawet tego. Każda wersja, która użyła kości, rozmazuje w wersje, które były świadkami każdego możliwego rezultatu; jeżeli miliard wersji poradziło się kości, to miliard następującego po nich „potomstwa” zobaczyło cztery razy z rzędu ślepie węża.

Poza przyjęciem na wiarę, że to ja jestem tym jedynym, który zakończy jako rzeczywisty, nie mam innego wyboru.

Ruszam dalej.

Jestem teraz połączony z technikiem i powstrzymuję go przed załamaniem układu Nick-i-Po-kwai-i-(przynajmniej)-dwóch-strażników. Co z innymi ludźmi na tej zmianie? Mój umysł się waha, ale prę

do przodu. Nawet gdyby „nie” znalazł się na klatce schodowej – cokolwiek to oznacza, kiedy wciąż jeszcze nie jesteśmy załamani – czy sam za ledwie fakt, że mógłby tak zrobić, byłby wystarczający, aby połączyć nasze funkcje falowe? Jestem połączony z Po-kwai

– mimo iż ta wersja mnie nie obserwowała jej, odkąd rozmazałem.

Wychodzę z klatki schodowej na parter i przemierzam foyer, wpatrując się w strażników, których wzrok utkwiony jest w próżni. Robię „wszystko co w mojej mocy”, aby zauważyć, czy mnie widzą, czy nie, „ułatwiając” tym samym mojemu rozmazanemu ja wybór właściwego stanu.

Drzwi frontowe rozsuwają się i wychodzę na podjazd, cofnięty od ulicy i w dość znacznym stopniu przysłonięty skupiskiem zamkniętych o tej porze kiosków zjedzeniem. Gdzieś w pobliżu mogę dosłyszeć krzyki i śmiech ludzi, a z oddali dochodzi do mnie furkot rowerów, ale kiedy okrążam budynek w kierunku alejki, gdzie została zaparkowana automatyczna furgonetka dostawcza, nikogo nie mam w polu widzenia. Raz się oglądam, częściowo oczekując, że zobaczę ścigającego mnie strażnika, który wyrwał się odrobinę za wcześnie ze swojego transu. Komuś musi się to przytrafić. Ale nie mnie.

Według rozkładu mam mnóstwo wolnego czasu. Jest za ledwie 1:07, a furgonetka nie ruszy sprzed budynku przed 1:20. Wspinam się na jej tył i siadam w ciemności. Moja obecność, czy też nieobecność, nie wywiera żadnego wpływu na to, co robi pojazd; jego trasa i rozkład zostały już wcześniej zaprogramowane, więc nikt, kto obserwuje jej przejazd, nie będzie obserwował mnie – mierząc tym samym moje „pojawienie się” lub „zniknięcie”. Jakkolwiek obserwatorzy będą załamywać samą furgonetkę – utrzymując ją na pojedynczej, uzasadnionej, „klasycznej” trajektorii stąd do DBI – i obecność takiego narzuconego ograniczenia jest pocieszająca. Nie jestem pewien, co to zmienia w ostatecznym rozrachunku... ale dobrze wiedzieć, że pojazd nie będzie miał do wyboru każdej możliwej drogi przez miasto. Jednak myśl o wersjach mnie przyjeżdżających do zupełnie nieprawidłowego miejsca docelowego wydaje się być gorsza niż wszystkie inne rodzaje przeznaczenia.

Kiedy furgonetka rusza z miejsca, jej ruchy są ledwo wyczuwalne; silnik pracuje cichutko, przyspieszenie jest delikatne. Kiedy siedzę na chłodnym metalu, wdychając niewyraźny zapach plastiku z jakiejś niedawnej przesyłki, wszystko jest niepokojąco przyziemne.

Okazuje się, że nie wiem, co począć z czasem. Nie chcę rozważać groźących mi niebezpieczeństw, niczego nie osiągnę, analizując „nieprawdopodobieństwo” sukcesu. Nie mogę wejść w tryb przyczajenia, ale rozpraszam się, skupiając uwagę na próbach określenia postępu furgonetki – bez pomocy **P5**, a nawet bez konsultacji z trasą zaznaczoną na planie miasta w **Déjà Vu**. Przejażdżka jest gładka, ale skrzyty łatwe do wychwycenia, więc nanoszę każdy kolejny zakręt na ledwo wyobraźalną mapę, przywołaną jedynie z pamięci. Raz na jakiś czas wyczuwam nieznaczące hamowanie, kiedy furgonetka wymija pozostałe znajdujące się w ruchu pojazdy – tak, są to odstępstwa od wcześniej wyznaczonej trasy, ale wciąż całkowicie niezależne ode mnie. Myliłem się: furgonetki nie otacza żadne senne miasto, a jedynie ten sam Nowy Hongkong, który był tam od zawsze.

A wewnątrz?

Nic na to nie mogę poradzić; sięgam po generator kości i uruchamiam go ponownie.

Urządzenie jest zbyt mądre dla własnego dobra; hologramy, które stwarza, są zawsze skrupulatnie zgodne ze światłem otoczenia, więc w panującej tutaj ciemności kości są wyobrażone jako realistycznie niewidoczne. Kolejna okazja do podjęcia decyzji, by nimi nie rzucać... i ryzykować, że nie zostaną wybrany? Używam latarki i obserwuję, jak wypadają ślepią węża – i może nie ma w tym żadnej logiki, ale widok ten działa bardzo uspokajająco.

Wyłączam urządzenie po sześciu rzutach – redukując prawdopodobieństwo mojego stanu własnego o współczynnik około dwóch miliardów.

Gdy furgonetka, wykonująca częste, łagodne skręty, porusza się w kierunku BDI przez gęstwinę rozgałęziających się uliczek, tracę trop mojej lokalizacji; patologiczny rozkład tutejszych ulic jest zbyt złożony, by móc przywoływać go szczegółowo bez żadnej pomocy.

Kiedy furgonetka wreszcie się zatrzymuje, odczekuję trzydzieści sekund, aby mieć pewność, że nie przystanęła tylko z powodu jakichś nieprzewidzianych przeszkód. Wychodzę i staję niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym w styczniu wypuściłem *Culem*. Wspomnienia tamtej nocy zalewają mnie z doskonałą przejrzystością – lecz proces ten odbieram bardziej jako wojeryzm niż nostalgię, gdyż nie mam żadnego prawa, aby wpatrywać się tak bezwstydnie w życie zupełnie obcej, martwej osoby.

Jest trzy po drugiej. Mam pięćdziesiąt siedem minut. Spoglądam w szare niebo, na ciężącą nade mną Bańkę, która przytłacza niby warstwa burzowych chmur. Znikąd pojawia się dręcząca myśl: Powinienem był poczekać na pieniądze Luiego. Pięćset tysięcy dolarów. I dopiero później zadecydować, czy moje oddanie prawdziwemu Ansambłowi naprawdę wymagało takiej porcji obłądu.

Mógłbym wpełznąć z powrotem do furgonetki.

Jednakże tego nie robię – a równie dobrze można przyjąć, że dowolne wersje mnie, które tak zrobiły, są już martwe, i z pewnością są tego świadome. Jak się czują z taką wiedzą? Jak *to* sobie racjonalizują?

Ruszam w kierunku ogrodzenia.

Tak jak poprzednio, wspinam się na nie; perspektywa niepotrzebnych cudów na otwartym terenie wywołuje we mnie niepokój – a moje rozmazane ja, jak zawsze, spełnia moje oczekiwania. Czy też *vice versa*.

Nie mam pojęcia, kto może być dzisiaj na służbie, ale wyobrażam sobie Huang Qing i Lee Soh-lung, jak grają w karty i nie zawracają sobie głowy jakimkolwiek obserwowaniem monitorów. Wciąż nie mam pojęcia, gdzie dokładnie sabotuję taki rodzaj obserwacji: w chipie sensora kamery, w kablu, na ekranie – czy też na siatkówce bądź w mózgu obserwatora. Bez względu na to, co pomaga mi przejść niezauważonym; mogę wybrać tylko rezultat, a kto wie, jaki mechanizm jest tu najbardziej prawdopodobny?



Wchodzę do środka przez to samo okno, ale tym razem nie ma potrzeby go rozcinać, gdyż rozsuwa się pod moim dotykiem. Wspinam się przez nie i ruszam wolno przez laboratorium, z szeroko wyciągniętymi ramionami, żałując, że nie posiadam mapy szkieletowej, która poprowadziła mnie za pierwszym razem. Wpadam na taboret, następnie na stół

laboratoryjny, lecz nie tłuczę żadnego szkła laboratoryjnego. Te wersje mnie, które to zrobiły, równie dobrze mogą sobie podciąć żyły jego kawałkami. Ruszam w dół korytarza, w kierunku klatki schodowej. Skarbiec, według Li Siu-wai, znajduje się na czwartym piętrze, na tyłach gabinetu Chen Ya-ping. Rzeczywiście, nawet mimo iż minęło tyle czasu, wydaje mi się, że pamiętam dokładnie w tamtym miejscu na mapie *Culexa* niebieski obszar oznaczony BRAK

DANYCH.

W połowie schodów wątpliwości uderzają mnie niczym cios w klatkę piersiową. *Po-kwai znajduje się dwadzieścia kilometrów stąd. Śpi jak zabita. Nie jesteśmy „połączeni”, nie jesteśmy „rozmazani”, ona nie pomaga mi w „wyborze rzeczywistości”. Jak mogłem kiedykolwiek uwierzyć w całe te kwantowo-mistyczne hocki-klocki? To brednie. Wszystko sprowadza się do tego, że zostałem wrobiony przez Luięgo. Kanon jest podstępem, mającym sprawdzić moją lojalność. Lui sabotował moje mody. Podrzucił na stoisko niedaleko mojego domu przerobiony generator kości. Zmówił się z Po-kwai. I tutejszymi strażnikami. I tymi w ASR.*

A co z kłódką? Jak mógłby wiedzieć, że spróbowałbym czegokolwiek tak śmiesznego jak 9999999999? I to za pierwszym razem?

Ale skoro pogrzebał w moich modach, trudno stwierdzić, czego jeszcze nie narobił

wewnątrz mojej głowy. Równie dobrze **Hypernova** może mu gwarantować absolutną kontrolę nad wszystkim, co robię, co myślę. Mógł sprawić, że odgadłbym właściwą kombinację.

Opieram się o ścianę, starając się zdecydować, co jest bardziej szalone: wiara w bezcelową farsę wielce nieprawdopodobnej konspiracji... czy też poważnie rozważanie, że potrafię otwierać kłódkę, rozszczepiając się na dziesięć miliardów ludzi.

Spoglądam w dół, w mrok klatki schodowej. A co z prawdziwym Ansamblem? Tajemnicą, dla której żyję? Też nie jest niczym więcej niż kolejnym kłamstwem? Wiem, że to tylko mod lojalności, sposób podpięcia neuronów w moim mózgu, ale...

Przeszukuję kieszenie w poszukiwaniu czegoś przypominającego monetę, czegoś, na co Lui prawdopodobnie nie mógłby mieć wpływu. Najlepsze, co mi się trafia, to zapasowa płaska baterijka do latarki, w kształcie guziczka; z jednej strony ma wyryty znak plus, z drugiej minus.

Kucam na podeście schodów, wycinając promieniem latarki krąg światła na betonie.

– Pięć plusów – szepczę. – Tyle mi trzeba. – Szanse wynoszą jeden do trzydziestu dwóch; nie proszę o wielki cud.

*Plus.*

*Plus.*

Śmieję się. Czego oczekiwałem? Prawdziwy Ansambl nigdy by mnie nie porzucił.

*Minus.*

Dziwne otępienie rozchodzi się po moim ciele, ale rzucam baterijką raz jeszcze, szybko, jak gdyby szybkość działania mogła w jakiś sposób zniwelować przeszłość.

*Plus.*

*Minus.*

Wpatruję się w ostateczny werdykt i uświadamiam sobie, że niczego on nie udowadnia.

Wszystko to, co było celem mojego życia, wciąż równie dobrze jest prawdą lub fałszem.

Jednakże tak czy inaczej, nie ma sensu tego dalej ciągnąć.

Pełen radości, niepokonany, przeskakuję dwie ostatnie kondygnacje schodów. Jeżeli tych pięć banalnych plusów nie pozbawiło mnie ostatnich śladów zwątpienia i paranoi, to nic tego nie dokona.

Kiedy jestem już w biurze Chen, włączam latarkę – niepewny, dlaczego nie

„zaryzykowałem” jej użycia, kiedy przechodziłem przez laboratorium na parterze, ale teraz przekonany, że nie stanowi to żadnego niebezpieczeństwa. Mógłbym włączyć wszystkie światła w całym budynku i krzyczeć najgłośniej, jak tylko potrafię, a nikt nie miałby pojęcia, że się tu znajduję.

Coś, co wygląda na zwykłe drzwi łącznikowe, prowadzi do małego pokoiku, za którym znajduje się sam skarbiec: wcale nie okazała konstrukcja z matowego szarego polimerowego kompozytu – trudniejsza do cięcia, starcia, stopienia czy wypalenia niż metr albo nawet dwa konkretnej stali, ale około tysiąckrotnie lżejsza. Panel kontrolny posiada okienko na skan kciuka, klawiaturę numeryczną i trzy otwory na klucze. Waham się, sądząc, że będę musiał

chwilę poczekać, aby zamek wystarczająco się rozmazał, ale zielone światełko na panelu rozbłyska niemal natychmiast. Oczywiście – urządzenie było rozmazane na długo, nim tutaj wszedłem; wszelkie nie obserwowane obiekty nieożywione tak właśnie robią. Wszystko, co musiałem zrobić, to zaobserwować je bez załamywania – rozmazując samego siebie w coraz to nowe wersje, zupełnie nowe linie dla każdego stanu własnego zamka, dając mi tym samym możliwość wyboru jego stanu, równocześnie z moim własnym.

Chwytam za klamkę i ciągnę do siebie, o wiele silniej, niż trzeba; drzwi z delikatnym kliknięciem stają przede mną otworem, niemal uderzając mnie w twarz. Wymijam je i wkraczam do skarbcza.

Sześć na sześć metrów, z czego większość to pusta przestrzeń. Przesuwam światłem latarki po

przeciwległej ścianie; znajduje się tam rozciągający się aż po sufit regał z półkami.

Osiem półek, na każdej z nich dwadzieścia zgrabnych plastikowych pudełek na ROM-y, po dwieście chipów każdy.

Zbliżam się do półki. Większość pudełek oznaczono zakresami numerów seryjnych: 019200-019399 i tak dalej. Pudełka z dwóch najniższych półek oraz dwa najdalej wysunięte na prawo z półki trzeciej są nieoznaczone i puste, ale reszta, jak się wydaje, jest pełna. W sumie daje to dwadzieścia trzy tysiące sześćset chipów.

Wyciągam z kieszeni generator kości – dlaczego nie miałbym sobie tego ułatwić? – ale zmieniam zdanie i chowam go z powrotem. *Czy przeżyje jeden z moich synów, czy też jeden z je go kuzynów, który skorzystał z kości? Obaj mają możliwość sukcesu.* Szybko sięgam przed siebie i chwytam jedno z pudełek. Ma prosty, czysto mechaniczny zamek. Być może mógłbym nawet sprawić, by i on na drodze czystego przypadku stanął przede mną otworem – moja pierwsza próba prawdziwie makroskopowego tunelowania kwantowego – ale nie robię tego.

Otwieram go za pomocą wytrycha, co zajmuje mi prawie minutę. Odrzucam pokusę zamknięcia oczu przed wyjęciem jednego z chipów z wgłębienia w odpowiednio wyprofilowanej tacy – i opieram się pokusie odłożenia go i ponownego wyboru, kiedy uświadamiam sobie, że wybrałem jeden z rzędu leżącego przy samym brzegu pudełka.

Podłączam ROM do czytnika z komórkami przekaźnikowymi podczerwieni, a następnie wywołuję **RedNet i CypherClerka.**

– Pokaż mi stronę tytułową, po angielsku – mówię do czytnika.

Cienie skarbca blakną niemal do czerni, a okno jaskrawo niebieskich liter na białym tle pędzi w moim kierunku z centrum mojego pola widzenia:

„ANSAMBL”

Algorytm Modyfikacji Nerwowej

© Copyright BIOMEDICAL DEVELOPMENT

INTERNATIONAL, 2068

Kopiowanie tego programu bez zezwolenia, jakąkolwiek metodą, na jakimkolwiek nośniku, jest naruszeniem konwencji własności intelektualnej z 2045, a tym samym podlega karze zgodnie z prawem Republiki Nowego Hongkongu i innych sygnatariuszy porozumienia.

Działając zupełnie na wyczucie, podłączam czysty chip do drugiego portu czytnika.

– Kopiuj wszystko – mówię – wymazuj wszelkie zabezpieczenia, usuwaj wszelkie kodowanie. Tysiąc razy zweryfikuj poprawność.

Przed wyświetlanym oknem pojawia się ikonka przedstawiająca wartownika.

– Hasło? – pyta.

Zamykam oczy – co niezbyt wiele daje – wymazuję mój umysł i „słyszę”, jak moja wirtualna krtań „szepcze” coś po kantońsku. Nie jest to słowo, które wybrałem, i nie zawracam sobie głowy pytaniami do **Déjà Vu** o jego tłumaczenie. Strażnik kłania się i znika, a w jego miejsce pojawia się karykatura średniowiecznego mnicha, kopiującego manuskrypt komicznymi przyspieszonymi ruchami.

Staję pośrodku skarbca, nieznacznie się kiwając. Nie mam możliwości, aby się przekonać, czy to, czego obecnie doświadczam, to sukces, czy też jakaś kombinacja wadliwego działania sprzętu, modu i naturalnego mózgu, które dają takie same efekty. Szanse poszczególnych zadań wyglądają całkiem nieźle: jeżeli jestem wewnątrz skarbca w budynku BDI, to liczba stanów, w których naprawdę wybieram właściwy chip spośród zaledwie dwudziestu trzech tysięcy sześciuset, musi z pewnością miażdżąco przewyższać liczbę tych, w których czytnik i/lub **CypherClerk** kłamał i udawał, że posiadam **Ansambel**, podczas gdy w rzeczywistości miałem coś zupełnie innego. Ale jeśli chodzi o prawdopodobieństwo halucynacji dotyczących całonocnych działań, podczas gdy nawet nie opuściłem ASR, w porównaniu z tymi, gdzie rzeczywiście otworzyłem wszystkie te zamknięte drzwi... no, nie wiem. Mogę być tylko pewny tego, że już po załamaniu określenie rozbieżności nie zabierze mi dużo czasu; albo będę miał

w kieszeni kopię **Ansambelu**, albo nie.

Tysiąckrotna weryfikacja kopii jest czystą przesadą; jeżeli błąd w procesie kopiowania jest mało prawdopodobny w normalnych okolicznościach, a moje rozmazane ja nie robi nic, by wyszukiwać podobne wydarzenia, to powinno to pozostać równie niemożliwe jak kiedykolwiek indziej. Wciąż jednak jestem zadowolony, że to robię; część mnie odrzuca przyjęcie do wiadomości, że mogę wymuszać na zamkach i kamerach szalenie nieprawdopodobne błędne działanie, a następnie przyjmować za pewnik to, że inny sprzęt, równie podatny na, tunelowanie kwantowe, nadal będzie działał bezbłędnie.

Po kilku minutach mnich przerywa pracę, kłania się i znika. Zamykam **CypherClerka**, a następnie, niemal ze śmiesznym namaszczeniem, odłączam ROM, chowam czytnik, umieszczam

ROM z powrotem na tacy, zamykam pudełko i odkładam je na półkę. Przesuwam promieniem latarki po ścianach w poszukiwaniu śladów zdradzających moją tu obecność, ale wszystko wygląda dokładnie tak, jak wtedy kiedy tu wszedłem.

Odwracam się. Ubrana w koszulę nocną kobieta stoi w drzwiach. Jest chuda, ma trzydzieści kilka lat, angielskie rysy, a jej skóra jest niemal równie czarna jak moja.

Laura Andrews – ale nie taka, jaką widziałem w piwnicy, wyglądająca jak Han Hsiu-lien.

Laura Andrews jak w aktach Hilgemanna, jak w przekazie od mojego klienta.

Jak wy dostała się z piwnicy? Głupie pytanie. Ale jak dokonała tego dziś w nocy, skoro wcześniej nie

mogła sobie z tym poradzić? Być może mimowolnie zrobiłem coś, co zakłóciło cały monitorujący ją system bezpieczeństwa? Ale skoro wreszcie udało się jej ucieczka... co robi tutaj, na górze?

Sięgam po pojemnik ze środkiem uspokajającym, myśląc: *a dlaczego moje rozmazane ja pozwoliło jej mi przeszkodzić? Czyżby oznaczało to, że to nie ja zostanę wybrany... że równie dobrze mógłbym być martwy...*

– Masz to, po co przyszedłeś? – pyta.

Wpatruję się w nią, wreszcie kiwam głową.

– A co tak dokładnie masz zamiar z tym zrobić?

– Kim jesteś? Jesteś Laurą? Jesteś prawdziwa?

Śmieje się.

– Nie. Ale to, jak mnie postrzegasz, będzie takie. Mówię w imieniu Laury – albo układu Laura-i-rozmazany-Nick-i-Po-kwai i innych. Ale głównie Laury.

– Nie rozumiem. Jak to „mówisz w imieniu Laury”? Jesteś nią czy nie?

– Laura jest rozmazana; nie może osobiście z tobą rozmawiać. Rozmawia z rozmazanym-Nickiem-i-Po-kwai, ale stworzyła mnie, bym porozmawiała z tobą.

– Ja...

– Jej złożoność została rozmazana przez stany własne; oboje bezpośrednio nigdy nie moglibyście wzajemnie oddziaływać. Ale zgromadziła wystarczająco dużo informacji w pojedynczym stanie własnym, by przekazać ci to, co niezbędne. Skontaktowała z rozmazanym-Nickiem-i-Po-kwai – ale jest dziecinny, nieodpowiedzialny. Dlatego właśnie rozmawiam tu z tobą.

– Ja...

– Właśnie ukradłeś **Ansambl**. Laura wcale nie ma ochoty temu zapobiec. Ale chce, byś zrozumiał, co on dokładnie potrafi zrobić.

– Wiem, co potrafi – mówię w swojej obronie, wciąż zmieszany. – Jestem tutaj, czyż nie?

Otworzyłem ten skarbiec. – Przypuszczam, że powinienem być zszokowany odkryciem, że rozmazana Laura nie jest opóźniona w rozwoju – jednak była wystarczająco rozbudowana, aby wydostać się z Hilgemanna, i miała trzydzieści cztery lata wzrastającego prawdopodobieństwa, by udoskonalić wszelkie ścieżki mózgowe, które najlepiej działały w tym stanie. Lecz odkrycie, że potrafi stwarzać widziadła, które będą mi robić wykłady na temat używania **Ansamblu**, wciąż należy do kategorii rewelacji.

Potrząsa głową.

– Nie rozumiesz – mówi – ale dotrze to do ciebie. Laura wzmocni stan, w którym tak się dzieje.

– Manipuluje mną...

– Komunikuje się z tobą, w jedyny znany sobie sposób. Obiecuję, że jej efekty będą niepowiązane z tymi pochodzącymi od rozmazanego-Nicka-i-Po-kwai. A biorąc pod uwagę fizjologię twojego mózgu, najłatwiejszą drogą zrozumienia jest podobna do tej rozmowa.

Podobna do tej? Co oznacza, że oczywiście toczą się również inne rozmowy i że być może ta wcale nie będzie jedyną zakończoną sukcesem. Ale taki pogląd odnosi się do wszystkiego, czego dokonałem dziś w nocy; nagłe stawanie się wrażliwym w tej kwestii byłoby teraz niedorzeczne.

– Mów.

– Pierwszą sprawą – zaczyna rzecznik – którą musisz zrozumieć, jest to, że zasięg załamania jest skończony. Ludzki mózg dysponuje zaledwie określonym stopniem złożoności, a skończona liczba ludzi ze skończonymi mózgami nie może zniszczyć nieskończonej liczby stanów. Co więcej, istnieją stany, w których ścieżki nerwowe związane z załamaniem przestały wykonywać swoje zadanie, a bez tych ścieżek stan pozostaje nienaruszony. Załamanie jest zjawiskiem lokalnym, dokonującym przerzedzenia części superprzestrzeni – przestrzeni wszelkich stanów własnych – ale tylko części. Nieskończona ich ilość wciąż pozostaje nienaruszona.

*Pojedyncza gałąź rzeczywistości pośrodku olbrzymiej próżni – ale poza tą próżnią rozciąga się nieskończony gąszcz. Czyż nie to dokładnie podejrzewałem za pierwszym razem, kiedy rozmazałem i załamałem? Ale...*

– Jak możemy być... otoczeni tym wszystkim i wcale tego nie zauważać?

– Aby zauważyć stan, musisz go załamać do rzeczywistości. Jak możesz to zrobić ze stanem, który nie bierze udziału w załamaniu?

– W takim razie skąd ty wiesz, że takie stany istnieją?

– Laura to wie.

– Skąd?

– Niezałamane części superprzestrzeni są zamieszkane. Inteligentne życie rozciąga się przez wszelkie stany własne. Kiedy jedna z cywilizacji odkryła zamieszkaną przez was przerzedzony region, ostrożnie zbadała jego granicę, a następnie podjęła kroki, aby go odizolować.

– Tworząc Bańkę?

– Tak. Ale zanim pojawiła się Bańka, jeden osobnik zdecydował się na szerszą eksplorację i wkroczył osobiście do tego regionu.

– I... Laura spotkała tego obcego? On odszukał ją i nawiązał kontakt – ponieważ nie załamuje fali?

Rzecznik się uśmiecha.

– Nie. To Laura jest tym odkrywcą. Albo przynajmniej została przez niego tak ukształtowana, aby stać się do niego podobną, na tyle, na ile dało się to osiągnąć. Przebył

przerzedzony region i oddziaływał z waszą rzeczywistością. Robiąc to, został załamany –

zniszczony – ale w taki sposób zaaranżował załamanie, by to zakodowało część jego własnej złożoności w genach Laury. Kiedy ona jest załamana, wtedy ledwie może funkcjonować, gdyż przeważająca część jej mózgu została zajęta przez ścieżki działające tylko wtedy, kiedy jest rozmazana. Ale kiedy jest rozmazana, wtedy jest, w efekcie, odrodzonym odkrywcą.

– Laura jest wcieleniem Budowniczych Bańki? – Rozpraszający głos szepcze: *Uwierz w to albo już jesteś martwy, na sto procent.* – Dlaczego pozostała w Hilgemannie? Dlaczego tam pozostawała? Z pewnością mogła była uciec...

– I uciekła. Eksplorowała większość planety.

– Większość planety? Ale złapali ją, dwukrotnie...

– Tak, złapali ją w pobliżu Hilgemanna – ale nie dlatego, że starała się stamtąd uciec na zawsze. Nigdy nie miała zamiaru załamywać gdziekolwiek indziej niż wewnątrz własnego pokoju – ale ze wszystkich podróży, w które wyruszyła, te dwie nie potoczyły się tak, jak należy. Hilgemann był bezpieczną i dogodną bazą wypadową. Pozostawiano ją poza obserwacją przez wystarczająco długi czas, by mogła rozmazywać do takiego poziomu złożoności, który pozwalał jej stopniowo zwiększać złożoność własnych wypraw.

Przekraczając taki punkt, mogła utrzymywać się w stanie niezałamanym, tak samo jak ty to zrobiłeś.

– Dlaczego więc w ogóle wracać do Hilgemanna? Dlaczego na zawsze nie pozostała poza obserwacją, wiecznie rozmazana?

– Rozmazywanie jest procesem wykładniczym. W ciągu dnia czy dwóch pozostanie poza obserwacją wymagałoby powstrzymywania załamania każdego na Ziemi. A po dniu lub dwóch czegoś takiego...

Waha się.

– Co?

– Przerzedzony region zostałby wypełniony. Ludzkość tunelowałaby przez Bańkę i nawiązałaby kontakt z resztą super-przestrzeni. Co wydarzyłoby się wtedy, trudno przewidzieć, ale jedna z możliwości jest taka, że funkcja falowa w tym regionie nigdy by już nie została załamana.

Z trudem staram się to objąć rozumem. Cały świat rozmazany, i to na stałe? Jak – skoro wszystkie współistniejące możliwości muszą zawierać stany wywołujące załamanie? *Ale jedynym działającym załamaniem jest to, które się urzeczywistnia.* Świat, w którym żadne załamanie nie staje się rzeczywiste, jest przy tych warunkach równie spójny jak ten z niepowtarzalną rzeczywistością.

– Tak więc... Laura nie pozostawiała rozmazana, aby uniknąć wciągnięcia nas w katastrofę?

– Dokładnie. I to właśnie musisz zrozumieć, jeśli chodzi o **Ansambel**: każdy, kto go używa, może do tego doprowadzić.

– Masz na myśli, że ja mógłbym...

– Każdy, kto rozmazuje przez zbyt długi czas; skala czasu to kwestia dni. Laura nie ma ochoty, aby pozbawiać cię możliwości opuszczenia wnętrza Bańki – ani nie ma ochoty, aby wymuszać to na tobie. Twoje własne rozmazane ja może nie wykazać się podobnym szacunkiem.

– Moje rozmazane ja zawsze robiło dokładnie to, czego od niego wymagałem.

– Oczywiście. Trzymasz je jako zakładnika; ten świat jest dla niego wrogi. Polega na twojej współpracy. Ale za każdym razem, kiedy rozmazujesz i załamujesz, kiedy wybierasz satysfakcjonujący cię wynik, ono jest w stanie się ulepszyć – wybierając takie zmiany w twoim mózgu, które sprawiają, że staje się bardziej wyrafinowane, bardziej złożone. Ewoluuje, stając się coraz silniejsze.

Przechodzi mnie zimny dreszcz.

– W takim razie... czy kiedykolwiek pozwoli mi zapamiętać, że to powiedziałaś?

– Laura to gwarantuje.

Potrząsam głową.

– Laura mówi to, Laura mówi tamto. Dlaczego miałbym uwierzyć w cokolwiek, co mi powiedziałaś? Dlaczego nawet miałbym uwierzyć, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

Wzrusza ramionami.

– Uwierzysz, tak czy inaczej; muszą istnieć stany, w których tak się dzieje. A co do tego kim ja jestem – jestem zestawem bodźców, który tak się składa, przekonuje cię. Niczym więcej, niczym mniej.

Rozpylam środek uspokajający w jej kierunku. Uśmiecha się, kiedy mgiełka osiada na jej skórze, następnie ściąga usta i lekko wydmuchuje powietrze. Chmura małych kropelek ponownie formuje się przed nią, a następnie rusza w moim kierunku, kurcząc się, i – zanim mogę osłonić się ubraną w rękawiczkę dłonią – przez dyszę wpada z powrotem do wnętrza pojemnika.

Opadam na kolana. Ona znika.

Po chwili wstaję na nogi i ruszam w kierunku wyjścia z budynku.

Gdzieś w połowie drogi przez miasto furgonetka nagle się zatrzymuje. Klakson trąbi, a ktoś krzyczy nagłaco:



– Nick! Wysiadaj! Coś się stało!

Rozpoznaję głos Luiego.

Waham się, zły i zmieszany. Czy on oszalał? Może próbuje wszystko sabotować? Jeżeli pozostanę w furgonetce, wciąż może uda mi się wrócić bezpiecznie do ASR. Ale wtedy do mnie dochodzi: nie byłoby go tutaj, gdyby nie miał ważnego powodu. Już muszę być załamany.

Wygrzebuję się na zewnątrz. Stoi przed furgonetką, z rozłożonymi ramionami, blokując jej przejazd. Mijająca nas grupa rowerzystów gapi się na nas i czuję się, jakbym stał nago pośrodku ulicy – znów obserwowany, bezbronny wobec tych samych nieprzewidzianych wypadków co każdy śmiertelnik. Znajdujemy się prawie na obrzeżach centrum miasta; mrugam, patrząc na lśniące budynki, które majaczą na wprost. Trudno zaakceptować fakt, że tak bez żadnego wstrząsu, bez ostrzeżenia zostałem oddany z powrotem do rzeczywistego świata.

– Wiedzą, że zniknąłeś – stwierdza Lui.

– Jak? Dlaczego tego nie powstrzymałem? Potrząsa głową ze złością.

– Nie wiem, dlaczego. Zbyt wielu ludzi było w to wplątanych. To nie jest ważne. To już się stało.

– Co masz na myśli, mówiąc: zbyt wielu ludzi?

– Odnaleźli bombę. Jakies dwadzieścia minut temu.

– O, cholera. Dzieci. Po-kwai...?

– Nic jej nie jest. Rozbroili ładunek. Nikomu nic się nie stało, ale budynek został postawiony w stan pełnej gotowości, przeczesali każdy zakamarek... możesz to sobie wyobrazić. Odkryli trzy kolejne ładunki. I odkryli twoją nieobecność. Być może po prostu nie potrafiliś żonglować tyloma możliwościami, powstrzymując bomby zarówno przed odnalezieniem, jak i przed wybuchem. Nie wiem. Ale musisz opuścić miasto.

– A co z tobą? Co z innymi?

– Zamierzam zostać. Kanon będzie musiał przez jakiś czas pozostać w ukryciu, ale wciąż nie mają pojęcia o naszym istnieniu. Zapewne ASR przyjmie, że Dzieci jakoś do ciebie dotarły.

Mod marionetki...

– Jeżeli Dzieci zainstalowałyby mod marionetki w mojej czaszce, zostałbym w pierdolonym budynku i dopilnował, aby te bomby wybuchły.

Niecierpliwie patrzy na mnie spođe łba.

– W porządku. Nie mam pojęcia, co sobie pomyśli ASR. To nie ma znaczenia. Musisz wyjechać. Reszta Kanonu nie jest w to wplątana; sami możemy o sobie zadbać. – Odsuwa się krok od

furgonetki, która przyspiesza i znika w ciemności. Następnie wyjmuję kartę z kieszeni koszuli i mija podaje. – Pięćset tysięcy dolarów. Czysty, anonimowy kredyt, zaciągnięty na orbitalnym koncie. Jedź do portu, nie na lotnisko; ASR trudniej będzie tam pociągać za sznurki.

A z tym, co masz tutaj, jak mi się zdaje, nawet ich z łatwością mógłbyś przekupić.

Potrząsam głową.

– Nie mogę wyjechać.

– Nie bądź głupi. Jeżeli zostaniesz, zginiesz. Ale z pomocą modu stanu własnego Kanon ma szanse wyforować się o krok do przodu. Nie rozumiesz tego?

Kiwam głową.

– Rozumiem. Ale nie możesz używać modu; ryzyko jest za duże.

– Co masz na myśli?

Powtarzam to, co przydarzyło mi się w skarbcu. Z nadzwyczajnym spokojem słucha wszystkich rewelacji, a ja zastanawiam się, czy wierzy chociażby w pojedyncze słowo z tego, co mu opowiadam.

– Będziemy ostrożni – stwierdza, kiedy kończę. – Będziemy go używać jedynie przez krótkie okresy. Ty bez najmniejszego kłopotu byłeś rozmazany przez ponad cztery godziny.

Wpatruję się w niego.

– Mówisz o rzucaniu na szalę... – Nie mogę wymyślić właściwego słowa. Planety?

Ludzkości? One tak właściwie nie zostałyby utracone... a jedynie osadzone w czymś większym. Ale nie o to chodzi.

– Nick, udowodniłeś, że to jest bezpieczne. Godzinka lub dwie nikomu nie mogą zaszkodzić. Co ty chcesz zrobić z tymi danymi? Zataić je? Sprawić, by rozplynęły się w powietrzu? Nie możesz. Fałszywy Ansambl wciąż posiada własne kopie. Czy chcesz, po tym wszystkim, co ci zrobili, by zachowali swoją przewagę? Tak czy inaczej, każde pytanie, jakie postawi przed nami mod, zostanie rozpatrzone. Wydawało mi się, że było to dla ciebie ważne.

– Oczywiście, że tak – rzucam automatycznie.

I wtedy uświadamiam sobie, że wcale tak nie myślę. Pierdoli mnie dokładnie cała tajemnica prawdziwego Ansamblu.

Oszołomiony, czekam na sprzeciw, wyparcie.

Nie otrzymuję nic poza ciszą. *Mod lojalności zniknął; tunelowałem z jego ograniczeń.*

Zamykam oczy, oczekując, że moja nieposiadająca obecnie celu dusza wyparuje i rozplynie się w powietrzu.

– Nick?

Potrząsam głową, otwieram oczy.

– Przepraszam, ja... przez chwilę zakreśliło mi się głowie; jakiś efekt uboczny załamania. –

Ściągam rękawiczki i sięgam do kieszeni, w której mam czytnik z wciąż wsuniętą do środka kopią **Ansambłu**. Bez wyciągania urządzenia z kieszeni wywołuję **RedNet** i **CypherClerka**, a następnie rozpoczynam kopiowanie danych do buforów **CypherClerka**.

– Nie możemy marnować czasu na kłótnie – stwierdza Lui. – Daj mi dane i ruszajmy w swoją stronę.

– Powiedziałem ci, mod jest zbyt niebezpieczny. – Dlaczego więc w takim razie sam go kopiuję przed wymazaniem? Czy naprawdę ufam sobie, że wykorzystam go rozważnie –

zbijając pokaźną fortunę na łamaniu kodów, a równocześnie nie narażając na szwank postrzeganej obecnie formy otaczającego nas świata? Moja arogancja zapiera mi dech. Ale nie przerywam przepływu danych.

– Zadzwoń do banku – mówi cicho Lui. – Zweryfikuj kartę. Pół miliona dolarów. Na tyle się umówiliśmy.

Potrząsam głową.

– Nie obchodzą mnie pieniądze. – Prawie oddaję mu kartę, ale gdybym to zrobił lewą ręką, mógłby zacząć się zastanawiać przy czym majstruję prawą.

Lui odwraca wzrok, smutny i udręczony jak zwykle. Myślę tak: zarobienie pieniędzy na modzie jest dla niego *ważne*, a ludzie stają się groźni, kiedy ktoś zadziera z ich religią.

Uzbrajam i sięgam lewą ręką po broń. Za późno. Czuję, jak plamka promienia laserowego celownika rozrasta się na moim czole, zamieram. W chwilę później dwie uzbrojone kobiety wyłaniają się ze znajdującego się na wprost nas zaułka. Żadna z nich nie celuje ze swojej broni w moją głowę. Trzecia osoba, źródło promienia, wciąż musi pozostawać w skrywającym ją cieniu.

– Załóż ręce na głowę – mówi Lui.

Ociągam się, gdyż kopia została wykonana w dziewięćdziesięciu procentach.

– Nie oczekiwałem tego rodzaju...

Chwyta mnie za ręce i wyszarpuje je na właściwe miejsce. Zombie chwat przygląda się temu z nadzieją. Powinienem był wykonać „kopiuj wymazując”, co kasowałoby wszystko równocześnie z transmisją.

Lui odbiera mi broń, przeszukuje mnie i bez problemu odnajduje czytnik. Kiedy wyciąga go z mojej kieszeni, wysyłam polecenie kasowania, ale ułożenie urządzenia nie jest właściwie.

**CypherClerk** wyświetla mi przesłane z **RedNetu** powiadomienie o błędzie, a następnie w mojej głowie pojawia się ikonka „profesorka”, która zaczyna prezentację wykładu dotyczącego radzenia sobie z problemem związanym z połączeniami w podczerwieni. Wyłączam to.

– Karta jest ważna – mówi Lui. – Pół miliona dolarów. Nie oszukałem cię. Ruszaj do doków, a do świtu pozostawisz cały ten bałagan daleko za sobą.

– Nie wierzysz mi, prawda? – pytam. – W Laurę, w Budowniczych Bańki, w żadne moje słowo?

Patrzy mi prosto w oczy i mówi miękko:

– Oczywiście, że ci wierzę. Sam odkryłem większość tego jakieś sześć miesięcy temu. Jak ci się zdaje, dlaczego fałszywy Ansambl poszukiwał układu wydarzeń, które doprowadziły ich wreszcie do Laury? Domyślili się powodu pojawienia się Bańki – i mieli nadzieję, że Budowniczość Bańki mogli nam pozostawić klucz: przykład, jakimi musimy się stać, jeśli chcielibyśmy opuścić postawione przez nich, otaczające nas więzienie.

Odchodzi na bok, a jedna z jego oprawczyń zbliża się do mnie. Czekam, z potężnym uczuciem **Déjà Vu**, na środek uspokajający w sprayu bądź na zastrzyk w szyję.

Zamiast tego kobieta wyciąga gumową palkę, zamachując się nią w kierunku mojej skroni.

*Kiedy dochoǳę do siebie, P1 wymienia posiniaczenia i lekkie stłuczenia, ale nie zgłasza niczego wymagającego leczenia. Nie czuję żadnych dolegliwości, gdyż ból został*

przekształcony w czystą informację. Kulejąc, przechodzę na pobocze i rozbrajam, lecz wciąż niczego nie czuję, gdyż teraz to Boss przejmuje rolę środka przeciwbólowego, działając zgodnie z obowiązującym go regulaminem.

Łączę się ze służbami weryfikacyjnymi PanPacific Bank i podłączam kartę do mojego SatPhone'u. Wydaje się, jest na niej dokładnie to, o czym mówił Lui; pół miliona dolarów w międzynarodowych płynnych funduszach; w pełni do mojej dyspozycji, bez żadnych ukrytych warunków. Zamawiam sekwencje transakcji, które przesyłają pieniądze z furkotem kilkaset razy wokół kuli ziemskiej – z każdym kolejnym okrążeniem tracą odrobinę na wartości, lecz równocześnie pozbywają się jakichkolwiek szans ich wyśledzenia czy też jeszcze szybszego odebrania mi – pokonując dogłębne kontrole przeszło tysiąca różnorodnych instytucji finansowych. Po dziesięciu minutach wszystko ustaje, pomniejszone o pięć procent wartości; ale teraz bezsprzecznie, prawdziwie i nieodwołalnie moje.

Dlaczego? Pojawił się przygotowany, by odebrać mi dane siłą, dlaczego więc miałby mi zapłacić chociażby centa? To prawda, że będzie w stanie zarobić na **Ansamblu** wystarczająco dużo, by bile pół miliona stało się zaledwie błahostką – a taka płatność uprawdopodobniła opcję, że zostawię go w spokoju, aby zrobił to, co miał zamiar zrobić. To łapówka, aby pozbyć się mnie z drogi. Zamiast tego mógł z łatwością mnie zabić. Powinienem uważać się za szczęściarza.

I powinienem posłuchać jego rady. Skierować się do doków. Wykupić sobie pieniędzmi drogę ucieczki z tego kraju. Nic mnie tutaj nie trzyma.

Nic? Rozmyślałam nad kilkoma ostatnimi godzinami, starając się ustalić dokładny moment własnego wyswobodzenia od modu lojalności, ale nie potrafię sobie przypomnieć żadnej bolesnej szamotaniny zapewniającej mi moją „prawdziwą” tożsamość ani żadnego triumfalnego wyczynu umysłowej zręczności rozsypującej wreszcie ów węzeł. Ale z drugiej strony, żadna podobna walka o moją lojalność nie miała też miejsca tamtego dnia, kiedy mod został mi narzucony. Zawsze było to kwestią fizjologii mózgu – żadnej logiki, żadnej siły woli.

Co dokładnie zmieniło tę fizjologię? Czy to mniejszość wersji mnie, które tunelowały przez okowy modu i w jakiś sposób przekonały moje rozmazane ja do wyboru jednego z ich rzeszy, by przetrwał załamanie (*mówiąc po imieniu, mnie*), czy też sytuacja kryzysowa w ASR

nagromadziła tyle czynników do żonglowania, że przestał nawet dbać o cokolwiek tak trywialnego jak religia jego załamanego ja? Nigdy się tego nie dowiem. Być może interweniowała rozmazana Po-kwai. Cokolwiek by było powodem, to stało się to faktem...

Stało się? Lui twierdził, że zostałem załamany... i prawdopodobnie w to wierzył... ale jedyne działające załamanie to takie, które samo staje się rzeczywiste. Być może wciąż jestem rozmazany, podobnie jak Lui, i każdy ze strażników w ASR, a całe zamieszanie – odnalezienie bomb, Lui

przybywający mnie ostrzec, wszystko prowadzące i zawierające się w chwili obecnej

– jest częścią stanu własnego, który zostanie odrzucony. Częścią nadmiernych kosztów nieprawdopodobnego sukcesu wydarzeń tej nocy.

Zwalczając panikę, wywołuję **Hypernową** i naciskam przycisk WYŁ... następnie uświadamiam sobie, że taki gest niczego nie udowadnia: w ciągu jednej nocy miliardy wersji mnie musiały wykonać dokładnie to samo – bez żadnego efektu. Przez chwilę wszelkie wątpliwości wydają się nie do prześledzenia: jak mógłbym się przekonać, że stałem się nieodwracalnie rzeczywisty?

Plan, ot jak. Jest 4:07 – i jeżeli wszystko przebiegło zgodnie z planem, to do tej pory załamałbym po powrocie na posterunek. Śmieję się z nerwową ulgą. Moja porażka jest nieodwracalną częścią unikalnej przeszłości – tak jak i moje wyswobodzenie. I jakkolwiek wiele wersji mnie nie pozostałoby w okowach modu lojalności... ja żyję, a one są martwe.

Nie mam więc powodów, aby tu tkwić. Ansambl – „prawdziwy” czy też jakkolwiek inny – nic dla mnie nie znaczy.

A co do niebezpieczeństw związanych z używaniem **Ansamblu**, to Lui może być zachłanny, ale głupi na pewno nie jest. Jeżeli rzeczywiście przez cały czas wiedział o związanym z tym ryzykiem, to bez wątpienia podejmie działania, mające na celu utrzymanie go pod kontrolą. Może i nie podoba mi się pomysł powierzenia losu planety jego wątpliwej ekspertyzie – ale nie mam wyboru. Nie mogę pójść do władz, bo ASR zrobi mnie jako głównego podejrzanego o podłożenie bomb – i sami nawet mogą w to uwierzyć. Co mam robić? Wysłać anonimową wiadomość do policji NHK, utrzymującą, że technologia, która może podkopać naturę rzeczywistości, wpadła w niepowołane ręce?

Problemem jest to, że... nawet jeśli można by zaufać samemu Luiemu, że będzie używał

modu z rozważą, pozostaje jeszcze kwestia jego kopiowania. Co się stanie, kiedy jeden z klientów, zgłaszających się do niego celem złamania kodu, stanie się tak ciekawy odkrycia, jak to się robi, że zdecyduje się przyciąć kilku pośredników, bądź też zagwarantować sobie, że konkurencja nie będzie miała dostępu do podobnej usługi? Biorąc pod uwagę osobliwy punkt patrzenia Luiego na zagadnienia dotyczące ochrony, odkrycie tego wszystkiego zabrałoby im mniej więcej tydzień. **Ansambl** w rękach gangsterów – czy też gorzej, **Ansambl** w rękach agencji wywiadowczych ChRL bądź USA. I nawet jeżeli oni – również – zrozumieją ryzyko i okażą wystarczającą powściągliwość, by ochronić planetę przed niepohamowanym rozmazaniem... *rzeczywistość kształtowana przez Pekin lub Waszyngton!* Życie nie byłoby warte, by przez nie iść.

Karen materializuje się u mego boku. Waham się, obawiając się odezwać, na wypadek gdyby miała zniknąć – czy też wybuchnąć – lecz odnajduję w sobie wystarczającą ilość odwagi, by powiedzieć:

– Miło cię widzieć. Tęskniłem za tobą.

Tęskniłem? Poszukuję jakiegoś wspomnienia, potwierdzającego, że tak było, ale porzucam te poszukiwania jako nieistotne. Liczy się to, że tęskniłbym.

– Spieprzyłeś – stwierdza ponuro.

– Taaa.

– I co masz zamiar z tym zrobić?

– A co mogę? Jestem teraz podejrzanym terrorystą. Bez miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać, bez żadnych środków...

– Masz pół miliona dolarów.

Potrząsam głową.

– Jest to trochę, ale...

– I masz jeszcze dziewięćdziesiąt pięć procent **Ansamblu**.

Śmieję się gorzko.

– Dziewięćdziesiąt pięć procent równie dobrze może okazać się niczym. Nie możesz nakarmić roju nanomaszyn dziewięćdziesięcioma pięcioma procentami specyfikacji modu i po prostu żywić nadzieję, że reszta okaże się nieistotna.

– Nie? A jeżeli mówimy o dziewięćdziesięciu pięciu procentach specyfikacji dwóch modów?

– Dwóch?

Wtedy doznaję olśnienia: **Ansambl** wykonuje dwie zupełnie niezależne od siebie funkcje: wstrzymuje załamanie i manipuluje stanami własnymi. Nie ma więc powodu, dla którego obie części modu, odpowiedzialne za oddzielne funkcje, miałyby jakkolwiek zachodzić na siebie i mieć jakiegokolwiek wspólne neurony. A jeżeli nie zachodzą na siebie, to to, co mam, powinno się składać z dwóch odrębnych całości. Jedynym pytaniem, na które pozostało odpowiedzieć, jest...

Wywołuję **CypherClerka** i zaczynam przedzierać się przez dane w jego buforach. Po kilkudziesięciu stronach wstępu odnajduję:

POCZĄTEK SEKCJI: „KONTROLA STANÓW WŁASNYCH”

Poszukuję kolejnego pojawienia się wyrażenia „KONTROLA STANÓW WŁASNYCH”.

Kilkaset tysięcy stron dalej:

KONIEC SEKCJI: „KONTROLA STANÓW WŁASNYCH”

(CHECKSUM: 4956841039);

/\* \*\*\*\* \*/

## POCZĄTEK SEKCJI: „WSTRZYMYWANIE ZAŁAMANIA”

– Masz pół miliona dolarów – stwierdza Karen. – Masz wszystko, czego potrzebujesz od **Ansamblu... Hypernova** dostarcza ci reszty. I masz więcej doświadczenia w rozmazywaniu niż ktokolwiek na świecie, z wyjątkiem samej Laury. Tyle o tym, że nie posiadasz żadnych środków.

Potrząsam głową.

– Nie mogę ufać mojemu rozmazanemu ja. To było częścią ostrzeżenia Laury: do tej pory działało po mojej stronie, ale nie mam pojęcia, jak się zachowa, kiedy nabierze więcej siły.

– Taaa? Akomu zaufasz: własnemu rozmazanemu ja – czy klientom Luiego i ich rozmazanym ja?

Uświadamiam sobie, że drzę. Śmieję się.

– Boję się. Nie rozumiesz tego? Mogę się zmienić w kogokolwiek. Właśnie straciłem coś, co wydawało się być najważniejszą rzeczą w moim życiu. Znikło, rozplynęło się, w mgnieniu oka.

Wiesz, co to oznacza. Mogę stracić cokolwiek. Mogę stracić ciebie.

– Moja specyfikacja – stwierdza bez ogródek – wciąż będzie znajdowała się w pliku. Axon na pewno gdzieś ją zarchiwizował. Jeżeli mnie stracisz, zawsze możesz mnie odzyskać.

– Wiem – Odwracam wzrok, gdyż nie potrafię powiedzieć jej tego prosto w oczy. – Ale obawiam się, że kiedy cię stracę, to już nie będę chciał ponownie.

Wielu drobnych handlarzy otwiera sklepiki około świtu i nim ulice zaczynają wypełniać się tłumem, jakoś udaje mi się kupić zestaw kosmetycznych nanomaszyn oraz zmianę ubrań. W

czasie kiedy nanomaszyny wykonują swoją pracę, rozkładając znaczną część melaniny w mojej skórze, ukrywam się w kabinie publicznej toalety. Zmiana jest niemal tak szybka, że można ją dostrzec. Wpatruję się więc osłupiały w moje dłonie i ramiona, które blakną z głębokiej czerni normy strefy zagrożenia promieniowaniem UV do oliwkowej karnacji, przypominającej fotografię mojego dziadka z czasów jego dwudziestowiecznej młodości. W godzinę później, kiedy moje nerki wydalają metabolity, oddaję mocz surrealistycznie ciemnym strumieniem. To absurdalne – ale ta czynność, kiedy szczam kolorem własnej skóry, jest co najmniej równie dezorientująca jak wszystko inne, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Do tej pory przynajmniej cokolwiek się zmieniło wewnątrz mojej czaszki, na zewnątrz wyglądałem tak samo.

Zaprzęgając moje myśli z powrotem do bardziej praktycznych rzeczy, sprawdzam swój wygląd w lustrze. Zaledwie uczyniłem się bledszym, programy odpowiedzialne za rozpoznanie wzorca wciąż mogą mnie skojarzyć z danymi ASR, ale przynajmniej nie jestem już dłużej narażony na bycie rozpoznanym przez przypadkowego przechodnia, który mógł napatoczyć się na moją twarz porozsiewaną po systemach wiadomości.

W rzeczy samej, kiedy wchodzę na stronę *The NHK Times*, nie odnajduję tam ani słowa na temat udaremnionego zamachu bombowego, czy to dokonanego przez Dzieci, czy to przez kogokolwiek



innego. Podobnie mają się sprawy w globalnych systemach wiadomości.

Wygląda na to, że ASR zatrzymało całe wydarzenie dla siebie; być może nie mają ochoty, by policja NHK zaczęła dokładniej przyglądać się zagadce, dlaczego Dzieci zdecydowały się obrać za cel właśnie ich.

Trochę mnie to pociesza. Nie żebym był bezpieczny – Ansambl wciągnie mnie na listy celów kilkunastu prywatnych zabójców – ale wciąż miło jest mieć świadomość, że nie skończę wrobiony jako członek Dzieci Bezmiaru.

Siedząc na parkowej ławce w promieniach porannego słońca, podłączony do świata za pomocą **CypherClerka**, **RedNetu** i mojego SatPhone'u, wynajmuję on-line system ekspercki wyspecjalizowany w nano, by ten zajął się moimi postrzępionymi skrajami częściowych kopii **Ansamblu**. Musiałem tak zrobić, bo poza łatwiutkim pozbyciem się niepełnej drugiej sekcji należy edytować wstęp, aby odzwierciedlał zmiany dotyczące przejścia z dwóch do jednej sekcji. Nano nigdy nie traktuje się lekko; specyfikacja modu nerwowego, zawierająca najmniejszą niespójność, z miejsca zostałaby odrzucona przez urządzenie dokonujące syntezy nanomaszyn.

Usuwa notkę o prawach autorskich i kopiuję ostateczną wersję specyfikacji z buforów **CypherClerka** do pamięci chipa, gotowego już, by przekazać go ponad lądą. Następnie przeszukuję książkę telefoniczną w poszukiwaniu najbliższego wytwórcy nano. Od miejsca nazywającego się **Third Hemisphere\*** dzieli mnie zaledwie kilometr.

Znajdujący się na końcu ponurego ślepego zaułka lokal wygląda gównianie, ale kiedy już wchodzę do środka, zauważam, że urządzenie służące do syntezy – oryginalny model Axonu

– stoi tu w parze z rzucającym się w oczy znakiem AUTORYZOWANY FRANCHISE. Albo przekonującą imitacją takiego znaku. Kobieta stojąca za ladą podłącza mój chip ze specyfikacją do systemu wyceny.

– Trzydzieści tysięcy dolarów – stwierdza. – Nano modu będzie gotowe za dwa tygodnie.

Według systemu eksperckiego synteza powinna zająć najwyżej osiem godzin. Wszelkie opóźnienia to nic innego tylko kolejka zamówień.

– Pięćdziesiąt tysięcy – rzucam. – I ma być gotowe na dzisiaj, do dziesiątej w nocy.

Przez chwilę rozważa moją propozycję.

– Osiemdziesiąt. I będzie na dziewiątą.

– W porządku.

Kupuję broń. Prawie dokładny odpowiednik lasera, który mi odebrano tego ranka. Broń jest jedyną rzeczą, w sprawie której NHK nie ma luźnych poglądów, a czarnorynkowe ceny odzwierciedlają to stanowisko. Przy cenie pięćdziesięciu siedmiu tysięcy ktoś *de facto* zabiera dla siebie opłatę w wysokości trzystu procent rzeczywistej wartości. Wciąż uważam wysokość łapówki Luiego za

niepokojącą, ale potrafię się domyślić, dlaczego chciałby ułatwić mi ucieczkę z miasta, niż raczej ryzykować, że wydam go Ansamblowi... i bez wątpienia kłamał, mówiąc o swoim honorarium za złamanie kodu, być może o jeden czy dwa rzędy wielkości.

Potrzebuję miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać, niestety, hotele są zbyt skomputeryzowane, by było to bezpieczne. Szukanie lokum zajmuje mi większość popołudnia, ale udaje mi się wreszcie wynająć małe mieszkanie w lekko zrujnowanej dzielnicy na południowym wschodzie, a odpowiednia łapówka sprawia, że nikt nie wymaga ode mnie dokumentu tożsamości. Kiedy agent przekazuje mi klucz i wychodzi, padam na łóżko. Wstrząs zaczyna mnie dopadać; mam problemy, by nie odpłynąć.

– Gdzie zaczniemy? – pyta Karen. – Jakie jest najpilniejsze niebezpieczeństwo, któremu musimy zapobiec?

Wzdycham.

– Wiesz, że to beznadziejne. Do tej pory Lui musiał wykonać kilkanaście kopi danych.

– Być może. Ale czy zaufałyby komukolwiek – czy też po prostu by je ukrył?

Pokój zaczyna mi się odrobinę rozmywać, ale jej obraz pozostaje doskonale ostry.

Zaciskam oczy i staram się skoncentrować.

– Nie wiem. Z pewnością nie przekazałby ich innym członkom Kanonu. Sądzę, że powiedziała im, że jeśli chodzi o włamanie, to zawiodłem na całej linii – jeżeli tylko miał okazję, aby im cokolwiek powiedzieć.

– Zatem wciąż może być jedyną osobą posiadającą dostęp do danych?

– Być może. Oczywiście, z wyjątkiem firmy wynajętej do stworzenia jego kopi nano. Jeżeli dalej planuje sprzedawać usługi łamania kodów bez mnie, to będzie musiał zainstalować sobie **Ansambl** wewnątrz własnej czaszki i nauczyć się jego obsługi.

– Jaka firma?

– Nie wiem – Zmuszam się, aby stanąć na własnych nogach; podłoga przez chwilę się kołysze, wreszcie wyrównuje. – Ale zdaje się, że wiem, jak się tego dowiedzieć.

Szcęście mi dopisuje: Lui nie wybrał nowego frontu swoich interesów z szemranymi producentami – i po chwilowym symbolicznym oporze właściciel stoiska, na którym odebrałem **Hypernową**, okazuje się być nadzwyczajnie skory do współpracy.

Przy tym tempie w ciągu kilku dni będę splukany do cna, ale równie dobrze mogę właściwie wykorzystać nieoczekiwany przyływ gotówki, gdy jeszcze jest.

– Obie paczki wysłałem kurierem dziś rano do NeoModu – opowiada. – Około siódmej.

Klient zapłacił za błyskawiczną robotę – miało być gotowe do drugiej. Ale produkt nie wrócił do mnie; klient zadzwonił około południa i powiedział, że odbierze osobiście, prosto z fabryki.

– Obie paczki? Ile modów zamówił?

– Tylko jeden – ale dostarczył własny przerobiony nośnik dla nanomaszyn. Dosyć niezwykle, ale... – Wzrusza ramionami.

Niezwykle jest w tym przypadku niedomówieniem. Standardowa *Endamoeba* została zaprojektowana, by nie móc przeżyć więcej niż kilka minut poza medium hodowlanym, w którym była transportowana. Pierwotniaki żyją dzięki obecności enzymów, których same nie potrafią wytworzyć – a te są dostarczane przez pożywkę i wcale nie występują w naturze. To oraz kilka innych rodzajów usterek wprowadzonych na drodze inżynierii genetycznej gwarantuje, że nie mają możliwości przeżycia dłużej, niż zabiera im przekroczenie błony śluzowej nosa użytkownika. Ktokolwiek inny znajdujący się w pobliżu ma mniej więcej takie same szanse przypadkowego zainfekowania się nanomaszynami i „złapania modu” jak zajście w ciążę dzięki kochającej się w sąsiednim pokoju parze.

I istnieje tylko jeden powód używania niestandardowego nośnika: podkopanie tych właśnie zabezpieczeń. Zwiększenie łatwości, z jaką można narzucić mod komuś, kto nie ma na to ochoty.

Co nie ma sensu. Jeżeli Lui planuje użyć **Ansamblu** do łamania kodów, to jaki mógłby być prawdopodobny powód, by siłą narzucić go jakiemuś niechętnemu współnikowi?

– Ten przerobiony nośnik – co o nim wiesz?

Potrząsa głową.

– Nic. To nie ja go dostarczyłem. Ja jedynie przesłałem go dalej wraz z chipem.

– Czy fiolka była jakoś oznakowana? Nazwą firmy? Logo? Czymkolwiek?

– Nie widziałem fiolki, bo była umieszczona wewnątrz małego czarnego pudełeczka, które nie miało na sobie żadnych oznaczeń.

– Małe czarne pudełeczko?

– Taaa. Bez oznaczeń... jedynie małe niebieskie światełko. – Wzrusza ramionami, wspominając o tym dziwnym szczególe; zaintrygowany, ale przecież to nie jego interes. –

Przyniesiono je osobno, przed danymi modu. Wczoraj po południu.

Wyławiam z kieszeni moją plakietkę pracownika ASR. Właściciel stoiska mruży oczy, wpatrując się w zdjęcie, i stwierdza:

– Taaa. Południowiec. Wydaje mi się, że to on. – I przenosi swój wzrok, bez cienia rozpoznania, na bledszą wersję tej samej twarzy.

Toruję sobie drogę przez tłum godzin szczytu, nie mając pojęcia, dokąd zmierzam.

*Endamoeba* rozmazałaby w każdy możliwy zmutowany szczep – jakkolwiek byłby on egzotyczny, jakkolwiek niemożliwy, jakkolwiek trudny do wytworzenia wszelkimi innymi metodami. Pudełko musiało być napchane wystarczającą ilością bioelektroniki, by przetestować szczep pod względem wymaganych przez Luięgo nieprawdopodobnych właściwości i sygnalizować rozbłyskiem diody tylko wtedy, kiedy komórki mogły pokonywać ustalony przez niego biochemiczny tor przeszkód. A ja gładko przełknąłem jego kłamstwo o łamiących kody superkomputerach i beztrąsko wybrałem taki stan własny, który sprawiał

zapalenie światełka. Jakie właściwości w takim razie? I dlaczego? Jak można na tym zarobić?

I dlaczego wydaje mi się, że wyobrażenie Luięgo dotyczące i prawdziwego Ansamblu ma cokolwiek wspólnego z pieniędzmi? Ponieważ zapłacił mi pół miliona dolarów? Ponieważ, zakłopotany „wyznał”, że czarne pudełeczko zawierało łamiący kody komputer? Cóż, może i zawierało – razem ze wszystkimi innymi rzeczami. Jego pieniądze muszą skądś pochodzić. Ale jeżeli pieniądze są tylko środkiem do osiągnięcia celu... jaki w takim razie jest ów cel? Jeżeli mimo wszystko nie powykręcał do czystej ludzkiej chciwości ograniczeń narzucanych przez mod... w takim razie jaką quasi-religijną wizję ułożył sobie wokół skaz we własnym mózgu?

*Skoro przez cały czas wiedział, kim była Laura, dlaczego powstała Bańka i dokładnie jakie ryzyko niesie ze sobą rozmazywanie...*

Nieruchomieję w pół kroku pośrodku ulicy i pozwalam, aby tłum przepychał się obok mnie.

Aż za łatwo można sobie wyobrazić, jak bym zareagował poznając fakty w odwrotnej kolejności – gdybym doszedł do definicji prawdziwego Ansamblu, znając już całą prawdę o Laurze.

Przodek Laury zginął – załamany – w akcie tworzenia jej samej, niczym jakiś samopoświęcający się Bóg stający się kobietą. A teraz ona, zdolna do rozmazania w kobietę stającą się Bogiem, pokazała nam dokładnie, jak możemy powstrzymać załamanie, odzyskać naszą boskość i połączyć się ponownie z resztą superprzestrzeni.

Nie wiem, skąd pochodził Lui; jeżeli dorastał w NHK, mógłby być taoistą, buddystą, chrześcijaninem czy też, podobnie jak ja, ateistą. Ale prawdopodobnie nie miało znaczenia, w co wcześniej wierzył; być może historia tak potężna jak Laura – w połączeniu z aksjomatycznym dekretem modu lojalności, że praca Ansamblu jest najważniejszą rzeczą na świecie – w każdej chwili wyzwałaby te same niebezpieczne rezonanse.

I dla każdego byłoby oślepiająco jasne, czego dotyczyła owa praca Ansamblu.

Podczas gdy zmierzch obejmuje miasto, bezsilnie rozglądam się wokół. Ludzie przeciskają się obok mnie, napięci i zmęczeni, zagubieni we własnych zmartwieniach; chcę schwycić ich za ramiona i wytrząsnąć z tego spokoju ducha.

Jeżeli mam rację, to Lui mógł zrobić ze swoim nośnikiem cokolwiek: mógł uczynić go wytrzymałym,

lotnym, wysoce zaraźliwym, szybko reprodukującym się... wszystko, co w przypadku oryginalnej wersji zostało starannie usunięte. Mógł uczynić z niego doskonały wehikuł do tego, co uważał za dar Laury dla ludzkości.

Kogo ostrzec?

Kto by mi uwierzył? Nikt przy zdrowych zmysłach, gdyż plaga modu nerwowego jest jednym z paranoidalnych konceptów. Same nanomaszyny są delikatne i nie są złośliwe – a ich działanie jest ściśle połączone, na najgłębszym poziomie, z setkami specyficznych szczegółów upośledzonej biochemi nośnika. W ramach tych ograniczeń najbardziej nawet ulepszony nielegalny nośnik może przetrwać na wolności góra godzinę – użyteczny, jeśli chodzi o zarażenie pojedynczych ofiar, ale z trudem zdolny do wywołania epidemii. Eksperci zawsze byli zgodni, że głębsze majstrowanie wymagałoby nie tylko niestandardowych nośników, ale i niestandardowych nanomaszyn – co wiązałoby się z badawczym wysiłkiem równie kosztownym jak ten, który na samym początku powołał do życia całą technologię. Żadni terroryści, żaden kult religijny nie mógłby sobie na to pozwolić – a prawdopodobnie nawet żaden rząd nie byłby w stanie dokonać tego w całkowitej tajemnicy.

A jeśli chodzi o jakiegoś szemranego operatora tworzącego nośnik będący zarówno kompatybilny z istniejącymi nanomaszynami, jak i wystarczająco zaraźliwy, by stanowić zagrożenie... taki wyczyn jest bez wątpienia równie niewiarygodny jak generowanie gigantycznie wielocyfrowego klucza kodu na drodze czystego zbiegu okoliczności.

Tłum wokół mnie rzednie; niebo ciemnieje. Świat toczy się jak co dzień. Wszystko sumuje się do normalności. Lui posiada mod od drugiej; równie dobrze mógł go już uwolnić. Ile zabrałoby jego rozprzestrzenienie się? Musiał dokonać jednej drobnej zmiany w porównaniu z wersją, którą otrzymała Po-kwai. Powstrzymanie załamania nie byłoby opcją, skoro wymagałoby świadomego wywoływania; nieświadomy użytkownik nie będzie miał wyboru. Przy dziesięciu czy też stu tysiącach rozmazanych ludzi, ile czasu potrzebują ich rozmazane ja, by nauczyć się powstrzymać załamywanie reszty miasta? A przy dwunastu milionach rozmazanych ludzi...

Spoglądam w niebo i zauważam ponad gasnącą łuną na zachodzie nikły punkcik światła.

Przez dziesięć długich sekund wpatruję się weń, nim uświadamiam sobie, że to jedynie Wenus.

Kobieta w Third Hemisphere marszczy brwi i stwierdza:

– Jesteś za wcześnie. Wróc za dwie godziny.

– Przyspiesz to. Zapłacę ci...

Śmieje się.

– Możesz mi zapłacić, ile byś chciał, to i tak niczego nie zmieni. Urządzenie zostało zaprogramowane, teraz właśnie produkuje twoje nanomaszyny. Nic nie może teraz tego

„przyspieszyć”.

Nic? A gdybym jej zapłacił za pozostawienie mnie tu sam na sam z urządzeniem, a następnie rozmazał – i nie załamał, dopóki nie miałbym zainstalowanego w mojej głowie **Ansamblu**, który pozwoliłby mi tak wybrać całą sekwencję wydarzeń, by miały miejsce w jakimś „niemożliwie” krótkim czasie? Nie powstawałoby żadne ryzyko, że przyspieszone działanie urządzenia zaowocowałoby wadliwym modem... skoro, gdyby sam mod okazał się być wadliwy, cudowne przyspieszenie w ogóle nie miałoby miejsca.

Czy też miałoby? A gdybym wprowadził jakąś subtelną skazę, która nie objawiłaby się natychmiast? Wpatruję się w cichą maszynę, niepokojąco przypominającą ekskluzywny automat do napoi, i waham się w obliczu perspektywy sprowadzenia jej z bezpiecznej drogi znanych prawdopodobieństw. Już ona sama żongluje zagadnieniami na skalę molekularną, podlegającymi niepewności kwantowej. Nie chcę pozbawiać jej zdolności wyrzucenia z siebie czegokolwiek w ogóle. **Ansambl** jest moją jedyną przewagą, a jeżeli pójdę na skróty i coś tam popierdolę, wtedy nie będę miał żadnych szans, aby na czas odnaleźć Luiego.

– Poczekam na zewnątrz – mówię. – Zawołaj mnie, jak tylko...

Kobieta kiwa głową, rozbawiona.

– Zachowujesz się jak ojciec na porodówce.

Powinienem uzbroić; wejść w tryb przyczajenia i spędzić w ten sposób pozostały mi czas... ale jakaś część mnie gwałtownie opiera się temu pomysłowi. Uzbrojenie teraz byłoby nieodpowiedzialne, eskapistyczne, nienaturalne...

Rozważam tę obcą mi retorykę z otępieniem, bardziej zdezorientowany niż zszokowany.

Załamując, w jakiś nieprawdopodobny sposób wyswobodziłem się z pęt modu lojalności –

czyżbym oczekiwał, że skończyłem niezmienny pod każdym innym względem? Być może zwiększona niechęć do modów nerwowych była koniecznym, albo też wysoce prawdopodobnym, współtowarzyszem samej chęci uwolnienia.

Tak więc czekam, jak przystało na człowieka: chory z powodu bezcelowych, nieproduktywnych obaw. Starając się wyobrazić niewyobrażalne. Gdyby cała planeta permanentnie rozmazała... czego dokładnie doświadczałiby ludzie? Niczego – ponieważ nie byłoby załamania, by cokolwiek stało się prawdziwym? Czy też wszystkiego – ponieważ nie byłoby załamania, by uczynić cokolwiek mniej niż prawdziwym? Wszystkiego osobno – jedna odrębna świadomość na jeden stan własny, jak przywołany do życia model wielu światów? Czy też wszystkiego równocześnie – kakofonia nakładających się na siebie możliwości? Gdyby w jakimkolwiek czasie w przyszłości nie było załamania, to to, czego sam doświadczyłem –

przynajmniej w tych wspomnieniach, które przetrwały załamanie – może wcale nie przypominać natury doznania. Kiedy nie będzie niczego, co mogłoby tworzyć niepowtarzalną przeszłość, całe doznanie mogłoby być radykalnie inne.

Jakiegolwiek miałyby być, co do jednego jestem pewien: nie można dopuścić, żeby Luiemu się powiodło.

I mam tylko nadzieję, że moje rozmazane ja zgadza się ze mną.

Kobieta z Third Hemisphere nie pyta, czego aż tak desperacko chcę użyć. Przelewam pieniądze. Podaje mi fiolkę, której natychmiast używam.

– Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś skorzystasz z naszych usług – mówi.

Przestaję dociskać moje nozdrze.

– Szczerze w to wątpię.

Dwukrotnie pociągam nosem. Kropla płynu spada na podłogę.

Po wyjściu z zaułka instruję **MindTools**, by powiadomił mnie, gdy tylko **Ansambl** ogłosi swoją obecność. System ekspercki przewidział, że instalacja powinna zabrać od dwóch do trzech godzin, w zależności od uwarunkowań anatomi układu nerwowego użytkownika.

Kiedy wracam na główną ulicę, oślepiają mnie umieszczone przed sklepami hologramy produktów. W tym roku fotograficzny realizm wyszedł z mody i wszystko, od butów po garnki kuchenne, zostało przedstawione w postaci żarzenia. Sięgam w górę i przesuwam dłońią tam i z powrotem przez wirujące koło roweru unoszącego się dwa metry nad chodnikiem, częściowo oczekując bólu od rozgrzanych do białości szprych.

Na chwilę przystaję, obserwując tłum. *Wciąż mógłbym wykupić sobie drogę z tego wszystkiego. W dwie godziny mógłbym być na drugim końcu świata.* Być może Laura się myliła, być może wszystko, co się tutaj dzieje, może zostać w jakiś sposób ograniczone. Kiedy będzie już wiadomo, że mamy tu epidemię, mogliby zamknąć granice...

Przed ludźmi potrafiącymi się tunelować przez wszelkie rodzaje barier? Co moim zdaniem mogliby zrobić? Wrzucić całe miasto w czarną dziurę? Zbudować własną Bańkę?

– Już raz ukradłeś mod – mówi Karen. – Możesz tego dokonać raz jeszcze. Cóż takiego, co ma Lui, a czego nie miało BDI, mogłoby cię powstrzymać?

– A jeżeli już uwolnił *Endamoebal*

– Nie masz pewności, że tak jest.

Wpatruję się w niebo i zwalczam falę zawrotów głowy.

Prawda jest taka, że Bańka nigdy nas nie ograniczała; zaledwie uwidoczniała nam nasze ograniczenie. Szok nie brał się z poczucia ograniczenia; szok powstawał na skutek zmuszenia *A* ludzi do konfrontacji z drugą opcją, nieskończoną wolnością po drugiej stronie.

– Zdaje mi się, że łapię Przesłonięciówkę – stwierdzam.

Karen potrząsa głową.

– Przesłonięciówka – mówi – już dawno wyszła z mody.

Nie mam innego wyboru jak tylko czekać na **Ansambl** – ale to nie powód, by odkładać przygotowanie narzędzi potrzebnych do odnalezienia Luiego, kiedy mod będzie już funkcjonalny. ' Z powrotem w mieszkaniu, piszę króciutki program dla **von Neumanna**, przyjmujący na wejściu sześciocyfrową liczbę, konsultujący się z geograficzną bazą danych **Déjà Vu**, a następnie generujący odnośnik do znajdującego się na suchym lądzie, gdzieś na terenie miasta, kwadratu o boku czterdziestu pięciu metrów. Chwilę zabiera mi podjęcie decyzji, które tereny, poza wodnymi, należałoby wyłączyć; jest przecież pełno lądowych kategori , których przeszukiwanie wydaje się bezcelowe – zbyt odsłonięte, zbyt niedostępne czy też po prostu zwyczajnie niedorzeczne – ale nie potrafię się zdecydować na przeprowadzenie takiego podziału i w efekcie pozostawiam w puli większość z nich. Wyłączam pasy startowe lotniska, ale wszelkie wersje mnie, które zostaną wysłane do przeszukania zakamarków boiska do rugby czy też zakładu oczyszczalni ścieków, będą po prostu musiały żyć ze świadomością, że prawdopodobnie nie doczekają świtu.

Wpatruję się w mapę w mojej głowie i myślę tak: do rana to miasto zostanie zasłane moimi niewidzialnymi trupami. A jedynemu spadkobiercy mojej przeszłości, „cudownie" ocalałemu z kolejnego załamania... owe śmierci będą się zdawały mniej realne niż zazwyczaj.

Dla mnie jednak są one realne. Leżą w mojej przyszłości. Każda jedna.

Tuż przed północą wyświetla się wiadomość:

[**MindTools**:

Odebrany przekaz.

Nazwa nadawcy: **Ansambl** (Third Hemisphere, 80.000\$).

Kategoria: ukończenie autogenezy].

Staram się wywołać mod, ale żadne okno interfejsu ani żaden panel kontrolny nie pojawia się wewnątrz mojej głowy – co nie jest wielkim zaskoczeniem; to nie ja mam używać tego modu. Zatem siadam na łóżku, wywołuję **Hypernową** i przywołuję do życia istotę, dla której stworzono **Ansambl**.

Jak nazwał ją rzecznik Laury? Dziecinna? Nieodpowiedzialna? I skoro tworzy ona miliardy nieskończenie rozdzielających się wersji mnie, czymże dla niej jestem? Mikroskopijną nicością

– podobnie jak dla mnie pojedyncza krwinka albo pojedynczy neuron? Ale z drugiej strony, niewątpliwie jestem zmuszony do respektowania potrzeb moich krwinek i neuronów, *en masse*. I do tej pory wpłynąłem na nią setki razy; z pewnością kolejny cud nie jest niewyobrażalny – zwłaszcza że, o czym jestem przekonany, jestem niemal jednomyślny w takim pragnieniu. Jakież wersje mnie



mogłyby życzyć sobie sukcesu Luiego?

Odczekuję dziesięć minut, następnie wychodzę z pokoju.

Wyobrażałem sobie, jak skradam się niezauważany bocznymi uliczkami i zaułkami, ale na fantazji się skończyło. Północ to godzina szczytu dla turystów i wszystkich tych, którzy na nich zarabiają; wszystkie boczne uliczki i zaułki są zapchane ludźmi. Przedzieram się przez ten tłum, myśląc: albo już dawno zostałem załamany – albo praktycznie wykonuję pracę za Luiego.

Skoro zapobiegam załamaniu każdego, kto mnie obserwuje, i każdego, kto z kolei obserwuje ich... i jest to prawdą dla każdej wersji mnie, podczas kiedy rozpościeram się po całym mieście... to ile pozostało czasu do rozmazania całej planety? Przypuśćmy, że w przypadku Laury była mowa o dniu lub dwóch – lecz w moim przypadku nie mogę liczyć na zastosowanie takiej samej skali czasu. Ona mogła odkryć sposoby na zminimalizowanie efektu, techniki skupienia własnej obecności. Ja, skoro wyruszyłem na przetrząśnięcie całego miasta, wcale nie jestem skupiony.

Przy wejściu do metra stoi kobieta-grajek z nałożonymi staromodnymi rękawicami sensorycznymi, grając na wirtualnych skrzypcach – i to grając bardzo umiejętnie... jeżeli to naprawdę ona wydobywa ten dźwięk, a nie tylko udaje, że gra. Kiedy zjeżdżam w dół

ruchomymi schodami, sięgam po generator kości i rzucam trzema dziesięciościanami, a następnie wprowadzam wyniki do mojego programu dzielącego mapę.

Rzucanie kośćmi jako sposób na odnalezienie szaleńca? Dlaczego nie poradzić się horoskopu Luiego? Dlaczego nie zajrzeć do pierdolonego *I Ching*?

Ale tłumię swoje resztki zdrowego rozsądku, wpycham się na zatłoczoną stację i kupuję bilet do mojego losowo wybranego miejsca docelowego.

Mój cel to posępny blok mieszkaniowy w pasie terenów mieszkalnych wdzierających się w dzielnicę magazynów na północ od portu. Zbliżam się tam z tak wielką nadzieją i ostrożnością, jaką tylko mogę w sobie wzbudzić, rozdarty pomiędzy klarownym zrozumieniem, że szanse odnalezienia Luiego, są wciąż jak jeden do miliona... i moje nieważne, ale nieodparte wspomnienia, że przeżyłem już załamanie – „wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu” – tak wiele razy do tej pory.

Drzwi wejściowe są zamknięte, lecz posiadają domofon z kamerą dla odwiedzających.

Kiedy podchodzę, rozsuwają się. Po wejściu do środka spoglądam przez ramię, wstrząśnięty krótkim, lecz żywym wyobrażeniem innego biegu wydarzeń: oto stoję na zewnątrz, próżno czekając na cud mający się nigdy nie wydarzyć.

Trzydzieści pięter, na każdym dwadzieścia mieszkań. Bez namysłu rzucam trzema dziesięciościanami – otrzymuję ósemkę, dziewiątkę i piątkę. Niemal panikuję, lecz potrząsam głową ze śmiechem. Tak łatwo się nie poddam; mogę zagrać w tę gierkę, jak tylko przyjdzie mi na to ochota. Odejmuję sześćset i ruszam w kierunku schodów. Jeżeli przytrafi się, że w którymś z mieszkań będzie mnie więcej niż w innych, z pewnością nie stanie się nic wielkiego.

Po cichu wchodzę po schodach. W budynku wcale nie jest cicho. Słyszę przytłumioną muzykę dochodzącą z trzeciego pietra, płacz dziecka na siódmym, okazjonalny dreszcz puszczonej wody i splukiwanych toalet. Banalność tego wszystkiego jest absurdalnie uspokajająca – jak gdyby zgodnie z jakimś wymyślnym prawem zachowania niewiarygodności te wersje mnie, którym pisane jest przegrać, mogły usłyszeć jakiś pokręcony dowód na to, że ich szczęście zostało zmarnowane... niczym te same wersje „Raju” Angeli Renfield, odgrywane równocześnie we wszystkich mieszkaniach.

Zanim jeszcze wchodzę na dziesiąte piętro, podejmuję decyzję: jeżeli Luiego nie ma w 295, przeszukam cały budynek, od strychu aż po piwnice. Nie mam nic do stracenia. A jeżeli nie ma go nigdzie w budynku? Wtedy przetrząsnę całą ulicę.

Po wyjściu na czternaste piętro zauważam przed sobą ruch, ale to tylko pękaty robot sprzątający, ślizgający się wzdłuż korytarza, odkurzający postrzępiony dywan i ścierający graffiti ze ścian.

Przed drzwiami do 295 waham się, ale tylko przez chwilę. Wyciągam broń i chwytam za klamkę.

Drzwi stają otworem.

Lui stoi obok zawałonego szkłem laboratoryjnym stołu, obserwując mieszany w kolbie przez wirujący magnesik płyn. Ze złością podnosi wzrok, a wtedy wyraz jego twarzy nagle łagodnieje i – niemal zapraszającym tonem – mówi:

– Nick. Nie poznałem cię.

– Odsuń się i złóż ręce nad głową. Robi, co mu każe.

Czy załamać teraz, po to by przypieczętować moje zwycięstwo; uczynić je nieodwołalnym? Jeszcze nie. Nie czas na spoczywanie na laurach; nie mam pojęcia, jakie jeszcze niemożliwe wyczyny mogą być przede mną.

Wciągam głęboki oddech.

– Czy uwolniłeś już *Endamoebę*?

Niewinnie potrząsa głową.

– Jeżeli kłamiesz, to...

Co? I jak miałbym się przekonać, czy mówi prawdę? Okolica w żaden widoczny sposób nie rozplynęła się w biliard wersji – ale z drugiej strony, podobnie i ja, w żaden widoczny sposób.

– Dlaczego nie?

Obdarza mnie lekko zdezorientowanym spojrzeniem, jak gdyby nie do końca mógł uwierzyć, że pytam o coś takiego.

– Wysłany do NeoModu szczep był osłabiony. Nie miałem pojęcia jakie testy mogliby na nim wykonać, i nie mogłem ryzykować wysłania im czegokolwiek zbyt odbiegającego od normy.

Może i chętnie naginają zasady – tworząc na potrzeby jakiegoś gangstera mod marionetki, który mógłby zostać podrzucony innemu do drinka – ale gdyby odkryli, że mają do czynienia z czymś, co mogłoby się rozplenić jak plaga, to raczej nie ruszyliby z miejsca i nie dołączyliby nanomaszyn. – Wskazuje głową kolbę z mieszałką. – Hoduję teraz szczep z retrowirusem, który wstawia z powrotem do jego genomu istotną sekwencję promotora.

Wersja, którą tam zobaczyli, nie była bardziej widowiskowa niż jakikolwiek standardowy nielegal. Tutaj widzisz to, co trzeba.

Nie ma powodu, żeby mu wierzyć, ale dlaczego grzebałby się z tym sprzętem, zamiast włóczyć się po ulicach, rozsiewając nośnik? Spoglądam na kolbę, wygląda na szczelnie zaplombowaną, co wydaje się dziwaczne... jednak z drugiej strony, nie chciałby przecież ryzykować rozmazaniem samego

siebie podczas zajmowania się czymś równie istotnym –

podobnie jak ja wybrałem pozostanie w załamany stanie podczas syntezy **Ansamblu**.

– Kto jeszcze ma kopię modu? – pytam.

– Nikt.

– Taaa? Nikogo innego w Kanonie nie przekonałeś do swojego punktu widzenia?

– Nie – Waha się, wreszcie dodaje rzeczowo: – Byłeś jedynym, który mógłby to zrozumieć.

Śmieję się oschle.

– Nie marnuj oddechu. Nie jestem już częścią Kanonu; jak się wydaje, tunelowałem z tego specyficznego domu wariatów. – *A ty wkrótce podążysz moim śladem – aczkolwiek przy użyciu bardziej konwencjonalnych środków.*

Potrząsa głową.

– Mod lojalności nie ma tu nic do rzeczy. Rozmazywałeś i załamywałeś wystarczająco często, aby zrozumieć, co można dzięki temu zyskać.

– *Zyskać?* – Jakoś nie może dojść do mnie ogrom tego, czego udało się uniknąć; być może gdybym go przyłapał z czymś bardziej nieszkodliwym – powiedzmy, średniej wielkości bryłką plutonu – mógłbym poczuć ulgę.

– Rozumiem – stwierdzam – taka jest twoja wizja prawdziwego Ansamblu, w zupełności uzależniona od modu lojalności. Nie winię cię o to, że nie byłeś w stanie się powstrzymać –

pamiętam, czym jest dwójmyślenie – ale sam przyznaj: zdajesz sobie sprawę, że cały ten pomysł jest obsceniczny ponad wszelkie wyobrażenie. Wiedziałaś o tym przez cały czas.

Mówisz o przeniesieniu dwunastu miliardów ludzi w pewien rodzaj metafizycznego koszmaru...

– Mówię o zakończeniu tego, że w każdej mikrosekundzie ginie dwanaście miliardów ludzi.

Mówię o zakończeniu śmierci wszelkich możliwości.

– Załamanie nie jest śmiercią.

– Nie? Pomyśl o tych wersjach samego siebie, które mnie nie odnalazły...

Śmieję się gorzko.

– Akurat to twoja zasługa, że nauczyłem się tym nie przejmować. Ale gwarantuję ci jedno: jeśli o nich chodzi – o ile w ogóle czegokolwiek doświadczają – to musi się to im wydawać nieuniknioną

śmiercią. Ale nie zwykłym ludziom. Nie mnie, nigdy więcej. Ludzie dokonują wyborów i tylko jeden ze stanów własnych przeżywa. To żadna tragedia, tacy jesteśmy, tak musi być.

– Wiesz, że tak nie jest.

– Nieprawda.

– Czyż nie oplakujesz tych wersji samego siebie, które przekonały Po-kwai, by używała dla ciebie Ansamblu?

– Nie. Dlaczego miałbym?

– Moim zdaniem, musieli być blisko. Być może zostali kochankami.

Jestem wstrząśnięty taką myślą, ale mówię spokojnie.

– To nic dla mnie nie znaczy. On nigdy nie był prawdziwy. Ona niczego nie pamięta, ja podobnie...

– Ale możesz sobie wyobrazić, jacy mogli być szczęśliwi. Jak, jeżeli nie śmiercią, nazwiesz koniec takiej szczęśliwości?

Wzruszam ramionami.

– Ludzie umierają codziennie. Nie mam na to żadnego wpływu.

– Ale możesz. Nieśmiertelność jest możliwa. Niebo na Ziemi jest możliwe.

Śmieję się.

– Niebo na Ziemi? W kogo się teraz bawisz – w milenarystę? Nie możesz zdawać sobie sprawy, nie bardziej niż ja, jak by wyglądał stan permanentnego rozmazania. Ale jeżeli Niebo na Ziemi jest jego częścią, to będzie ono współistnieć z Piełem. Skoro żaden stan własny nie jest niszczone, to każdy wyobrażalny rodzaj cierpienia...

Niewzruszenie kiwa głową.

– Och, tak. I każdy wyobrażamy rodzaj szczęścia. I wszystko pomiędzy. Wszystko.

– Tak jak i koniec wszelkiego wyboru, śmierć wolnej woli...

– Śmierć niczego. Jak odzyskiwanie różnorodności wszechświata może być odbierane jako odejmowanie czegokolwiek?

Potrząsam głową.

– Tak z ręką na sercu, nie dbam o to. Jedynie...

– Więc zabraniasz wszystkim innym takiego wyboru?

Śmieję się z niedowierzaniem.

– Jesteś świrem, który zaplanował narzucenie własnej woli...

– Nawet w najmniejszym stopniu. Kiedy planeta będzie już rozmazana, wszyscy się połączą. Rozmazana ludzka rasa sama może zdecydować, czy chce, czy też nie chce ponownego załamania.

– A ty nazywasz osąd tej... dziecięcej kolektywnej świadomości... sprawiedliwą decyzją o losie planety? Nawet Budowniczkowie Bańki mieli więcej szacunku dla ludzkości.

– Oczywiście, mają szacunek dla ludzkości. Sami są ludźmi.

– Laura jest...

– Nie: wszyscy oni. Jak ci się zdaje, kim oni są? Jakąś egzotyczną formą życia z innej planety? Czy uważasz, że gdyby sami nie byli rozmazanymi ludźmi, to mogliby w ten sposób przeprogramować geny Laury, by te powstrzymywały ją przed załamywaniem, by dały jej zdolność manipulacji stanami własnymi?

– Ale...

– Załamywanie ma skończony horyzont, poza którym zawsze znajdują się stany własne.

Czy wydaje ci się, że żaden z nich nie zawiera istot ludzkich? Budowniczkowie są pozostałością po nas samych – powstałi z tak nieprawdopodobnych wersji nas, że uniknęły one załamania.

Wszystko, co chcę osiągnąć, to podarować nam szansę połączenia się z nimi.

Głowa mi pulsuje. Raz jeszcze spoglądam na kolbę. Być może i jest zaplombowana, ale byłbym o wiele szczęśliwszy, gdyby została złożona w kąpielni kwaśnej czy też w wysokotemperaturowej spopielarni.

– Przejdź tam i siądź na krześle. – Wskazuję bronią. – Obawiam się, że będę cię musiał związać, gdy będę szukał sposobu na pozbycie się tego gówna.

– Nick, proszę, tylko...

– Posłuchaj – mówię spokojnie – jeżeli będziesz mi sprawiał kłopot, to nie mam zamiaru cię ranić. Nie mogę ryzykować, że będziesz się miotał po całym pokoju. Jeżeli już strzelę, to tylko po to, żeby cię zabić. Przejdź więc tam i usiądź na krześle.

Rusza, jakby miał posłuchać, ale waha się. Nagle uświadamiam sobie, że znajduje się bliżej stołu, niż mi się wydawało; być może nie na wyciągnięcie ręki, ale zaledwie o krok dalej.

– Tylko pomyśl o tym – mówi – tylko o tyle cię proszę! Poza Bańką muszą istnieć stany pełne najbardziej niesamowitych rzeczy! Cuda. Sny. – Jego twarz jaśnieje czystą ekstazą, wszelkie ślady

dawnej udreki i wstrętu do samego siebie znikły. Być może położył kres dwójmyśleniu; być może ta jego część, która wiedziała, że „prawdziwy Ansambl” był jedynie neurologiczną aberracją, nie mogła dłużej znosić tej sprzeczności. Być może mod lojalności wreszcie zniszczył na zawsze dawnego Lui Kiu-chunga.

– Właśnie otrzymałem mniej więcej wszystkie cuda, jakie mógłbym znieść – mówię delikatnie.

– I muszą istnieć stany, w których twoja żona...

Ucinam stanowczo.

– Czy do tego właśnie miał prowadzić cały twój bełkot o Niebie na Ziemi? Emocjonalny szantaż? – Śmieję się znużony. – Naprawdę jesteś żaloszny. Tak, moja żona nie żyje. Ale mam ci coś do powiedzenia: pierdoli mnie to.

Jest wyraźnie wstrząśnięty – a ja nie jestem tym zdziwiony; jeżeli naprawdę myślał, że mógłby mnie przeciągnąć na swoją stronę, właśnie zmiażdżyłem jego ostatnią nadzieję. Ale wtedy, jak się wydaje, ogarnia go pewien rodzaj rezygnacji, niemalże spokoju. Patrzy mi w oczy i mówi:

– Nie, nieprawda.

I rzuca się do przodu z wyciągniętym prawym ramieniem. Wypalam dziurę w jego czaszce, pada na bok, uderzając w podłogę, ledwo zahaczając o stół.

Kolba stoi. Nietknięta. Magnesik wiruje cichutko.

Obchodzę stół i przykucam obok niego. Rana znajduje się tuż ponad oczami, ma osmalone brzegi, dobry centymetr szerokości i czuć od niej przypalonym mięsem. Wszystko wywraca mi się w środku. Nigdy jak do tej pory nikogo nie zabiłem, nigdy nawet nie wystrzeliłem ani nawet nie znalazłem się w pobliżu martwego ciała, gdy byłem rozbrojony. I nie powinienem być zmuszony go zabić. Powinienem być bardziej uważać.

Pieprzyć to, nic nie było jego winą. To wina Ansamblu. Również Laury. Laury, trzymającego się na uboczu gościa, biernego obserwatora. Spośród wszystkich istot to ona powinna była wiedzieć, że coś takiego nie jest możliwe.

Powinienem być bardziej uważać i odsunąć go od stołu już na samym początku...

I może tak właśnie zrobiłem.

Taka myśl sprawia, że skóra cierpię mi ze strachu. Być może tak zrobiłem. Niemal na pewno tak zrobiłem. Więc kogo teraz wybierze moje rozmazane ja? Mnie – czy kuzyna, który był wystarczająco rozsądny, żeby zrobić to tak, jak należy?

A ja chcę, żeby kogo wybrało?

Wpatruję się w pokrwawioną twarz Luięgo. Prawie go nie znałem... ale co musiałbym utracić, aby

ożywić go z martwych? Dwie minuty własnego życia, tylko tyle. Mrugnięcie okiem amnezji. Ile godzin, zebranych dotąd przez wszystkie lata, utraciłem z pamięci – zniknęły zupełnie, tak jakby nigdy nie miały miejsca? I jak wiele wersji mnie zginęło w czasie, kiedy byłem uzbrojony, aby jedyny, który dokonał optymalnych decyzji, mógł stać się prawdziwy? To nie będzie nic nowego; przez całe moje życie umierałem w imię ułożenia wszystkiego jak należy.

Decyzja nie należy do mnie, ale kiedy wywołuję **Hypernova**, szepczę na głos:

– Wybierz kogoś innego. Pozwól mu żyć. Nie zależy mi.

Naciskam guzik WYŁ...

...i nie zmienia się nic.

(Tak jakby miało coś się zmienić).

Przechodzę przez pokój w kierunku jedynej krzesła. Osuwam się na nie, zamykam oczy i czekam. Karen stoi tuż obok mnie, milcząca, lecz podtrzymująca mnie na duchu.

Po piętnastu minutach – z pewnością wystarczająco długo, by ktokolwiek, kto zajął się Luim lepiej niż ja sam i kto go związał, wybrał opcję załamania – wywołuję **CypherClerka**.

Nie mam pojęcia, co zrobić z kolbą zawierającą najbardziej zaraźliwego pierwotniaka na świecie, ale jestem pewien, że doktor Pangloss będzie miał kilka sugestii .

– Tylko pomyśl o tym, tylko o tyle cię proszę. Poza Bańką muszą istnieć stany pełne najbardziej niesamowitych rzeczy! Cuda. Sny. I muszą istnieć stany, w których twoja żona wciąż żyje.

Przez chwilę jego słowa mnie elektryzują, ale...

– Nie masz pewności. Nie wiesz, czy Budowniczości Bańki są ludźmi; to wszystko to jedynie spekulacje.

Ignoruje moje słowa i tylko miękko powtarza:

– Pomyśl o tym.

Mimo iż niechętnie, ale to robię. Karen, żywa. Koniec z halucynacjami generowanymi przy użyciu modu, koniec z solipsystycznymi parodiami. Wszystko, co mieliśmy, zostanie przywrócone – ze wszystkimi problemami, wszystkimi porażkami... ale przynajmniej byłoby to naprawdę.

Z zawrotami głowy i pełen zmieszania wyszarpuję się z tych emocji. Jak wysoką cenę musiałem zapłacić za wymknięcie się z pęt modu lojalności? Nowo odkryty wstręt do modów to jedno – ale Karen wciąż powinna czynić takie sentymenty fizycznie niemożliwymi.

Powinienem kazać mu się zamknąć, zignorować go.



– Nawet jeżeli masz rację... – stwierdzam. – Co też prawdopodobnie mogłoby to oznaczać? To nigdy nie stałoby się prawdziwe dla mnie. Stany rozchodzą się, rozszczepiają, a później nie łączą się ponownie.

– Nie? Kiedy już świat przestanie załamywać, wtedy wszystko będzie możliwe. – Śmieje się uszczęśliwiony. – Załamanie jest źródłem asymetrii czasowej; możesz być zdolny do tunelowania w przeszłość, do czasu nim zginęła...

Potrząsam głową.

– Nie. Pewne wersje mnie mogą – w czasie kiedy inne nie. To jest... chaos, obłęd. Ja nie mógłbym żyć w ten sposób: tworząc miliardy kopi samego siebie, po to tylko, żeby jakaś mała ich grupka mogła dostać to, czego zapragnę.

*Me mógłbym? Dziś w nocy właśnie to zrobiłem.*

Waha się, wreszcie mówi:

– I szczerze nie chcesz takiej szansy dla kogoś – kogoś, kim się staniesz – aby powrócił w czasie do tej nocy, kiedy ona zginęła? Żeby sprawił, by wszystko potoczyło się inaczej?

Otwieram usta, aby temu zaprzeczyć. Zamiast tego słyszę wydawany przeze mnie dziwny, zwierzęcy odgłos, uciekające z podziemnych głębi wycie bólu.

Rzuca się do przodu. Oszołomiony, biorę go na muszkę – za późno. Trzyma kolbę za szyjkę, wysoko ponad stołem – jeżeli do niego strzelę, z pewnością ją upuści.

Jednym gładkim ruchem rzuca nią w kierunku okna. Panel jest otwarty. Zaslona przeciw owadom rozdziera się.

Przez sekundę stoję zmrożony, z wycelowaną w niego bronią, częściowo gotowy, by wypalić w nim dziurę z czystej złości na własną głupotę; ruszam pędem do okna i spoglądam na dół. Ustawiam laser na moc reflektora, zauważam odłamki szkła i niewielki mokry ślad.

Wyparowuję kałużę, wypalam wokół niej beton.

– Marnujesz tylko czas – stwierdza.

– Weź się, kurwa, zamknij!

Ktoś dokładnie pode mną wystawia głowę przez okno; wrzeszczę na nich i głowy znikają.

Przesuwam promieniem lasera po coraz szerszych kręgach, myśląc: prawie nie ma wiatru, a dyfuzja to powolny proces. Wciąż mogę je wszystkie zabić; to nie jest niemożliwe. W

porównaniu z odnalezieniem Luiego w dwunastomilionowym mieście...

Wtedy wreszcie dochodzi do mnie prawda: to, czy zniszczyłem *Endamoeba*, czy też nie, nie ma żadnego znaczenia. Być może jestem jedną z nieprawdopodobnych wersji –

spomiędzy tych wszystkich, które powstały po uderzeniu kolby w ziemię – które miały wystarczająco dużo szczęścia, by zupełnie wysterylizować kałużę. To nie ma znaczenia; żaden z nas, z tych, którzy aż tak poważnie spieprzyli, z pewnością nie przeżyje. Kiedy dojdzie do wyboru, zostanie wybrana taka rzeczywistość, w której Lui nawet nie zbliżył się do kolby.

Obracam się w kierunku pokoju i staję z nim twarzą w twarz.

– Ty i ja jesteśmy historią. – Śmieję się. – Teraz wiesz, przez co przeszedłem z twoimi pierdolonymi kłódkami.

Zamykam oczy, starając się opanować strach. Wersja mnie przeżyje – wersja, której udało się tam, gdzie ja zawiodłem. Na co więcej mogę liczyć? Chciałem być jedynym. Ale teraz jest już na to za późno.

– Gdybym cię zabił – czy byłoby to morderstwo? – pytam. – Biorąc pod uwagę, że już jesteś martwy?

Nie odpowiada. Otwieram oczy, chowam broń. Wpatruję się w niego; wciąż nic nie mówi.

Nie wygląda na kogoś, kto pogodził się z porażką czy chociażby z własnym męczeństwem.

Być może wciąż wierzy, że prawdziwy Ansambl może go ocalić.

– Opowiem ci o przeszłości – mówię. – Wszedłem do tego pokoju, przywiązałem cię do tego krzesła i zniszczyłem wszelki ślad po *Endamoeba*. A teraz opowiem ci o przyszłości: uwolnię cię od modu lojalności. Będziesz mi wdzięczny. Między nami mówiąc, to samo zrobimy dla reszty Kanonu. Dzięki ich zeznaniom prawo zajmie się ASR i BDI – i być może doprowadzi do upadku całego Ansamblu. Wtedy rozejdziemy się, każdy w swoją stronę, a potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Wychodzę z budynku, okrążam port, idąc w kierunku centrum miasta tylko po to, żeby coś robić, starając się nie myśleć o niczym. Mógłbym wywołać **P3** wraz z jego doskonałym stoicyzmem. Mógłbym wywołać **Bossa** i ułożyć się do snu. Nie robię żadnej z tych rzeczy. Po przejściu około trzech kilometrów sprawdzam wreszcie godzinę: pierwsza trzynaście.

Ta wersja mnie, której się udało, do tej pory musiałaby przebywać w mieszkaniu przynajmniej od czterdziestu minut.

Obracam się i wyrzaskuję przekleństwa. Ulica jest zatłoczona, ale nikt nawet nie obdarza mnie spojrzeniem. Nieoczekiwanie wyczerpany, siadam na skraju drogi.

Przyzwyczajenie przezwycięża obrzydzenie; staram się wywołać Karen. Bez rezultatu.

Uruchamiam dokonujący inwentaryzacji podprogram **MindTools**; mod wciąż jest podpięty.

Uruchamiam diagnostykę – a moja czaszka eksploduje powiadomieniami o błędach. Wyłączam

program i skrywam głowę w ramionach. W porządku, umrę samotnie. Chciałbym tylko, żeby już było po wszystkim.

Po chwili wstaję, odwracam się do mijającej mnie kobiety z pytaniem:

– Co to ma być? Wirtualne zaświaty?

– O ile wiem, nie – odpowiada.

Wyciągam generator kości, chowam go z powrotem, znów po niego sięgam. Cóż może mi on udowodnić? Jeżeli wciąż jestem rozmazany – a muszę być – to przy każdym rzucie rozszczepię się na trzydzieści sześć wersji, zjedną gałęzią mnie stopniowo coraz bardziej przekonaną, jaka jest prawda... ale żadne inne nic z tego nie wyniosą.

I tak rzucam kośćmi.

Siedem. Trzy. Dziewięć. Dziewięć. Dwa. Pięć.

Na co teraz czekasz? Czy po raz drugi przetrząsasz miasto w poszukiwaniu ukrytych kopii modu? Po raz kolejny włamujesz się do BDI, aby zniszczyć oryginał?

Ale dlaczego miałbym robić którąkolwiek z tych rzeczy – nie załamując uprzednio, aby utrwalić pierwszy cud tej nocy i zredukować ryzyko niepohamowanego rozmazania?

Spoglądam na puste szare niebo i ruszam w kierunku miasta.

Kiedy nadchodzi świt, nie mam już żadnych wątpliwości: jestem załamany, to ja jestem tym, który przeżył. Każda wersja mnie, której by się udało, do tej pory postarałaby się załamać: już sam fakt, że wciąż istnieję, dowodzi, że moja porażka jest rzeczywista i nieodwracalna.

Słońce szybko wschodzi ponad Zatoką Karpentarią, rozsyłając bolesne rozbłyski światła w prześwitach pomiędzy drapaczami chmur – i w którąkolwiek stronę bym się nie odwrócił, zawsze patrzę w oślepiające odbicia. Głowa mi pulsuje, bolą mnie ręce i nogi. Nie chciałbym być martwy, chciałbym jedynie być kimś innym. Jak mogę się cieszyć z tego, że przeżyłem, skoro dzieję się to takim kosztem?

Wciąż szukam rozwiązania. Być może nie zawiodłem – być może udało mi się zniszczyć wszelkie rozlane *Endamoeba*. Ale... jak moje rozmazane ja mogłoby wiedzieć, że tego dokonałem – a nawet gdyby, to dlaczego miałyby wybrać tak nieprawdopodobną drogę do sukcesu, spośród mnóstwa innych, w których kolba po prostu nigdy nie została rozbita?

Odpowiedź musi brzmieć: nie zrobiło tego. Świadomie wybrało stan, w którym nośnik został uwolniony. Musiało wreszcie zrozumieć, co by to dla niego oznaczało: koniec ze sporadycznymi wskrzeszeniami z hologramu w mojej czaszce, niczym dżin wypuszczany z lampy tylko po to, by zagwarantować moje niemożliwe życzenia. Czego oczekiwałem? Że nie odrzuci szansy „wolności” – czy jakkolwiek inny obcy koncept świata poza Bańką posiadało –

przez wzgląd na zadowolenie pojedynczej komórki własnego ciała, jednego atomu w jego kciuku, jednej nieistotnej, nieskończenie małej cząstki jego kolosalnej złożoności?

Kupuję sobie śniadanie, zostawiam dziesięć tysięcy dolarów napiwku, a następnie wracam pieszo do mieszkania, aby poczekać na koniec świata.

Sprawdzam systemy wiadomości w poszukiwaniu oznak, że plaga się rozpoczęła, ale ledwo zauważam to, co czytam. Znajduję się pomiędzy fatalizmem a niedorzecznymi nadziejami, pomiędzy zawracającą w głowie chęcią, by wreszcie objąć nagą obcość świata, a chwilami czystej, upartej niewiary. Patrząc przez okno na w niczym się nie wyróżniające miasto i myślę: nawet jeżeli ludzkość podtrzyma ten stan, mikrosekunda po mikrosekundzie... teraz, po tylu tysiącach lat, świat z pewnością musi mieć jakiś rodzaj stabilności, jakiś rodzaj inercji, jakiś rodzaj niezależnej rzeczywistości.

Ale dlaczego miałyby tak być? Czy wydaje mi się, że przez wystarczająco częste załamywanie nieożywionej materii zniszczyliśmy jej zdolność do rozmazywania?

Zastrasziliśmy ją do uległości aktem metafizycznego imperializmu? I czy mam nadzieję, że solidny, stworzony przez nas makroskopowy świat będzie teraz w zamian zakotwiczać nas w rzeczywistości? Prawda jest taka, że kiedy przestaniemy narzucać nań niepowtarzalność, wybuchnie w miliardzie kierunków z prędkością, która nie uległa zmianie od czasu narodzin wszechświata.

Odkładam na bok wszelkie sprzeczności, nie mam pojęcia, jak się znieczulić, jak sprawić, by moje ostatnie godziny minęły znośnie. Utraciłem stary sposób życia; odrzuca mnie sama myśl o znalezieniu pociechy w modzie – jakkolwiek nie mogę zignorować moich wspomnień; nie mogę zapomnieć, że mod lojalności dawał mi poczucie celowości ani że Karen sprawiła, iż byłem tak szczęśliwy, jak gdybym był zakochany. I choć nie chciałbym nawet przez chwilę odzyskać tej syntetycznej szczęśliwości, tej obscenicznej parodi miłości... to nie posiadam niczego innego, co mogłoby zająć jej miejsce. Jak mógłbym? Zostałem powołany do życia zaledwie kilka godzin temu. Nie jestem tłumionym fragmentem mojego poprzedniego ja, żadną podświadomą osobowością, która wreszcie „przebiła się” na powierzchnię. Jestem obcym w moim własnym życiu, intruzem w mojej własnej czaszce. Gorzej niż człowiek cierpiący na amnezję, ja pamiętam przeszłość – ale zdaję sobie sprawę, że nie mam prawa rościć sobie do niej żadnych praw.

Systemy wiadomości cierpliwie podają historie zwykłego szaleństwa: wojna domowa na Madagaskarze; klęska głodu na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych; kolejne niewyjaśnione zamachy bombowe w Tokio; kolejny bezkrwawy *coup d'état* w Rzymie. Lokalne wiadomości to wyłącznie triwia – korporacyjne przejęcia i pomniejsze skandale polityczne. Nim zapada noc, jestem gotów porzucić wszelkie roszczenia do tego, że zrozumiałem wydarzenia ostatnich dwóch dni – i z wdzięcznością zatopić się w zrozumieniu, że wszystko, co mi się przytrafiło, było paranoidalnym złudzeniem.

Obraz na terminalu miga i gaśnie. Uderzam dłonią i terminal powraca do życia – lecz wtedy tekst faluje i rozpada się na pojedyncze litery, które wolno rozplływają się po ekranie we wszystkich kierunkach, niczym unoszące się na wodzie pozostałości po katastrofie morskiej czy też śmieci wędrujące po kosmosie. Litery opuszczają powierzchnię monitora i wpływają do wnętrza pokoju.

Sięgam dłonią i zbieram ich garść; jak płatki śniegu topnieją mi w dłoni.

Spoglądam na miasto. Hologramy reklamowe dzielą się na części, rozpuszczają, mutują.

Niektóre zdegenerowały się do abstrakcyjnych smug żywych kolorów, powoli krwawiących w nocne niebo; inne pozostają rozpoznawalne, jakkolwiek nierzeczywiste: obrazom odrzutowców wyrastają łuski i szpony; rozpromienione dzieci cofają się w rozwoju do przezroczystych różowych embrionów; gigantyczna struga Coca-Coli, nieskończenie wpływająca do bezcielesnych ust, płonie niczym napalm, podpalając znajdujące się wokół

budynki, wysyłając w górę pióropusz kłębow gęstego czarnego dymu.

Starszy mężczyzna czeka na windę. Pozdrawiam go, a on tylko się we mnie wpatruje z szeroko otwartymi oczami. Naciskam guzik przywołania, ale wyświetlacz nad drzwiami nie pokazuje niczego oprócz potoku przypadkowych symboli, z rzadkimi przebłyskami w *pai-hua*, zbyt krótkimi, bym mógł je sobie przetłumaczyć. Mężczyzna szepcze po kantońsku: *To zna moje myśli*. Obracam się w jego kierunku, a on zaczyna łkać. Staram się wymyślić sposób ukojenia jego rozpacz; wyjaśnienia mu, co się dzieje, ale nie wiem, jak zacząć – ani jakie pocieszenie mogłoby mu to przynieść.

Schodzę po schodach.

Na zewnątrz, na ulicy, tłumy są przytłumione – spokojniejsze, niż kiedykolwiek je widziałem. Przez cały czas oczekiwałem hysterii i przemocy, ale ludzie zdają się być zahipnotyzowani, jakby kroczący we śnie. Transformujące się bil boardy są dziwnym widowiskiem, ale nie tłumaczą panującego nastroju. Mutujące hologramy i efekty pirotechniczne mogły być jedynie złożoną sztuczką; z pewnością nikt do tej pory nie odgadł, co zapowiadały.

Nie? Ich rozmazane ja mogły już okrążyć świat, mogły już się połączyć, sporadycznie, w umysł o wiele bardziej złożony, niż kiedykolwiek pojawił się na Ziemi. Kimże jestem, by wiedzieć, jaki punkt widzenia mógłby zostać przekazany do załamane go stanu?

Na Observatory Road zauważam wystrzeliwującą z chodnika kwitnącą gałąź winorośli, tańczącą niczym wąż. Pomiędzy oszołomionymi widzami o pustych twarzach dwójka małych dzieci zaśmiewa się i z radością klaszcze w dłonie; zapewne wybór tego wydarzenia należy właśnie do nich. Płatki białych kwiatów układają się w świecące motyle, które trzepocząc skrzydłami, odlatują ponad głowami zebranego tłumu; ale kwiaty pozostają nietknięte, nieskończenie odnawiane.

Co jest bardziej prawdopodobne: stan własny, który rzeczywiście zawiera taki wyczyn –

czy też taki, w którym każdy świadek tego wydarzenia ma zaledwie związane z nim halucynacje? Trzymam się kurczowo takiego rozróżnienia, z uporem – choć nie mam pojęcia, jak długo jeszcze zdołam je utrzymać.

Odwracam się – zauważam kwitującego młodego mężczyznę, zwiniętego w kłębek, który z zamkniętymi oczami i błogim uśmiechem wiruje wokół własnej osi w powietrzu. Ludzie przyglądają mu się uprzejmie, jak gdyby był zonglującym czy też chodzącym na szczydach ulicznym artystą.

Pewna starsza kobieta wypuszcza korzenie, materiał jej spodni i skóra jej nóg stapiają się ze sobą, tworząc korę. Inna kobieta zamienia się w pomnik ze szkła, ledwie widoczna barwa ciała znika z jej kończyn, skupiając się na tułowi, by po chwili zniknąć zupełnie. Jaka jej wersja mogłaby chcieć wyboru takiego samobójczego rezultatu? Ale

„pomnik” przeciąga się, a następnie rusza przed siebie zdecydowanym krokiem. Staram się podążać za nią, ale rozplywa się w tłumie.

Idę dalej.

W niektórych miejscach lampy uliczne jaśnieją niczym małe słońca, podczas gdy sto metrów dalej miasto jest pogrążone w ciemności. Skręcam w zaułek i brodzę po pas w złotych monetach. Podnoszę garść; są równie ciężkie, równie chłodne, równie solidne, jakby były prawdziwe. Nie powinienem być w stanie zrobić w nich nawet kroku, ale idę tak łatwo, jak gdyby nic nie blokowało mi drogi.

Wyłaniam się na jasno oświetlonej ulicy, gdzie z nieba pada krew – grube, ciemne, obrzydliwe krople. Ludzie stoją, osłaniając twarze, wrzeszcząc albo padając bezładnie na ziemię, trzęsąc się i skowycząc. Cóż to jest – wizja końca świata jakiegoś rozmazanego świra? Czy każda obłąkana eschatologia, jaką kiedykolwiek wymyślono, zostanie w ciągu tych kilku ostatnich godzin spuszczone na Ziemię? A może to tylko wypadek, niezamierzony błąd?

Wielu spośród rozmazanych ludzi wciąż może być niedoświadczonych, a kiedy są odosobnieni – być może załamujemy ich nieświadomie, konstruując mozaikową rzeczywistość z serii przypadkowych ujęć ich pierwszych, dziecinnych eksploracji przestrzeni stanów własnych.

Staję i bezsilnie się przyglądam, dopóki wpadająca mi do oczu krew nie zaczyna mnie oślepić.

Już przecnicę dalej z chmur leci czysta, słodka woda, a ludzie odwracają oczarowane twarze w kierunku nieba, aby ; się jej napić.

Ulice zawrzały transformacją. Rysy niektórych ludzi przesuwają się, gładko przepływają lub przeskakują pomiędzy różnymi możliwościami; idąc, oszołomieni, zdają się być tego nieświadomi. Dotykam własnej twarzy i zastanawiam się, czy to samo przytrafia się również mnie. Roślinność wypuszcza wszędzie nowe pędy – polacie pszenicy, trzciny cukrowej, bambusa; przestrzenie dziko wyglądającego tropikalnego poszycia. Niektóre uliczne stoiska po prostu rozsypują się w drobny pył; inne przekształcają się w egzotyczne architektoniczne pastisze – a ściany jednego ze stoisk zamieniły się w ciało, widoczna krew pulsuje w żyłach równie grubych jak moje ramię. Wpatruję się w drapacze chmur, większość z nich surrealistycznie nietknięta – ale kiedy się nad tym zastanawiam, fraktalne pokrycie jednego z nich zaczyna opadać na dół niczym konfetti.

Przecnicę od ASR, tuż przed stoiskiem z jedzeniem, zauważam siedzącą na chodniku Po-kwai, która utkwiała wzrok w tłumie. Kiedy dotykam jej ramienia, spogląda na mnie i wyszarpuje się.

– Hej. To ja, Nick.

– Nick? – Wyciąga rękę i dotyka delikatnie mojej bladej dłoni; ten widok chyba ją przeraża.

Mówi: – To ja ci to zrobiłam. Przepraszam.

– O czym ty mówisz? – Śmieję się. – Sam to sobie zrobiłem. Najszybsze z możliwych przebrań, jakie mogłem wymyślić, nic więcej. – Siadam przy niej na chodniku.

Wskazuje na tłum i mówi otepiała:

– Niszczę to miasto, zamieniam każdego w dziwadło. I nie potrafię tego powstrzymać.

Starałam się, ale nie potrafię tego powstrzymać.

Chwytam ją za ramiona i odwracam w swoim kierunku. Wzdryga się, wreszcie napotyka moje spojrzenie.

– Posłuchaj: to wcale nie jest twoja wina.

Wydaje stłumiony, jękliwy dźwięk, a potem niemal się śmieje:

– Nie? A znasz kogoś innego, kto potrafiłby dokonać czegoś takiego?

Przez chwilę się zastanawiam: Dlaczego zawracać sobie głowę jakimikolwiek tłumaczeniami? Za godzinę lub dwie nic nie będzie miało żadnego znaczenia. Być może i teraz cierpi – ale jakie pocieszenie przyniesie jej prawda?

Ale wtedy hartuję się wewnątrz i zaczynam odpowiadać na jej pytanie.

Z początku wydaje się niemal niepomna moich słów – ale powoli logika tego, co do niej mówię, przebija się przez jej stan szoku i paraliżu z powodu niewłaściwie ulokowanej winy.

Zanim dotrę w mojej opowieści do spotkania z Laurą w skarbcu, dawna Po-kwai jest już z powrotem.

– Wdmuchała środek uspokajający z powrotem do pojemnika? – Kiwa głową, nieznacznie się uśmiechając. – Cóż, dlaczego nie? Bez załamania nie ma asymetrii czasowej.

– Dokładnie tak powiedział Lui.

– Lui? Kiedy?

– Zaraz do tego dojdę.

O ile jej wiadomo, tej nocy, której dokonywałem włamania, w ASR nie odkryto żadnych bomb. Kiedy następnego ranka zapytała o mnie Lee Hing-cheunga, odpowiedział jej, że zniknąłem, lecz twierdził, że nikt nie zna powodu, dlaczego. Być może utrzymywano ją w niewiedzy – ale równie prawdopodobne jest to, że Lui sam zaaranżował moje załamanie i okłamał mnie po raz kolejny.

Kiedy opisuję uwolnienie *Endamoeba* i to, jak nieoczekiwanie przeżyłem, stwierdza:

– Możesz nie mieć racji, obwiniając swoje rozmazane ja. Jak mogło się oprzeć istocie dwanaście miliardów silniejszej od siebie?

– Co masz na myśli?

– Całą planetę, rozmazaną rasę ludzką...

– Ale nie byli... wciąż nie są. Nawet teraz nie cała planeta...

– Nie – ale skoro będą lub mogą być, nie uważasz, że mogliby dokonać wyboru własnej przeszłości? Sam wiesz, czego może dokonać pojedyncza rozmazana istota ludzka – nie wydaje ci się, że amalgamat dwunastu miliardów byłby w stanie tunelować się do egzystencji, czegokolwiek by to nie wymagało? Wersje ciebie, te, które zapobiegły wyswobodzeniu się pierwotniaka, zakończyłyby załamane, niepołączone z nikim innym – ale te, którym się nie powiodło, byłyby połączone z tym wszystkim wokół... – Wskazuje otaczający nas chaos – ...

we władzy przynajmniej kilku tysięcy rozmazanych ludzi... i cokolwiek miało jeszcze nadejść.

To odnalazło sposób, aby zaistnieć, a ty byłeś tego częścią. Tak to widzę.

– Rozumiem.

Więc moje „wyswobodzenie” z modu lojalności, od Karen, jest bardziej dowcipem niż czymkolwiek innym. Jestem, kim jestem, tylko dlatego, że służyłem za kanał sprowadzający całą tę apokalipsę, byłem linią uskoku, przez którą przyszłość rozmazanej ludzkości mogła powołać się do życia.

Coś nowego dzieje się z tłumem; ludzie zbierają się w grupki. Niektórzy chwytają się za ręce, stoją obok siebie – a inni dosłownie zlewają się ze sobą, ich ciała stapiają się. Odwracam wzrok, zwalczając uczucie paniki. Nie mogę stawić temu czoła. Jeszcze nie teraz.

Kurczowo chwytam się nitki normalności. Staram się przeprosić Po-kwai za oszukiwanie jej przez tak długi czas, ale odsuwa to na bok.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Rozumiem; powiedziałbyś mi prawdę, ale mod lojalności...

– Ale *nie* powiedziałem ci prawdy. Nie ma żadnego znaczenia co bym zrobił. Mam tylko jedną przeszłość. Muszę być... za nią odpowiedzialny. Muszę ją odzyskać. Muszę sprawić, by stała się moja.

Śmieje się, niedowierzając.

– Nick, już po wszystkim. To już nie ma znaczenia.

– I użyłem **Ansamblu** – wtargnąłem do twojej czaszki... Potrząsa głową ze znużeniem.



– Wcale nie wtargnąłeś do mojej czaszki. Zrobiłam to, o co poprosiłeś, to wszystko.

– Co?

Wzrusza ramionami.

– Niewiele pamiętam. Pojedyncze fragmenty. Wydawało mi się, że śniłam. Wiedziałam, że śniłam. Siedzieliśmy wspólnie i przyglądaliśmy się rzucanym kościom; ja sprawiałam, że upadały tak, jak ty chciałeś – i wiedziałam, że było to niemożliwe... ale ty nic z tego nie pamiętasz, prawda?

– Nie.

– Cóż. – Odwraca wzrok.

Spoglądam na niebo; właśnie pojawiła się na nim pierwsza gwiazda. Zanim wskażę ją Po-kwai, tuż obok niej pojawia się kolejna.

– Są takie blade. Zawsze myślałam, że są jaśniejsze – mówi po chwili.

Tłum cichnie i obserwuje, jednocząc się w tej czynności. Gwiazdy raz za razem podwajają swoją liczbę, tak samo jak to robiły w czasie mojej wizji w przedpokoju. Czy rozmazana rasa ludzka mogłaby sięgnąć aż tak daleko wstecz? Czy już wtedy wybierała moje stany własne?

Po-kwai zaczyna drżeć. Szepczę jej jakieś uspokajające banały i biorę za rękę.

– Nie boję się – stwierdza. – Po prostu nie jestem gotowa. Czy mógłbyś to zatrzymać, proszę? Nie jestem gotowa.

Tłum zaczyna się rozmywać; jego poszczególne komórki rozpadają się i formują ponownie, stając się coraz większe.

W przestrzeniach pomiędzy nimi zauważam idącą samotnie postać. Karen odwraca się, spogląda na mnie, nieznacznie marszcząc brwi, jak gdyby zdawało jej się, że nieuchwytnie przypominam jej kogoś, kogo kiedyś знаła. Po chwili odwraca się i odchodzi.

Łuk gwiazd płonie na niebie. Wstaję, wciąż obejmując Po-kwai, ciągnąc ją, by też stanęła na nogach, wlekąc ją za sobą.

Na krawędzi tłumu waham się. Płynne formy o ludzkich kształtach zderzają się ze sobą i zlewają. Po-kwai uwalnia się z mojego chwytu. Cofam się. Ostatni raz widzę wycofującą się Karen, ale nie mogę się poruszyć.

Podnoszę oczy ku Niebu, a nieboskłon bieleje od światła.

# Epilog

Przez tydzień jej szukam, wędrując pomiędzy obozami. Wszyscy znajdujący się w nich ludzie są – rzekomo – zarejestrowani w centralnym komputerze, ale pomyślałem, że mogła być ostrożna i mogła nie użyć swojego prawdziwego nazwiska.

Tego pierwszego poranka, kiedy przyglądałem się rumowiskom i rzezi, nie wierzyłem, że pomoc miałyby kiedykolwiek nadejść. Bez zasilania, bez wody, bez transportu: z zapasami żywności na najwyżej dzień – i milionem czy nawet więcej trupów gnijących na ulicach.

Przyjąłem za pewnik, że cała planeta była w podobnym stanie i że zostaniemy pozostawieni na pastwę głodu i cholery. Kiedy w Kowloon Park zaczęły lądować helikoptery, niemal podciąłem sobie żyły, gdyż pomyślałem, że to jakiś rodzaj cudu, pomyślałem, że cały proces rozpoczął się na nowo.

Jak się okazało, plaga nie rozprzestrzeniła się poza miasto – a przynajmniej te wersje wydarzeń, w których do tego doszło, nie stały się prawdziwe. Populacja całego świata może i rozmazała – ale stan własny, który wreszcie został wybrany, ograniczył zniszczenia do terenu Nowego Hongkongu. Jeżeli cuda miały miejsce w Londynie czy Moskwie, w Kalkucie czy Pekinie, Sydney czy nawet w Darwin, nie pozostawiły po sobie żadnych wspomnień, żadnego śladu. Być może wstrząs był najmniejszy z możliwych, zgodny z ostatnim momentem ustalonej przeszłości – ostatnią chwilą, w której ktokolwiek gdziekolwiek załamał.

Na początku podróżowałem z Po-kwai, ale ona trzeciego dnia spotkała swoją rodzinę.

Chyba oboje z ulgą przyjęliśmy nasze rozstanie. Wiem, że w samotności o wiele łatwiej udawać, że jest się kolejnym niewinnym, zszokowanym, nie rozumiejącym niczego człowiekiem, któremu udało się przeżyć.

Nie rozumiejący to pojęcie względne. Wątpię, bym kiedykolwiek miał się dowiedzieć, dlaczego rozmazana ludzka rasa, po tym, do czego się posunęła, aby powstać, dotknęła wreszcie nieskończonej przestrzeni poza Bańką – i odskoczyła. (Być może tak się nie stało; być może została odciągnięta z powrotem. Być może interweniowali Budowniczości Bańki...

choć jeżeli posłaniec Laury naprawdę był tu przewodnikiem, to trudno to sobie wyobrazić).

Ale jeżeli rozmazana ludzkość z jakichkolwiek powodów nie potrafiła stawić czoła temu, co znajdowało się poza Bańką, to nie miała żadnego innego wyboru niż popełnić samobójstwo, załamać do stanu, z którego nie będzie się mogła ponownie wyłonić. Rozmazywanie wzrasta wykładniczo, bez żadnych ograniczeń. Pojedyncza, niepowtarzalna rzeczywistość była jedyną stabilną alternatywą. Nie mogło istnieć nic pośredniego.

Kanały komunikacyjne są dokładnie kontrolowane – geostacjonarny satelita służący NHK

został przełączony na tryb specjalny, dostępny jedynie wojskom ONZ – więc nie mam pojęcia, co według reszty świata miało tutaj miejsce. Trzęsienie ziemi? Skażenie chemiczne? Zespoły

holowizyjnych wiadomości latają nam nad głowami, ale do tej pory żadnemu nie pozwolono wylądować; przy użyciu teleobiektywów musieli sfotografować wiele cudacznie wyglądających trupów, zanim je pogrzebano. Bez wątpienia nawet teraz kiełkują kolejne nowe kultury, z własnymi doskonałymi wyjaśnieniami wszystkiego, co tu zaszło.

I bez wątpienia inni, którym udało się przeżyć, zaczęli snuć swoje własne historie, utrzymując, że widzieli, jak martwi chodzili pomiędzy żywymi.

Jednak zaczynam podejrzewać, że choć tacy świadkowie mogą być wiarygodni, to po bliższym zbadaniu ich opowieści, okażą się one nieprawdziwe. Nie wierzę, by kłamali albo błędnie odebrali to, co zobaczyli. Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opisywali – tyle tylko, że to po prostu nigdy nie stało się naszą rzeczywistością.

Osiadłem w obozie na dawnym zachodnim krańcu miasta. Mam kartę rejestracyjną, dwa razy dziennie stoję w kolejce po jedzenie, robię dokładnie to, co mi każą. Większość obecnych tutaj przedstawicieli akcji humanitarnej to świeżo zwerbowani ochotnicy, którzy utrzymują, że w ciągu roku wszyscy zostaniemy ponownie rozsiedleni. Jednak bardziej doświadczeni przyznają – kiedy ich się przyciśnie – że bardziej prawdopodobnym terminem jest dekada.

Nowy Hongkong nigdy nie zostanie odbudowany na dawnym miejscu, dopóki naukowcy nie dowiedzą się, dlaczego miasto rozsypało się w proch, a odpowiedź na to pytanie – mam nadzieję – przez długi czas nie zostanie sprecyzowana.

Mam niewiele do roboty. Staram się trochę ćwiczyć, ale zazwyczaj kończy się na tym, że leżę na mojej pryczy, roztrzásając wszystko po raz kolejny.

I wczoraj w nocy wymyśliłem:

Być może rozmazana ludzkość dotarła do krawędzi Bańki i mimo wszystko nie odskoczyła. Być może planeta jest wciąż rozmazana. Jedna ludzka świadomość na jeden stan własny, rozgałęziający się nieskończenie: w urzeczywistnieniu modelu wielu światów. Krew wciąż pada z nieba pomiędzy drapaczami chmur Nowego Hongkongu. Dzieci wciąż wyczarowują tańczę kwiaty. Każdy sen i każda wizja ozywają: Niebo i Piekło na Ziemi.

Każdy sen, każda wizja. Włączając w to i tę, jak się wydaje przyziemną, w połowie między nie kończącą się szczęśliwością a nie kończącym się cierpieniem.

Tutaj właśnie się znajduję, wpatrując się w ciemność, niezdolny do podjęcia decyzji, czy wpatruję się w nieskończoność, czy jedynie we wnętrze własnych powiek.

Ale odpowiedź na to pytanie nie jest mi potrzebna. Recytuję jedynie, raz za razem, dopóki nie mogę wybrać snu:

*To wszystko sumuje się do normalności.*

CypherClerk – Urzędnik Kodujący (wszystkie przypisy od tłumacza).

\*\* The Night Switchboard – Nocna Centralka

\* retykulacja – łączenie odrębnych gałęzi drzewa filogenetycznego, zazwyczaj odbywające się na drodze hybrydyzacji, bądź też poziomego transferu genów; uważa się, że w przypadku wielokomórkowców występuje rzadko – jest jednakże dosyć częsta w przypadku niektórych blisko spokrewnionych roślin lądowych,

\* Backroom Worker – Pracownik Zaplecza

\* Human Dignity – Ludzka Godność

\*\* [Letarg Zenona](#) – choroba zapewne zawdzięcza swoją nazwę filozofowi greckiemu Zenonowi z Elei, twórcy słynnego paradoksu Achil esa i żółwia, udowadniającego niemożliwość doścignięcia przez Achil esa uciekającego przed nim żółwia.

\* Astral Sphere – Sfera Astralna.

\* Charles Manson – seryjny morderca, działający ze swoją bandą na terenie Kaliforni , odpowiedzialny m.in. za morderstwo ciężarnej żony Romana Polańskiego – Sharon Tatę – wraz z czwórką jej przyjaciół 9 sierpnia 1969 roku w jej domu w Beverly Hil s.

\*\* Wielebny Jim Jones – przywódca sekty Świątynia Ludu, której wszyscy członkowie (913 osób), odseparowani od świata w ostępach amazońskiej dżungli w Gujanie, 18 listopada 1978 roku popełnili masowe samobójstwo wypijając płyn zawierający cyjanek.

\* RedNet – Czerwona Sieć

\*\* John von Neumann (1903 – 1957) – matematyk amerykański, współtwórca pierwszej elektronicznej maszyny matematycznej, twórca matematycznych podstaw mechaniki kwantowej.

\* Sentinel – Wartownik.

\* Mindvaults – Krypty Umysłowe.

\* Eksperymenty przeprowadzone przez Aspecta i jego zespół w 1982 roku w Paryżu na fotonach emitowanych przez atom wapnia wykazały naruszenie klasycznych Nierówności Bel a (klasyczne zależności rachunku prawdopodobieństwa nie mają użycia w mechanice kwantowej), co z kolei było silnym dowodem przemawiającym za tym, że nie można twierdzić, iż współczesna mechanika kwantowa jest teorią niekompletną, a jedynie, że jest teorią nielokalną, co znaczy, że obserwacja jednego ze sprzężonych układów natychmiastowo wpływa na drugi, nawet jeżeli są one od siebie oddalone, z uwzględnieniem ograniczeń wynikających z przyjęcia założenia, że prędkość światła jest maksymalną osiągalną prędkością.

\* Nierówności Bel a – w 1935 Einstein, Podolsky i Rosen opracowali doświadczenie myślowe (tzw.

Paradoks Einsteina-Rosena-Podolskiego), które miało wykazywać niezupełność mechaniki kwantowej, później w latach 60. Bel nadał temu doświadczeniu postać matematyczną, z której wynikały właśnie tzw. Nierówności Bel a, których niepoprawność wykazał Aspect w swoich doświadczeniach.

\*MindTools – Narzędzia Umysłu.

\*\* Virtual Arcade – Wirtualny Salon Gier.

\* Parafraza fragmentu „Sonetu XLI” Elizabeth Barret Browning; oryginalnie użyte przez autorkę „ways” (sposoby) zastąpiono tu „eigenstates” (stany własne).

\* Third Hemisphere – Trzecia Hemisfera (Trzecia Półkula).

## **Spis treści**

STRONA TYTUŁOWA. 1

CZEŚĆ PIERWSZA. 4

1. 5

2. 29

3. 55

4. 67

CZEŚĆ DRUGA. 77

5. 78

6. 86

7. 97

8. 114

9. 133

10. 158

11. 176

12. 200

13. 215

Epilog. 230

[\*]

\*\*

\*

Nienazwany

\*\* Letarg Zenona